

Patricia Cornwell

Ofiary przypadku

Przełożyła Małgorzata Kicana

Tytuł oryginału:

ALL THAT REMAINS

Tę książkę
dedykuję Michaelowi Congdonowi.
Jak zwykle, dziękuję.

Rozdział pierwszy

W sobotę, ostatniego dnia sierpnia, pracę zaczęłam przed świtem. Nie widziałam mgły snującej się nad trawnikami ani nieba zmieniającego kolory o wschodzie słońca. Cały ranek na stalowych stołach leżały ciała, a w kostnicy nie ma okien. Weekend Święta Pracy w Richmond zaczął się kilkoma wypadkami samochodowymi i strzelaniną.

Była już druga po południu, gdy wreszcie wróciłam do mego domu na West Endzie i usłyszałam, że Bertha jeszcze pracuje w kuchni. Sprzątała u mnie co sobotę i od dawna wiedziała, że nie powinna przejmować się dzwoniącym telefonem. A właśnie dzwonił.

— Mnie nie ma — powiedziałam głośno i otworzyłam lodówkę.

Bertha przerwała na chwilę sprzątanie.

— Dzwonił też przed chwilą — rzekła. — I parę minut wcześniej też. Cały czas ten sam mężczyzna.

— Nikogo nie ma w domu — powtórzyłam.

— Jak pani sobie życzy, doktor Kay — odparła i zabrała się z powrotem do mycia podłogi w kuchni.

Usiłowałam zignorować głos automatycznej sekretarki wdzierający się do zalanej słońcem kuchni. Hanowerskie pomidory, którymi zajadałam się w lecie i których mnóstwo rosło w moim ogródku, z nadejściem jesieni zaczęły marnieć. Zostały już tylko trzy krzaki. Gdzie jest sałatka z kurczaka?

Po sygnale w telefonie rozległ się znajomy męski głos.

— Doktoru? Tu Marino...

Och, Boże, pomyślałam, zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi lodówki. Detektyw Pete Marino z wydziału zabójstw Departamentu Policji Richmond był na służbie od północy i całkiem niedawno widziałam się z nim w kostnicy, gdy wyciągałam kule z ciała jednej z ofiar nocnej strzelaniny. Mówił mi, że zamierza jak najszybciej wyjechać z miasta nad jezioro Gaston, by choć przez jeden dzień połowić ryby. Ja z kolei cieszyłam się na myśl o tym, że będę mieć nieco czasu na pracę w ogródku.

— Usiłowałem dodzwonić się do ciebie już wcześniej. Właśnie wyjeżdżam z miasta. Będziesz musiała łapać mnie przez pager...

W głosie Marina czaił się niepokój, więc pospiesznie złapałam słuchawkę.

— Jestem.

— To ty czy ta przekłeta maszyna?

— Zgadnij — warknęłam.

— Mam złe wieści. Znaleźli jeszcze jeden porzucony wóz. W New Kent, przy postoju, na drodze numer sześćdziesiąt cztery, na zachód od miasta. Benton właśnie dał mi znać...

— Następną parą? — przerwałam mu, w tej samej chwili zapominając o wszystkich planach, jakie miałam na ten dzień.

— Fred Cheney, biały, lat dziewiętnaście. Debora Harvey, biała, lat dziewiętnaście. Ostatnio widziano ich około ósmej wczoraj wieczorem, kiedy wyjeżdżali z domu Harveyów w Richmond do Spindrift.

— A samochód znaleziono obok drogi wiodącej na zachód? — upewniłam się, gdyż Spindrift w Karolinie Południowej leży gdzieś trzy i pół godziny drogi na wschód od Richmond.

— Aha. Zdaje się, że coś pomyliły im się kierunki. Chyba wracali do miasta. Policjant z drogówki znalazł ich jeepa cherokee jakąś godzinę temu. Ani śladu po dzieciakach.

— Zaraz wyjeżdżam — odparłam.

Bertha cały czas myła podłogę, lecz wiedziałam, że chłonie każde moje słowo.

— Niedługo już tu skończę — zapewniła mnie łagodnie. — Zamknę drzwi i włączę alarm. Proszę się o nic nie martwić, doktor Kay.

Z mocno bijącym ze strachu sercem złapałam torebkę i pobiegłam do samochodu.

Do tej pory zaginęły cztery pary. Każda zniknęła, a później została odnaleziona martwa, w promieniu pięćdziesięciu mil od Williamsburga.

Sprawy te, okrzyknięte przez prasę jako „morderstwa zakochanych”,

były nie wyjaśnione, i jak dotąd nikt nie miał żadnych dowodów, poszlak ani nawet wiarogodnych teorii na ten temat, nawet FBI i ich VICAP* [* Violent Criminal Apprehension Program — Program do Zwalczania Seryjnych Zbrodni (przyp. tłum.)], dzięki któremu mieli dostęp do największej w Stanach bazy danych dotyczących seryjnych morderców, a który ułatwiał połączenie osób zaginionych z nie zidentyfikowanymi ciałami i seryjnymi zbrodniami. Gdy znaleziono ciała pierwszej pary, dwa lata temu, Departament Policji Richmond poprosił o pomoc regionalny oddział VICAP, w skład którego wchodził między innymi agent specjalny FBI, Benton Wesley, oraz weteran wydziału zabójstw, Pete Marino. Potem zniknęła następna para i jeszcze dwie. W każdym przypadku, zanim VICAP zostało zawiadomione, zanim NCIC* [* National Crime Information Center — Narodowe Centrum Informacji o Zbrodniach (przyp. tłum.)] zdążyło przesłać dane, zaginione nastolatki dawno już nie żyły, a ich ciała rozkładały się gdzieś w lesie.

Wyłączyłam radio, przejechałam przez bramki wiodące na autostradę i nacisnęłam na gaz. Nagle wróciły do mnie głosy i obrazy. Kości i przegniłe ubrania rozrzucone wśród liści. Atrakcyjne, roześmiane twarze zaginionych nastolatków na zdjęciach w gazetach i zdumieni, przerażeni krewni udzielający wywiadów w telewizji i dzwoniący do mego biura.

— Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej córki.

— Proszę mi powiedzieć, jak umarło moje dziecko. Och, Boże, czy bardzo cierpiała?

— Przyczyna jej śmierci nie jest ustalona, pani Bennett. W tej chwili nie mogę powiedzieć pani nic więcej.

— Chce mi pani powiedzieć, że pani nie wie?

— Zostały tylko kości, panie Martin. Kiedy nie ma już tkanki miękkiej, nie można określić, czy i jakie rany zostały zadane...

— Nie chcę więcej słuchać tego medycznego bełkotu! Chcę wiedzieć, jak zginął mój syn! Gliniarze pytają mnie o narkotyki! Mój chłopiec nigdy w życiu nie był pijany! Słyszysz mnie pani? On nie żyje, a oni robią z niego jakiegoś ćpuna...

„NACZELNY KORONER STANU WIRGINIA NIE MA NIC DO POWIEDZENIA.

Doktor Kay Scarpetta nie potrafi ustalić przyczyn zgonów”.

Przyczyny śmierci: nie wyjaśnione.

Ciągle, znowu to samo. Ośmioro młodych ludzi.

To było straszne. Okropne. Nigdy wcześniej nie natknęłam się na nic podobnego.

Każdy patolog ma w swej karierze sprawy, w których nie potrafi ustalić przyczyny zgonu, ale nigdy jeszcze nie spotkałam się z tak wieloma połączonymi ze sobą.

Otworzyłam szyberdach i poczułam, że pogoda korzystnie wpływa na moje samopoczucie. Było ciepło i słonecznie, liście niedługo zaczną spadać z drzew. Tyko na jesieni i na wiosnę nie tęskniłam za Miami. Lato w Richmond było równie gorące jak na Florydzie, lecz tam wiał zawsze chłodny wiatr znad oceanu. Wilgotność powietrza w Wirginii była wręcz okropna, a zimy ceniłam równie nisko, gdyż nie lubię mrozów. Jednak wiosna i jesień są tu oszałamiające.

Postój przy drodze numer sześćdziesiąt cztery w New Kent County jest oddalony od mojego domu dokładnie o trzydzieści jeden mil. W sumie istnieje wiele takich miejsc w Wirginii: drewniane stoły, miejsca na ogniska, drewniane kosze na śmieci, kamienne toalety, kilka niedawno posadzonych drzew. Ale w pobliżu nie było żadnego turysty, ani nawet odpoczywającego kierowcy ciężarówki; wszędzie natomiast stały wozy policyjne.

Policjant, zgrzany i ponury, ubrany w granatowy mundur drogówki podszedł do mnie, gdy parkowałam obok toalety.

— Przykro mi, proszę pani — powiedział, nachylając się ku otwartemu oknu mego samochodu. — Ten postój jest dziś zamknięty. Muszę panią prosić, żeby się pani tu nie zatrzymywała.

— Jestem doktor Kay Scarpetta — przedstawiłam się, wyłączając silnik.
— Policja prosiła, bym tu przyjechała.

— Dlaczego?

— Bo jestem koronerem okręgowym — odparłam.

Widziałam sceptyczny błysk w jego oczach, gdy przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Pewnie nie wyglądałam zbyt imponująco; miałam na sobie

spraną džinsową spódnicę, różową bawełnianą bluzkę i skórzane buty. Mój samochód służbowy stał obecnie w miejskim garażu, czekając, aż mechanik wymieni opony na nowe. Na pierwszy rzut oka wyglądałam pewnie jak nieco już podstarzała yuppie, rozbijająca się szarym mercedesem; blondynka jadąca na zakupy do miejskiego centrum handlowego.

— Muszę panią poprosić o jakiś dowód tożsamości.

Wygrzebałam z torebki cienki czarny portfel i pokazałam mu moją odznakę oraz prawo jazdy. Przyglądał się im przez dłuższą chwilę i wyczułam, że jest zażenowany.

— Proszę tu zostawić samochód, pani doktor. Pani koledzy są tam, z tyłu. — Wskazał na parking przeznaczony dla ciężarówek i autobusów. — Życzę miłego dnia — dodał zdawkowo.

Poszłam wzdłuż kamiennego murku; kiedy wyszłam zza rogu, zobaczyłam jeszcze kilka wozów policyjnych, ciężarówkę holowniczą z migającym na dachu kogutem i przynajmniej tuzin mężczyzn w mundurach i po cywilnemu. Czerwonego, dwudrzwiowego jeepa cherokee zauważyłam dopiero, gdy omal na niego nie wpadłam. Stał zepchnięty z parkingu, w połowie zbocza, przykrywały go opadłe liście oraz gruba warstwa kurzu. Zerkając przez szybę od strony kierowcy, zobaczyłam, że beżowo obite wnętrze jest bardzo czyste i schludne, a tylne siedzenie zgrabnie zarzucone mnóstwem przedmiotów: walizkami, nartami, żółtą nylonową linką, przenośnym pojemnikiem na lód. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Okna były do połowy otwarte. Ślady opon wiodące z asfaltu na trawę wyraźnie odcinały się od podłoża; chromowany przedni zderzak samochodu opierał się o sosnę.

Marino rozmawiał z chudym, jasnowłosym nie znanym mi wcześniej mężczyzną, którego przedstawił jako Jaya Morrella z policji stanowej. Zdawało się, że to on tu dowodzi.

— Kay Scarpetta — powiedziałam, gdyż Marino przedstawił mnie po prostu jako „doktorka”.

Morrel spojrział na mnie zza ciemnozielonych szkieł okularów i skinął głową. Był ubrany po cywilnemu i miał nieduży wąsik, który chyba niedawno mu się sypnął. Zachowywał się z typową dla nowicjuszy brawurą.

— Jak na razie wiemy niewiele. — Rozejrzał się nerwowo na boki. — Jeep należał do Debory Harvey. Wraz ze swym chłopakiem, hmm, Fredem Cheneyem, wyjechała wczoraj wieczorem z rezydencji Harveyów około ósmej wieczorem. Udawali się do Spindrifft, gdzie państwo Harvey mają domek na plaży.

— Czy Harveyowie byli w domu, kiedy dzieciaki wyjeżdżały z Richmond?
— zapytałam.

— Nie, proszę pani. — Znowu zwrócił na mnie szkła okularów. — Byli już w Spindrifft, wyjechali po południu tego samego dnia. Debora i Fred chcieli jechać osobno, gdyż w poniedziałek mieli wracać do Richmond. Oboje są na drugim roku na uniwersytecie stanowym. Musieli wrócić wcześniej, by zdążyć do szkoły.

Marino wyjął z kieszeni papierosy.

— Tuż przed wyjazdem zadzwonili do Spindrifft i powiedzieli jednemu z braci Debory, że właśnie wyjeżdżają i będą na miejscu około północy — wyjaśnił. — Kiedy nie pojawili się do czwartej nad ranem, Pat Harvey zawiadomiła policję.

— Pat Harvey? — Spojrzałam na Marina ze zdumieniem.

— Aha — odpowiedział Morrell. — Nieźle wpadliśmy. Pat Harvey właśnie jest w drodze. Jakies pół godziny temu wsiadła do helikoptera i ma tu być niedługo. Ojciec dziewczyny, Bob, jest gdzieś w drodze. Był w Charlotte w interesach i miał przyjechać do Spindrifft jutro. Nie mogliśmy go złapać, więc jeszcze nie wie, co się stało.

Pat Harvey była dyrektorem narodowej agencji zajmującej się zwalczaniem handlu narkotykami, media nazwały ją swego czasu Narkotykową Carycą. Została mianowana na to stanowisko przez samego prezydenta, a jej zdjęcie całkiem niedawno zdobiło okładkę magazynu „Time”. Pani Harvey była jedną z najpotężniejszych i najbardziej podziwianych kobiet w Stanach Zjednoczonych.

— A Benton? — spytałam Marina. — Czy wie już, że Debora Harvey jest córką Pat Harvey?

— Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nic mi na ten temat nie

wspominał. Zadzwoił do mnie zaraz po wylądowaniu w Newport News... przyleciał prywatnym odrzutowcem Biura. Bardzo się spieszył... chciał jak najszybciej wynająć samochód i tu przyjechać. W sumie nie rozmawialiśmy zbyt długo.

To mi wystarczyło. Benton Wesley nie leciałby na miejsce zbrodni prywatnym odrzutowcem FBI, gdyby nie wiedział, kim jest Debora Harvey. Zastanowiło mnie to, że nic nie wspomniał Marinowi, który wszak jest jego partnerem z VICAP; bez większego powodzenia usiłowałam coś wyczytać z twarzy Pete'a — drgały mu mięśnie szczęk, był zaczerwieniony, a na jego łysiejącej czaszce dostrzegłam kropelki potu.

— Nie wygląda to najlepiej — podsumował Morrell. — Moi ludzie stoją przy drodze i nie wpuszczają gapiów, przetrząsnęliśmy toalety i trochę się rozejrzeliśmy dokoła, żeby się przekonać, czy dzieciaków na pewno nie ma nigdzie w pobliżu. Kiedy tylko dojadą tu ludzie z jednostki poszukiwawczej z psami, ruszymy w las.

Dopiero w tej chwili zauważyłam, iż zaraz za jeepem kończy się ładnie utrzymany teren postojowy i zaczyna las tak gęsty, że jakiś metr za samochodem widać już tylko gęstwę liści i gałęzi. Gdzieś wysoko, nad drzewami, zobaczyłam krążącego jastrzębia. Choć okolice drogi stanowej I-65 już od dawna zarastały centra handlowe i dzielnice domków jednorodzinnych, odcinek między Richmond a Tidewater jak na razie jeszcze nie został skażony cywilizacją. Krajobraz, który w innych okolicznościach uznałabym za czarowny i kojący, teraz wydawał mi się złowieszczy.

— Cholera — zaklął Marino, gdy zostawiliśmy Morrella jego obowiązkom i przeszliśmy kilka kroków na bok.

— Przykro mi, że przepadło twoje wędkowanie — rzekłam.

— Hej! A czy to coś nowego? Planowałem ten wyjazd od miesiąca, ale znowu się popieprzyło. Jak zawsze.

— Zauważyłam, że gdy zjeżdża się z autostrady — odezwałam się, ignorując jego irytację — wjazd na postój od razu rozgałęzia się w dwie strony; jedna droga prowadzi tutaj, a druga na część frontową. Innymi słowy, obie te drogi są jednokierunkowe. Nie można autem dostać się na

postój przeznaczony dla samochodów osobowych od frontu, a potem zmienić zdania i wjechać tu... aby tego dokonać, trzeba by niezły kawał przedzierać się pod prąd, ryzykując, że uderzy się w jadący z naprzeciwka samochód. Skoro mamy Święto Pracy i dłuższy weekend, podejrzewam, że wczoraj wieczorem było na drodze sporo samochodów i nikt przy zdrowych zmysłach nie ryzykowałby takiego manewru.

— Taak, wiem. Nie trzeba być jakimś zakichanym naukowcem, by wpaść na to, że ktoś specjalnie zepchnął tu jeepa, bo na parkingu z przodu było mnóstwo samochodów. Więc gość wjeżdża podjazdem dla ciężarówek i autobusów... tu pewnie nikogo nie było. Nikt go nie zauważa. Potem odchodzi, jakby go nigdy nie było.

— Możliwe też, że nie chciał, by od razu znaleziono jeepa. To by wyjaśniało, dlaczego zepchnął samochód z rampy — dodałam.

Marino zapatrzył się gdzieś daleko w las.

— Robię się już za stary na takie rzeczy — mruknął.

Marino, wieczny malkontent, miał zwyczaj pojawiać się na miejscu zbrodni i zachowywać się tak, jakby wolał znajdować się gdzieś indziej. Pracowaliśmy ze sobą już dostatecznie długo, bym do tego przywykła, jednak tym razem w jego zachowaniu dostrzegłam coś więcej niż tylko pozę. Odczuwał głęboką frustrację, której powodem nie mogła być jedynie odwołana wyprawa na ryby. Zastanawiałam się, czy aby nie pokłócił się z żoną?

— No, no — zamruczał w tej chwili, patrząc w kierunku ceglanego muru.
— Wreszcie pojawił się Samotny Jeździec.

Odwróciłam się i zobaczyłam wysoką postać Bentona Wesleya; właśnie wychodził z toalety. Podeszedłszy do nas, ledwie wymamrotał „cześć” — srebrzyste włosy miał mokre na skroniach, a na klapach niebieskiego garnituru zobaczyłam drobniutkie kropelki wody, jakby przed chwilą mył twarz. Popatrzył bez emocji na jeepa, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i spokojnie założył na nos.

— Pani Harvey już dotarła? — spytał.

— Nie — odparł Marino.

— A reporterzy?

— Też nie — rzekł Marino.

— Dobrze.

Wesley miał mocno zaciśnięte usta, co sprawiało, że jego twarz o ostrych rysach wydawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona niż zazwyczaj. Wesley byłby całkiem fajnym facetem, gdyby nie jego nieprzystępność. Nie sposób było domyślić się, co czuje ani co myśli, a ostatnio stał się takim mistrzem w ukrywaniu emocji, że czasem miałam wrażenie, jakbym go w ogóle nie znała.

— Chcę utrzymać to w tajemnicy tak długo, jak tylko możliwe — ciągnął Wesley. — Gdy tylko świat się o tym dowie, rozpęta się istne piekło.

— Co wiesz o tych dzieciakach, Benton? — spytałam.

— Bardzo niewiele. Po tym, jak pani Harvey zgłosiła ich zaginięcie dzień rano, zadzwoniła do dyrektora FBI, a on natychmiast zadzwonił do mnie. Z tego, co wiem, jej córka i Fred Cheney poznali się na uniwersytecie i chodzili ze sobą od pierwszego roku studiów. Podobno oboje to dobre, grzeczne dzieciaki. Nigdy nie mieli żadnych konfliktów z prawem, nigdy nie zadawali się z nieodpowiednim towarzystwem... przynajmniej tak mówi pani Harvey. Jedyne, co udało mi się wyłapać podczas rozmowy, to to, że miała dość mieszane uczucia do związku córki z Cheneyem; uważała, że Debora spędza z nim za dużo czasu sam na sam.

— Może też dlatego chcieli pojechać na plażę osobnym samochodem — wtrąciłam.

— Taak — odparł Wesley, rozglądając się wokół. — Najprawdopodobniej to właśnie było przyczyną. Z tego, co mówił dyrektor, odniosłem wrażenie, że pani Harvey nie była zachwycona, iż córka zabiera ze sobą chłopaka do Spindrift. To miał być rodzinny weekend. W ciągu tygodnia pani Harvey mieszka w Waszyngtonie i przez całe lato rzadko kiedy miała okazję przebywać z córką i dwoma synami. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że Debora i jej matka nie mogły się dogadać ostatnimi czasy; być może nawet pokłóciły się, zanim rodzina Harveyów wyruszyła wczoraj rano do Karoliny Północnej.

— A może dzieciaki postanowiły razem uciec z domu? — zasugerował Marino. — Podobno były bystre, nie? Czytały gazety, oglądały wiadomości w telewizji; może obejrzały w zeszłym tygodniu ten program o zaginionych parach? Chodzi mi o to, że pewnie wiedziały o tych sprawach. Może po prostu wycięły starym numer? Niezły sposób, by uciec z domu i dać rodzicom nauczkę.

— Jest to jeden ze scenariuszy, które musimy wziąć pod uwagę — odrzekł Wesley. — I jeszcze jeden z powodów, dla których chciałbym jak najdłużej trzymać media z dala od tej sprawy.

Kiedy szliśmy wzdłuż krawężnika rampy w kierunku jeepa, dołączył do nas Morrell. W tej samej chwili nieopodal zatrzymała się jasnoniebieska furgonetka z okratowanymi oknami, wyskoczyło z niej dwoje ludzi. Kobieta i mężczyzna, ubrani w ciemne kombinezony. Otworzyli tylne drzwi samochodu i wypuścili dwa dyszące i merdające ogonami psy; przypięli długie smycze do skórzanych pasów, które mieli na sobie, złapali zwierzęta za obroże.

— Salty, Neptun, do nogi!

Nie wiedziałam, który pies to Salty, a który Neptun — oba były ogromne, jasnobrązowe, o pomarszczonych pyskach i oklapłych uszach. Morrell uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do nich dłoń.

— Cześć, maluchy!

Salty, a może Neptun, przejechał go szerokim jęzorem po ręce i zamachał radośnie ogonem.

Opiekunowie, Jeff i Gail, oraz ich psy pochodzili z Yorktown; Gail była tak samo wysoka jak jej partner i wyglądała na równie silną. Przypominała mi kobiety, które kiedyś spotkałam, a które całe życie spędziły na farmie — cierpliwe istoty o twarzach pobrużdżonych i ogorzałych od słońca i ciężkiej pracy — których spokój brał się z tego, że potrafiły zrozumieć i zaakceptować naturę wraz z jej darami i cierpieniami. Gail była kapitanem drużyny poszukiwawczej; ze sposobu, w jaki przyglądała się jeepowi, wywnioskowałam, że szuka jakichkolwiek śladów, które mogłyby wskazywać, że któreś z nas majstrowało przy samochodzie i tym samym wprowadziło na scenę obcy zapach.

— Niczego nie ruszaliśmy — zapewnił ją Morrell, pochylając się, by podrapać jednego z psów za uszami. — Nawet nie otwieraliśmy jeszcze drzwi.

— Wiesz, czy ktokolwiek inny siedział w środku? Może ten, kto znalazł samochód? — dopytywała się Gail.

Morrell zaczął wyjaśniać.

— Kiedy zgłoszono zaginięcie, przefaksowaliśmy numer rejestracyjny do wszystkich posterunków w okolicy; oni mieli nadać komunikat przez radio, gdyż policjanci stanowi nie zawsze uczestniczą w odprawach i mogli nawet nie wiedzieć o przysłaniu faksu, a co dopiero go widzieć. Stanowi czasem po prostu siadają do samochodu i jadą przed siebie... W każdym razie, gdy tylko dowiedzieliśmy się o zaginięciu tych dzieciaków, zaczęliśmy nadawać komunikaty radiowe. Około pierwszej po południu kierowca ciężarówki zauważył jeepa i dał nam znać. Policjant, który odebrał zgłoszenie, powiedział, że podszedł tylko na chwilę, by spojrzeć przez okno i przekonać się, czy nikogo nie ma w środku.

Miałam nadzieję, że to prawda. Większość policjantów, nawet ci z wieloletnim doświadczeniem, nie może się oprzeć pokusie i otwiera drzwi znalezionej pojazdu, przynajmniej po to, by przejrzeć zawartość schowka przy siedzeniu pasażera w poszukiwaniu dowodu tożsamości właściciela albo rejestracji samochodu.

Podczas gdy Jeff zajmował się psami, Gail odwróciła się znowu do nas.

— Czy macie coś, co pomoże psom złapać trop?

— Dyrektor poprosił Pat Harvey, by przywiozła ze sobą jakąś część garderoby, którą Debora mogła niedawno nosić — odparł Wesley.

Nawet jeżeli Gail była zdziwiona lub pod wrażeniem tego, czyjej córki będzie szukać, nie okazała tego, tylko nadal patrzyła wyczekująco na Wesleya.

— Pani Harvey właśnie jest w drodze; mają ją przywieźć śmigłowcem — dodał Benton, patrząc na zegarek. — Powinna być tu lada moment.

— Oby tylko nie chcieli tutaj sadzać wielkiego ptaka — skomentowała Gail. — Nie chcę, by cokolwiek tu choćby się poruszyło. — Pochyliwszy się do

okna od strony kierowcy, zajrzała do środka i zlustrowała siedzenia, kierownicę oraz pakunki. Potem ostrożnie wycofała się po własnych śladach i obrzuciła zamyślnym spojrzeniem czarną klamkę u drzwi. — Najlepiej będzie zacząć od siedzeń — postanowiła. — Pozwolimy Salty obwąchać jedno, a Neptunowi drugie. Ale najpierw musimy dostać się do środka, nie niszcząc ewentualnych dowodów. Czy ktoś ma przy sobie ołówek albo długopis? — Wesley wyjął z kieszeni marynarki markowe wieczne pióro i podał Gail. — Potrzebne jest mi jeszcze jedno.

Zadziwiające, ale nikt inny, włącznie ze mną, nie miał przy sobie długopisu. A mogłabym przysiąc, że mam w torebce co najmniej kilka.

— A może być scyzoryk? — spytał Marino, grzebiąc w kieszeni.

— Doskonale.

Z piórem w jednej ręce i scyzorykiem Marina w drugiej Gail przystąpiła do działania; jednocześnie nacisnęła dźwigienkę przy klamce i odchyliła rączkę, otwierając drzwi. Potem przytrzymała je czubkiem buta i pociągnęła, aż otworzyły się na oścież. Przez cały ten czas słyszałam cichy, lecz wyraźny łomot wirników śmigłowca, zbliżający się z każdą chwilą.

Kilka chwil później biało-czerwony helikopter pojawił się nad postojem i krążąc, zaczął zbliżać się ku ziemi, wznecając tumany kurzu. Wszystkie głosy utonęły w łomocie śmigieł, drzewa chwiały się, a trawa rozpaczliwie falowała szarpana podmuchami silnego wiatru. Zacisnąwszy mocno powieki, Jeff i Gail przykucnęli obok psów i trzymali je ze wszystkich sił za obroże.

Wraz z Marinem i Wesleyem skryliśmy się w cieniu budynków i z tego punktu obserwowaliśmy, jak ogromny śmigłowiec ląduje wśród huraganu piachu, liści i trawy. Przez krótką chwilę zobaczyłam twarz Pat Harvey, wpatrującej się w jeepa córki, a potem słońce odbiło się od szkła i nie widziałam już nic.

Wysiadłszy z helikoptera, szła z pochyloną głową i spódnicą łopoczącą wokół nóg, podczas gdy Wesley stał w bezpiecznej odległości od zwalniających obroty śmigieł, krawat powiewał mu nad ramieniem niczym

szalik pilota z czasów pierwszej wojny światowej.

Zanim Pat Harvey została mianowana dyrektorem Narodowej Agencji do Zwalczenia Handlu Narkotykami, była adwokatem z urzędu w Richmond, a potem adwokatem generalnym na Wschodni Dystrykt Wirginii. Zdarzało się, że w sprawach przeciwko handlarzom narkotyków, w których brała udział, duże znaczenie miały wykonane przeze mnie raporty z autopsji. Choć nigdy osobiście nie byłam wzywana do sądu, moje orzeczenia często były koronnymi dowodami oskarżenia — mimo to do tej pory nie poznałam osobiście Pat Harvey.

W telewizji i gazetach wyglądała na wyjątkowo opanowaną i zdecydowaną. Pat Harvey z krwi i kości była kobieca i szalenie atrakcyjna, szczupła, o doskonale wyrzeźbionych rysach; w promieniach słońca jej krótko ostrzyżone rude włosy mieniły się złotem i czerwienią. Wesley przedstawił nas wszystkim, a pani Harvey przywitała się z każdym, podając dłoń z pewnością siebie doświadczonego polityka. Jednak ani razu się nie uśmiechnęła, ani razu nie spojrzała nikomu w oczy.

— Tu jest bluza — rzekła, podając Gail szarą, papierową torbę. — Znalazłam ją w sypialni Debbie, w domku na plaży. Nie wiem, kiedy ostatni raz miała ją na sobie, ale zdaje się, że od dawna nie była prana.

— Kiedy ostatnio pani córka była w Spindrift? — zapytała Gail, otwierając torbę.

— Na początku lipca. Pojechała tam na weekend z kilkoma przyjaciółkami.

— I jest pani pewna, że to właśnie Debora nosiła tę bluzę? Może należy do którejś z jej przyjaciółek? — spytała Gail spokojnie, zupełnie jakby pytała o prognozę pogody.

To pytanie zaskoczyło panią Harvey i przez chwilę w jej niebieskich oczach pojawił się cień zwątpienia.

— Nie jestem pewna, oczywiście. — Odkaslnęła i ciągnęła cichym głosem: — Założyłam, że to Debbie w niej chodziła, gdyż bluza należy do niej, ale, rzecz jasna, nie mogę przysiąc. Nie było mnie wtedy z nimi.

Mimo iż rozmawiała z nami, cały czas patrzyła na jeepa; jej wzrok

błądził przez chwilę po kluczykach w stacyjce, przy których wisiał srebrny breloczek z literką „D”. Przez długą chwilę nikt nic nie mówił; widziałam, jak Pat Harvey walczy ze sobą, starając się nie poddać ogarniającej ją fali paniki.

Odwróciwszy się do nas, powiedziała:

— Debbie najprawdopodobniej miała ze sobą torebkę. Nylonową, jasnoczerwoną... jedną z tych sportowych torebek z klapą na rzepy. Zastanawiam się, czy znaleźliście ją w środku?

— Nie, proszę pani — odparł Jay Morrell. — W każdym razie nie widzieliśmy nic podobnego, zaglądając do samochodu przez okna. Ale jeszcze nie przeszukiwaliśmy wnętrza jeepa... nie, mogliśmy się do tego wziąć, dopóki nie przyjechały psy.

— Spodziewam się, że leży gdzieś na przednim siedzeniu albo może pod nim — mówiła dalej Pat Harvey, ale Morrell potrząsnął głową.

— Pani Harvey, czy orientuje się pani, ile pieniędzy mogła mieć przy sobie córka? — zapytał nagle Wesley.

— Dałam jej pięćdziesiąt dolarów na paliwo i jedzenie. Nie mam pojęcia, ile mogła mieć oprócz tego — odrzekła. — Oczywiście, Debbie miała też ze sobą karty kredytowe, no i książeczkę czekową.

— Czy wie pani, ile pieniędzy miała na koncie? — drażył Benton.

— W zeszłym tygodniu ojciec dał jej czek — wyjaśniła pani Harvey spokojnie. — Na college... książki i inne takie. Jestem niemal pewna, że już go zdeponowała. W takim razie na koncie miałyby jakiś tysiąc dolarów...

— Dobrze by było, gdyby pani mogła to sprawdzić — zasugerował Wesley. — Proszę się upewnić, czy nikt ostatnio nie wyciągał większej sumy.

— Oczywiście, zaraz to zrobię.

Stojąc obok i obserwując ją, widziałam, jak w Pat Harvey odżywa nadzieja; jej córka miała przy sobie gotówkę, karty kredytowe i dostęp do sporej sumy na koncie w banku. Nie zostawiła torebki w jeepie, czyli najprawdopodobniej nadal miała ją ze sobą. Wobec tego istniała spora szansa, że jest cała i zdrowa, i dobrze się gdzieś bawi w towarzystwie swego chłopaka.

— Czy pani córka kiedykolwiek groziła, że ucieknie z domu z Fredem? —

zapytał Marino prosto z mostu, odzywając się po raz pierwszy od dość długiego czasu.

— Nie — odrzekła, patrząc cały czas na jeepa, po czym dodała to, w co tak bardzo chciała uwierzyć: — Ale to przecież nie znaczy, że nie mogła tego zrobić.

— W jakim była nastroju, kiedy ostatni raz rozmawialiście? — nalegał Marino.

— Pokłóciłyśmy się, kiedy wczoraj rano wyjeżdżałam z synami do Spindrift — powiedziała pani Harvey bezbarwnym tonem. — Była na mnie zła.

— Czy wiedziała o tym, co się tu dzieje w okolicy? O tych zaginionych nastolatkach? — spytał Marino.

— Tak, oczywiście. Często o nich rozmawialiśmy... na pewno wiedziała. Gail spojrzała na Morrella.

— Może zaczniemy...

— Doskonale.

— Ostatnia rzecz. — Gail odwróciła się do Pat Harvey. — Czy domyśla się pani, kto prowadził?

— Podejrzewam, że Fred — odrzekła. — Zazwyczaj, gdy jechali gdzieś razem, to on prowadził.

Gail skinęła głową i popatrzyła na nas.

— Zdaje się, że znowu będzie mi potrzebne pióro i scyzoryk.

Wziąwszy je od Wesleya i Marina, podeszła do drzwi od strony pasażera i otworzyła je w ten sam sposób co pierwsze. Potem złapała jednego psa za obrozę. Zwierzę wstało ochoczo i poszło ze swą panią, węsząc na wszystkie strony. Widać było, jak pod lśniąca sierścią pracują mięśnie, a uszy sterczą jak groty strzały.

— Chodź, Neptun, czas się wziąć do roboty.

Wszyscy patrzyliśmy, jak Gail kieruje nos psa na siedzenie, na którym najprawdopodobniej wczorajszego wieczoru siedziała Debora Harvey. Nagle pies zaskowyczał, jakby spotkał się nos w nos z grzechotnikiem i tak gwałtownie odskoczył od jeepa, że omal nie wyrwał obroży z rąk Gail.

Widząc, jak sierść jeży mu się na grzbiecie i jak podkula ogon pod siebie, poczułam zimny dreszcz przebiegający mi po plecach.

— Spokojnie, mały! Spokojnie!

Skomląc i drżąc na całym ciele, Neptun przykucnął w trawie i się załatwił.

Rozdział drugi

Następnego poranka obudziłam się wyczerpana; obawiałam się także tego, co wyczytam w porannej, niedzielnej gazecie.

Nagłówek na pierwszej stronie napisany był tak wielkimi literami, że z łatwością można by go przeczytać z odległości dziesięciu metrów:

CÓRKA NARKOTYKOWEJ CARYCY

I JEJ CHŁOPAK ZAGINĘLI.

POLICJA OBAWIA SIĘ, ŻE TO ODWET NA MATCE

Reporterzy nie tylko zdobyli zdjęcie Debory Harvey, ale także fotografię jej jeepa odholowywanego przez furgonetkę z postoju oraz zdjęcie Boba i Pat Harveyów, spacerujących ręką w rękę po plaży w Spindrift. Pijąc poranną kawę i czytając gazetę, cały czas myślałam o rodzicach Freda Cheney'a. On nie pochodził ze sławnej rodziny, był tylko „chłopakiem Debory Harvey”, ale przecież i on zaginął, i on był kochany.

Okazało się, że Fred jest synem biznesmena z Southside, jedynakiem, którego matka zmarła z powodu pęknięcia tętniaka mózgu. Ojciec Freda, jak wyczytałam z artykułu, był w Sarasota, w odwiedzinach u rodziny, gdy wreszcie, późno w nocy, policja odnalazła go i powiadomiła o zaginięciu syna. Dziennikarze nie omieszkali wspomnieć, że istnieje prawdopodobieństwo, iż Fred i Debora po prostu uciekli z domu, lecz ci, którzy znali Freda, przyznawali, że byłoby to wielce do niego niepodobne; przyjaciele opisywali go jako „dobrego, spokojnego chłopaka, członka akademickiej drużyny pływackiej na uniwersytecie stanowym”. Natomiast Debora była wybitną studentką i gimnastyczką tak utalentowaną, że z łatwością mogłaby wystąpić w następnej Olimpiadzie. Ważąca niecałe sto funtów* [* Około 50 kilogramów (przyp. tłum.).] dziewczyna miała długie do ramion, ciemnoblonde włosy i ładne rysy odziedziczone po matce. Fred był szczupły i barczysty, o falujących czarnych włosach i piwnych oczach. Wszyscy opisywali ich jako atrakcyjną i dobraną parę.

W artykule zacytowano jednego z przyjaciół młodej pary: „Kiedy

widziało się jedno z nich, można było się założyć, że zaraz na horyzoncie pojawi się drugie. To chyba miało coś wspólnego ze śmiercią matki Freda. Debbie poznała go mniej więcej w tym właśnie czasie i bardzo mu pomogła. Bez niej chyba nie udałooby mu się przetrwać”.

Oczywiście, w dalszej części artykułu nadgorliwy reporter przypomniał szczegóły zniknięcia pozostałych czterech par oraz to, że wszystkie w końcu się odnalazły — martwe. Kilkakrotnie wspomniał moje nazwisko; przedstawił mnie jako sfrustrowaną, skołowaną i odmawiającą wszelkich komentarzy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek komukolwiek przychodzi do głowy, że na co dzień zajmuję się autopsjami ofiar zabójstw, samobójstw i wypadków. Do moich obowiązków należy zawiadamianie rodzin zmarłych, zeznawanie w sądzie oraz prowadzenie wykładów dla lekarzy i policjantów. Pary czy nie pary, życie i śmierć zawsze wyglądają tak samo.

Wstałam od kuchennego stołu i wyglądałam przez okno, dopijając kawę, gdy zadzwonił telefon.

Spodziewałam się, że to moja matka, która zazwyczaj dzwoni do mnie o tej porze w niedzielne poranki, by zapytać, jak się czuję i czy byłam już na mszy. Przyciągnęłam stojące w pobliżu krzesło i podniosłam słuchawkę.

— Doktor Scarpetta?

— Przy telefonie. — Kobięcy głos wydał mi się znajomy, lecz nie potrafiłam go dopasować do żadnej twarzy.

— Mówi Pat Harvey, proszę mi wybaczyć, że niepokoję panią w domu... — Mimo iż starała się mówić spokojnie, wyraźnie wyczułam w jej głosie nutkę strachu.

— Ależ nie ma sprawy — odrzekłam uprzejmie. — Czym mogę pani służyć?

— Szukali ich przez całą noc i nadal nic nie znaleźli; przywieźli więcej psów i ludzi, kilka helikopterów — mówiła coraz szybciej. — Nic. Ani śladu. Bob przyłączył się do jednej z grup poszukiwawczych, a ja siedzę w domu. — Zawahała się. — Zastanawiam się, czy mogłaby pani do mnie przyjechać? Może wpadłaby pani na lunch, jeżeli nie ma pani innych planów?

Po długim namyśle zgodziłam się, aczkolwiek niechętnie. Odkładając

słuchawkę, zbeształam się w myślach, gdyż doskonale wiedziałam, czego chce ode mnie Pat Harvey: zapyta mnie o szczegóły poprzednich spraw. Gdybym była na jej miejscu, na pewno bym tak zrobiła.

Wróciłam na piętro do sypialni i zdjęłam szlafrok. Potem napuściłam gorącej wody do wanny i wzięłam kąpiel; myłam włosy, a automatyczna sekretarka przyjmowała telefony, na które i tak nie miałam zamiaru dziś odpowiadać. W niedzielę interesowały mnie tylko wezwania do spraw naprawdę wyjątkowych i ważnych. Podczas długiej kąpieli zadzwoniło do mnie aż pięć osób — reporterów z miejscowych gazet, którzy dowiedzieli się, że zostałam wezwana przez policję na miejsce, gdzie znaleziono samochód zaginionych dzieciaków.

Sięgnęłam po telefon, by zadzwonić do Pat Harvey i odwołać nasze spotkanie, ale jakoś nie mogłam zapomnieć wyrazu jej twarzy, gdy przyleciała helikopterem na postój samochodowy w New Kent County z bluzą córki w papierowej torbie. Z drugiej strony nie mogłam zapomnieć wyrazu twarzy żadnego z rodziców porwanych nastolatków. Odłożyłam więc słuchawkę na widełki, zamknęłam dom i wsiadłam do samochodu.

Ludzi na rządowych stanowiskach zazwyczaj nie stać na mieszkanie w bogatych, zapewniających prywatność dzielnicach, chyba że mają inne jeszcze dochody. Najwyraźniej rządowa pensyjka Pat Harvey była zaledwie skromną kroplą w dochodach rodziny. Harveyowie mieszkali nieopodal Windsor, przy James, w przypominającym pałac domu, zbudowanym w stylu Jeffersona na skarpie nad rzeką. Posiadłość, której powierzchnię oceniłam co najmniej na pięć akrów, otaczał wysoki, ceglany mur, na którym widniały tabliczki z napisem: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA. Wjechawszy na szeroki podjazd ocieniony drzewami, zatrzymałam się przed żelazną bramą, która otworzyła się, zanim zdążyłam opuścić szybę i dotknąć guzika interkomu. Jadąc w stronę domu, zobaczyłam w tylnym lusterku, jak brama zamyka się za mną z cichym trzaskiem. Zaparkowałam obok czarnego jaguara, przed wejściem do domu stylizowanym na rzymski portyk, z wysokimi białymi kolumnkami wyraźnie odcinającymi się od ścian z czerwonej cegły.

Właśnie wysiadałam z samochodu, kiedy w drzwiach domu stanęła Pat

Harvey, wycierała ręce w kuchenną ściereczkę. Choć była blada, a oczy błyszczały jej nienaturalnie, uśmiechnęła się do mnie.

— Jak to miło, że pani przyjechała, doktor Scarpetta — powiedziała, zapraszając mnie gestem do środka. — Proszę, niech pani wejdzie.

Przedpokój był ogromny i przestronny niczym salon, a oficjalny salon, przez który przeszliśmy w drodze do kuchni, naprawdę robił wrażenie. Meble były w osiemnastowiecznym stylu, orientalne dywany przykrywały całą podłogę, a oryginalne obrazy impresjonistów wisiały nad kominkiem, w którym starannie poukładano grube polana. Przynajmniej kuchnia wyglądała funkcjonalnie i przytulnie zarazem; odniosłam wrażenie, że oprócz nas nie ma w domu nikogo.

— Jason i Michael są z ojcem — wyjaśniła Pat Harvey, gdy ją o to zapytałam. — Dołączyli do niego z samego rana.

— Ile mają lat? — spytałam, gdy gospodyni otwierała drzwiczki piecyka.

— Jason ma szesnaście, a Michael czternaście. Debbie jest najstarsza. — Rozglądając się za szmatkami, przez które mogłaby złapać gorące naczynie, Pat Harvey wyłączyła piecyk, po czym wyjęła z niego zapiekanekę; kiedy wyciągała szpatułkę i nóż z szuflady, drżały jej ręce. — Napije się pani wina, kawy, a może herbaty? Nie miałam głowy do większych przygotowań. Zrobiłam tylko sałatkę owocową. Pomyślałam, że siądziemy na ganku, dobrze?

— Doskonale — odpowiedziałam. — Chętnie napiję się kawy.

Rozkojarzona otworzyła zamrażalnik i wyjęła z niego torebkę irlandzkiej kawy, którą ostrożnie odmierzyła do ekspresu; obserwowałam jej poczynania bez słowa. Znajdowała się na granicy załamania nerwowego. Męża i synów nie było w domu; została całkiem sama.

Zaczęła mnie pytać dopiero, gdy usiadliśmy wygodnie na ganku. Przez otwarte francuskie okna dojrzałam łagodnie wijącą się rzekę lśniąca w promieniach słońca.

— Czy może mi pani wyjaśnić zachowanie tego psa wczoraj? — zaczęła, mieszając sałatkę na talerzu. — Czy może to pani jakoś zinterpretować? — Oczywiście, że mogłam, ale bardzo nie chciałam. — Najwyraźniej coś go

wyjatkowo zdenerwowało... ale tego drugiego nie. — Ostatnia część zdania zabrzmiała jak pytanie.

Salty faktycznie zachował się zupełnie inaczej niż Neptun. Kiedy już obwąchał fotel kierowcy, Gail przyczepiła mu do obroży długą smycz i rozkazała „Szukaj!” Salty ruszył przed siebie niczym rasowy pies gończy. Z nosem przy ziemi poszorował przez parking i fragment postoju wydzielony na ogniska i pikniki; potem przeciągnął Gail przez parking dla ciężarówek w kierunku autostrady. Gdyby nie zatrzymała go w porę, wpadłby prosto między jadące samochody. Wszyscy patrzyliśmy, jak pies z przewodnikiem kłusują między drzewami oddzielającymi pasma autostrady wiodące na wschód od tych wiodących na zachód, po czym krążą po postoju znajdującym się dokładnie naprzeciwko tego, na którym znaleziono jeepa Debory. Niestety pies zgubił trop zaraz za parkingiem.

— Czy mam rozumieć, że ten, kto ostatni prowadził samochód Debbie, wysiadł z niego na postoju, zepchnął go z parkingu, przeszedł przez autostradę i wszedł w las po drugiej stronie? — kontynuowała pani Harvey. — A może miał tam zaparkowany własny samochód, którym odjechał, Bóg wie gdzie?

— To jedna z możliwości — odparłam, dłubiąc widelcem w sałatce.

— A jaka jest inna możliwość, doktor Scarpetta?

— Pies pochwycił jakiś zapach. Nie wiemy czyj, a może czego. Mógł to być zapach Debory, Freda albo jakiejś trzeciej osoby...

— Jej jeep stał tam od kilku godzin — przerwała mi Pat, wpatrzona w rzekę. — Podejrzewam, że każdy mógł go zobaczyć, wsiąść do środka w poszukiwaniu pieniędzy, biżuterii, czegokolwiek... Mógł to być każdy, kierowca ciężarówki, autostopowicz, myśliwy, który miał samochód zaparkowany po drugiej stronie autostrady...

Nie przypomniałam jej o oczywistych sprawach, jak na przykład o tym, że policja znalazła portfel Freda w schowku przy przednim siedzeniu, włącznie z kartami kredytowymi i trzydziestoma pięcioma dolarami w gotówce. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało na to, by ktokolwiek przeszukiwał bagaże dzieciaków. Jak na razie byliśmy przekonani, że z jeepa

nic nie zginęło oprócz dwójki nastolatków i torebki należącej do Debory.

— Zakładam, że zachowanie tego psa, Neptuna, było dość niezwykle — ciągnęła pani Harvey rzeczowym, pozbawionym emocji głosem. — Coś go mocno przestraszyło. W każdym razie mocno zdenerwowało. Jakiś obcy zapach... inny niż ten, który poczuł Salty. W końcu wachał siedzenie, na którym prawdopodobnie siedziała Debbie... — Słowa zamarły na jej ustach; spojrzała mi w oczy.

— Taak, zdaje się, że psy poczuły dwa zupełnie różne zapachy.

— Doktor Scarpetta, proszę, by była pani ze mną szczerą. — Głos jej drżał. — Proszę mnie nie oszczędzać. Błagam. Wiem, że pies nie zdenerwowałby się aż tak bardzo, gdyby nie było po temu powodu. Z pewnością podczas wielu lat pracy spotkała się pani z różnymi zachowaniami psów tropiących... Czy widziała pani kiedykolwiek taką reakcję?

W rzeczy samej, widziałam. Dwa razy. Raz, gdy pies obwąchiwał bagażnik samochodu, gdzie, jak się później okazało, przewożono zwłoki zamordowanego mężczyzny, które w końcu znaleziono w śmietniku. Drugi — gdy poczuł jakiś zapach i idąc jego tropem, doprowadził policjantów na miejsce w lesie, gdzie zgwałcono i zamordowano kobietę.

— Bloodhoundy są wyczulone na feromony. — Tylko na to się zdobyłam.

— Że co, proszę? — Pat Harvey spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

— Zapachy wydzielane przez zwierzęta... przede wszystkim owady, ale także ssaki, w tym człowieka. Feromony to substancje chemiczne wydzielane przez organizm w określonym celu, na przykład po to, by przywabić partnera seksualnego — wyjaśniłam spokojnie. — Wie pani, że psy znaczą swoje terytorium, a także że atakują, gdy wyczują strach ofiary... To wszystko za sprawą feromonów. — Pat Harvey patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma. — Kiedy ktoś jest podniecony seksualnie, wystraszony albo podenerwowany, w jego ciele zachodzą różnorodne reakcje chemiczne. Podobno bloodhoundy potrafią wyjątkowo dobrze wyczuwać wszystkie te zapachy i dlatego używa się ich jako...

Przerwała mi.

— Na krótko przed tym, jak wraz z Jasonem i Michaeliem wyjechałam do

Spindrift, Debbie narzekała na bóle brzucha. Właśnie zaczął się jej okres. Czy to może wyjaśnić...? No, cóż, jeżeli faktycznie to ona siedziała na fotelu pasażera, czy możliwe, że pies poczuł właśnie ten zapach?

Nie odpowiedziałam; to, co sugerowała, nie mogło wywołać tak wielkiego zdenerwowania psa.

— Nie, to za mało. — Pat Harvey odwróciła wzrok i zmięła serwetkę na kolanach. — Niemożliwe, by tylko przez to pies zaczął skowyczeć i by sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Och, Boże drogi. To wszystko wygląda tak samo, jak w przypadku innych zaginionych par, nieprawdaż?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Ale właśnie tak pani myśli. Policja też. Gdyby nie to, że wszyscy od samego początku tak myślą, nie zostałaby pani wczoraj wezwana... Chcę wiedzieć, co się z nimi stało. Chcę wiedzieć, co się stało z tymi pozostałymi dziećmi. — Nie odezwałam się, więc nalegała: — Przeczytałam, że była pani wzywana przez policję za każdym razem, gdy odnajdywano ciała.

— To prawda.

Sięgnęła do kieszeni bluzy i wyciągnęła złożoną kartkę papieru; rozprostowała ją i zaczęła mi przypominać, wyglądało na to, że jest to jej potrzebne.

— Bruce Phillips i Judy Roberts, chodzili ze sobą przez całą szkołę średnią i zaginęli dwa i pół roku temu, pierwszego czerwca, gdy wyjechali od znajomych w Gloucester, nigdy nie wrócili do domów. Następnego ranka znaleziono camaro należące do Bruce'a, porzucone przy autostradzie numer siedemnaście, z kluczykami w stacyjce, nie zamkniętymi drzwiami i opuszczonymi szybami w oknach. Dziesięć tygodni później została pani wezwana do lasu, jedną milę na wschód od parku stanowego York River, gdzie myśliwi natknęli się na dwa częściowo rozłożone ciała, leżące twarzami do ziemi wśród liści, mniej więcej cztery mile od miejsca, gdzie wcześniej odnaleziono wóz Bruce'a.

Przypomniałam sobie, że mniej więcej w tym czasie władze lokalne poprosiły o pomoc oddział VICAP. Wtedy ani Marino, ani Wesley, ani nawet policja z Gloucester nie wiedzieli, że w lipcu, miesiąc po zniknięciu Judy i

Bruce'a, zgłoszono zaginięcie drugiej pary nastolatków.

— Następnie mamy Jima Freemana i Bonnie Smith. — Pani Harvey podniosła wzrok znad notatek i spojrzała na mnie. — Zaginęli w ostatnią sobotę lipca, po przyjęciu, które odbyło się w domu Freemanów, w Providence Forge. Tego wieczoru Jim odwoził Bonnie do domu, a następnego dnia rano policja znalazła jego blazera, porzuconego jakieś dziesięć mil od domu rodziców. Cztery miesiące później, dwunastego listopada, myśliwi w West Point znaleźli dwa ciała...

Podejrzałam, że Pat Harvey nie ma pojęcia, iż mimo ustawicznych próśb z mojej strony nie udostępniano mi kopii tajnych fragmentów raportów policyjnych ani zdjęć z miejsc zbrodni, ani nawet spisu znalezionych przy ofiarach przedmiotów. W tym dziwnym śledztwie, prowadzonym przez kilka jednostek federalnych, spotkałam się wręcz z niezwykle brakiem współpracy.

Pani Harvey kontynuowała; w marcu następnego roku znowu doszło do tragedii. Ben Anderson wyjechał z Arlington na spotkanie ze swą dziewczyną, Carolyn Bennett, do domu jej rodziców w Stingray Point, na Chesapeake Beach. Wyjechali z domu Bennettów około siódmej wieczorem, udawali się z powrotem do uniwersytetu stanowego w Norfolk, gdzie razem studiowali na drugim roku. Następnego dnia policjant stanowy skontaktował się z rodzicami Bena i powiadomił ich, że odnaleziono pickupa dodge'a należącego do ich syna, porzuconego na poboczu autostrady I-64, około pięciu mil na wschód od Buckoroe Beach. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce, drzwi nie były zamknięte, a pod siedzeniem pasażera leżała książka Carolyn. Ich częściowo rozłożone ciała znaleziono sześć miesięcy później w lesie, w czasie sezonu łowieckiego na jelenie, trzy mile na południe od drogi stanowej numer I-99 w powiecie York.

Tym razem nie zobaczyłam nawet zwyczajnego policyjnego raportu.

Kiedy w lutym tego roku zaginęli Susan Wilcox i Mike Martin, dowiedziałam się o tym z porannej gazety. Jechali do domu Mike'a w Virginia Beach, by wspólnie spędzić wiosenne ferie i, podobnie jak pozostałe pary, zniknęli bez śladu. Niebieskiego vana Mike'a znaleziono przy parkingu

nieopodal Williamsburga, z białą chusteczką przywiązaną do anteny, sygnalizującą — jak się później okazało — nie istniejące problemy z silnikiem. Piętnastego marca ojciec i syn polujący na bażanty znaleźli ich ciała w lesie pomiędzy drogą numer 60 a autostradą I-64 w powiecie James City.

Przypomniałam sobie niewdzięczne zadanie, jakim było pakowanie kości do plastikowych torebek, miały zostać wysłane do zakładu medycyny sądowej w muzeum Smithsonian, by obejrzał je antropolog. Ośmioro młodych ludzi; i mimo tych niezliczonych godzin, które tej sprawie poświęciłam, nadal nie miałam pojęcia, jak zginęli.

„Jeżeli, broń Boże, zniknie następna para, nie czekajcie, aż wypłyną zwłoki” — poinstruowałam wreszcie Marina. — Dajcie mi znać w chwili, gdy znajdziecie samochód”.

„Taa, możesz równie dobrze zacząć robić sekcje samochodom, skoro ciała niewiele chcą nam powiedzieć” — odparł wtedy Marino, na próżno siłąc się na wesołość.

— Za każdym razem — ciągnęła pani Harvey — drzwi były otwarte, kluczyki w stacyjkach, niczego nie brakowało i nie było żadnych śladów walki. *Modus operandi* jest właściwie ten sam.

Złożyła z powrotem kartkę i wsunęła do kieszeni.

— Jest pani dobrze poinformowana — mruknęłam. Nie pytałam jej o to, ale podejrzewałam, że kazała swoim współpracownikom wygrzebać te dane choćby spod ziemi.

— Chodzi mi o to, że była pani w to zamieszana od samego początku — rzekła. — Badała pani wszystkie ciała. A jednak z tego, co wiem, nie jest pani w stanie ustalić przyczyny zgonów.

— To prawda, nie potrafię — odparłam.

— Jak to pani nie potrafi? A może po prostu nie chce pani powiedzieć wszystkiego, doktor Scarpetta?

Dzięki swej pracy w charakterze federalnego oskarżyciela, Pat Harvey zaskarbiła sobie szacunek, jeżeli nie podziw, całego narodu. Była odważna i agresywna, a siedząc u niej na ganku, poczułam się nagle jak na sali

sądowej.

— Gdybym знаła przyczyny ich zgonów, nie zaklasyfikowałabym ich jako „nie wyjaśnionych” — odrzekłam spokojnie.

— Ale uważa pani, że ci młodzi ludzie zostali zamordowani.

— Uważam, że młodzi, zdrowi ludzie nie porzucają nagle swych samochodów i nie odchodzą w las, by umrzeć tam śmiercią naturalną, pani Harvey.

— A co z teoriami dotyczącymi tych zgonów? Co ma pani do powiedzenia na ich temat? Zakładam, że są one pani znane.

Rzecz jasna, były.

W dochodzenie byli zamieszani policjanci z czterech osobnych jurysdykcji oraz co najmniej tylu detektywów, z których każdy miał mnóstwo teorii. Na przykład, że zaginione nastolatki zażywały narkotyki i że spotkały się w lesie z handlarzem sprzedającym jakiś nowy narkotyk, niewykrywalny drogą zwyczajnych testów toksykologicznych. Albo że była w to zamieszana jakaś tajemnicza sekta. Albo że dzieciaki były członkami jakiegoś dziwnego stowarzyszenia, a ich śmierć nastąpiła na skutek samobójstwa.

— Nie uważam, by którakolwiek z tych teorii była prawdziwa — powiedziałam.

— Dlaczego nie?

— To, co odkryłam, nie potwierdza żadnej z nich.

— To, co pani odkryła? — zapytała z naciskiem. — A co pani odkryła? Z tego, co słyszałam, nic pani nie znalazła!

Niebo straciło trochę ze swego blasku, a samolocik pnący się w górę wyglądał jak mała srebrna igielka. W milczeniu przyglądałam się białej smudze ciągnącej się za nim, dopóki nie zniknął mi z oczu. Jeżeli Deborę i Freda spotkał taki sam los jak ich poprzedników, nie ma szans, by odnaleziono ciała w ciągu kilku następnych miesięcy.

— Moja Debbie nigdy nie zażywała narkotyków — kontynuowała pani Harvey, z trudem powstrzymując łzy. — Nigdy nie interesowała się żadnymi dziwnymi religiami czy kultami. Jest wybuchowa i czasem popada w przygnębienie, ale to zupełnie normalne w jej wieku. Wszystkie nastolatki

przez to przechodzą. Na pewno nie... — Urwała gwałtownie, starając się opanować.

— Musi pani myśleć tylko tym, co dzieje się tu i teraz — odezwałam się cicho. — Nie wiemy, co stało się z pani córką. Nie wiemy także, co stało się z Fredem. Być może minie jeszcze wiele czasu, zanim się czegoś dowiemy. Czy jest coś, co chce mi pani o niej opowiedzieć... może o nich obojgu? Coś, cokolwiek, co mogłoby nam pomóc w poszukiwaniach?

— Dziś rano był tu policjant — odrzekła Pat Harvey; odetchnęła głęboko. — Poszedł do sypialni Debbie i wziął kilka jej ubrań, kilka włosów z jej szczotki. Ubrania podobno dla psów, żeby miały na podstawie czego wykryć trop, a włosy do porównania z włosami, które znaleźli w środku jeepa. Chce pani zobaczyć jej pokój?

Zaciekawiona, skinęłam głową.

Poszłam za nią po wypolerowanych drewnianych schodach na pierwsze piętro. Sypialnia Debory znajdowała się we wschodnim skrzydle domu, skąd można było obserwować wschody słońca i piękny widok całego James. Nie znalazłam się w typowym pokoju nastolatki. Proste skandynawskie meble zrobiono z przepięknego jasnego drewna. Ogromne, podwójne łóżko przykrywała śliczna kapa utrzymana w chłodnych tonacjach zieleni i błękitu, a na podłodze leżał indyjski dywanik w kolorach wiśni i dojrzałej śliwki. W biblioteczkę stały encyklopedie i powieści; nad biurkiem wisiały dwie półki z trofeami i pucharami, a na najwyższej półce zobaczyłam duże zdjęcie Debory stojącej na koźle gimnastycznym, z plecami wygiętymi i dłońmi uniesionymi wysoko nad głową. Nie musiałam być matką Debory Harvey, by wiedzieć, że ta dziesiętnastoletnia dziewczyna była kimś wyjątkowym.

— Debbie sama wszystko wybrała. — Pani Harvey rozejrzała się dokoła. — Meble, dywanik, kolory. Kto by przypuszczał, że jeszcze kilka dni temu kręciła się tutaj, pakując rzeczy do szkoły. — Popatrzyła na walizki i torby stojące przy szafie. — Jest taka zorganizowana... chyba ma to po mnie. — Uśmiechnęła się nerwowo. — Wiele można mi zarzucić, ale nie to, że jestem niezorganizowana.

Przypomniałam sobie jeepa Debory, czyściutkiego i schludnego, z

pakunkami poukładanymi wedle z góry przemyślanego planu.

— Ona wspaniale potrafi się zajmować swoimi rzeczami — kontynuowała pani Harvey, wyglądając przez okno. — Czasem zastanawiam się, czy nie dajemy jej zbytnej swobody, czy za bardzo jej nie rozpieszczamy. Ubrania, pieniądze, samochód. Długo o tym dyskutowaliśmy z Bobem. To, że całe tygodnie spędzam w Waszyngtonie, też niczego nie ułatwia. Kiedy w zeszłym roku otrzymałam nominację na obecne stanowisko, wspólnie postanowiliśmy, że oni tu zostaną. Żeby nie zaburzać rytmu życia dzieci, poza tym Bob tu pracuje. Łatwiej było, żebym wynajęła apartament w mieście i przyjeżdżała do domu na weekendy, a do następnych wyborów zaczekała z podjęciem ostatecznej decyzji. — Długo milczała, po czym podjęła wątek: — Zdaje się, że chcę powiedzieć, iż nigdy nie potrafiłam Debbie niczego, odmówić. Trudno jest być rozsądnym, gdy chce się tylko dobra dzieci. Zwłaszcza jeżeli pamięta się swoje marzenia z czasów dzieciństwa, to, jak bardzo człowiek był niepewny siebie, jak miał wątpliwości, czy dobrze wygląda albo czy dobrze się ubiera. Tym bardziej że rodziców nie było stać na dermatologa, ortodontę czy chirurga plastycznego. — Założyła ramiona na piersi. — Czasem nie jestem pewna, czy dokonaliśmy właściwego wyboru. Na przykład, jeżeli chodzi o tego jeepa. Byłam przeciwna temu, by Debbie miała własny samochód, ale nie miałam siły przeforsować swojego zdania. Jakie to typowe: Debbie chciała mieć coś praktycznego, bezpieczny samochód, w którym mogłaby się poruszać po każdym terenie, w każdą pogodę.

Zawahałam się.

— Kiedy wspomniała pani o chirurgu plastycznym, czy miała pani na myśli jakieś konkretne zabiegi? Czy Debora...

— Duże piersi są utrudnieniem w karierze gimnastyczki, doktor Scarpetta — odrzekła, nie odwracając się od okna. — Już w wieku szesnastu lat Debbie była zbyt hojnie wyposażona przez naturę. Żenowało ją to i przeszkadzało w uprawianiu sportu. W zeszłym roku zajęliśmy się tym problemem.

— W takim razie to zdjęcie było zrobione całkiem niedawno — powiedziałam, gdyż Debora wyglądała na nim niczym idealna modelka

wyrzeźbiona przez artystę, o pięknie uformowanych mięśniach i małych, zgrabnych piersiach oraz pośladkach.

— Zrobiono je w kwietniu, w Kalifornii.

Kiedy ktoś zaginął i prawdopodobnie nie żył, ludzi mojego zawodu interesowały wszystkie szczegóły anatomiczne potencjalnych ofiar — czy miały usuwaną macicę, czy leczyły kanałowo któryś z zębów, czy może przechodziły operację plastyczną. Były to też pierwsze dane wpisywane do formularzy dotyczących osób zaginionych, a także najlepiej pomagały w identyfikacji, gdyż w ciągu długich lat praktyki przekonałam się, iż na biżuterii i innych przedmiotach osobistych nie sposób polegać.

— To, co pani przed chwilą powiedziałam, nie może wyjść poza ściany tego pokoju — rzekła pani Harvey. — Debbie jest bardzo skryta, a moja rodzina nie lubi być wystawiana na widok publiczny.

— Rozumiem.

— Na przykład jej związek z Fredem także był wyjątkowo cichy — kontynuowała. — Może nawet zbyt cichy i skryty. Jestem pewna, że zauważyła pani brak zdjęć czy jakichkolwiek innych oznak jego istnienia. Nie wątpię, że wymienili się fotografiami, podarkami czy pamiątkami... ale Debbie nigdy się nimi nie chwaliła. Na przykład, urodziny obchodziła ostatniego dnia lutego; niedługo potem zauważyłam, że na małym palcu prawej dłoni nosi złoty pierścionek... cienką obrączkę z jakimś motywem kwiatowym. Nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa, lecz jestem pewna, że dostała go od niego.

— Czy uważa pani Freda za odpowiedzialnego, zrównoważonego młodzieńca?

Pat Harvey wreszcie odwróciła się od okna i spojrzała na mnie; oczy miała smutne.

— Fred jest bardzo namiętny, czasem wybuchowy, ale nie mogę powiedzieć, bym uważała go za niezrównoważonego. Naprawdę nie mogę na niego narzekać. Martwiłam się po prostu, że ich związek jest zbyt poważny, zbyt... — Rozejrzała się bezradnie po pokoju, szukając właściwego słowa. — Zbyt absorbujący Debbie. Jak narkotyki... To jest to. Czasem miałam

wrażenie, że oni są dla siebie niczym narkotyk. — Zaciśnęła mocno powieki i ponownie odwróciła się do okna; pochyliła głowę i oparła się czołem o szybę. — Och, Boże! Dlaczego myśmy w ogóle kupili jej tego cholernego jeeпа! — Nie skomentowałam tego wybuchu, a ona mówiła dalej: — Fred nie ma samochodu. Nie mieliby innego wyboru, jak tylko... — Nie dokończyła zdania, ale i tak wiedziałam, o co jej chodzi.

— Nie mieliby innego wyboru, jak tylko jechać razem z wami — dokończyłam za nią.

— I nic by się nie stało!

Gwałtownie odwróciła się na pięcie i wyszła na korytarz, jakby nie mogła znieść przebywania w pokoju córki ani chwili dłużej. Poszłam za nią powoli, aż znalazłyśmy się znowu na parterze. Kiedy wyciągnęłam do niej rękę, odwróciła się ode mnie.

— Bardzo mi przykro. — Ileż jeszcze razy będę musiała to powtarzać?

Frontowe drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem. Jadąc do domu, modliłam się, bym przy następnym spotkaniu z Pat Harvey nie musiała występować w mojej urzędowej roli.

Rozdział trzeci

Minął tydzień, zanim odezwał się do mnie ktoś związany ze sprawą Harvey-Cheneya, śledztwa, które wedle moich obliczeń i wiadomości utknęło na martwym punkcie. W poniedziałek, gdy siedziałam w kostnicy po łokcie unurzana we krwi, zadzwonił Benton Wesley. Chciał jak najszybciej porozmawiać ze mną i z Marinem, więc zaproponował, byśmy przyszli do niego na obiad.

— Coś mi się zdaje, że Pat Harvey działa mu na nerwy — rzekł Marino tego wieczoru. Krople deszczu stuknęły o przednią szybę, gdy jechaliśmy razem do domu Wesleyów. — Osobiście guzik mnie obchodzi, czy ta dama gada z Cygankami, wrózkami, Billym Grahamem czy samym Króliczkiem Wielkanocnym!

— Hilda Ozimek nie jest wrózką — odparłam.

— Połowa tych lokali z kryształowymi kulami na wystawach to tylko przykrywka dla burdeli — warknął.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedziałam zmęczonym tonem.

Marino otworzył popielniczkę, przypominając mi, jak paskudnym nałogiem jest palenie. Gdyby zdołał wcisnąć do niej jeszcze jednego peta, pobiłby rekord Guinnessa.

— W takim razie zakładam, że słyszałaś o Hildzie Ozimek — ciągnął niezmordowanie.

— Tak naprawdę wiem o niej bardzo niewiele, poza tym, że mieszka gdzieś na południu.

— W Karolinie Południowej, żeby być dokładnym.

— Czyżby ostatnio przebywała u Harveyów?

— Nie, już nie — odrzekł Marino, wyłączając wycieraczki, gdyż słońce wreszcie wyjrzało zza sinych chmur. — Niech ta przekłęta pogoda wreszcie się zdecyduje! Wczoraj wieczorem Hilda wróciła do siebie. Wierz mi lub nie, ale wyleciała z Richmond prywatnym samolotem.

— Możesz mi powiedzieć, skąd wiesz to wszystko? — Byłam zdziwiona,

że Pat Harvey korzysta z usług medium, a jeszcze bardziej zdumiewało mnie to, że komukolwiek się do tego przyznała.

— Dobre pytanie. Powtarzam ci tylko to, co powiedział mi Benton, kiedy do mnie zadzwonił. Najwyraźniej Wiedźma Hilda dopatrzyła się w swej kryształowej kuli czegoś, co okropnie przeraziło panią Harvey.

— A czego, dokładnie?

— Nie mam zielonego pojęcia. Benton nie chciał mnie oświecić.

Nie nalegałam; rozmawianie o skrytości Bentona Wesleya było dla mnie przykre. Kiedyś doskonale się nam razem pracowało, a nasz związek pełen był sympatii i wzajemnego szacunku. Teraz odsunęliśmy się od siebie i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ma to związek z Markiem. Kiedy Mark mnie opuścił i przyjął pracę w Kolorado, porzucił także Akademię FBI w Quantico, gdzie miał prestiżową pracę koordynatora kursów prawniczych. Wesley stracił zarazem współpracownika i przyjaciela, i chyba do tej pory miał do mnie o to pretensję. Więź między dwoma mężczyznami może być silniejsza od związku małżeńskiego, a koledzy po fachu czasem są sobie bliżsi niż kochankowie.

Pół godziny później Marino zjechał z autostrady i bardzo szybko straciłam rachubę, ile razy skręcał to w prawo, to w lewo, wioząc nas w głąb spokojnej wiejskiej okolicy. Choć w przeszłości bardzo często spotykałam się z Wesleyem, to zawsze albo w moim biurze, albo w jego; nigdy, aż do tej pory, nie zaprosił mnie do swego domu, położonego w malowniczej okolicy, gdzie lasy sąsiadowały z polami kukurydzy i ogromnymi pastwiskami otoczonymi białymi płótkami. Kiedy wreszcie dotarliśmy do osiedla, w którym mieszkał, wjechaliśmy na wewnętrzną drogę, od której odchodziły podjazdy wiodące do ogromnych, nowoczesnych domów, z ogromnymi trawnikami od frontu i europejskimi samochodami zaparkowanymi przed garażami przeznaczonymi na trzy albo wręcz cztery samochody.* [* W Stanach Zjednoczonych samochody europejskie są o wiele droższe od krajowych czy japońskich (przyp. tłum.).]

— Nie miałam pojęcia, że to tu mieszkają grube ryby z Waszyngtonu — skomentowałam.

— Co takiego? Mieszkasz w Richmond od czterech czy pięciu lat i do tej

pory nie słyszałaś o agresji jankesów?

— Jeżeli pochodzi się z Miami, wojna secesyjna nie jest twoim największym problemem — wyjaśniłam łagodnie.

— Ano chyba nie. Do diabła, Miami nawet nie leży w tym kraju! Każde miejsce, w którym trzeba głosować, czy język angielski ma być językiem urzędowym, nie należy do Stanów Zjednoczonych!

Przytyki Marina dotyczące mojego pochodzenia nie były niczym nowym.

— Niezła chata, co? — mruknął, zwalniając i wjeżdżając powoli na żwirowany podjazd prowadzący do ładnie utrzymanego domu. — Zdaje się, że federalni płacą lepiej niż burmistrz miasta Richmond.

Dom był niski i ogromny, o podmurówce z grubo ciosanych kamieni i dużych oknach. Od frontu rosły wysokie krzaki róż, a wschodnie i zachodnie skrzydła ocieniały potężne magnolie i dęby. Kiedy wysiedliśmy, zaczęłam szukać czegoś, co pozwoliłoby mi wyrobić sobie opinię na temat prywatnego życia Wesleya. Kosz do koszykówki wisiał nad drzwiami do garażu, a obok leżały sterty drewna przykryte plastikową płachtą, stał czerwony, ogrodowy traktorek z doczepioną kosiarką, cały pooblepiany źdźbłami trawy. Dalej widziałam przestronny trawnik upstrzony klombami, krzewami azalii i drzewkami owocowymi. Nieopodal gazowego grilla dojrzałam kilka krzesel i z łatwością mogłam sobie wyobrazić Bentona wraz z żoną popijających drinki i smażących tu steki w pogodne wieczory.

Marino zakołatał do drzwi; otworzyła nam żona Wesleya. Przedstawiła się jako Connie.

— Ben poszedł na chwilę na górę — wyjaśniła z uśmiechem, po czym zaprowadziła nas do salonu o ogromnych oknach, dużym kominku i głębokich, wygodnych meblach.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktokolwiek mówił o Wesleyu per „Ben”, ale z drugiej strony do tej pory nie miałam okazji poznać jego żony. Na oko miała ze czterdzieści lat; atrakcyjna brunetka o oczach tak piwnych, że nieomal złotych i wyrazistych rysach twarzy. Emanowała z niej jednak jakaś łagodność i cicha pewność siebie, sugerujące siłę charakteru i wrodzoną dobroć. Pełen rezerwy Benton Wesley, którego ja znałam, z

pewnością w domu był zupełnie innym człowiekiem i zaczęłam się zastanawiać, jak dużo Connie wie o jego pracy.

— Napijesz się piwa, Pete? — zapytała.

Marino usiadł w bujanym fotelu.

— Zdaje się, że dziś przypadła mi w udziale rola kierowcy, więc lepiej pozostanę przy kawie.

— Doskonale. Kay? Co mogę ci podać?

— Proszę kawę — odparłam. — Jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

— Bardzo się cieszę, że wreszcie miałyśmy okazję się poznać — dodała Connie, i to chyba szczerze. — Ben od lat mi o tobie opowiadał... bardzo cię ceni.

— Dziękuję... — Tym komplementem wzięta mnie z zaskoczenia, a to, co powiedziała w następnej chwili, przyprawiło nieomal o szok.

— Kiedy ostatnio widzieliśmy się z Markiem, kazałam mu obiecać, że przywiezie cię do nas na obiad, gdy tylko następnym razem będzie w Quantico.

— To bardzo miło z twojej strony — rzekłam, z trudem zmuszając się do uśmiechu. Najwyraźniej Wesley nie mówił jej wszystkiego; lecz na myśl, że Mark był niedawno w Wirginii i nawet do mnie nie zadzwonił, zrobiło mi się słabo.

Kiedy Connie wyszła do kuchni, Marino spytał, nawet na mnie nie patrząc:

— Miałaś ostatnio jakieś wieści od niego?

— Podobno w Denver jest ślicznie — odpowiedziałam wymijająco.

— Moim zdaniem to wstrętne miasto. Tak jak ta cała sprawa. Wyciągają go ze ściśle tajnej operacji, od dawna przygotowywanej i trzymają przez kilka miesięcy w tej dziurze, w Quantico. Potem wysyłają gdzieś na zachód z zadaniem, o którym nikomu nie może pisać ani słowa. Jest to tylko jeszcze jeden z wielu powodów, dla których nigdy w życiu nie zgodziłbym się pracować dla FBI. — Kiedy nic nie odrzekłam, kontynuował, patrząc na czubki swych butów: — Do diabła z twoim życiem osobistym. Wiesz, co oni o tym mówią: „Gdyby Hoover chciał, żebyś miał żonę i dzieci, dałby ci je wraz

z odznaką”.

— Hoover to już historia — powiedziałam, wyglądając przez okna na drzewa kołyszące się na wietrze. Zdaje się, że znowu zanosiło się na deszcz; tym razem ulewny.

— Może i tak. Ale tak czy inaczej, praca dla Biura nie pozwala ci na prowadzenie normalnego życia.

— A kto z nas je ma, Marino?

— I tu też masz rację — mruknął pod nosem.

W tej chwili rozległy się kroki i do pokoju wszedł Wesley, nadal w garniturze i krawacie, choć szare spodnie i wykrochmalona koszula były już trochę pomięte. Wyglądał na zmęczonego i spiętego; spytał, czy mamy ochotę czegoś się napić.

— Connie już się nami zajęła — odparłam.

Wesley usiadł na krześle i zerknął na zegarek.

— Zjemy za jakąś godzinę — powiedział, zaciskając ręce na kolanach.

— Ten gnojek Morrell jeszcze się do mnie nie odezwał — zaczął Marino.

— Obawiam się, że nie mamy nic nowego; nic nie odkryliśmy — odpowiedział Wesley.

— Wcale nie twierdzę, że odkryliście. Po prostu mówię ci, że Morrell jeszcze się do mnie nie odezwał.

Twarc Marina nic nie zdradzała, ale wyczuwałam jego złość. Choć jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, wiedziałam, że czuje się jak zawodnik pierwszej ligi, który przez cały sezon siedzi na ławce rezerwowych. Marino zawsze lubił rozmawiać i współpracować z detektywami z innych jurysdykcji i to był jeden z mocniejszych punktów jego współpracy z VICAP. A potem zaczęły się te sprawy znikających dzieciaków i detektywi przestali nagle ze sobą rozmawiać. Nikt nie chciał udzielać nikomu żadnych informacji. Ani Marinowi, ani mnie.

— Zakończyliśmy lokalne poszukiwania — poinformował go Wesley. — Nic nie znaleźliśmy na postoju, a i tak nie zaszliśmy dalej niż na parking po drugiej stronie autostrady, gdzie psy straciły trop. Jediną wskazówką, jaką mamy, jest paragon ze sklepu, który znaleźliśmy w jeepie. Najwyraźniej po

wyjeździe z domu Harveyów, Debora i Fred zatrzymali się w 7-Eleven; kupili sześciopak pepsi i jeszcze kilka innych rzeczy.

— W takim razie już to sprawdziliście? — spytał Marino ostrożnie.

— Zlokalizowaliśmy sprzedawczynię, która w tym czasie pracowała. Dziewczyna zapamiętała ich i jeepa. Mówi, że przyjechali pod sklep około dziewiątej wieczorem.

— Sami? — zapytał Marino.

— Zdaje się, że tak. Nikt nie wszedł z nimi do sklepu, a nic nie wskazywało na to, by ktoś czekał na nich w samochodzie. Podobno też w ich zachowaniu nie było nic, co mogłoby sugerować, że już spotkali swego porywacza.

— Gdzie mieści się ten sklep? — chciałam wiedzieć.

— Jakies pięć mil na zachód od tego postoju, na którym znaleźliśmy jeepa — odparł Wesley.

— Powiedziałaś, że kupili jeszcze kilka innych przedmiotów — przypomniałam mu. — Czy mógłbyś mi powiedzieć, co to było?

— Właśnie do tego zmierzałem — odpowiedział Benton. — Debora Harvey kupiła opakowanie tampaksów. Podobno zapytała, czy może skorzystać z łazienki w sklepie, ale sprzedawczyni powiedziała jej, że to wbrew przepisom. Twierdzi też, że skierowała ich na postój przy drodze numer 64, tej wiodącej na wschód.

— Ten sam, gdzie psy straciły trop — rzekł Marino, marszcząc brwi. — Ten po przeciwnej stronie postoju, na którym znaleźliśmy jeepa.

— Dokładnie tak. — Wesley skinął głową.

— A co z kupioną przez nich pepsi? — spytałam. — Znaleźliście coś?

Benton zamilkł, gdy do pokoju weszła jego żona, niosąc na tacy dwie filiżanki kawy dla nas i szklankę mrożonej herbaty dla niego. Podawszy nam to wszystko w milczeniu, Connie z gracją wyszła z pokoju; najwyraźniej już dawno temu nauczyła się nie narzucać gościom męża.

— Myślisz więc, że dzieciaki pojechały na postój, by Debora mogła zająć się swoim problemem, i tam spotkały kogoś, kto ich zaciągnął do lasu? — wtrącił Marino.

— Nie wiemy jeszcze, co się z nimi stało — przypomniał mu Wesley. — Musimy rozważyć wiele scenariuszy.

— Na przykład? — Marino nadal miał zmarszczone brwi.

— Na przykład porwanie.

— Porwanie? — Spojrzał na niego sceptycznie.

— Chyba nie muszę ci przypominać, kim jest matka Debory.

— Taak, wiem. Pani-O-Wielkich-Jajach-Narkotykowa-Caryca, która została zaprzysiężona na swoje stanowisko, bo prezydent chciał, by feministki wreszcie się od niego odczepiły.

— Pete — przerwał mu Wesley łagodnie. — Nie sądzę, by traktowanie pani Harvey jako plutokratycznej figury czy feministycznego pionka było rozsądne. Choć jej pozycja wydaje się znacznie ważniejsza, niż jest w istocie — nigdy nie stworzono specjalnego gabinetu — Pat Harvey tak naprawdę odpowiada tylko przed prezydentem. Poza tym koordynuje działania wszystkich federalnych agencji do walki z handlem narkotykami.

— Żeby nie wspominać o jej przeszłości jako prokuratora okręgowego — dodałam. — Mając poparcie Białego Domu, należała do jednych z najbardziej efektywnie działających zwolenników karania śmiercią zbrodni powiązanych z handlem narkotykami. Swego czasu bardzo obstawała przy tym pomysle.

— Ona i tysiące innych polityków — odparł Marino. — Być może bardziej bym się przejmował tą wizją, gdyby była jednym z liberałów, którzy domagają się zalegalizowania tego gówna. Wtedy zastanawiałbym się, czy przypadkiem jakiemuś skrajnie prawicowemu szajbusowi nie wydaje się, że Bóg każe mu porwać dzieciaka Pat Harvey.

— Trzeba jednak przyznać, że ta dama była bardzo agresywna — wtrącił Wesley. — Udało jej się doprowadzić do skazania wielu recydywistów i handlarzy prochami, dzięki jej poparciu przeszło kilka ważnych ustaw, w przeszłości otrzymywała pogróżki, a kilka lat temu ktoś podłożył bombę pod jej samochód...

— Taak... czytałem o tym. Jej jaguar eksplodował na opuszczonym parkingu klubu sportowego, co uczyniło z niej wielką bohaterkę — przerwał mu Marino.

— Chodzi mi o to — kontynuował Benton cierpliwie, — że Pat Harvey narobiła sobie w życiu wielu wrogów, szczególnie że jej działalność była wymierzona przeciwko wielu organizacjom dobroczynnym.

— Coś o tym czytałam — mruknęłam, na próżno usiłując przypomnieć sobie szczegóły.

— To, co obecnie wszystkim wiadomo, jest tylko wierzchołkiem góry lodowej — rzekł Wesley. — Jej ostatnia kampania była skierowana przeciwko ACTMAD.* [* The American Coalition of Tough Mothers Against Drugs — amerykańska koalicja matek zwrócona przeciwko narkotykom (przyp. tłum.).]

— Chyba żartujesz — parsknął Marino. — To tak jakby oskarżać UNICEF o handel prochami.

Nie uważałam za stosowne wspomnieć, że sama co roku posyłałam pieniądze na ACTMAD i uważałam się za entuzjastyczną zwolenniczkę ruchu.

Wesley wyjaśnił:

— Pani Harvey już od dłuższego czasu gromadzi dowody, że ATCMAD jest przykrywką dla karteli narkotykowych z Ameryki Środkowej i różnych nielegalnych interesów.

— Jeezu — mruknął Marino, potrząsając głową. — Dobrze, że nigdy nikomu nie daję pieniędzy, z wyjątkiem funduszu na rzecz weteranów wojennych.

— Zniknięcie Debory i Freda jest zastanawiające, gdyż chyba wiąże się ze zniknięciem czterech pozostałych par — mówił Wesley. — Ale równie dobrze może być ukartowane; ktoś może chcieć, by wyglądało na powiązane z „morderstwami zakochanych”, gdy tak naprawdę nie ma żadnego związku. Być może mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. A może z czymś zupełnie innym. Tak czy inaczej chcemy, by utrzymano sprawę w jak najściślejszej tajemnicy.

— Zakładam więc, że teraz będziesz czekał na żądanie okupu albo coś w tym stylu, co? — rzekł Marino. — Wiesz, możliwe, że jacyś dranie z Ameryki Środkowej oddadzą Pat Harvey córkę całą i zdrową, jeżeli tylko mamuśka im odpowiednio słono zapłaci.

— Nie sądzę, Pete — odpowiedział Benton ponuro. — To chyba nie będzie takie proste. Pat Harvey ma składać zeznania przed Kongresem na początku przyszłego roku... i znowu ma to coś wspólnego z nielegalnymi organizacjami charytatywnymi. W tej chwili chyba niewiele gorszych rzeczy mogłoby się jej przydarzyć niż zniknięcie córki.

Poczułam nagłe ssanie w żołądku. Z punktu widzenia zawodowego Pat Harvey była groźnym przeciwnikiem, gdyż na jej karierze nie widniała ani jedna skaza. Ale była także matką, która mogła dobro dzieci cenić wyżej od własnego życia. Rodzina stanowiła jej piętę Achillesa.

— Nie możemy odrzucić prawdopodobieństwa porwania z pobudek politycznych — zauważył Wesley, wyglądając przez okno.

On także miał rodzinę; najbardziej dręczyło go to, że ktoś, kogo pomógł wsadzić za kratki — morderca, szef organizacji przestępczej, ktokolwiek — może spróbować uderzyć w jego rodzinę. Jego dom zaopatrzony był w system alarmowy najnowszej generacji, a przy frontowych drzwiach zainstalowano interkom. Mieszkał wraz z rodziną na tym oddalonym od miasta skrawku ziemi, położonym pomiędzy rozległymi polami, a numeru jego telefonu nie było w żadnej książce telefonicznej. Adresu Bena nie znali ani dziennikarze, ani znajomi, ani nawet większość przyjaciół. Aż do dzisiejszego dnia ja też tylko podejrzewałam, że mieszka raczej gdzieś w pobliżu Quantico, może w McLean albo Alexandrii.

— Marino pewnie wspomniał ci o niejakej Hildzie Ozimek — rzekł Wesley.

Skinęłam głową.

— Czy ona naprawdę ma dar jasnowidzenia? — Zawsze bardzo sceptycznie odnosiłam się do podobnych spraw.

— FBI korzystało z jej usług w kilku sprawach, choć bardzo nie lubimy się do tego przyznawać. Jej dar, moc czy jak to chcesz nazywać, jest prawdziwy i bardzo silny. Nie potrafię tego wyjaśnić, więc nie proś mnie o to. Tego typu fenomeny wykraczają poza granice mojego pojmowania. Mogę jednak poświadczyć, że kiedyś pomogła zlokalizować samolot FBI, który spadł gdzieś w górach Wirginii Zachodniej i nikt z nas nie miał pojęcia, gdzie

go szukać. Przepowiedziała także zabójstwo Sadata... a gdybyśmy nieco większą wagę przykładali do jej wypowiedzi, moglibyśmy zapobiec zamachowi na Reagana.

— Nie chcesz mi chyba wmówić, że przepowiedziała zamach na prezydenta! — parsknął Marino.

— Prawie co do dnia. Ale nie posłuchaliśmy jej rad, nie potraktowaliśmy jej dostatecznie poważnie. Był to błąd z naszej strony, choć może się to wydawać dziwne. Od tamtej pory Federalne Biuro Ochrony Prezydenta chce znać wszystkie przepowiednie Hildy.

— To Biuro Ochrony też zaczęło już czytywać horoskopy? — spytał Marino ironicznie.

— Z moich informacji wynika, że Hilda Ozimek uważa horoskopy za rzecz przestarzałą. Nie uznaje także czytania z dłoni — odparł Wesley ze śmiertelną powagą.

— Skąd pani Harvey się o niej dowiedziała? — zapytałam.

— Prawdopodobnie od kogoś z Departamentu Sprawiedliwości — wyjaśnił Benton. — Tak czy inaczej, kazała w piątek przywieźć panią Ozimek do Richmond prywatnym samolotem, a to, czego się od niej dowiedziała, sprawiło... powiedzmy, że w tej chwili uważam panią Harvey za dość niebezpieczną dla dochodzenia. Obawiam się, że jej działania mogą nam przysporzyć więcej kłopotów niż pożytku.

— Ale co, dokładnie, powiedziała jej Hilda? — naciskałam.

Wesley spojrzał na mnie spokojnie i odrzekł:

— Nie chcę o tym mówić. Nie teraz.

— Ale wiesz, prawda? — nalegałam. — Pat Harvey z własnej woli powiedziała ci, że skonsultowała się z medium?

— Nie mam prawa o tym z wami rozmawiać, Kay — odpowiedział Wesley i przez chwilę w pokoju zapanowała cisza.

Przyszło mi do głowy, że pani Harvey wcale nie musiała rozmawiać z Wesleyem; mógł się o całej sprawie dowiedzieć z zupełnie innych źródeł.

— No, nie wiem — odezwał się wreszcie Marino. — Może to przypadkowa zbrodnia, ale jak na razie nie możemy wykluczać żadnej teorii.

— I pamiętajcie o tym — rzekł Wesley z naciskiem.

— To się ciągnie już od dwóch i pół roku, Benton — powiedziała cicho.

— Taak — mruknął Marino. — Cholerny szmat czasu. Od początku uważałem, że to robota jakiegoś maniaka, który załatwia zakochane pary, bo sam jest przegrany i nie potrafi sobie ułożyć życia. Jest zazdrosny o to, że inni są szczęśliwsi od niego, więc ich morduje.

— To dość prawdopodobne. Może to być ktoś, kto rutynowo jeździ po okolicy, wyszukując zakochane parki. Może objeżdża postoje, parkingi, kina dla zmotoryzowanych i inne tego typu przybytki, w których spotykają się i migdałą dzieciaki. Możliwe, że kilka razy przerabia wszystko na sucho, zanim uderzy, a potem przez wiele miesięcy przeżywa to morderstwo w myślach, dopóki coś nie popchnie go ku następnej zbrodni i nie nadarzy się wprost idealna sposobność. Może to był zbieg okoliczności... Debora Harvey i Fred Cheney mogli po prostu znaleźć się w niewłaściwym czasie, w nieodpowiednim miejscu.

— Nie mamy wystarczających dowodów na to, że wszystkie dzieciaki zostały porwane w momencie, gdy zaparkowawszy gdzieś na uboczu, oddawały się jakimkolwiek praktykom seksualnym — przypomniałam mu łagodnie, ale Wesley nie odpowiedział. — Poza tym w odróżnieniu od Debory i Freda pozostałe dzieciaki najprawdopodobniej nie spotkały zabójcy na parkingu — kontynuowałam. — Wszystko wskazuje na to, żejechały gdzieś w konkretnym celu, gdy z jakiegoś względu zjechały z drogi i albo wpuściły zabójcę do swego samochodu, albo też wsiadły do jego pojazdu.

— Teoria o gliniarzu-zabójcy, co? — mruknął Marino. — Chyba gdzieś to już słyszałem.

— Równie dobrze może to być ktoś podający się za policjanta — odpowiedział Wesley. — To by z pewnością wyjaśniało, dlaczego dzieciaki zatrzymywały się i wychodziły z samochodu. A przecież każdy może wejść do sklepu z wyposażeniem policyjnym i kupić mundur, odznakę, koguta czy cokolwiek innego. Problem polega jednak na tym, że błyskające światło na dachu samochodu przyciąga uwagę. Inni kierowcy z pewnością by je zapamiętali, a gdyby w pobliżu znajdował się prawdziwy policjant, na pewno

podjechałby i zaproponował pomoc koledze po fachu. Jak na razie nikt nie wspominał, by w okolicy, gdzie zniknęła którakolwiek z par, widziano radiowóz.

— Do tej teorii nie pasuje także to, że dzieciaki zostawiały torebki, dokumenty i pieniądze w samochodach... z wyjątkiem Debory Harvey, której torebki nie znaleziono — wtrąciłam. — Jeżeli te dzieciaki zostałyby zatrzymane przez kogoś podającego się za gliniarza i gdyby kazano im wsiąść do jego wozu na „rutynową kontrolę”, z pewnością wzięłyby ze sobą dokumenty rejestracyjne samochodu i prawo jazdy. To pierwsza rzecz, o którą proszą policjanci z drogówki, i gdy wsiadasz do ich wozu, zawsze masz je przy sobie.

— Możliwe jednak, że wsiadały do samochodu porywacza nie z własnej woli, Kay — powiedział Wesley. — Widzą migającego na dachu koguta, zatrzymują się, uważając, że to policjant, a gdy facet podchodzi do ich wozu, wyciąga broń i każe im wsiadać do swego samochodu.

— Cholernie ryzykowne — wtrącił Marino. — Gdyby mi się przytrafiło coś podobnego, natychmiast wrzuciłbym bieg i przydepnął gaz do dechy. Poza tym istnieje spore prawdopodobieństwo, że taką akcję zobaczy ktoś przejeżdżający drogą. Chodzi mi o to: jak można porwać dwie osoby, grożąc im bronią, cztery razy z rzędu, tak by nikt tego nie zauważył?

— I jeszcze coś — dodał Wesley, patrząc na mnie bez współczucia. — Jak można zamordować osiem osób i nie zostawić ani jednego śladu? Odłamka kości czy nawet łuski po kuli.

— Można ofiary udusić gołymi rękoma albo za pomocą garoty, albo jeszcze prościej: można im po prostu poderżnąć gardła — odparłam; nie pierwszy raz Benton zadał mi to pytanie. — Wszystkie ciała były w stanie rozkładu, gdy je znajdowaliście. Chcę ci także przypomnieć, że teoria o gliniarzu-zabójcy sugeruje, że ofiary dobrowolnie wsiadły do samochodu zabójcy. Sądząc po zachowaniu psów sprzed tygodnia, możliwe, że jeżeli ktoś zrobił coś złego Deborze Harvey i Fredowi Cheneyowi, to prawdopodobnie z miejsca zbrodni odjechał jeepem Debory, porzucił go na postoju przy drodze I-64, po czym przeszedł na drugą stronę autostrady i wsiadł do własnego

pojazdu.

Na twarzy Wesleya widać było zmęczenie; kilka razy podczas naszej rozmowy pocierał skronie, jakby bolała go głowa.

— Chciałem z wami dziś porozmawiać, gdyż obawiam się, że ta sprawa ma pewne aspekty, które lepiej będzie utrzymać w tajemnicy. Proszę, byście byli szczerzy ze mną i z sobą nawzajem. Najważniejsza jednak jest absolutna dyskrecja. Żadnego rozmawiania z dziennikarzami, żadnych pogaduszek na ten temat z przyjaciółmi, policjantami, lekarzami czy kimkolwiek innym. I nigdy nie rozmawiajcie o tej sprawie przez radio. — Spoglądał to na mnie, to na Marina. — Chcę być natychmiast poinformowany, gdy tylko ktoś znajdzie ciała Freda Cheney'a i Debory Harvey. A jeżeli pani Harvey skontaktuje się z którymś z was, odeślijcie ją do mnie.

— Ze mną już się skontaktowała — powiedziałam.

— Wiem o tym, Kay — odparł Wesley, nie patrząc na mnie.

Nie pytałam, skąd wie, lecz byłam zła, co na pewno zauważył.

— W tych okolicznościach doskonale rozumiem, dlaczego do niej pojechałaś — dodał po chwili. — Ale najlepiej będzie, jeżeli to się nie powtórzy. Lepiej, żebyś nie rozmawiała z nią o tych sprawach. To może nam tylko przysporzyć kłopotów. I nie chodzi mi tylko o to, że Pat Harvey będzie nam przeszkadzać w dochodzeniu... im bardziej się w to zaangażuje, tym bardziej wystawi się na niebezpieczeństwo.

— Dlaczego? Bo będzie następną ofiarą mordercy? — zapytał Marino sceptycznie.

— Raczej dlatego, że straci nad sobą panowanie i zacznie postępować irracjonalnie.

Być może troska Wesleya o zdrowie psychiczne pani Harvey była szczerą, lecz mnie wydawała się dość podejrzana. Wracając z Marinem do Richmond, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że powód, dla którego Wesley chciał się z nami zobaczyć, nie miał nic wspólnego z odnalezieniem zaginionej pary.

— Czuję, że się mną manipuluje — mruknęłam, gdy na horyzoncie wreszcie zamajaczyły wieżowce Richmond.

- Witaj w klubie — burknął Marino z irytacją.
- Czy ty masz choćby najmniejsze pojęcie, o co tu chodzi?
- O, taak — mruknął, wciskając elektryczną zapalniczkę. — W każdym razie podejrzewam, że tak. Zdaje mi się, że cholerne FBI złapało trop czegoś, co może sprawić, że osoba będąca na świeczniku zostanie przedstawiona w złym świetle. Mam śmieszne przeczucie, że ktoś tu kryje swój tyłek, a Benton znalazł się w samym środku huraganu.
- Jeżeli on, to i my także.
- I tu masz rację, doktorku.

* * *

Minęły już trzy lata, odkąd Abby Turnbull zjawiała się w drzwiach mego biura z naręczem świeżo ściętych irysów i butelką doskonałego wina. Było to w dniu, w którym przyszła się ze mną pożegnać, po tym, jak złożyła wymówienie w redakcji „Timesa” w Richmond. Przyjęto ją właśnie jako policyjną reporterkę w waszyngtońskiej redakcji „Posta”. Jak to zwykle bywa, obiecałyśmy, że nadal będziemy się przyjaźnić. Muszę jednak przyznać ze wstydem, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz do niej napisałam czy zadzwoniłam.

— Mam ją połączyć? — pytała właśnie Rose, moja sekretarka. — A może mam tylko przyjąć wiadomość?

— Nie, porozmawiam z nią — odparłam i zanim zdążyłam się powstrzymać, palnęłam do telefonu: — Scarpetta, słucham.

— Nadal masz ten władczy ton — odezwał się w słuchawce znajomy głos.

— Abby! Strasznie cię przepraszam! — Roześmiałam się głośno. — Rose powiedziała mi, że to ty. Jak zwykle mam o pięćdziesiąt spraw za dużo na głowie i zupełnie zapomniałam, jak być przyjacielska przez telefon. Wybacz mi. Co słychać?

— Wszystko w porządku. Jeżeli pominąć fakt, że odsetek zabójstw w Waszyngtonie trzykrotnie wzrósł, odkąd się tu przeprowadziłam.

— Mam nadzieję, że to tylko zbieg okoliczności.

— To wynik nasilającego się handlu narkotykami. — W jej głosie wyczuwałam zdenerwowanie. — Rozprowadza się tu wszystko, od kokainy, przez crack, po broń automatyczną. Zawsze mi się wydawało, że największe organizacje przestępcze można spotkać w Miami albo w Nowym Jorku. Okazuje się jednak, że najgorsza jest nasza piękna stolica.

Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie i wpisałam godzinę do rejestru telefonów. Jeszcze jedno przyzwyczajenie — tak przywykłam do wypełniania tego formularza, że sięgałam po niego nawet wtedy, gdy dzwoniła do mnie fryzjerka.

— Miałam nadzieję, że zjemy dziś wspólnie obiad — rzekła niespodziewanie Abby.

— W Waszyngtonie? — zapytałam zupełnie zaskoczona.

— Nie, jestem w Richmond.

Zaproponowałam obiad w moim domu, spakowałam aktówkę i pojechałam do sklepu spożywczego. Po długich minutach zastanowienia zaczęłam szybko wrzucać zakupy do wózka. Popołudnie było śliczne, a myśl, że wkrótce zobaczę się z Abby, tylko poprawiła mój nastrój. Postanowiłam, że wieczór spędzony ze starą przyjaciółką jest dostateczną wymówką, by pozwolić sobie na kilka godzin spędzanych w kuchni.

Wróciwszy do domu, zaczęłam pracować w pośpiechu; przede wszystkim roztarłam czosnek i wrzuciłam go do miski z czerwonym winem i oliwą z oliwek. Choć moja matka zawsze narzekała, że „rujnuję dobre steki”, byłam zepsuta własnymi zdolnościami kulinarnymi i uważałam, że robię najlepszą marynatę w mieście, która nie może zaszkodzić żadnemu mięsu. Potem wymyłam sałatę i osuszyłam ją papierowym ręcznikiem, pokroiłam pieczarki, cebulę i na końcu moje ukochane hanowerskie pomidory. Wreszcie przyszedł czas na czynność, której obawiałam się najbardziej — musiałam wyjść na patio i rozpalić pod grillem.

Przez chwilę stałam na ganku i obserwowałam ogród kwiatowy oraz drzewa rosnące na trawniku za domem. Potem złapałam butelkę płynu do czyszczenia oraz gąbkę i z wigorem zaatakowałam ogrodowe mebelki; kiedy już je wyczyściłam, zdjęłam pokrywkę z grilla. Nie używałam go od czasu

pewnej majowej soboty, kiedy po raz ostatni siedziałam tu z Markiem, smażąc steki. Szorowałam tłusty nalot, dopóki nie rozbolały mnie ręce. W myślach słyszałam głosy i widziałam różne obrazy. Kłótni. Awantur. A potem długich chwil grobowego milczenia i na koniec namiętnej miłości.

Ledwie poznałam Abby, gdy tuż przed wpół do siódmej pojawiła się na moim progu. Kiedy pracowała w redakcji w Richmond, rozpuszczone włosy do ramion, poprzetykane siwiejącymi pasmami, znacznie ją postarzały. Teraz zniknęły wszystkie siwe pasma; włosy miała modnie i krótko obcięte, i ułożone tak, by podkreślały ładne kości policzkowe i oczy, z których każde było w innym odcieniu zieleni, co zawsze mnie fascynowało. Miała na sobie granatowy jedwabny kostium i jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej. W rękę trzymała skórzaną aktówkę i wyglądała znacznie młodziej niż na czterdzieści kilka lat.

— Jesteś szalenie szykowna — powiedziałam, całując ją na powitanie.

— Strasznie się cieszę, że cię widzę, Kay.

Pamiętała, że uwielbiam dobrą szkocką, i przyniosła mi butelkę Glenfiddicha, którą od razu otworzyłyśmy. Potem ze szklaneczkami w dłoniach przeszłyśmy na patio; rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, a ja rozpałam pod grillem.

— Taak, pod pewnymi względami cały czas tęsknię za Richmond — rzekła Abby. — Waszyngton jest podniecający, ale tak naprawdę to okropne miejsce. Dorobiłam się i kupiłam sobie saabę, wiesz? Raz już mi się do niego włamali, dwa razy ukradli dekle i ktoś porysował lakier na drzwiach. Za miejsce na parkingu płacę sto pięćdziesiąt dolców miesięcznie, a na dodatek parking znajduje się cztery przecznice od mojego domu! Przy redakcji nie ma gdzie zaparkować, więc zazwyczaj do pracy chodzę na piechotę, a potem jeżdżę służbowym samochodem. Prawda jest taka, że Waszyngton w niczym nie przypomina Richmond. — Poprawiła się na krześle i dodała: — Ale i tak nie żałuję, że się stąd wyprowadziłam.

— Nadal pracujesz nocami? — Steki zaskwierczały, gdy położyłam je na kratce nad ogniem.

— Nie. Teraz kto inny się tym zajmuje. Młodzi dziennikarze uganiają się

za nowinkami w nocy, a ja pracuję w dzień. Po godzinach wzywają mnie do redakcji tylko wtedy, gdy wydarzy się coś naprawdę ważnego.

— Cały czas czytuję twoje artykuły — powiedziałam. — W naszej kafeterii sprzedają „Post”, więc zazwyczaj czytam go w porze lunchu.

— Ja nie zawsze wiem, nad czym pracujesz — przyznała Abby. — Ale wiem, że obecnie dzieje się coś bardzo dziwnego...

— Czyżbyś właśnie dlatego przyjechała do Richmond? — zapytałam, polewając mięso marynatą.

— Taak. Z powodu sprawy Harvey-Cheneya. — Nic nie odrzekłam, więc dodała: — Marino nic a nic się nie zmienił.

— Czyżbyś już zdążyła z nim porozmawiać? — spytałam, zerkając na nią spod oka.

— Usiłowałam — odparła z kwaśnym uśmiechem. — Podobnie jak z kilkoma innymi detektywami. No i z Bentonem Wesleyem, rzecz jasna. Nic z tego.

— Cóż, jeżeli to poprawi twoje samopoczucie, Abby, to wiedz, że i ze mną nikt nie chce rozmawiać. Ale niech to zostanie między nami.

— Cała ta rozmowa zostanie między nami, Kay — rzekła poważnym tonem. — Nie przyszłam w odwiedziny po to, by wydostać od ciebie jakieś informacje do mojego artykułu. — Urwała, po czym ciągnęła cicho: — Od dłuższego czasu wiem, co się dzieje tu, w Wirginii. Przejmowałam się tym o wiele bardziej niż mój szef, dopóki nie zniknęli Debora Harvey i jej chłopak. Dopiero teraz cała sprawa zrobiła się strasznie, strasznie ważna i głośna.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— Nie bardzo wiem, gdzie zacząć. — Spojrzała na mnie trochę niepewnie. — Są pewne rzeczy, o których nikomu do tej pory nie mówiłam, Kay. Mam jednak takie dziwne przeczucie, że poruszam się po terenie, z którego ktoś chce mnie wykopać.

— Nie jestem pewna, czy cię rozumiem — odparłam, sięgając po drinka.

— Nie jestem pewna, czy sama wszystko rozumiem. Cały czas pytam sama siebie, czy mi się nie śni. Czy nie mam jakichś omamów.

— Abby, mówisz zagadkami. Wyjaśnij mi, proszę...

Odetchnęła głęboko i sięgnawszy po papierosy, zaczęła:

— Od długiego czasu interesowałam się śmiercią tych par. Prowadziłam takie prywatne dochodzenie, ale wszędzie spotykałam się z bardzo dziwnymi reakcjami. To było coś więcej niż zwyczajna niechęć, z którą często odnoszą się do mnie policjanci. Dzwonię do kogoś, poruszam temat, a ludzie praktycznie w tej samej chwili się rozłączają. A w czerwcu tego roku przyszli do mnie funkcjonariusze FBI.

— Że co, proszę? — przerwałam doprawianie steków i spojrzałam na nią surowo.

— Pamiętasz to potrójne morderstwo w Williamsburgu? Matka, ojciec i syn zostali zastrzeleni podczas napadu?

— Pamiętam.

— Miałam napisać o tym artykuł, więc ruszyłam do Williamsburga. Pewnie wiesz, że jeżeli zjeżdżając z autostrady numer 64, skręcisz w prawo, pojedziesz prosto do kolonii Williamsburga, William and Mary, ale jeżeli skręcisz w lewo, to za jakieś dwieście jardów znajdziesz się w ślepej uliczce, tuż przed bramą jednostki wojskowej, Camp Peary. Jadąc do kolonii, byłam zamyślona i skręciłam w lewo zamiast w prawo.

— Mnie także zdarzyło się to kilka razy — przyznałam.

— Podjechałam do strażnika i wyjaśniłam, że pomyliłam skręty — kontynuowała Abby. — Ależ to paskudne miejsce! Ciarki człowiekowi przechodzą po plecach! Mnóstwo tam ogromnych znaków z napisami w stylu: „Teren Ćwiczeń z Eksperymentalną Bronią Wojskową” czy „Przekraczając Tę Granicę, Narażasz Się na Rewizję Osobistą Oraz Przeszukanie Twoich Rzeczy”. Nieomal spodziewałam się, że z krzaków wyskoczy banda neandertalczyków w panterkach i zaciągnie mnie za kark do przełożonego, bym wyjaśniła, co tam robię i co mam w torbach.

— To prawda, że żandarmeria wojskowa z terenu tej jednostki nie jest zbyt przyjacielsko nastawiona do reszty świata — odparłam, rozbawiona jej wizją.

— No, cóż... wyniosłam się stamtąd najszybciej, jak umiałam — mówiła Abby — i zapomniałam o całym incydencie, dopóki cztery dni później w

redakcji „Posta” nie zjawilo się dwóch agentów FBI. Szukali właśnie mnie; chcieli wiedzieć, co robiłam w Williamsburgu i dlaczego pojechałam do Camp Peary. Najwyraźniej dzięki kamerom zamontowanym przy wjeździe na teren bazy poznano mój numer rejestracyjny, który zaprowadził tych panów prosto do redakcji.

— Dziwne — mruknęłam. — Niby dlaczego FBI miałyby się tym interesować. Przecież Camp Peary należy do CIA.

— CIA nie ma żadnej władzy wykonawczej w Stanach Zjednoczonych... może dlatego. Może ci panowie to byli agenci CIA podający się za ludzi z FBI. Czy można mieć stuprocentową pewność, gdy się ma do czynienia z tymi draniami? Poza tym CIA nigdy nie przyznała się, że Camp Peary to jej największa baza szkoleniowa, a w rozmowie ze mną ci agenci ani razu nie wspomnieli o CIA. Ale wiedziałam, o co im chodzi, a oni wiedzieli, że ja wiem.

— O co cię pytali?

— Ogólnie biorąc, chcieli wiedzieć, czy piszę coś o Camp Peary, czy może przypadkiem nie usiłowałam wślizgnąć się na teren bazy? Powiedziałam im, że gdybym usiłowała wślizgnąć się na teren bazy, to zrobiłabym to nieco subtelniej i na pewno nie pod główną bramę. Powiedziałam im też, że choć do tej pory nie interesowałam się bazą, to może teraz powinnam zacząć.

— Jestem pewna, że byli zachwyceni — mruknęłam sucho.

— Nawet okiem nie mrugnęli. Wiesz, jacy oni są.

— CIA ma paranoidalne podejście do wszystkiego, a szczególnie do Camp Peary. Nawet policja stanowa i jednostki medyczne nie mają prawa przelatywać nad ich terenem. Nikt nie ma prawa naruszyć ich przestrzeni powietrznej ani przekroczyć bramy bez błogosławieństwa samego Jezusa Chrystusa.

— A jednak ty kilka razy popełniłaś ten błąd co ja. Podejrzewam, że popełniło go także wielu turystów — powiedziała Abby. — A czy FBI kiedykolwiek rozmawiało z tobą na ten temat?

— Nie. Ale z drugiej strony ja nie pracuję dla „Posta”.

Zdjęłam steki z grilla i wraz z Abby poszłyśmy do kuchni. Podczas gdy ja nalewałam wino i wyjmowałam sałatkę z lodówki, ona cały czas mówiła.

— Od tej pory, gdy przyszli do mnie ci agenci, zaczęły się zdarzać dziwne rzeczy.

— Jakie?

— Podejrzewam, że mój telefon jest na podsłuchu.

— Na czym opierasz te podejrzenia?

— Zaczęło się od telefonu w moim mieszkaniu... rozmawiałam z kimś i usłyszałam dziwne dźwięki w tle. A potem, szczególnie ostatnio, to samo zaczęło się dziać w pracy. Na przykład, jeżeli dzwoniłam do kogoś przez centralę i czekałam na połączenie, słyszałam głosy, których nie powinno tam być. Trudno to dokładnie opisać. — Nerwowo poprawiła sztucę na stole. — Trzaski, zgrzyty, nie wiem. Ale coś słyszałam na pewno.

— Jeszcze coś?

— Hmm, coś przedziwnego przydarzyło mi się kilka tygodni temu. Stałam przed apteką na rogu Connecticut i Dupont Circle; o ósmej wieczorem miałam się tam spotkać z informatorem, potem planowaliśmy iść na obiad i porozmawiać. I wtedy zobaczyłam tego mężczyznę. Krótko ostrzyżony, gładko ogolony, dobrze ubrany... na oko przystojny i z klasą. Przeszedł obok mnie dwa razy w ciągu piętnastu minut, kiedy stałam przed apteką. Widziałam go potem w restauracji, do której poszliśmy z moim znajomym. Wiem, że to brzmi jak paplanina wariatki, ale sądzę, że ktoś mnie śledzi.

— Czy kiedykolwiek wcześniej widziałas tego mężczyznę? — Abby potrząsnęła głową. — A później?

— Nie — odparła. — Ale jest jeszcze coś. Moja poczta. Mieszkam w kamienicy, gdzie skrzynki pocztowe są umieszczone w holu na dole. Czasem dostaję listy ze stemplami, które są bez sensu.

— Gdyby CIA grzebała w twojej poczcie, na pewno byś się nie zorientowała. Uwierz mi.

— Nie mówię, że listy wyglądają, jakby ktoś je otwierał. Ale w kilku przypadkach ktoś — mój agent, matka albo znajomy — przysięga, że wysłał do mnie list tego a tego dnia, a gdy wreszcie dostaję przesyłkę, data na stemplu pocztowym jest inna, niż powinna. Późniejsza. Czasem nawet o kilka dni, o tydzień. Sama już nie wiem, co robić. — Urwała. — W innych

okolicznościach zważyłabym to na kiepskie funkcjonowanie naszej poczty, ale nie wierzę, by te wszystkie rzeczy działały się niezależnie od siebie.

— Niby dlaczego ktoś miałby zakładać podsłuch na twój telefon, śledzić cię czy przeglądać twoją korespondencję? — Było to moim zdaniem kluczowe pytanie.

— Gdybym to wiedziała, pewnie mogłabym temu jakoś zaradzić. — Wreszcie zaczęła jeść to, co miała na talerzu. — Doskonałe steki, Kay. — Mimo komplementu jadła bez apetytu.

— Czy jest możliwe, byś po spotkaniu z agentami FBI i tym epizodzie z Camp Peary stała się nieco zbyt przewrażliwiona? — zapytałam prosto z mostu.

— Najwyraźniej tak, ale, Kay, przecież to nie jest tak, że pracuję nad jakąś demaskatorską książką czy rozpracowuję kolejną aferę Watergate. W Waszyngtonie nie dzieje się nic nowego, nic nadzwyczajnego. Jediną naprawdę gorącą sprawą są te morderstwa tutaj, czy też domniemane morderstwa. Ale kiedy staram się czegoś o nich dowiedzieć, wpadam w kłopoty po same uszy. I co ty na to?

— Sama nie wiem. — Poczułam ucisk w żołądku, kiedy przypomniałam sobie instrukcje i ostrzeżenia Bentona Wesleya.

— Wiem też o tych zaginionych butach — wypaliła nagle Abby.

Nie odpowiedziałam i na wszelkie sposoby starałam się nie okazać zdziwienia. Był to szczegół, który, jak na razie, trzymano w ścisłej tajemnicy przed dziennikarzami.

— Nie uważasz, że to niezbyt normalne, by zwłoki ośmiorga młodych ludzi odkryto w lesie, a ich butów i skarpetek nie znaleziono ani obok ciał, ani w środku porzuconych przez nich samochodów? — Spojrzała na mnie wyczekująco.

— Abby — powiedziałam cicho, dolewając wina do kieliszków — wiesz, że nie mogę z nikim rozmawiać o szczegółach dotyczących tego dochodzenia. Nawet z tobą.

— Więc nie wiesz o niczym, co mogłoby mnie naprowadzić na trop? Nie wiesz, z kim lub czym zadarłam, mieszając się w te sprawy?

— Prawdę mówiąc, wiem prawdopodobnie jeszcze mniej niż ty.

— To już coś. To się ciągnie już od dwóch i pół roku, a ty twierdzisz, że wiesz mniej ode mnie.

Przypomniałam sobie, co mówił Marino o tym, że „ktoś kryje własny tyłek”. Pomyślałam o Pat Harvey i przesłuchaniu przed Kongresem. Nagle poczułam strach.

— Pat Harvey jest w Waszyngtonie wielką gwiazdą — rzekła Abby.

— Wiem.

— Ale chodzi o coś więcej niż tylko o to, co piszą w gazetach, Kay. W Waszyngtonie jest tak, że liczba zaproszeń na przyjęcia jest równie ważna, jak głosy otrzymane podczas wyborów. Może nawet ważniejsza. Wśród prominentów zapraszanych na każde przyjęcie w mieście nazwisko Pat Harvey stoi zaraz po nazwisku Pierwszej Damy. Po mieście krążą plotki, że w następnych wyborach prezydenckich Pat Harvey może dokończyć to, co zaczęła Geraldine Ferraro.

— Może zostać wiceprezydentem? — spytałam z niedowierzaniem.

— Takie chodzą plotki. Co prawda osobiście odnoszę się do nich dość sceptycznie, lecz jeżeli następny prezydent będzie republikaninem, bardzo możliwe, że pani Harvey zostanie przynajmniej prokuratorem generalnym. Zakładając, oczywiście, że to, co się tu dzieje, nie przyprawi jej o załamanie nerwowe.

— Wiem, że postara się zachować zdrowe zmysły, choć może to być wyjątkowo trudne.

— Zdajesz sobie jednak sprawę, że rodzinne problemy mogą człowiekowi zrujnować karierę.

— Mogą, jeżeli im na to pozwolisz. Ale jeżeli zdołasz je przetrwać, sprawią, że w przyszłości będziesz silniejsza.

— Wiem — mruknęła Abby, wpatrując się w wino na dnie kieliszka. — Jestem pewna, że nie zdobyłabym się na wyjazd do Waszyngtonu, gdyby nie to, co przydarzyło się Hennie.

Niedługo po tym, jak objęłam swoje stanowisko w Richmond, siostra Abby, Henna, została brutalnie zamordowana. Wskutek tej tragedii

zbliżyłyśmy się do siebie, a kilka miesięcy później Abby wyjechała do Waszyngtonu.

— Nadal nie jest mi łatwo wracać tutaj — powiedziała Abby. — Szczerze mówiąc, jestem tu po raz pierwszy od tamtego czasu. Dziś rano przejechałam nawet koło mojego dawnego mieszkania i kusiło mnie, by zapukać do drzwi i zapytać obecnych właścicieli, czy mogę wejść i rozejrzeć się po starych śmieciach. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu chciałam znowu się tam znaleźć, wejść po schodach na górę i zobaczyć pokój Henny; spróbować zastąpić ten ostatni koszmarny widok jakimś miłym wspomnieniem. Ale chyba nikogo nie było w domu. Może to i lepiej. Nie wiem, czy zdobyłabym się na to.

— Kiedy naprawdę będziesz już gotowa, zrobisz to — odparłam; nagle zapragnęłam jej opowiedzieć o tym, jakie aż do dzisiejszego dnia miałam opory przed korzystaniem z grilla na patio. Ale z drugiej strony może zabrzmiałoby to dziecinnie i głupio? Poza tym Abby nic nie wiedziała o Marku.

— Dziś przed południem rozmawiałam z ojcem Freda Cheney'a — odezwała się Abby niespodziewanie. — A potem pojechałam do Harveyów.

— Kiedy zamierzasz opublikować artykuł?

— Prawdopodobnie dopiero pod koniec tygodnia. Muszę jeszcze sprawdzić wiele rzeczy. Dowiedzieć się wielu szczegółów. Redaktor naczelny powiedział, że zależy mu na charakterystykach Debory i Freda oraz na wszystkim innym, co tylko uda mi się wygrzebać... szczególnie na jakichkolwiek powiązaniach z pozostałymi czterema zaginionymi parami.

— A jak powiodło ci się z Harveyami?

— Z nim, z Bobem, właściwie nie rozmawiałam. Wyszedł z domu razem z chłopcami w chwilę po tym, jak się tam zjawiłam. Zdaje się, że szczerze nie znosi dziennikarzy, a pozycja „męża Pat Harvey” mocno gra mu na nerwach. Podobno nigdy nie udziela wywiadów. — Odsunęła od siebie talerz z na wpół zjedzonym stekiem i sięgnęła po papierosy. Paliła znacznie więcej niż przed wyjazdem do Waszyngtonu. — Martwię się o Pat Harvey. Wygląda, jakby w ciągu ostatniego tygodnia przybyło jej dziesięć lat. Poza tym zachowywała się bardzo dziwnie. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ona coś wie, że ma

własną teorię na temat tego, co przytrafiło się jej córce. To chyba najbardziej pobudziło moją ciekawość. Zastanawiam się, czy może nie dostała jakiegoś listu z pogrózkami albo listu od kogoś, kto jest w to zamieszany. Nie chciała mi jednak nic wyjaśnić. Podobno nie rozmawia także z policją.

— Nie wyobrażam sobie, by była aż tak nierozsądna.

— A ja sobie wyobrażam — przerwała mi Abby. — Uważam, że jeżeli Pat Harvey ma nadzieję, że od jej milczenia zależy, czy córka wróci cało do domu, nie pisnie ani słowa. — Wstałam i zaczęłam sprzątać ze stołu. — Mogłabyś zrobić kawy? Wolałabym nie zasnąć za kółkiem.

— Kiedy chcesz wracać? — zapytałam, wstawiając naczynia do zmywarki.

— Już wkrótce. Przed powrotem do Waszyngtonu chcę jeszcze zajrzeć w kilka miejsc. — Spojrzałam na nią pytająco, więc wyjaśniła: — Chcę pojechać do sklepu, w którym po raz ostatni widziano Deborę Harvey i Freda Cheney'a.

— Skąd o tym wiesz? — przerwałam jej gwałtownie.

— Udało mi się wydobyć kilka informacji od kierowcy ciężarówki, która odholowywała jeepa Debory. Czekał na parkingu i słyszał rozmowę policjantów o znalezionym paragonie z 7-Eleven. Zajęło mi to trochę czasu, ale wreszcie zdołałam ustalić, z którego 7-Eleven mogli korzystać Debora i Fred oraz co za dziewczyna stała wtedy przy kasie. Ellen Jordan pracuje tam od poniedziałku do piątku, od czwartej po południu do północy.

Abby była moją przyjaciółką i często zapomniałam, że gdy pracowała w Richmond, zdobyła więcej nagród za agresywne dziennikarstwo niż ktokolwiek inny.

— Czego spodziewasz się dowiedzieć od tej dziewczyny?

— Z takimi sprawami jest jak z fantami na loterii, Kay. Nie mam pojęcia, do czego się dokopię, dopóki nie zacznę szukać.

— Uważam, że nie powinnaś się tam kręcić samotnie po nocy, Abby.

— Jeżeli chcesz mi posłużyć za ochronę — odparła rozbawiona — możesz pojechać ze mną.

— To chyba nie jest najlepszy pomysł.

— Masz rację — rzekła, ale ja postanowiłam jechać z nią tak czy inaczej.

Rozdział czwarty

Podświetlony szyld, migający w mroku nocy, był widoczny z odległości pół mili. Znak 7-Eleven już od dawna przestał znaczyć cokolwiek, gdyż wszystkie sklepy tej sieci, o których wiedziałam, były czynne przez dwadzieścia cztery godziny* [* „7-Eleven” — znaczy dosłownie „od siódmej do jedenastej” (przyp. tłum.).]. W myślach słyszałam głos ojca:

„I twój dziadek opuścił Weronę dla tego?”

To była jego ulubiona uwaga; wygłaszał ją, zazwyczaj czytając poranną gazetę i kiwając głową z dezaprobatą. Albo gdy ktoś z akcentem z Georgii traktował nas tak, jakbyśmy nie byli „prawdziwymi Amerykanami”. To samo mamrotał pod nosem, gdy słyszał o czyjejs nieuczciwości, prochach czy rozwodach. Kiedy byłam mała i mieszkaliśmy w Miami, ojciec był właścicielem niedużego sklepu, lecz co wieczór bywał w domu na obiedzie, wypytywał nas, co robiliśmy podczas dnia, i opowiadał o swoich klientach. Niestety, jego obecność w moim życiu nie trwała zbyt długo — zmarł, gdy miałam zaledwie dwanaście lat. Byłam jednak przekonana, że gdyby nadal żył, nie pochwalałby całodobowych sklepów.

Według niego noce, święta i niedziele to nie czas na siedzenie w pracy, stanie za ladą przy kasie czy pospieszne zjedanie burrito* [* Burrito — meksykański naleśnik, popularne danie fast food (przyp. tłum.).] w przydrożnym barze — to czas, który każdy porządny człowiek powinien poświęcić rodzinie.

Zjeżdżając z autostrady na parking przed sklepem, Abby po raz kolejny zerknęła we wsteczne lusterko. Kiedy kilka minut później zaparkowała samochód, zobaczyłam na jej twarzy ulgę. Oprócz volkswagena stojącego tuż obok przeszklonych drzwi, byłyśmy jedynymi klientami 7-Eleven.

— Jak na razie wszystko idzie jak po maśle — zauważyła, wyłączając silnik. — Przez ostatnie dwadzieścia mil nie minął nas żaden wóz policyjny. Ani oznakowany, ani nie oznakowany.

— W każdym razie nic niepokojącego nie zauważyłaś — ściągnęłam ją

na ziemię.

Noc była pochmurna, na niebie nie dostrzegłam ani jednej gwiazdy, a powietrze było ciepłe, choć wilgotne. Kiedy wchodziliśmy do sklepu, minął nas młody człowiek niosący opakowanie z dwunastoma puszkami piwa; chwilę później znalazłyśmy się w chłodnym, wentylowanym wnętrzu jednego z najpopularniejszych sklepów w Stanach, z ekranami gier wideo migającymi w rogu sali i młodą sprzedawczynią poprawiającą papierosy na półce za ladą. Dziewczyna wyglądała na nie więcej niż osiemnaście lat, utlenione na jasny blond włosy miała rozpuszczone na ramiona, a ubrana była w pomarańczowo-białą bluzkę i czarne, obcisłe dżinsy. Paznokcie miała długie i pomalowane na czerwono, a gdy odwróciła się do nas, by zapytać, czego chcemy, zdumiał mnie twardy wyraz malujący się na jej młodej buzi.

— Ty jesteś Ellen Jordan? — zapytała Abby.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną, a potem zaniepokojoną minę.

— Taak? I co z tego? Kto chce wiedzieć?

— Abby Turnbull. — Abby odruchowo wyciągnęła dłoń, by uścisnąć rękę dziewczyny. Ta niepewnie ją ujęła i potrząsnęła nią lekko. — Przyjechałam z Waszyngtonu. Reprezentuję „Posta”.

— Jakiego „Post”?

— „Washington Post” — odparła Abby.

— Aha. — Dziewczyna od razu przestała się nami interesować. — Już go rozprowadzamy. Tam leży — Wskazała na stojak tuż obok drzwi.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

— Ale ja jestem dziennikarką. Piszę artykuły — wyjaśniła Abby.

Dziewczynie zabłyśły oczy.

— Żartuje pani?

— Nie, mówię poważnie. Chciałbym zadać ci kilka pytań.

— To znaczy, do artykułu?

— Tak. Piszę właśnie pewien artykuł, Ellen, i bardzo przydałaby mi się twoja pomoc.

— A co chce pani wiedzieć? — Dziewczyna nachyliła się nad ladą i oparła o nią łokciami; na jej twarzy pojawiła się powaga i duma.

— Chodzi mi o parę młodych ludzi, którzy tu byli w zeszły piątek. Dziewczynę i chłopaka. Mniej więcej w twoim wieku. Przyjechali tu niedługo po dziewiątej wieczorem, kupili zgrzewkę pepsi i jeszcze parę rzeczy.

— Aa, ci, co zaginęli — rzekła dziewczyna, wyraźnie ożywiona. — Wie pani, nie powinnam była im wspominać o tym postoju. Ale pierwsza rzecz, o której mówią, gdy kogoś tu zatrudniają, to żeby nikomu nie pozwalać na korzystanie z łazienki. Osobiście by mi to nie przeszkadzało, a już na pewno nie w ich przypadku. Było mi ich szkoda. Chodzi mi o to, że rozumiałam jej problem.

— Na pewno — wtrąciła Abby.

— Było mi trochę głupio — kontynuowała Ellen — szczególnie kiedy kupiła paczkę tampaksów i spytała, czy mogłaby skorzystać z łazienki. Tym bardziej, że jej chłopak stał tuż obok. Do licha, teraz nie mogę sobie wybaczyć, że jej na to nie pozwoliłam.

— Skąd wiedziałaś, że on jest jej chłopakiem? — spytała Abby.

Przez chwilę Ellen wydawała się zaskoczona.

— No... po prostu założyłam, że tak jest. Rozglądali się tu wspólnie i na oko wyglądało, że bardzo się lubią. Wie pani, jak ludzie się zachowują, gdy im na sobie naprawdę zależy. Jeżeli tylko zwraca się uwagę na szczegóły, można się sporo dowiedzieć ze zwykłej obserwacji. A kiedy ja spędzam tu sama całe dni, nie mam nic innego do roboty, jak tylko przyglądać się klientom. Na przykład małżeństwa... Trafiają tu bardzo często, gdy jadą gdzieś na wakacje z dziećmi. Większość z nich wchodzi tu całą rodziną, ale na pierwszy rzut oka widać, że mają siebie nawzajem dość, że są sobą zmęczeni, że nie układa im się za dobrze. Ale ci, o których pani pyta, byli dla siebie naprawdę mili.

— Czy rozmawiałaś z nimi o czymś jeszcze?

— Rozmawialiśmy przez chwilę, gdy wstukiwałam towar na kasę — odparła Ellen. — Nic specjalnego. Zapytałam o to, o co zwykle pytam, dokąd się wybierają i jaka jest droga...

— I powiedzieli ci? — zapytała Abby, jednocześnie notując słowa dziewczyny.

— Że jak?

Abby spojrzała na nią i powtórzyła:

— Czy powiedzieli ci, dokąd jada?

— Wybierali się na plażę. Pamiętam, bo powiedziałam im, że mają szczęście. Wyglądało na to, że każdy jedzie się gdzieś bawić, tylko nie ja. Ja zawsze muszę być w pracy. Poza tym właśnie zerwałam ze swoim chłopakiem. Trochę mnie to bolało, rozumie pani?

— Oczywiście. — Abby uśmiechnęła się miło. — Zdradź mi jeszcze coś na temat ich zachowania, Ellen. Może byli zdenerwowani?

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, ale potem potrząsnęła głową.

— Nie... byli bardzo mili, ale spieszyli się... może dlatego, że ona chciała jak najszybciej znaleźć toaletę. Zapamiętałam tylko, że byli wyjątkowo uprzejmi. Wie pani, ludzie, którzy chcą korzystać z naszej łazienki, robią się bardzo nieprzyjemni, gdy się im odmawia.

— Powiedziałaś, że skierowałaś ich na postój — wtrąciła Abby. — Pamiętasz może, co dokładnie mówiłaś?

— Jasne. Powiedziałam, że niedaleko stąd jest postój z toaletami. Trzeba tylko wrócić na sześćdziesiątą czwartą i nie sposób go minąć. To jakieś pięć, dziesięć minut drogi stąd — dodała.

— A czy gdy rozmawialiście, był w sklepie jeszcze ktoś?

— Ludzie cały czas wchodzili i wychodzili. Okropny panował wtedy ruch na drodze. — Pomyślała przez chwilę i powiedziała: — Wiem, że jakiś dzieciak grał w Pac Mana. Jakiś gnojek zawsze wisi na automatach.

— A czy oprócz tej pary ktoś jeszcze stał przy ladzie? — dopytywała się Abby.

— Był taki jeden facet. Wszedł do sklepu zaraz po nich. Przeglądał czasopisma, a na koniec kupił tylko kubek kawy.

— Stał tu, gdy ty z nimi rozmawiałaś? — Abby była niestrudzona w wyciąganiu najdrobniejszych szczegółów.

— Taak. Zapamiętałam, bo był dla nich miły; powiedział coś w stylu, że mają bardzo ładny samochód. Przyjechali tu takim fajnym czerwonym jeepem. Zaparkowali tuż pod drzwiami.

— I co się potem działo?

Ellen usiadła na stołku za ladą.

— No, cóż... to byłoby tyle. Nic więcej się nie działo. Przyszli inni klienci. Wyszedł ten facet z kawą, a jakieś pięć minut później — ta para.

— A ten z kawą... czy był jeszcze w pobliżu, gdy mówiłaś im o postoju?
— Abby musiała wszystko wiedzieć.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Nie pamiętam. Ale chyba tak... kiedy rozmawiałam z nimi o parkingu, on stał jeszcze przy gazetach. Potem dziewczyna przeszła między półki i wybrała parę rzeczy, a gdy wróciła do lady, facet właśnie płacił za kawę.

— Powiedziałaś, że wyszli jakieś pięć minut po nim? — ciągnęła Abby. — Co robili przez ten czas?

— No, cóż... Dziewczyna przyniosła do kasy sześć puszek piwa, więc musiałam sprawdzić, ile ma lat i czy ma prawo je kupować. Okazało się, że nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat, więc powiedziałam, żeby wzięła coś innego. Nawet się na mnie nie obraziła... roześmiała się. Wszyscy się z tego śmialiśmy. Wie pani, sama kiedyś usiłowałam tak kupować piwo. Tak czy inaczej wzięli sześć puszek pepsi i wyszli.

— A czy potrafisz opisać tego faceta, który kupił kawę?

— Nie za bardzo.

— Był biały czy czarny?

— Biały, ale ciemny... to znaczy, miał czarne włosy, może ciemnobrązowe. Około trzydziestki.

— Wysoki, niski, gruby, chudy?

Ellen zapatrzyła się gdzieś na tyły sklepu.

— Średniego wzrostu, tak mi się zdaje. Dobrze zbudowany, ale nie za duży.

— Miał może brodę, albo wąsy?

— Nie wydaje mi się... nie, chwileczkę. — Twarz dziewczyny rozjaśniła się nagle. — Miał krótkie włosy. Tak! Właśnie sobie przypomniałam, że odniosłam wtedy wrażenie, że to wojskowy. Wie pani, mnóstwo ich się tu kręci... najczęściej w drodze do Tidewater.

— A co jeszcze sprawiło, że wzięłaś go za wojskowego? — zapytała Abby.

— Nie wiem. Może po prostu jego sposób bycia. Trudno to wyjaśnić, ale gdy się widziało w życiu dostatecznie wielu żołnierzy, łatwo ich potem rozpoznać. Mają w sobie coś takiego... Na przykład tatuaże. Wielu z nich jest wytatuowanych.

— A ten miał tatuaż?

Zmarszczyła brwi, a na jej twarzy pojawił się zawód.

— Nie zauważyłam.

— A jak był ubrany?

— Hmm...

— W garnitur i krawat? — podpowiedziała Abby.

— Nie, na pewno nie w garnitur. Nic takiego znowu szykownego. Może dżinsy albo jakieś ciemne spodnie. Chyba miał na sobie kurtkę zapinaną na suwak. Do licha... naprawdę nie jestem pewna.

— A pamiętasz może, jakim przyjechał samochodem?

— Nie — odparła szybko i pewnie. — Nie widziałam jego wozu. Pewnie zaparkował z boku budynku.

— Czy powiedziałaś o tym policji, kiedy cię przepytawali?

— Taak. — Patrzyła przez szybę w drzwiach na parking przed sklepem. Właśnie podjechała furgonetka. — Powiedziałam im mniej więcej to, co wam teraz. Oprócz tych rzeczy, których wtedy nie mogłam sobie przypomnieć.

Kiedy do sklepu weszło dwóch nastolatków i zwróciło się prosto ku grom na tyłach, Ellen znowu odwróciła się ku nam. Byłam przekonana, że nie ma już nic więcej do powiedzenia i zaczyna mieć wyrzuty sumienia, że tak bardzo rozwiązał się jej język.

Najwyraźniej Abby miała podobne wrażenie.

— Dziękuję ci, Ellen — powiedziała, wycofując się od lady. — Mój artykuł ukaże się w sobotnim albo niedzielным wydaniu. Nie przegap go. — Chwilę potem byłyśmy już za drzwiami. — Był już najwyższy czas, by się stamtąd wynieść, zanim dziewczyna zacznie krzyczeć, że cała rozmowa jest prywatna i nie mam prawa jej cytować.

— Wątpię, czy przyszłoby jej to do głowy — mruknęłam.

— Dziwi mnie tylko, że gliny nie kazały jej trzymać buzi na kłódkę — odezwała się Abby.

— Może i kazały, ale pokusa zobaczenia własnego nazwiska w gazecie była silniejsza.

Postój przy drodze numer I-64, gdzie sprzedawczyni z 7-Eleven skierowała Deborę i Freda, był całkowicie opuszczony, gdy do niego dojechaliśmy.

Abby zaparkowała od frontu przy automatach z gazetami i przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. W świetle reflektorów srebrzyła się przed nami nieduża choinka, a lampy ledwie majaczyły po bokach we mgle. Nie wyobrażałam sobie, bym jadąc gdzieś samotnie, miała tu wysiąść i iść do toalety.

— Ciarki mnie przechodzą — burknęła Abby pod nosem. — Boże... Zastanawiam się, czy we wtorkowe wieczory zawsze jest tu tak pusto, czy też wiadomości o zaginięciu dzieciaków po prostu wypłoszyły turystów.

— Pewnie jedno i drugie — odparłam. — Ale na pewno nie było tak pusto, gdy Debora i Fred zaparkowali tu w piątek w nocy.

— Być może stali nawet tu, gdzie my teraz — zastanawiała się Abby na głos. — Skoro był dłuższy weekend ze względu na Święto Pracy, to pewnie aż roiło się tu od ludzi. Jeżeli właśnie tu spotkali swego porwacza, to drań jest naprawdę bezczelny.

— Skoro było mnóstwo ludzi, to pewnie i samochodów — rzekłam.

— No i co z tego? — Abby zapaliła papierosa.

— Zakładając, że to tu Debora i Fred spotkali swego oprawcę, i zakładając, że z jakiegoś względu wpuścili go do jeepa, to co z jego samochodem? Bo chyba nie przyszedł na piechotę?

— Nie sądzę — odparła Abby.

— Jeżeli przyjechał swoim wozem, to musiał go zostawić na parkingu na kilka godzin, ale to byłoby dla niego bardzo ryzykowne, chyba że panowałyby duży ruch.

— Chyba już rozumiem, o co ci chodzi. Gdyby jego samochód był

jedynym stojącym na parkingu przez kilka godzin, na pewno zauważyłby to jakiś przejeżdżający policjant i zgłosił do centrali.

— To ogromne ryzyko, zakładając, że właśnie popełniasz zbrodnię — dodałam.

Abby zastanowiła się przez chwilę.

— Wiesz, co mnie tak naprawdę martwi? To, że ten scenariusz jest bardzo przypadkowy, ale jednocześnie wcale nie tak bardzo. To, że Debora i Fred zatrzymali się na tym postoju, było przypadkowe. Jeżeli spotkali swego porywacza tutaj — albo nawet w 7-Eleven tego gościa z kawą — to też wydaje się przypadkowe. Ale z drugiej strony wszystko wydaje się tak dokładnie przemyślane. Jeżeli ktoś faktycznie ich porwał, doskonale wiedział, co robi.

Nie odpowiedziałam. Myślałam o tym, co powiedział Wesley: że porwanie może mieć podłoże polityczne. Albo że przestępca wcześniej robił wielokrotne próby „na sucho”. Zakładając, że Debora i Fred nie uciekli z domu, ich przyszłość wydawała mi się przypieczętowana.

Abby wrzuciła bieg i wyjechała na autostradę. Dopiero po kilku milach odezwała się znowu.

— Myślisz, że oni już nie żyją, prawda?

— A co? Chcesz mnie zacytować w swoim artykule?

— Nie, Kay, wcale nie chcę cię cytować. Chcesz znać prawdę? W chwili obecnej artykuł głównie mnie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, co tu jest grane u wszystkich diabłów.

— Bo martwisz się tym, co się tobie przydarzyło, tak?

— A ty byś się nie martwiła?

— Jasne. Gdybym uważała, że ktoś mnie śledzi, a mój telefon znajduje się na podsłuchu, byłabym przerażona. A tak w ogóle to jest bardzo późno. Jesteś wykończona. Nie powinnaś jeszcze dziś wracać do Waszyngtonu. — Rzuciła mi szybkie spojrzenie. — W moim domu jest mnóstwo miejsca. Może prześpisz się u mnie i z samego rana wyruszysz w drogę?

— Okay, ale pod warunkiem, że znajdę u ciebie zapasową szczoteczkę do zębów, jakąś piżamę i że nie masz nic przeciwko temu, bym nieco

pobuszowała w twoim barku.

Odchyliłam się na siedzeniu i przymykając oczy, wymamrotałam:

— Możesz się upić, jeżeli chcesz... Bardzo możliwe, że się do ciebie przyłączę.

Kiedy weszliśmy do domu, było już po północy, a mimo to dzwonił telefon; odebrałam, zanim zdążyła się włączyć automatyczna sekretarka.

— Kay?

W pierwszej chwili nie rozpoznałam głosu, gdyż zostałam całkowicie zaskoczona. A potem serce zaczęło mi walić jak szalone.

— Cześć, Mark — powiedziałam.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...

Nie potrafiłam powstrzymać drżenia głosu, gdy przerwałam mu pośpiesznie.

— Nie jestem sama. Pamiętasz chyba moją przyjaciółkę, Abby Turnbull, dziennikarkę z „Posta”? Zostaje u mnie na noc... właśnie nadrabialiśmy zaległości...

Mark nie odpowiedział; dopiero po dłuższej przerwie rzekł:

— Może lepiej będzie, jeżeli to ty do mnie zadzwonisz, Kay. Kiedy tylko będziesz mieć ochotę.

Gdy odłożyłam słuchawkę i odwróciłam się do Abby, zobaczyłam, że przygląda mi się zdumiona moim zdenerwowaniem.

— Kay, kto to dzwonił, u Boga Ojca?

Przez pierwsze miesiące w Georgetown znajdowałam się pod tak ogromnym wrażeniem szkoły prawniczej oraz czułam się tak okropnie wyalienowana, że trzymałam się na uboczu. Miałam już za sobą studia medyczne oraz praktykę, pochodziłam ze średnio zamożnej włoskiej rodziny z Miami i do tej pory nie miałam na swoim koncie zbyt wielu sukcesów. Nagle znalazłam się pomiędzy śmietanką towarzyską złożoną z pięknych i genialnych ludzi z całego kraju; choć nie wstydziłam się swego pochodzenia, czułam się między nimi obco.

Mark James był jednym z uprzywilejowanych; wysoki, zgrabny, pewny siebie i jednocześnie trochę skryty. Znałam go z widzenia na długo, zanim poznałam jego nazwisko. Po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą między regałami w bibliotece i nigdy nie zapomnę, jak lśniły jego zielone oczy, gdy zaczęliśmy dyskutować na jakiś teraz zupełnie nieważny temat. Naszą dyskusję kontynuowaliśmy do białego rana w uczelnianej kafejce; od tej pory widywaliśmy się co dzień.

Przez pierwszy rok naszej znajomości właściwie nie sypialiśmy; bo nawet gdy spędzaliśmy wspólnie noc, kochaliśmy się do wczesnych godzin rannych i nie mieliśmy zbyt wiele czasu na odpoczynek. Bez względu na to, ile czasu spędzaliśmy ze sobą — zawsze było nam go mało i naiwnie sądziłam, że tak będzie wiecznie. Nie chciałam przyjąć do wiadomości chłodu i rozczarowań, które zaczęły nękać nasz związek podczas drugiego roku. Potem ukończyłam studia, mając na palcu pierścioneńkę zaręczynową od innego mężczyzny i zdołałam sama siebie przekonać, że zapomniałam o Marku, dopóki w tajemniczy sposób nie pojawił się ponownie w moim życiu, nie tak znowu dawno temu.

— Może Tony był dla ciebie kimś w rodzaju bezpiecznej przystani — rzekła Abby, mówiąc w ten sposób o moim eksmężu, kiedy siedzieliśmy w kuchni, popijając koniak.

— Tony wyjątkowo twardo stąpał po ziemi — odparłam. — A przynajmniej tak mi się z początku zdawało.

— To ma sens. Sama kilkakrotnie popełniałam ten błąd w moim żalonym życiu. — Sięgnęła po kieliszek. — Czasem angażuję się w jakiś absolutnie szalony związek... Bóg jeden wie, że było ich kilka, ale nigdy nie trwały zbyt długo. Jednak gdy się kończyły, czułam się jak ranny żołnierz, który powoli kuśtyka do domu. I tak się jakoś zawsze działo, że lądowałam w ramionach pierwszego lepszego bubka, który obiecywał, że się mną zaopiekuje.

— Ładna bajka.

— Taak, prosto od braci Grimm — zgodziła się gorzko Abby i pokiwała głową. — Mówią, że się tobą zaopiekują, a chodzi im tylko o to, byś gotowała

im obiady i prała skarpetki.

— To był właśnie cały Tony — mruknęłam.

— I co się z nim stało?

— Nie rozmawiałam z nim od tylu lat, że już dawno straciłam rachubę.

— Ludzie powinni przynajmniej zostawać przyjaciółmi.

— On wcale nie chciał być moim przyjacielem — odparłam.

— A ty nadal myślisz o nim?

— Nie można żyć z kimś sześć lat, a potem tak zupełnie o nim zapomnieć. Ale to wcale nie oznacza, że nadal chciałabym być jego żoną. Z drugiej strony jakaś część mnie nadal będzie go kochać i życzyć mu jak najlepiej.

— A czy kochałaś go, gdy się pobieraliście?

— Tak mi się wtedy zdawało.

— Może i masz rację — powiedziała cicho Abby. — Ale mnie się zdaje, że ty nigdy nie przestałaś kochać Marka. — Znowu napełniłam kieliszki. Następnego ranka czeka nas niezły kac. — Uważam, że to niesamowite, iż zeszłicie się ponownie po tylu latach. I bez względu na to, co się stało, podejrzewam, że Mark także nadal cię kocha.

Kiedy wrócił do mojego życia, odniosłam wrażenie, że minione lata spędziliśmy na innych planetach, i zupełnie nie mogliśmy się zrozumieć. Zdawało się, że potrafimy komunikować się tylko w ciemnościach. Opowiedział mi, że był żonaty, lecz jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Potem dowiedziałam się, że porzucił karierę prawniczą i zaczął pracować dla FBI. Dni, które spędziliśmy razem, należały do najcudowniejszych, najszcześniejszych w moim życiu, oprócz tego niezwykłego jednego roku w Georgetown. Oczywiście nie trwały one długo. Historia się powtórzyła.

— To chyba nie jego wina, że został przeniesiony do Denver — powiedziała Abby.

— Ale to był jego wybór; on podjął tę decyzję — odrzekłam. — A ja podjęłam swoją.

— Nie chciałaś z nim pojechać?

— To przeze mnie Mark poprosił o to przeniesienie, Abby. Chciał separacji.

— Więc przeprowadził się na drugi koniec kraju? To chyba ekstremalne rozwiązanie.

— Kiedy ludzie są na siebie wściekli, ich zachowania mogą stać się ekstremalne. W gniewie można popełnić ogromne błędy.

— A on jest prawdopodobnie zbyt uparty, by się do tego przyznać — mruknęła.

— Nie tylko on jest uparty, ale ja także. Żadne z nas nie potrafi iść na kompromis. Ja miałam swoją karierę, a on swoją. On siedział w Quantico, a ja tutaj... bardzo się przyzwyczałam do mojej praktyki i nie miałam zamiaru wyprowadzać się z Richmond. On natomiast nie miał najmniejszego zamiaru wynieść się z Quantico. Potem zaczął myśleć nad powrotem do czynnej służby albo objęciem stanowiska w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie... ciągle o tym rozmawialiśmy, aż doszło do tego, że tylko się kłóciliśmy. — Urwałam, nie wiedząc, jak wyjaśnić jej to, co nawet dla mnie nie było do końca jasne. — Może po prostu za bardzo jestem przyzwyczajona do swego życia.

— Nie możesz jednocześnie być z kimś i wieść takiego życia jak dotąd, Kay. — Jak wiele razy powtarzaliśmy to sobie z Markiem? W końcu nie mieliśmy sobie nic nowego do powiedzenia. — Czy zachowanie niezależnego stylu życia warte jest ceny, jaką teraz płacisz?

Bywały dni, że sama zaczynałam się nad tym zastanawiać, ale jakoś nie mogłam się zmusić do przyznania tego przed Abby.

Zapaliła kolejnego papierosa i sięgnęła po butelkę koniaku.

— Czy kiedykolwiek próbowaliście skorzystać z porady psychologa? Są przecież poradnie małżeńskie.

— Nie.

Nie była to do końca prawda. Nigdy wspólnie z Markiem nie chodziliśmy do psychologa, ale po rozstaniu z nim długi czas sama poddawałam się terapii i do tej pory od czasu do czasu spotykałam się z moim psychologiem.

— Czy Mark zna Bentona Wesleya? — zapytała nagle Abby.

— Oczywiście. To Benton uczył Marka w akademii, na długo zanim ja przyjechałam do Wirginii — odparłam. — Są dobrymi przyjaciółmi.

— A co Mark robi w Denver?

— Nie mam pojęcia. Ma jakieś specjalne zadanie.

— Czy wie, co się tutaj dzieje, że giną nastolatki?

— Podejrzewam, że tak. — Urwałam. — Dlaczego pytasz?

— Nie wiem, ale uważaj, co mu mówisz.

— Dziś zadzwonił do mnie po raz pierwszy od wielu miesięcy. Chyba słyszałaś, że powiedziałam mu niewiele.

Abby wstała, więc zaprowadziłam ją do pokoju gościnnego. Potem dałam jej piżamę i pokazałam, gdzie jest łazienka. Widać już było po niej efekty wypitego koniaku.

— On znowu do ciebie zadzwoni albo ty zadzwonisz do niego. Po prostu uważaj na to, co mówisz.

— Wcale nie zamierzam do niego dzwonić — odpowiedziałam.

— W takim razie jesteś równie koszmarna jak on — rzekła Abby. — Oboje jesteście uparci, a żadne z was nie chce pierwsze wyciągnąć ręki na zgodę. Taka jest moja ocena sytuacji, czy ci się to podoba, czy nie.

— Muszę być w biurze o ósmej rano — odrzekłam. — Obudzę cię o siódmej.

Abby uścisnęła mnie i pocałowała w policzek na dobranoc.

W następny weekend specjalnie wstałam wcześniej niż zwykle i kupiłam „Posta”, lecz nigdzie nie mogłam znaleźć artykułu Abby. Nie pojawił się też tydzień później ani nawet w dwa; wydało mi się to dziwne. Może Abby coś się stało? Poza tym od czasu wizyty w Richmond nie odezwała się do mnie ani słowem.

Pod koniec października zadzwoniłam do redakcji „Posta”.

— Przykro mi — powiedział bezosobowy męski głos w słuchawce. — Abby jest na urlopie; nie będzie jej co najmniej do przyszłego sierpnia.

— A nie wie pan, czy jest w Waszyngtonie?

— Nie mam pojęcia.

Odłożywszy słuchawkę, wyciągnęłam notes z numerami telefonów i odnalazłam numer domowy Abby. Na automatycznej sekretarce zostawiłam wiadomość, lecz Abby nie oddzwoniła. Nie odezwała się przez następnych kilka tygodni, podczas których usiłowałam się z nią skontaktować. Dopiero tuż po świętach Bożego Narodzenia zaczęłam orientować się, o co chodzi. Szóstego stycznia, w poniedziałek, wróciwszy z pracy, znalazłam w skrzynce list. Nie było adresu zwrotnego, lecz to pismo poznałabym wszędzie. W kopercie znalazłam żółtą kartkę papieru podpisaną „Mark” i wycinek z „New York Timesa”. Z niedowierzaniem przeczytałam w nim, że Abby Turnbull podpisała kontrakt na napisanie książki o zniknięciu Debory Harvey i Freda Cheney, oraz o prawdopodobnych „koszmarnych” powiązaniach tego wydarzenia ze zniknięciem innych nastolatków w okolicach Richmond.

Abby ostrzegła mnie przed Markiem, a teraz on ostrzegał mnie przed nią. A może był jeszcze jakiś inny powód, dla którego przysłał mi ten artykuł?

Przez długi czas siedziałam w kuchni, mając ochotę zadzwonić do Abby i zostawić na automatycznej sekretarce wiadomość, co o niej myślę. Miałam też ochotę porozmawiać z Markiem. Wreszcie zdecydowałam się zatelefonować do Anny, mojego psychologa.

— Czujesz się zdradzona? — zapytała po wysłuchaniu mojej opowieści.

— To bardzo oględnie powiedziane, Anno.

— Wiedziałaś, że Abby pisze artykuł do gazety. Czy napisanie książki jest czymś gorszym?

— Nawet mi nie wspomniała, że chce napisać książkę — rzekłam.

— To, że czujesz się zdradzona, wcale jeszcze nie oznacza, że Abby naprawdę cię zdradziła — odparła Anna. — To tylko twoje odczucie w tym momencie, Kay. Musisz trochę poczekać, zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja. A jeżeli chodzi o to, że Mark przysłał ci ten artykuł, radzę ci poczekać na dalszy rozwój wypadków. Może w ten sposób chciał dać ci znać, że pragnie zgody między wami.

— Zastanawiam się, czy nie powinnam porozmawiać z adwokatem —

rzekłam. — Upewnić się, czy przypadkiem nie należałoby się jakoś bronić... Nie mam pojęcia, co może znaleźć się w jej książce.

— Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli zaufasz jej słowom — poradziła Anna. — Powiedziała przecież, że nie będzie cię cytować. Czy kiedykolwiek zawiodła twoje zaufanie?

— Nie.

— W takim razie proponuję, byś dała jej szansę. Niech ma możliwość wytłumaczenia się. Poza tym — dodała — nie mam pojęcia, na podstawie czego Abby chce napisać tę książkę. Przecież nikt nie został aresztowany, nikt nie wie, co naprawdę stało się z tymi dziećmi. Abby musi poczekać, aż coś się wyjaśni.

Gorzka ironia tej uwagi uderzyła mnie ze zdwojoną siłą, gdy dwa tygodnie później, dwudziestego stycznia, byłam w stolicy, czekając, aż rada ustawodawcza stanu Wirginia przegłosuje petycję Biura Medycyny Sądowej o utworzeniu bazy danych DNA.

Właśnie wracałam z baru z kubkiem kawy w dłoni, gdy zobaczyłam Pat Harvey w eleganckim granatowym kaszmirowym kostiumie, z gustowną czarną zapinaną teczką pod pachą. Stała w głównym holu, rozmawiając z kilkoma delegatami, lecz gdy tylko mnie zobaczyła, przeprosiła ich i podeszła.

— Dzień dobry, doktor Scarpetta — powiedziała, wyciągając rękę. Na jej twarzy zagościł wyraz ulgi; zauważyłam, że jest zmęczona i spięta. Zastanawiałam się, co też robi w Waszyngtonie, lecz zanim zdążyłam ją zapytać, sama wyjaśniła: — Poproszono mnie, bym przekonała senatorów do przyjęcia propozycji biura — rzekła, uśmiechając się nerwowo. — Więc coś mi się zdaje, że jesteśmy tu dziś z tego samego powodu.

— Dziękuję. Przyda się nam każdy głos.

— Chyba nie musi się pani martwić o wynik głosowania — odparła.

Prawdopodobnie miała rację. Przemówienie dyrektora biura oraz nacisk społeczny na stworzenie takiego banku danych z pewnością wywrą odpowiedni skutek.

Po chwili niezręcznej ciszy, podczas której obie rozglądałyśmy się po

otaczających nas twarzach, spytałam cicho:

— Jak się pani czuje?

W tym momencie jej oczy zaszyły łzami; posłała mi jeszcze jeden szybki, nerwowy uśmiech i zapatrzyła się gdzieś w głąb korytarza.

— Przepraszam bardzo, ale widzę znajomego, z którym muszę porozmawiać.

Pat Harvey na szczęście była poza zasięgiem słuchu, gdy zadzwieczał mój pager. Minutę później zadzwoniłam do biura.

— Marino jest już w drodze — wyjaśniła moja sekretarka.

— Ja także — odparłam. — Przygotuj mój zestaw, Rose. Upewnij się, że wszystko jest na miejscu: latarka, aparat fotograficzny, baterijki, rękawiczki...

— Oczywiście.

Przeklinając pantofle na wysokich szpilkach i padający deszcz, zbiegłam ze schodów. Pędząc do samochodu, przypominałam sobie ten ułamek sekundy, gdy w oczach Pat Harvey pojawił się ból. Dzięki Bogu nie było jej przy mnie, gdy dostałam wiadomość...

Rozdział piąty

Smród czuć było z daleka. Ciężkie krople deszczu rozpryskiwały się głośno o spadłe liście, niebo było szare, a nagie konary drzew tonęły w zimowej mgle.

— Jezu — mruknął Marino, przełaząc nad leżącym pniem. — Muszą być świeże... nic innego tak nie cuchnie. Zawsze przypomina mi to zapach peklowanych krabów.

— Będzie jeszcze gorzej — uprzedził Jay Morrell, który prowadził nas na miejsce.

Czarne błoto wciągało nam buty, a za każdym razem, kiedy Marino ocierał się o drzewa, spadał na mnie lodowaty prysznic. Na szczęście w bagażniku służbowego samochodu trzymałam goreteksowy płaszcz z kapturem i kalosze, na okazje właśnie takie jak ta. Nie mogłam tylko znaleźć moich grubych skórzanych rękawic, a chodzenie po lesie i osłanianie twarzy przed gałęziami niezbyt szło w parze z trzymaniem rąk w kieszeniach.

Powiedziano mi, że odnaleziono dwa ciała, prawdopodobnie kobiety i mężczyzny. Znajdowały się około czterech mil od miejsca, gdzie zeszłej jesieni znaleziono jeepa Debory Harvey.

Nie wiesz, że to oni, powtarzałam sobie z każdym krokiem.

Ale gdy doszliśmy na miejsce, serce we mnie zamarło. Benton Wesley rozmawiał z policjantem, który trzymał w rękach detektor metalu, a nie zostałyby tu wezwany, gdyby policja stanowa nie miała pewności. Benton stał sztywno wyprostowany, niczym żołnierz na paradzie; emanowała z niego siła i pewność siebie dowódcy. Zdawało się, że nie przeszkadza mu ani pogoda, ani odór rozkładających się ciał. Nie rozglądał się na boki w poszukiwaniu jak największej ilości szczegółów, tak jak Marino i ja, lecz wiedziałam dlaczego — był tu wcześniej i zdążył się już rozejrzeć. Wesley był na miejscu na długo, zanim ktokolwiek nas powiadomił.

Ciała leżały obok siebie, twarzą do ziemi, w głębi lasu, jakieś ćwierć mili od błotnistej drogi, na której zostawiliśmy nasze samochody. Znajdowały się

w stanie krańcowego rozkładu, praktycznie zostały z nich tylko szkielety. Długie kości rąk i nóg wystawały z przegniłych szczątków ubrań niczym szarawe patyki. Czaszki odłączone od ciał, najwyraźniej toczone po ziemi — prawdopodobnie przez nieduże drapieżniki — leżały jakieś dwie stopy dalej.

— Czy znaleźliście buty i skarpetki? — zapytałam, gdyż nie było ich przy ciałach.

— Nie, proszę pani. Ale znaleźliśmy torebkę. — Morrell wskazał na ciało leżące po prawej stronie. — W środku były czterdzieści cztery dolary i dwadzieścia sześć centów oraz prawo jazdy wystawione na nazwisko Debory Harvey. — Znowu wskazał na ciała i dodał: — Przypuszczamy, że ciało po lewej należy do Cheney'a.

Żółte policyjne taśmy używane do oznakowania miejsca zbrodni lśniły na tle czarnych pni drzew. Drobne gałązki trzaskały cicho pod stopami ludzi kręcących się w okolicy; ich głosy częściowo wygłuszał siąpiący deszcz i szum wiatru. Otworzyłam moją torbę medyczną i wyciągnęłam parę lateksowych rękawiczek i aparat fotograficzny.

Przez chwilę stałam w bezruchu, przyglądając się skurczonym zwłokom, nieomal całkiem pozbawionym ciała. Określenie płci i rasy, gdy ma się do czynienia ze szkieletem, nie zawsze jest proste; czasem potrzebne są wnikliwe badania laboratoryjne. Nic nie mogę powiedzieć, dopóki nie obejrzę miednic, teraz ukrytych pod resztkami czegoś, co wyglądało na ciemnoniebieskie lub czarne dżinsy, ale sądząc po wymiarach ciała leżącego po prawej stronie — drobnych kościach, małej czaszce o niedużych wyrostkach sutkowatych, nie wystających łukach brwiowych i kosmykach długich jasnych włosów przyczepionych do przegniłych tkanin — miałam podstawy, by przypuszczać, że jest to ciało białej kobiety. Rozmiary ciała jej towarzysza, szerokie kości, wydatne łuki brwiowe, duża czaszka i płaska twarz wskazywały na białego mężczyznę.

Jak na razie nie mogłam nic powiedzieć na temat tego, co przydarzyło się tej parze. Nie było żadnych śladów wskazujących na uduszenie. Nie widziałam żadnych uszkodzeń kości ani dziur mogących wskazywać na rany po kulach lub uderzenia. Mężczyzna i kobieta leżeli tuż obok siebie — kości

jej lewej ręki wsunięte były pod kości jego prawej, jakby dziewczyna kurczowo trzymała się go do samego końca. Oczodoły czaszek świeciły pustką i spływały po nich krople deszczu.

Dopiero gdy zbliżyłam się do nich i uklęknęłam obok, zauważyłam po bokach każdego z ciał cienki pasek czarnej ziemi, tak wąski, że ledwie widoczny. Jeżeli zginęli w weekend Święta Pracy, na ziemi nie było jeszcze liści. Jesień późno przyszła w zeszłym roku i ziemia pod ich ciałami byłaby czarna. Nie podobały mi się myśli krążące po mojej głowie. Nie podobało mi się także to, że policjanci kręcili się tu od kilku godzin i pewnie dawno zdeptali wszystkie ślady. A niech to szlag trafi! Poruszenie lub przesunięcie znalezionej ciała, zanim koroner pojawi się na miejscu, jest kardynalnym grzechem i każdy policjant powinien o tym wiedzieć.

— Doktor Scarpetta? — Morrell stał nade mną, a z jego ust wydobywały się obłoczki pary. — Właśnie rozmawiałem z Phillipsem. — Spojrzał w stronę kilku policjantów przeszukujących krzaki jakieś dwadzieścia stóp na wschód od nas. — Znalazł zegarek, kolczyk i trochę drobnych, mniej więcej tu, gdzie leżą ciała. Najciekawsze jest to, że detektor metalu cały czas piszczał... Phillips trzymał go tuż nad ciałami, a on piszczał. Może od suwaka albo czegoś takiego... Może jakiegoś metalowego guzika przy dżinsach. Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć.

Spojrzałam na jego poważną, szczupłą twarz. Trząśnięty zimną pod swą grubą kurtką.

— Lepiej niech mi pan powie, co robiliście z ciałami oprócz tego, że przeszukiwaliście je detektorem metalu. Widzę, że były ruszane. Muszę wiedzieć, czy to jest dokładnie ta pozycja, w której zostały znalezione dziś rano.

— Nie mam pojęcia, jak leżały, gdy znaleźli je myśliwi, ale twierdzą, że nie podchodzili zbyt blisko — odparł, wpatrując się w las. — Ale, owszem, proszę pani, były właśnie w tej pozycji, gdy się tu zjawiliśmy. Przeszukaliśmy zwłoki, by zobaczyć, czy nie znajdziemy jakichś dowodów tożsamości, przeszukaliśmy także ich kieszenie i jej torebkę.

— Zakładam, że zrobiliście zdjęcia, zanim cokolwiek ruszyliście —

rzekłam spokojnie.

— Zaczęliśmy zaraz po przyjeździe.

Wyciągnęłam małą latarkę i zaczęłam żmudną, beznadziejną pracę poszukiwania choćby śladu dowodów. Kiedy ciała są wystawione na działanie czynników atmosferycznych przez tyle miesięcy, szansa znalezienia jakiegoś włoska lub włókna jest niewielka, a właściwie zerowa. Morrell przyglądał mi się z zażenowaniem, przestępując z nogi na nogę.

— Czy w trakcie dochodzenia dowiedział się pan czegoś istotnego, zakładając oczywiście, że to zwłoki Debory Harvey i Freda Cheney? — spytałam, gdyż nie widziałam Morrella ani nie rozmawiałam z nim od dnia, w którym znaleziono jeepa Debory.

— Nie, oprócz jednego prawdopodobnego powiązania z narkotykami — odrzekł. — Dowiedzieliśmy się, że współlokator Cheney z uniwersytetu bierze kokainę. Może Cheney też się tym bawił. To tylko jedna z możliwości, ale być może Fred i Debora przyszli tu do lasu na spotkanie z jakimś dealerem.

To nie miało najmniejszego sensu.

— Dlaczego Cheney miałby zostawiać jeepa na parkingu, iść do lasu z handlarzem narkotyków i na dodatek zabierać z sobą dziewczynę? — zapytałam. — Dlaczego nie kupił prochów na postoju i po prostu nie ruszył w dalszą drogę?

— Mogli tu przyjść, by się zabawić.

— Kto przy zdrowych zmysłach szedłby cztery mile w głąb lasu, by się zabawić, czy z jakiegokolwiek innego powodu? I gdzie są ich buty, Morrell? Chce mi pan wmówić, że taki kawał przebyli boso?

— Nie wiemy jeszcze, co się stało z ich butami — powiedział.

— A to ciekawe. Do tej pory natrafiliśmy w lasach na pięć par, ale nikt nie wie, co się stało z ich butami. Nie znaleziono ani jednego buta i ani jednej skarpetki. Nie uważa pan, że to dość niezwykle?

— O, tak, proszę pani. Jasne, że to niezwykle — rzekł, zabijając ramiona dla rozgrzewki. — Ale jak na razie muszę zająć się tą dwójką i nie myśleć o pozostałych czterech parach. Muszę wykonywać swoje obowiązki,

wykorzystując to, co mam. A jak na razie mam niewiele, przypuszczam, że mogli zażywać narkotyki. Nie mogę sobie pozwolić na myślenie o tym, kim jest matka dziewczyny, ani o tym, że być może mamy do czynienia z seryjnym mordercą. To mogłoby odciągnąć moją uwagę od rzeczy oczywistych.

— A pan nie chce przegapić nic oczywistego. — Nie odpowiedział. — Czy znalazł pan jakikolwiek ślad po narkotykach w jeepie?

— Nie. Tu też jak na razie nic nie wskazuje na powiązanie z prochami. Ale musimy przeszukać ziemię i liście, i...

— Pogoda jest koszmarna. Nie jestem pewna, czy przekopywanie się w tej chwili przez glebę jest dobrym pomysłem — powiedziałam ze zniecierpliwieniem. Byłam zła na Morrella. Byłam zła na policję. Deszcz ściekał mi za kołnierz płaszcza i bolały mnie kolana. Ręce i stopy zdrętwiały mi z zimna. Smród był okropny, a bezustanny szum deszczu zaczynał działać mi na nerwy.

— Jeszcze nie zaczęliśmy kopać ani przesiewać ziemi. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie z tym poczekać. Niedługo zrobi się ciemno... Jak na razie używaliśmy tylko detektora... no i własnych oczu.

— No, cóż... im więcej osób będzie się tu teraz kręcić, tym większe są szanse, że zniszczymy dowody. Małe kości, zęby czy inne rzeczy mogą zostać wgniecione w błoto i nigdy ich nie znajdziemy. — Znajdowali się tu od wielu godzin; było już o wiele za późno na zachowanie choćby resztek dowodów.

— Chce je pani dziś przewieźć do miasta czy mamy poczekać, aż pogoda się poprawi? — zapytał Morrell.

W normalnych okolicznościach czekałabym, aż przestanie padać i będzie więcej światła. Kiedy ciała leżą w lesie tak długo, przykrycie ich plastikiem i pozostawienie jeszcze przez kilka dni i tak nie robi żadnej różnicy. Ale gdy wraz z Marinem wysiadaliśmy z samochodów, w okolicy kręciło się już kilka telewizyjnych furgonetek. Dziennikarze siedzieli w samochodach, ale co ambitniejsi uwijali się mimo deszczu, usiłując wy dostać informacje od policjantów pilnujących, by nikt niepowołany nie wszedł na miejsce zbrodni. Wszystko wskazywało na to, że okoliczności nie były

normalne. Choć nie miałam prawa mówić Morrellowi, co ma robić, prawnie ciała należały do mojej jurysdykcji.

— W moim samochodzie są nosze i torby na ciała — powiedziałam, wygrzebując kluczyki z kieszeni. — Jeżeli tylko ktoś je tu przyniesie, raz dwa uwiniemy się z pakowaniem i jeszcze dziś zabiorę ich do kostnicy.

— Jasne. Zaraz się tym zajmę.

— Dzięki.

W tej samej chwili kucnął koło mnie Benton Wesley.

— Skąd się dowiedziałeś? — spytałam. Pytanie było niejasne, lecz on i tak wiedział, o co mi chodzi.

— Morrell złapał mnie w Quantico... przyjechałem najszybciej, jak mogłem. — Przyglądał się ciałom, a jego szczupłą twarz nieomal całkowicie skrywał cień kaptura. — Widzisz coś, co może nam dać jakieś wskazówki, jak to się stało?

— Jak na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że czaszki nie są uszkodzone i że nie zginęli od strzału w głowę.

Nie odpowiedział, a cisza tylko jeszcze bardziej nadwerężyła moje i tak nadszarpnięte nerwy.

Właśnie rozwijałam pokrowce, gdy podszedł do nas Marino z rękoma wbitymi w kieszenie płaszcza. Kroczył zgarbiony, jakby w ten sposób mógł się uchronić przed deszczem i chłodem.

— W ten sposób raz dwa nabawisz się zapalenia płuc — zauważył Wesley, wstając. — Czy departamentu policji w Richmond nie stać na to, by dać wam chociaż płaszcze przeciwdeszczowe?

— Diabła tam — burknął Marino. — Powinienem się cieszyć, że dają na paliwo i zaopatrują człowieka w spluwę. Te łepki ze Spring Street mają lepiej niż my.

Na Spring Street znajdowało się więzienie stanowe. Prawdą było, że z roku na rok coraz więcej pieniędzy wydawano na utrzymanie więźniów, a coraz mniej dostawali policjanci, którzy wsadzali ich za kratki. Marino wprost uwielbiał się na to skarżyć.

— Widzę, że miejscowi przywlekli cię tu aż z Quantico — powiedział do

Wesleya.

— Kiedy tylko dowiedziałem się, co znaleźli, kazałem im do ciebie zadzwonić.

— Taak, trochę im to zajęło.

— Wiem, wiem... Morrell przyznał mi się, że nigdy jeszcze nie wypełniał formularza VICAP. Mógłbyś mu w tym pomóc? — Marino patrzył na ciała; z boku szczęki drgał mu mięsień. — Musimy jak najszybciej wprowadzić te dane do komputera — dodał Wesley.

Deszcz nadal walił o ziemię. Wyłączyłam się z ich rozmowy i rozłożyłam płachtę obok ciała dziewczyny, po czym przewróciłam je na plecy. Trzymało się całkiem nieźle — najwyraźniej nie wszystkie stawy, chrząstki i mięśnie zdążyły się rozłożyć. W klimacie Wirginii, gdy ciało jest wystawione na działanie atmosfery, całkowity rozkład następuje dopiero po roku. Tkanka mięśniowa i chrząstki rozkładają się dość wolno. Przypomniałam sobie zdjęcie zgrabniutkiej gimnastyczki na równoważni — dziewczyna była drobniutka. Zauważyłam, że miała na sobie koszulę, może bluzę, oraz zapinane na suwak džinsy. Rozkładając drugą płachtę, powtórzyłam operację z jej towarzyszem. Przekręcanie ciał podobne jest do odwracania kamieni — nigdy nie wiadomo, co się znajdzie pod spodem, oprócz tego, że zawsze można liczyć na robactwo. Wzdrygnęłam się, gdy kilka pajaków uciekło spod moich dłoni i zniknęło między liśćmi.

Dla wygody przesuwając nieco ciężar ciała, zauważyłam, że Wesley i Marino gdzieś się zmyli. Uklękałam na rozmiękłej ziemi i zaczęłam po omacku szukać między ściółką i błotem zębów, paznokci i małych kostek. Zobaczyłam, że w jednej z czaszek, w szczęce brakuje co najmniej dwóch zębów. Najprawdopodobniej leżały gdzieś pod czerepem. Po jakichś piętnastu, może dwudziestu minutach znalazłam jeden ząb, przezroczysty guzik — prawdopodobnie od koszuli — i dwa niedopałki papierosów. Wiedziałam, że przy każdej znalezionej parze znajdowano niedopałki papierosów, choć nie wszystkie ofiary paliły. Najdziwniejsze było to, że na żadnym z filtrów nie było marki ani nazwiska producenta.

Kiedy Morrell wrócił, zwróciłam mu na to uwagę.

— Nigdy nie byłem na miejscu zbrodni, na którym nie walałyby się pety — powiedział, a ja zastanowiłam się, na ilu miejscach zbrodni był ten młodzik. Dałabym sobie głowę uciąć, że na niewielu.

— Wydaje mi się, że odlepiono papierek w tym miejscu, albo może odszczypano kawałek bibuły przy filtrze — wyjaśniłam, lecz gdy Morrell nic nie odpowiedział, wróciłam do swego zajęcia.

Kiedy wracaliśmy do samochodów, był już późny wieczór. Policjanci nieśli między sobą nosze z jaskrawopomarańczowymi workami na ciała. Kiedy doszliśmy do wąskiej dróżki, uderzył nas w twarze lodowaty wiatr i niedługo potem siąpiący od rana deszcz począł zamarzać. Mój ciemnogrnatowy samochód służbowy mógł też być używany w charakterze karawanu; przymocowałam nosze na tyłach, żeby się nie przewróciły lub nie zsunęły podczas drogi. Zajęłam miejsce kierowcy i gdy zapinałam pasy, Marino usiadł ciężko obok mnie. Morrell zatrzasnął tylne drzwi, a dziennikarze uwiecznili nas na zdjęciach. Jeden z nieustępliwych reporterów cały czas stukał w szybę, lecz zignorowałam go i zamknęłam drzwi od środka. Ruszyliśmy.

— A niech mnie licho... Miałem nadzieję, że już nigdy nie zostanę wezwany na taką wycieczkę — mruknął Marino, kiedy wyjeżdżaliśmy krętą leśną drogą na autostradę. Droga była wyboista, a gdy tylko wsiedliśmy, włączyłam ogrzewanie na cały regulator. Marino przyglądał się dziennikarzom w pośpiechu ładującym się do samochodów. — Co za banda przeklętych sępów. Jakiś idiota pewnie nie potrafił utrzymać gęby na kłódkę. Założę się, że to ten dupek, Morrell. Gdyby był w mojej drużynie, odesłałbym go z miejsca do patrolowania ulic albo do biura informacyjnego.

— Pamiętasz, jak stąd wrócić na sześćdziesiątą czwartą? — spytałam.

— Na tym rozjeździe przed nami skręć w lewo. Cholera. — Uchylił okno i wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni płaszcza. — Nie ma to jak jazda w zamkniętym samochodzie z rozkładającymi się ciałami.

Gdy dotarliśmy na miejsce, otworzyłam tylne drzwi do kostnicy i nacisnęłam czerwony guzik na ścianie. Drzwi windy towarowej rozsunęły się ze zgrzytem, a światło zalało mokry asfalt. Podjechałam nieco bliżej i przy

pomocy Marina wciągnęłam nosze do środka. Przewieźliśmy nasz cuchnący towar, mijając przy okazji kilku patologów, którzy nawet się za nami nie obejrżeli. Widok ciał na noszach był tu czymś normalnym i nikt specjalnie nie zwracał uwagi na przykre zapachy czy plamy krwi na podłodze.

Wyciągnęłam z kieszeni komplet kluczy i otworzyłam drzwi z nierdzewnej stali wiodące do chłodni, po czym zajęłam się plakietkami na nazwiska i wpisywaniem nowego nabytku kostnicy do formularza. Na koniec umieściliśmy ciała w szufladach i zostawiliśmy, by poczekały do rana.

— Mógłbym wstąpić tu jutro, żeby zobaczyć, co ci się udało dowiedzieć o tej dwójce? — spytał Marino.

— Oczywiście, nie ma sprawy.

— To oni — mruknął. — Na pewno.

— Obawiam się, że tak, Marino. Gdzie Wesley?

— W drodze powrotnej do Quantico, gdzie może oprzeć swe śliczne buciki na swym ogromnym biurku i dowiedzieć się o wszystkim przez telefon.

— Zdawało mi się, że Benton jest twoim przyjacielem — rzekłam ostrożnie.

— No, cóż... to jeden z tych głupich dowcipów, jakie nam płata życie. To jak z tym moim wyjazdem na ryby. Wszystkie prognozy pogody twierdzą zgodnie, że będzie bezchmurne niebo, a gdy tylko odcumuję łódkę, zaczyna lać.

— Jak masz służbę w tym tygodniu? Pracujesz wieczorami?

— Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Może wpadłbyś do mnie na obiad w niedzielę wieczorem? O szóstej albo wpół do siódmej?

— Dobra, pewnie wpadnę — odparł, odwracając wzrok, lecz zdążyłam jeszcze zobaczyć ból w jego oczach.

Słyszałam, że przed Świętem Dziękczynienia jego żona wyprowadziła się do New Jersey, podobno po to, by zająć się chorą matką. Od tamtej pory kilka razy zapraszałam Marina na obiad, ale jak dotąd nie chciał ze mną rozmawiać o swoim życiu prywatnym.

Zakładając fartuch ochronny, poszłam do szatni, gdzie w szafce

trzymałam wszystkie niezbędne rzeczy osobiste oraz zmianę ubrania na tak zwane nagłe wypadki. Byłam brudna, a moje ubranie i włosy przesiąkły odorem zgnilizny. Szybko wepchnęłam ubrania do plastikowego worka i nalepiłam na nim kartkę dla sanitariusza, by z samego rana podrzucił je do pralni. Potem weszłam pod prysznic i stałam pod nim bardzo długo.

Jedną z wielu rzeczy, jakie poleciła mi Anna, kiedy Mark przeprowadził się do Denver, było zdobycie się na wysiłek i zniwelowanie szkód, jakie co dzień wyrządzałam memu ciału paleniem.

— Musisz ćwiczyć, Kay — powiedziała Anna; były to słowa, od których przechodziły mnie dreszcze. — Wysiłek doskonale zmniejsza depresję. Ćwicz, a będziesz lepiej spać, jeść i ogólnie czuć się znacznie lepiej. Moim zdaniem powinnaś z powrotem zacząć grać w tenisa.

Posłuchałam jej rady, co okazało się poniżającym doświadczeniem. Nie grałam w tenisa od przeszło dwudziestu lat i choć mój bekhend nigdy nie był dobry, teraz właściwie przestał istnieć. Raz w tygodniu brałam lekcje, późno wieczorem, gdy byłam pewna, że moje skromne wysiłki nie będą obserwowane przez tłum gości raczących się koktajlami dokoła krytego kortu klubu Westwood Racquet.

Po wyjściu z biura miałam niewiele czasu, by pojechać do klubu, wpaść do szatni i przebrać się w strój do tenisa. Wyciągnęłam rakietę z szafki i pobiegłam na kort; do godziny zero zostały mi dwie minuty, więc wykorzystałam je na rozciąganie — choć mięśnie odmawiały współpracy — i kilkakrotnie z podziwu godnym zaparciem usiłowałam dotknąć palców u stóp. Krew zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach.

Ted, mój trener, wyszedł zza zielonej kotary, niosąc dwa kosze piłek.

— Słyszałem wieczorne wiadomości i prawdę mówiąc, nie spodziewałem się pani tu dziś zobaczyć — powiedział, stawiając kosze na ziemi i zdejmując bluzę od dresu. Ted, opalony i przystojny, zawsze witał mnie uśmiechem i żartami, jednak tego dnia był wyjątkowo poważny. — Mój młodszy brat znał Freda Cheney'a... ja też, choć niezbyt dobrze — dodał cicho, wpatrując się w

ludzi grających kilka kortów dalej. — Fred był jednym z najmilszych facetów, jakich w życiu spotkałem. I nie mówię tego tylko dlatego, że on... No, cóż. Mój brat jest naprawdę wstrząśnięty. — Schylił się i podniósł kilka piłek. — Szczerze mówiąc, mnie też wyprowadza z równowagi to, że dziennikarze jakoś cały czas gadają o tym, że zaginęła córka Pat Harvey. Jakby tylko ona była ważna. Nie mówię wcale, że ta dziewczyna nie była wspaniała, ale to, co się z nią stało, jest równie okropne jak to, co się stało z Fredem. — Urwał zakłopotany. — Chyba rozumie pani, o co mi chodzi.

— Tak — odparłam. — Ale z drugiej strony rodzina Debory Harvey jest pod ciągłą obserwacją i ze względu na to, kim jest matka dziewczyny, nigdy nie będzie mieć chwili spokoju, by w samotności opłakać swą stratę. To, co się stało, jest tragiczne i nieszczęśliwe, bez względu na to, z czyjej strony na to się patrzy.

Ted przemyślał przez chwilę to, co powiedziałam, i wreszcie spojrzał mi w oczy.

— Wie pani co? Jakoś nie pomyślałem o tym w ten sposób. Ale ma pani rację. Nie wydaje mi się, by bycie sławnym było taką znowu frajdą. No i nie wydaje mi się, żeby mi pani płaciła za stanie na korcie i gadanie. Nad czym chce pani dziś popracować?

— Nad odbiciami. Chcę, byś przegonił mnie solidnie, od jednego rogu do drugiego, bym mogła sobie przypomnieć, jak bardzo nie znoszę palenia.

— Nie ma sprawy. — Ted podszedł do środka siatki, a ja wycofałam się aż do linii końcowej. Pierwszy forhend nie byłby taki zły, gdybym grała w debla.

Fizyczne zmęczenie było wspaniałym remedium na trudne okoliczności, z którymi się dziś zetknęłam. Biegając po korcie, mogłam o nich zapomnieć, przynajmniej do chwili, gdy zadzwonił telefon, kiedy w domu ściągałam z siebie mokre ubrania.

Dzwoniła Pat Harvey; była przerażona.

— Wiem, że znaleźliście dziś dwa ciała. Muszę znać prawdę!

— Nie zostały jeszcze zidentyfikowane, a ja nawet nie miałam czasu ich zbadać — powiedziałam, siadając na krawędzi łóżka i zdejmując tenisówki.

— Słyszałam, że to ciała kobiety i mężczyzny.
— W tej chwili wszystko na to wskazuje.
— Proszę, niech mi pani powie... czy jest jakakolwiek szansa, że to nie oni? — Zawahałam się. — Och, Boże... — wyszeptała.
— Pani Harvey, nie mogę jak na razie...
Przerwała mi gwałtownie, a w jej głosie zaczynała pobrzmiwać histeria.
— Policja powiedziała mi, że znaleźli torebkę Debbie i jej prawo jazdy. Morrell, ty skretyniały sukinsynu, pomyślałam.
— Nie możemy dokonać identyfikacji tylko na podstawie znalezionych rzeczy osobistych — rzekłam.
— To moja córka!
Zaraz usłyszę przekleństwa i groźby. Przerabiałam to już z rodzicami poprzednich ofiar, którzy w normalnych warunkach byli idealnie grzeczni i cywilizowani. Postanowiłam dać Pat Harvey coś konstruktywnego do roboty.
— Ciała nie zostały jeszcze zidentyfikowane — powtórzyłam.
— Chcę ją zobaczyć.
Nie, nawet za milion lat nie, pomyślałam.
— Ciała są w tak zaawansowanym stopniu rozkładu, że identyfikacja wzrokowa jest niemożliwa — powiedziałam i usłyszałam, jak Pat Harvey wciąga powietrze. — Ale jeżeli mi pani pomoże, może ustalimy tożsamość ofiar już jutro... w przeciwnym razie zabierze nam to kilka dni.
— Co mam zrobić? — zapytała drżącym głosem.
— Potrzebuję zdjęć rentgenowskich, kart stomatologicznych, wszystkiego, co dotyczy zdrowia Debory. — Odpowiedziała mi cisza. — Czy może to pani dla mnie zdobyć?
— Oczywiście — odrzekła. — Zaraz się tym zajmę.
Podejrzywałam, że będzie miała komplet dokumentów jeszcze przed wschodem słońca, nawet gdyby miała wywlec z łóżek połowę lekarzy w Richmond.

Kiedy następnego popołudnia zdejmowałam plastikową płachtę ze

szkieletu w kostnicy, usłyszałam w holu głos Marina.

— Tu jestem! — zawołałam.

Marino wszedł do pokoju konferencyjnego i z pokerową miną przyjrzał się szkieletowi, którego kości połączone były ze sobą cienkimi drucikami, a mały haczyk zamocowany do podstawy czaszki trzymał ją na miejscu. Cały szkielet wisiał na metalowym drążku w kształcie litery L. Był nieco wyższy ode mnie, a jego stopy kołysały się swobodnie nad drewnianą podstawą z kółkami.

Zabrałam dokumenty ze stołu i odwróciłam się do Marina.

— Możesz go popchać?

— Zabierasz Chudego na spacer?

— Jedziemy z nim na dół, poza tym ma na imię Haresh — odparłam.

Kostki i małe kółeczka klekotały cicho, gdy Marino i jego szczerzący zęby towarzysz podążali za mną ku windzie, przyciągając rozbawione spojrzenia personelu medycznego. Haresh nieczęsto opuszczał swój kącik w sali konferencyjnej, a gdy tak się działo, jego porywacz zazwyczaj miał poważne powody. Z drugiej strony, w zeszłym roku w czerwcu, w dniu urodzin, gdy weszłam do swojego gabinetu, zastałam Haresha siedzącego za biurkiem, ubranego w moje okulary i fartuch, z papierosem wciśniętym między zęby. Jeden z bardziej roztargnionych patologów — tak mi w każdym razie opowiadano — przeszedł obok otwartych drzwi mego gabinetu i powiedział dzień dobry, nie zauważywszy przy okazji nic niezwykłego w postaci siedzącej za biurkiem.

— Chyba nie chcesz mi wmówić, że gdy pracujesz tam na dole, on z tobą rozmawia — odezwał się Marino, kiedy zamknęły się za nami drzwi windy.

— Na swój sposób tak — odrzekłam. — Przekonałam się, że posiadanie go pod ręką podczas autopsji jest o wiele wygodniejsze niż sięganie do tablic w „Anatomii Graya”.

— Skąd się wzięło jego imię?

— Podobno w czasie, gdy został kupiony, pracował tu pewien Hindus imieniem Haresh. Notabene szkielet także jest hinduskiego pochodzenia.

Należał do mężczyzny, czterdziestoletniego... może ciut starszego.

— Hindusi to ci z doliny Gangesu, tak? Ci, co malują sobie kropki na czołach?

— Taak i wrzucają zmarłych do rzeki, wierząc, że w ten sposób najkrótszą drogą trafią do nieba.

— Mam nadzieję, że nie znajduje się ono w twojej kostnicy.

Kości i kółka znowu zagrzechotały, gdy Marino wjechał z Hareshem do sali, w której wykonywano autopsje.

Na białej płachcie przykrywającej stół z nierdzewnej stali leżały szczątki Debory Harvey; brudne, szare kości, zbite kosmyki unurzanych w błocie włosów i więzadła ścięgien twarde i ciemne, niczym dawno wyprawiona skóra. Zapach zgnilizny unosił się w powietrzu, lecz nie był aż tak nieznośny jak poprzedniego wieczoru, ponieważ zdjęłam z ofiary resztki ubrania. Szczątki dziewczyny znajdowały się w opłakanym stanie, a w porównaniu z białutkimi, czyściutkimi kośćmi Haresha sprawiały jeszcze smutniejsze wrażenie.

— Chcę ci powiedzieć kilka rzeczy — odezwałam się, nie patrząc na Marina. — Ale najpierw musisz mi obiecać, że to, co powiem, zostanie między nami.

Marino zapalił papierosa i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— Dobra.

— Nie ma najmniejszych wątpliwości, kogo tu mamy — zaczęłam, układając obojczyki po obu stronach czaszki. — Dziś rano Pat Harvey przyniosła mi zdjęcia rentgenowskie i klisze dentystyczne...

— Osobiście? — przerwał mi Marino.

— Niestety tak — odpowiedziałam; nie spodziewałam się, że sama dostarczy mi te dokumenty. Było to przeoczenie, którego prędko nie zapomnę.

— Musiała wywołać niezłe zamieszanie.

I wywołała.

Podjechawszy pod budynek swoim jaguarem, zostawiła go zaparkowanego niezgodnie z przepisami tuż przy krawężniku i stanęła przed

repcjonistką roztrzęsiona, żądając wyjaśnień. Dziewczyna, najwyraźniej speszona obecnością tak sławnej osoby — wpuściła ją do środka i pani Harvey od razu pomknęła korytarzami w poszukiwaniu mojej skromnej osoby. Zdaje mi się, że poszłaby do samej kostnicy na dole, gdyby tuż przy windzie nie spotkał jej mój administrator i nie zaprowadził do gabinetu na piętrze, w którym zastałam ją chwilę później. Siedziała na krześle sztywno wyprostowana, a twarz miała białą jak kreda. Na moim biurku leżały akty zgonów, raporty i fotografie z autopsji oraz stał słoik z wyciętym fragmentem ciała, na którym wyraźnie widać było ranę kłutą. Na drzwiach wisiał biały fartuch poplamiony krwią, który miałam zamiar jeszcze poprzedniego dnia odnieść do pralni, ale nie zdążyłam. Dwie zrekonstruowane twarze do tej pory nie zidentyfikowanych ofiar morderstw stały na górnej półce szafki z książkami, wyglądając jak dwie dekapitowane gliniane głowy.

Pat Harvey zobaczyła więcej, niż śniło się jej w najśmielszych snach. Bez zastanowienia wskoczyła w sam środek twardej rzeczywistości mojego miejsca pracy.

— Morrell przyniósł mi także kartę dentystyczną Freda Cheney'a — powiedziała do Marina.

— W takim razie to na pewno Debora Harvey i Fred Cheney?

— Tak — odparłam i wskazałam mu zdjęcia rentgenowskie przyklejone do podświetlarki.

— To chyba nie to, co myślę. — Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, gdy na zdjęciu zobaczył wyraźny okrągły otwór w mglistym zarysie kręgu lędźwiowego.

— Debora Harvey została postrzelona. — Podniosłam ze stołu krąg, o którym mówiliśmy. — Dostała prosto w sam środek pleców. Kula spowodowała pęknięcie wyrostka kręgowego, po czym utkwiała w rdzeniu. O, tutaj. — Dotknęłam palcem zdjęcia.

— Nic nie widzę. — Marino nachylił się nade mną.

— Wiem, że nie widzisz... ale dziura jest, prawda?

— Taak, całe mnóstwo dziur.

— Ale to tu, to dziura po kuli. Te inne to otwory naczyniowe, czyli

otwory na naczynia krwionośne dostarczające krew do szpiku kostnego.

— A gdzie są pęknięte przyrostki?

— Wyrostki — poprawiłam go cierpliwie. — Nie znalazłam ich... są w kawałkach i pewnie nadal leżą gdzieś w błocie w lesie. Jest wlot, ale nie ma wylotu. Została postrzelona w plecy.

— Znalazłaś dziurę po kuli na jej ubraniu?

— Nie.

Na stoliku nieopodal, na białej tacy położyłam wszystkie przedmioty należące do Debory, w tym jej ubrania, biżuterię i czerwoną nylonową torebkę. Ostrożnie podniosłam czarną, podartą, przegniłą bluzę.

— Jak widzisz cała, a szczególnie tył, jest w wyjątkowo fatalnym stanie. Większość tkaniny całkowicie przegniła i została podarta przez drapieżniki. To samo dotyczy tylnej, górnej części jej spodni... to miałoby sens, zakładając, że te właśnie części ubrania byłyby zakrwawione. Innymi słowy, fragmenty ubrania, w których można by znaleźć dziurę po kuli, po prostu nie istnieją.

— A co z dystansem? Potrafisz określić, z jakiej odległości padł strzał?

— Jak już powiedziałam, na razie nie mamy kuli. To nasuwa mi przypuszczenie, że nie mamy do czynienia z raną kontaktową, ale nic pewnego. Jeżeli chodzi o kaliber, to też mogę tylko zgadywać. Na podstawie wielkości dziury w kręgu, podejrzewam, że trzydziestkaósemka albo nawet większy.

— Dziwne — mruknął Marino. — Jeszcze nie oglądałaś Cheney'a?

— Na razie został tylko prześwietlony. Żadnych kul, ale nie, jeszcze go nie badałam.

— Dziwne — powtórzył. — Nie zgadza się. To, że dziewczyna została postrzelona, nie pasuje do pozostałych spraw.

— Ano nie. — Kiwnęłam głową. — Nie pasuje.

— Więc to ją zabiło?

— Nie wiem.

— Jak to, nie wiesz? — Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Taka rana nie od razu powoduje zgon. Ponieważ kula nie przeszła na wylot, nie przecięła aorty; gdyby tak się stało na poziomie lędźwi,

dziewczyna wykrwawiłaby się w ciągu kilku minut. Najważniejsze dla nas jest to, że kula przecięła rdzeń kręgowy i sparaliżowała ją od pasa w dół. Oczywiście, zostały rozerwane naczynka krwionośne, więc krwawiła.

— Jak długo mogła przeżyć z taką raną?

— Kilka godzin.

— A co z prawdopodobieństwem gwałtu?

— Majtki i stanik miała na miejscu — odpowiedziałam. — Ale to wcale nie oznacza, że nie została zgwałcona. Mógł jej pozwolić ubrać się z powrotem... zakładając oczywiście, że została zgwałcona, zanim ją postrzelił.

— Po co miałyby jej pozwalać na ubranie się?

— Jeżeli zostałaś zgwałcona, a napastnik mówi ci, że masz się ubrać, zakładasz, że cię nie zabije. Dzięki nadziei jakoś nad sobą panujesz, bo jeżeli nie będziesz współpracować, oprawca może się rozmyślić i jednak cię zabić.

— Coś mi się tu nie zgadza. — Marino zmarszczył brwi. — Po prostu nie wydaje mi się, że tak to się odbyło.

— To tylko hipoteza. Nie mam pojęcia, co zaszło. Z całkowitą pewnością mogę ci tylko powiedzieć, że jej ubranie nie było podarte, pocięte ani założone na lewą stronę. Po tylu miesiącach w lesie możemy zapomnieć o śladach nasienia. — Podając mu notatnik i ołówek, dodałam: — Skoro już tu jesteś, możesz robić dla mnie notatki?

— Planujesz powiedzieć o tym Bentonowi? — zapytał.

— Nie w tej chwili.

— A Morrellowi?

— No jasne, powiem mu, że Debora Harvey została zastrzelona — burknęłam. — Jeżeli był to pistolet automatyczny lub półautomatyczny, to łuska nadal może się znajdować na miejscu zbrodni. Jeżeli gliniarze lubią plotkować, to ich problem. Ja trzymam buzię na kłódkę.

— A co z panią Harvey?

— Państwo Harvey wiedzą, że ich córka i Fred zostali zidentyfikowani. Zadzwoiłam do nich oraz do pana Cheneya, gdy tylko uzyskałam pewność. Nie zamierzam nikomu podawać więcej żadnych informacji, dopóki nie skończę autopsji.

Żebra zagrzechotały cicho, gdy układałam je obok siebie.

— Dwanaście po każdej stronie — zaczęłam dyktować. — Wbrew legendzie kobiety nie mają jednego żebra więcej niż mężczyźni.

— Co takiego? — Marino podniósł wzrok znad notatnika.

— Nigdy nie czytałeś Księgi Rodzaju? — Pustym wzrokiem patrzył na kości ułożone po obu stronach kręgow kręgosłupa. — Wszystko jedno.

Następnie zaczęłam rozglądać się za kośćmi nadgarstka — drobnymi kosteczkami, podobnymi do małych kamyczków, jakie można znaleźć — na dnie strumienia lub wykopać we własnym ogródku. Bardzo trudno jest odróżnić kości prawej ręki od kości lewej i właśnie po to potrzebny był mi Haresh. Przysunęłam go bliżej do stołu i oparłszy jego kościstą dłoń o blat, zaczęłam żmudne porównywanie. To samo powtórzyłam przy kościach palcowych.

— Wygląda na to, że brakuje jej jedenastu kości w prawej dłoni i siedemnastu w lewej — rzekłam wreszcie.

Marino zapisał.

— Z ilu?

— W dłoni jest dwadzieścia siedem kostek — wyjaśniłam, nie przerywając pracy. — To dzięki nim dłoń jest tak giętka. Dzięki temu potrafimy malować, grać na skrzypcach czy pieścić się nawzajem.

Dzięki temu potrafimy się też bronić.

Dopiero następnego popołudnia zdałam sobie sprawę z tego, że Debora Harvey usiłowała bronić się przed napastnikiem, który był uzbrojony w coś więcej niż tylko pistolet. Na dworze znacznie się ociepliło, niebo się rozchmurzyło, a policjanci przeszukiwali miejsce zbrodni przez cały dzień. Krótco po czwartej po południu wpadł do mnie Morrell i przyniósł kilka maleńkich kosteczek znalezionych w lesie. Pięć z nich należało do Debory, a na grzbietowej części najdłuższej z kości palca wskazującego znalazłam półcalowe nacięcie.

Pierwsze pytanie, jakie sobie zadaję, gdy znajdę uszkodzenia tkanki lub

kości, to czy zostało zadane przed śmiercią ofiary, czy potem. Jeżeli ktoś nie jest świadom procesów, jakie zachodzą w ciele po śmierci, może popełnić kardynalne błędy.

Ludzie, którzy zginęli w pożarach, przyjeżdżają do kostnicy ze złamanymi kośćmi i krwotokami wewnątrzczaszkowymi i wyglądają, jakby ktoś długo nad nimi pracował przed podpaleniem domu. Mimo iż na pierwszy rzut oka wyglądają na ofiary morderstwa, ich rany i uszkodzenia są pośmiertne i spowodowane wysoką temperaturą. Ciała znalezione na brzegach jezior albo wyłowione z rzek często wyglądają tak, jakby jakiś zdegenerowany morderca zmasakrował ich twarze, dłonie, genitalia czy stopy, gdy tymczasem prawdziwymi winowajcami są kraby, ryby i żółwie. Bardzo często szczątki pozostawione w lasach są rozszarpywane, nadgryzane i miętoszone przez szczury, jaszczurki, psy, a nawet szopy pracze.

Czworonożne, skrzydlate i płetwiaste drapieżniki sprawiają wiele szkód, lecz na szczęście dopiero po śmierci nieszczęśnika. Natura po prostu zaczyna proces samooczyszczania. Proch do prochu — popiół do popiołu.

Moim zdaniem nacięcie na kości palca wskazującego Debory Harvey było zbyt gładkie i równe jak na ślad po zębie czy pazurze drapieżnika. Ale to i tak pozostawiało mnóstwo pola dla domysłów i podejrzeń — w tym także nieuniknione oskarżenie o to, że to ja, już w kostnicy, skaleczyłam kość skalpelem.

W środę policja poinformowała dziennikarzy, kogo znaleziono, i przez następne czterdzieści osiem godzin w kostnicy rozdzwoniły się telefony. Recepcjonistki przy głównym wejściu nie mogły zająć się własną pracą, gdyż były zmuszone od rana do wieczora odbierać telefony. Rose informowała wszystkich, włącznie z Bentonem Wesleyem i Pat Harvey, że badania są jeszcze w toku, podczas gdy ja pracowałam w sali na dole.

W niedzielę nie miałam już wiele do zrobienia. Szczątki Debory i Freda zostały rozłożone na czynniki pierwsze, sfotografowane z każdej strony, a lista ich kości skompletowana. Właśnie pakowałam szkielety do kartonowego pudełka, gdy usłyszałam dzwonek. Potem usłyszałam kroki strażnika z nocnej zmiany i zgrzyt otwierających się drzwi. Chwilę później do sali wszedł

Marino.

— Zamierzasz tu spędzić noc czy co? — spytał.

Uniosłam na niego wzrok i ze zdumieniem zobaczyłam, że płaszcz i włosy ma zupełnie mokre.

— Śnieg pada. — Ściągnął rękawiczki i położył telefon komórkowy na brzegu stołu, podczas gdy ja kończyłam pakowanie.

— Tylko tego mi teraz trzeba — westchnęłam.

— I to całkiem nieźle sypie. Przejeżdżałem obok i zobaczyłem, że twój wóz nadal stoi na parkingu. Pomyślałem, że siedzisz w tej swojej jaskini od samego świtu i całkiem zapomniałaś o bożym świecie.

Coś mi się przypomniało, gdy zaklejałam taśmą pudełko.

— Zdawało mi się, że w tym tygodniu nie pracujesz na nocnej zmianie.

— Taak, a mnie się zdawało, że byliśmy umówieni na obiad.

Przerwałam to, co robiłam, i spojrzałam na niego z ciekawością. A potem przypomniałam sobie.

— Och, nie — mruknęłam pod nosem. Popatrzyłam na zegar na ścianie: było już po ósmej. — Marino, strasznie cię przepraszam.

— Nie ma o czym mówić. I tak miałem kilka spraw do załatwienia.

Zawsze wiedziałam, kiedy kłamie. Nie patrzył mi wtedy w oczy i robił się cały czerwony na twarzy. Wcale nie przejeżdżał przypadkowo obok kostnicy. Szukał mnie i chodziło mu o coś więcej niż tylko o obiad. Coś go gryzło.

Oparłam się o stół i spojrzałam na niego z uwagą.

— Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć... Pat Harvey była w ciągu weekendu w Waszyngtonie. Pojechała na spotkanie z dyrektorem FBI — powiedział.

— Czy to Benton ci o tym powiedział?

— Aha. Powiedział też, że usiłował się do ciebie dodzwonić, ale nie odpowiadasz na jego telefony. Narkotykowa Caryca także skarży się, że do niej nie oddzwoniasz.

— Chwilowo nie odpowiadam na niczyje telefony — odrzekłam ze zmęczeniem. — Oględnie rzecz ujmując, byłam trochę zajęta. Poza tym, jak na razie, nie mam nic do dodania.

Spoglądając na kartonowe pudełko stojące na stole, Marino rzekł:

— Wiesz, że Debora została postrzelona. Że to było morderstwo. Na co czekasz?

— Nie mam pojęcia, co spowodowało śmierć Freda Cheney'a ani czy były w to zamieszane jakieś narkotyki. Czekam na wyniki badań toksykologicznych i nie zamierzam nic nikomu mówić, dopóki nie pogadam z Vesseyem.

— Tym facetem ze Smithsonian?

— Umówiłam się z nim na jutro rano.

— Mam nadzieję, że masz napęd na cztery koła.

— Nie powiedziałaś mi, po co Pat Harvey spotkała się z dyrektorem.

— Oskarża twoje biuro o brak współpracy, o to samo ma pretensje do całego FBI. Jest strasznie wkurzona. Żąda raportu z autopsji oraz raportów policyjnych, całych dziewięciu metrów... i grozi, że zdobędzie nakaz sądowy, jeżeli natychmiast nie spełnimy jej żądań.

— Toż to szaleństwo!

— Bingo. Ale jeżeli mogę ci coś doradzić, doktorku, zadzwoń do Bentona Wesleya jeszcze tej nocy.

— Po co?

— Nie chcę, byś się sparzyła, to wszystko.

— O czym ty mówisz, Marino? — spytałam, ściągając rękawiczki chirurgiczne.

— Im bardziej będziesz teraz wszystkich unikać, tym więcej dolejesz benzyny do ognia. Wedle słów Bentona pani Harvey jest przekonana, że to jakaś zmowa przeciwko niej i że wszyscy jesteśmy w nią zamieszani. — Kiedy nie odpowiedziałam, zapytał: — Słyszysz mnie?

— Taak, każde słowo.

Podniósł pudełko.

— Aż dziw bierze, że w tym maleństwie siedzi dwoje ludzi — rzekł z zachwytem.

Było to doprawdy niesamowite. Pudełko było nie większe od kuchenki mikrofalowej i ważyło dziesięć, może dwanaście funtów. Kiedy wsadził je do

bagażnika mojego służbowego samochodu, powiedziałam cicho:

— Dzięki za wszystko.

— Hmm?

Wiedziałałam, że usłyszał moje słowa, lecz chciał, bym je powtórzyła.

— Doceniam twoją troskę, Marino. Naprawdę. I bardzo mi przykro z powodu tego obiadu. Czasem jestem naprawdę do niczego.

Padał gęsty śnieg, a on jak zwykle nie miał czapki. Przekręciłam kluczyki w stacyjce, włączyłam ogrzewanie na pełny regulator i spojrzałam na niego. Pomyślałam, że to dziwne, jak wielką przyjemność sprawia mi jego towarzystwo. Marino grał mi na nerwach znacznie bardziej niż jakakolwiek ze znanych mi osób, ale nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

— No, cóż... masz u mnie dług — mruknął, zamykając drzwi mojego samochodu.

— *Semifreddo di cioccolato.*

— Uwielbiam, kiedy przeklinasz.

— To deser. Moja specjalność, ty wielki głupolu. Krem czekoladowy z paluszkami.

— Paluszkami?! — Udając przerażenie, Marino spojrzał znacząco w stronę drzwi do kostnicy.

Droga do domu zajęła mi mnóstwo czasu. Jechałam powoli autostradą zasypaną śniegiem, koncentrując się tak mocno, że zanim dojechałam na miejsce, nabawiłam się potwornego bólu głowy. Pierwsze, co zrobiłam, to poszłam do kuchni i nalałam sobie drinka. Potem usiadłam przy stole, zapaliłam papierosa i wykręciłam domowy numer Bentona Wesleya.

— I co odkryłaś? — brzmiało jego pierwsze pytanie.

— Debora Harvey została postrzelona w plecy.

— Morrell już mi o tym powiedział. Powiedział także, że kula była dość niezwykła. HydraShock, dziewięć milimetrów.

— Zgadza się.

— A co z chłopakiem?

— Jeszcze nie wiem, jak zginął. Czekam na wyniki testów toksykologicznych i muszę porozmawiać z Vesseyem ze Smithsonian. Jak na

razie sprawy nie posuwają się naprzód.

— Im dłużej tak pozostanie, tym lepiej.

— Że co, przepraszam?

— Mówię ci, żebyś jak najdłużej trzymała te sprawy w zawieszeniu, Kay. Nie chcę, byś wysyłała do kogokolwiek raporty w tej sprawie, nawet do rodziców. Szczególnie nie do Pat Harvey. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że Debora została postrzelona...

— Chcesz mi powiedzieć, że Harveyowie nic nie wiedzą?

— Kiedy Morrell mnie o tym poinformował, kazałem mu przysiąc, że nikomu nie piśnie ani słowa. I nie, Harveyowie nic nie wiedzą. Uhm... policja nic im nie powiedziała. Wiedzą tylko, że ich córka i Fred Cheney nie żyją. — Urwał na chwilę, po czym dodał: — Chyba że ty im powiedziałaś coś, o czym nie wiem.

— Pani Harvey kilkakrotnie usiłowała się do mnie dodzwonić, ale przez ostatnie kilka dni nie miałam czasu porozmawiać ani z nią, ani z nikim innym.

— I niech tak pozostanie — rzekł Wesley władczy tonem. — Proszę, byś kontaktowała się tylko ze mną.

— Przyjdzie taki moment, Benton, że będę musiała publicznie ogłosić przyczynę ich zgonów — powiedziałam równie władczo. — Zgodnie z prawem rodziny Debory i Freda powinny mieć dostęp do tych informacji.

— Zwlekaj z tym tak długo, jak tylko się da.

— Czy możesz być tak miły i powiedzieć mi dlaczego? — Cisza. — Benton? — Zaczęłam się zastanawiać, czy się nie rozłączył.

— Po prostu nie mów nic nikomu bez wcześniejszego porozumienia się ze mną. — Znowu się zawahał. A potem: — Zakładam, że wiesz, iż Abby Turnbull podpisała kontrakt na napisanie książki.

— Czytałam coś w gazecie — odparłam; zaczęły ponosić mnie nerwy.

— Czy kontaktowała się z tobą? To znaczy, ostatnio?

Znowu?! Skąd Wesley wie, że widziałam się z Abby zeszłej jesieni? A niech cię szlag, Mark! Kiedy zadzwonił do mnie, wspomniałam, że Abby zatrzymała się u mnie na noc.

— Nie, nie odzywała się do mnie — powtórzyłam krótko.

Rozdział szósty

W poniedziałek rano drogę przed moim domem pokrywała gruba warstwa śniegu, a sine niebo wróżyło tylko pogorszenie pogody. Zaparzyłam sobie filiżankę kawy i zastanowiłam się, czy wyjazd do Waszyngtonu w taki dzień ma jakikolwiek sens. Wahając się, czy aby nie zmienić planów, zadzwoniłam do biura policji stanowej i dowiedziałam się, że autostrada numer I-95, wiodąca na północ do stolicy, jest czysta, a już za Fredricksburgiem grubość warstwy śniegu nie przekracza jednego cala. Wiedziałam, że mój służbowy samochód najprawdopodobniej w ogóle nie ruszy w taką pogodę, więc załadowałam tekturowe pudło do mercedesa.

Wjeżdżając na autostradę, pomyślałam, że jeżeli będę miała stłuczkę albo zatrzyma mnie jakiś policjant z drogówki, niełatwo będzie wytłumaczyć, dlaczego jadę na północ prywatnym samochodem, wioząc w bagażniku dwa ludzkie szkielety. Czasem pokazanie odznaki koronera nie wystarcza. Nigdy nie zapomnę lotu do Kalifornii, podczas którego w walizce miałam cały zestaw sadomasochistycznych rekwizytów. Walizka ta dojechała tylko do kontroli bagażu, a w chwilę później ochrona lotniska zabrała mnie na regularne przesłuchanie. Bez względu na to, co mówiłam, nie mogli zrozumieć, że jestem koronerem i jadę właśnie na zjazd Narodowego Związku Patologów Sądowych, gdzie mam wygłosić odczyt na temat autoerotycznych uduszeń. Kajdanki, wysadzone ćwiekami skórzane obroże, skórzana bielizna i inne niezwykle akcesoria były dowodami ze starych spraw i wbrew pozorom nie należały do mnie.

O wpół do jedenastej dojechałam już do stolicy i udało mi się nawet znaleźć miejsce do zaparkowania zaledwie o przecznicę od skrzyżowania Constitution Avenue i Dwunastej. Ostatni raz byłam w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej Smithsonian kilka lat temu, kiedy uczestniczyłam w kursie antropologii sądowej. Wchodząc do głównego holu, wypełnionego zapachem doniczkowych orchidei i gwarem rozmów zwiedzających, z kartonowym pudłem pod pachą, myślałam, że przyjemnie byłoby po prostu przechadzać

się tymi korytarzami, podziwiając dinozaury i klejnoty, mumie i mastodonty, nie zaprzatając sobie głowy mroczniejszymi skarbami, jakie skrywały ściany tego miejsca.

Od sufitu do podłogi, na każdym wolnym calu przestrzeni niedostępnej dla oczu zwiedzających, pięły się rzędy zielonych, drewnianych szuflad, w których oprócz tysiąca innych martwych rzeczy znajdowało się przeszło trzydzieści tysięcy ludzkich szkieletów. Kości najróżniejszych kształtów i wymiarów co dzień przychodziły pocztą do doktora Aleksa Vessey'a, z prośbą, by je zbadał. Niektóre szczątki pochodziły z archeologicznych wykopalisk, inne okazywały się niedźwiedzimi łapami albo zwietrzalymi czaszkami cielaków, wyglądającymi na ludzkie kości, które farmerzy wydobyli z ziemi w czasie orki i podejrzewali, że należą do jakiegoś nieszczęśnika, który skończył gwałtowną śmiercią. Niektóre z tych przesyłek faktycznie zawierały szczątki ofiary jakiegoś morderstwa. Vessey, oprócz tego, że był naukowcem i kuratorem, współpracował także z FBI oraz pomagał ludziom takim jak ja.

Zameldowałam się u ponurego strażnika, przypięłam przepustkę upoważniającą mnie do chodzenia po części budynku niedostępnej dla zwiedzających i poszłam w kierunku masywnej windy o żelaznych kratkach zamiast drzwi, która miała zawieźć mnie na trzecie piętro. Kiedy szłam mrocznym korytarzem aż do sufitu wypełnionym półkami, głosy ludzi podziwiających wypchanego słonia na dole zaczęły rozptywać się w oddali. Zaczęło mnie ogarniać poczucie klaustrofobii. Przypomniałam sobie, jak po ośmiu godzinach zajęć w tym miejscu byłam tak złaźniona zmysłowych wrażeń, że gdy wreszcie wydostałam się z muzeum na ulicę, z radością witałam uliczny gwar i szum samochodów.

Odszukałam doktora Vessey'a dokładnie tam, gdzie widziałam go po raz ostatni — w laboratorium zapchanym po brzegi stalowymi wózekkami ze szkieletami ptaków, małych zwierzątek, zębów i szczęk. Na półkach pod ścianami dostrzegłam mnóstwo kości i innych szczątków ludzkich, takich jak czaszki czy zmniejszone głowy. Doktor Vessey, siwowłosy, z grubymi okularami na nosie, siedział za biurkiem i właśnie rozmawiał przez telefon. Podczas gdy on kończył rozmowę, ja postawiłam kartonowe pudło na blacie i

wyjęłam plastikową torebkę zawierającą kość z lewej dłoni Debory Harvey.

— Córka Narkotykowej Carycy? — spytał Vessey bez zbędnych uprzejmości, biorąc ode mnie torebkę.

Było to dość dziwne pytanie, lecz w pewien sposób oddawało klimat sprawy. Debora została zredukowana do rangi naukowego kuriozum, kawałka dowodu rzeczowego.

— Tak — odparłam, wyjmując długą kość palca i obracając ją pod jasnym światłem lampki stojącej na biurku.

— Bez wahania mogę ci powiedzieć jedno, Kay. To nie jest cięcie, które nastąpiło pośmiertnie. Choć niektóre stare rany mogą wyglądać na nowe, żadna świeża rana nie może wyglądać staro — powiedział. — Wnętrze rany jest odbarwione pod wpływem działania środowiska naturalnego, tak samo jak reszta kości. Ponadto sposób, w jaki brzegi rany są odgięte do tyłu, wskazuje, że rana nie została zadana martwej kości. Świeże kości odginają się, martwe — nigdy.

— Doszłam do takich samych wniosków — odparłam, przyciągając sobie krzesło. — Ale wiesz przecież, że pojawi się mnóstwo pytań.

— I dobrze — mruknął, patrząc na mnie znad grubych oprawek okularów. — Nie uwierzyłybyś, jakie sprawy przechodzą przez moje ręce.

— Podejrzewam, że mogłabym uwierzyć — rzekłam, przypominając sobie, że kompetencje patologów sądowych niesamowicie wahają się w zależności od stanu, a nawet od miasta.

— Kilka miesięcy temu pewien koroner przysłał kawałek tkanki miękkiej i kość, mówiąc mi, że to szczątki niemowlęcia znalezione na śmietniku. Miałem ustalić płeć i rasę. Okazało się, że szczątki należały do dwumiesięcznego setera, płci męskiej. Niedługo potem inny patolog, który nie odróżniał chyba kości od kaktusa, przysłał mi szkielet znaleziony w bardzo płytkim grobie. Nie miał pojęcia, jak ten ktoś umarł, i chciał, bym to wyjaśnił. Naliczyłem czterdzieści kilka nacięć na kościach, wszystkie brzegi ran były poodginane — podręcznikowy przykład ran zadanych świeżym kościom, z całą pewnością śmierć gwałtowna i nienaturalna. — Przetarł szkła okularów brzegiem laboratoryjnego fartucha. — Oczywiście, trafiają mi się tu

także inne rany zadane kościom. Na przykład przez patologów robiących sekcje.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że to rana zadana przez drapieżnika?
— zapytałam, choć wiedziałam, że właściwie nie ma takiej możliwości.

— No, cóż... czasem trudno jest odróżnić cięcia zadane nożem od śladów zębów mięsożerców. Jestem jednak przekonany, że w tym wypadku mamy do czynienia z raną zadaną nożem, w każdym razie czymś o ostrym ostrzu.
— Wstając, dodał nieomal wesoło: — Chodź, rzucimy na to okiem.

Antropologiczne kuriozum, które wyjątkowo mnie stresowało, sprawiło, że doktor Vessey poczuł nagły przyływ energii i dobrego humoru. Z radością odsunął kilka drobnych szkieletów z laboratoryjnego stołu, włączył mikroskop i ustawił kość Debory Harvey na szkiełku. Przez długą chwilę w milczeniu spoglądał przez soczewki i obracał kość do światła, po czym mruknął:

— A to ciekawe. — Czekałam, nie komentując. — Czy to jedyne cięcie, jakie znalazłaś?

— Tak — odparłam. — Może, kiedy zbadasz szczątki, znajdziesz coś jeszcze. Nie znalazłam nic oprócz tej dziury po kuli w odcinku lędźwiowym kręgosłupa, o której ci wspomniałam przez telefon.

— Taak... pamiętam, kula przecięła rdzeń kręgowy.

— Aha. Dziewczyna została postrzelona w plecy, a kulę wyciągnęłam z jednego z kręgow.

— Czy wiesz, gdzie to mogło się zdarzyć?

— Nie wiemy, gdzie znajdowała się w lesie ani czy w ogóle w nim była, kiedy została postrzelona.

— No i ma to cięcie na dłoni — mruknął doktor Vessey najwyraźniej zamyślony; znowu pochylił się nad mikroskopem. — Nie mamy skąd się dowiedzieć, którą ranę zadano pierwszą. Po strzale była sparaliżowana od pasa w dół, ale nadal mogła poruszać rękoma.

— Więc jest to rana, którą otrzymała, broniąc się przed napastnikiem?
— Sama już to podejrzewałam.

— Ale bardzo niezwykła, Kay. Została zadana na grzbietowej powierzchni kości. — Odchylił się na krześle i spojrzał na mnie. — Większość

ran zadanych ofierze podczas obrony znajduje się na wewnętrznej powierzchni dłoni i palców. — Uniósł otwartą dłoń ku górze. — Ale ona ma ranę na górnej powierzchni. — Odwrócił rękę. — Tego typu rany zazwyczaj kojarzę z obrażeniami, jakich doznaje ktoś, kto broni się w sposób bardzo agresywny.

— Chcesz powiedzieć, że sam uderza — dodałam.

— Dokładnie tak. Jeżeli zamierzam się na ciebie nożem, a ty usiłujesz mnie uderzyć w kontrataku, najprawdopodobniej będziesz miała rany na wierzchniej części dłoni. Na pewno nie będzie mieć ran wewnątrz dłoni, chyba że w pewnym momencie rozluźnisz zaciśniętą pięść. Ale, co ważniejsze, większość ran tego typu jest ranami gładkimi. Jeżeli napastnik unosi nóż albo nim dźga, a ofiara podnosi dłoń lub rękę, by się zasłonić, i uderzenie jest wystarczająco silne, by dojść do kości, zazwyczaj bardzo trudno jest cokolwiek powiedzieć o ostrzu, którym rana została zadana.

— Nawet jeżeli ostrze jest ząbkowane, to przy cięciu wraca po swoich śladach — wtrąciłam.

— I między innymi dlatego ta rana jest tak interesująca — powiedział Vessey. — Nie ma najmniejszych wątpliwości, że zadano ją ząbkowanym ostrzem.

— Więc nie było to zwykłe cięcie, lecz uderzenie ostrzem? Jak toporem? — zapytałam zdumiona.

— Coś w tym stylu. — Vessey wsunął kość z powrotem do plastikowej torebki. — Odcisk ząbków świadczy o tym, że co najmniej pół cala ostrza musiało wbić się w grzbietową powierzchnię jej dłoni. — Wróciwszy za biurko, dodał: — Obawiam się, że to byłoby wszystko, co mogę ci powiedzieć o broni i o tym, co prawdopodobnie zaszło. Jak wiesz, pozostawia to wiele niewiadomych. Nie mogę ci na przykład powiedzieć, jakiej wielkości było narzędzie zbrodni ani czy rana została zadana przed, czy po tym, jak dziewczynę postrzelono, ani w jakiej znajdowała się pozycji, gdy została zraniona.

Debora mogła leżeć na plecach. Mogła klęczeć lub stać; wracając do samochodu zaczęłam analizować sprawę. Rana dłoni była głęboka i na pewno

bardzo krwawiła. Czyli Debora została zraniona na drodze w lesie albo na polanie, na której znaleziono jej ciało, gdyż w jeepie nie było śladu krwi. Czy ta szczupła gimnastyczka usiłowała walczyć z napastnikiem? Czy usiłowała go uderzyć, gdyż wiedziała, że walczy o życie? Czyżby Fred już wtedy nie żył? I gdzie pasuje do tego postrzał? Dlaczego morderca potrzebował aż dwóch narzędzi zbrodni, gdy najwyraźniej zabił Freda bez pomocy któregokolwiek z nich?

Byłam gotowa się założyć, że morderca poderznął Fredowi gardło. Najprawdopodobniej po tym, jak Debora została postrzelona, jej także podciął gardło lub po prostu ją udusił. Nie postrzelił jej i nie zostawił w lesie, aż się wykrwawi. Nie czołgała się po ziemi, na wpół sparaliżowana, by położyć się obok Freda i wsunąć rękę pod jego ramię. Ich ciała zostały w ten sposób ułożone celowo.

Skręciwszy z Constitution Avenue, znalazłam wreszcie Connecticut Avenue. Pojechałam nią do północno-zachodniej części miasta, która byłaby tylko trochę lepsza od slumsów, gdyby nie Hilton. Wyrastający z zielonego wzgórza, zajmującego całą przecnicę, hotel był niesamowitym, lśniącym białym budynkiem, odcinającym się od morza zakurzonych sklepików, pralni, nocnych klubów szczyjących się „tancerkami na żywo” oraz domków jednorodzinnych o przegniłych okiennicach i betonowych gankach. Zostawiwszy samochód na podziemnym parkingu hotelowym, przeszłam przez Florida Avenue i wspięłam się po frontowych schodkach kamienicy z brązowej cegły. Nacisnęłam przycisk domofonu z numerem 28; było to mieszkanie Abby Turnbull.

— Kto tam?

Ledwie rozpoznałam zniekształcony głos wydobywający się z domofonu. Kiedy się przedstawiłam, Abby zaklęła chyba cicho albo po prostu sapnęła ze zdumienia. Nie byłam pewna. Elektroniczny zamek w drzwiach zahuczał cicho.

Po wejściu do mrocznego korytarza zauważyłam zniszczony brązowy dywan na podłodze i rzędy metalowych skrzynek na listy. Przypomniałam sobie obawy Abby, że ktoś przegląda jej korespondencję. Moim zdaniem

trudno byłoby komukolwiek dostać się do budynku, chyba że miałby własny klucz. Skrzynki na listy także były zamykane. Wszystko, co mówiła mi w Richmond zeszłej jesieni, wydało mi się nagle strasznie naciągane. Zanim wspięłam się po schodach na piąte piętro, byłam już wściekła i brakowało mi tchu.

Abby stała w drzwiach mieszkania.

— Co ty tu robisz? — wyszeptała. Jej twarz miała dziwny, szarawy odcień.

— Jesteś jedyną osobą, którą znam w tym budynku, więc jak sądzisz, co tu robię?

— Ale nie przyjechałaś do Waszyngtonu tylko po to, by się ze mną zobaczyć? — W jej oczach czaił się strach.

— Nie. Przyjechałam tu służbowo.

Przez uchylone drzwi widziałam białe meble, pastelowe poduszki i kopie abstrakcyjnych obrazów Gregga Carbo; wszystkie te rzeczy znałam z jej wcześniejszego mieszkania w Richmond. Przez chwilę znowu zobaczyłam scenę w jej pokoju, tamtego okropnego dnia; znowu miałam przed oczyma ciało jej siostry, Henny, leżące na łóżku, policjantów i lekarzy kręcących się po całym domu i Abby siedzącą na kanapie, drżącą na całym ciele tak bardzo, że nie mogła utrzymać w dłoniach papierosa. Znałam ją wtedy tylko ze słyszenia oraz z reputacji dziennikarskiej, jaką sobie wypracowała, i szczerze mówiąc, niezbyt ją wtedy lubiłam. Kiedy jej siostra została zamordowana, Abby zyskała sobie moje współczucie, dopiero znacznie później obdarzyłam ją przyjaźnią i zaufaniem.

— Wiem, że mi nie uwierzysz — odezwała się Abby tym samym przyciszonym głosem — ale zamierzałam przyjechać do ciebie w przyszłym tygodniu.

— Mam telefon.

— Nie mogłam do ciebie zadzwonić — odrzekła, patrząc na mnie błagalnie; nadal stałyśmy w korytarzu.

— Zaprosisz mnie do środka, Abby?

Pokręciła głową.

Poczułam, jak włosy jeżą mi się na karku.

Spoglądając jej przez ramię, spytałam:

— Czy ktoś tam jest?

— Chodźmy — odparła szeptem.

— Abby, na miłość boską...

Spojrzała na mnie surowo i uniosła palec do ust.

Byłam przekonana, że Abby oszalała. Nie wiedząc, co innego mogę zrobić, czekałam na korytarzu, aż weźmie płaszcz. Potem wyszłam wraz z nią z budynku; przez dobre pół godziny szliśmy obok siebie bez słowa w dół Connecticut Avenue. Zaprowadziła mnie do hotelu Mayflower, gdzie usiadliśmy w najodleglejszym, zaciemnionym kącie baru. Zamówiwszy kawę, odchyliłam się do tyłu na skórzanym fotelu i spojrzałam na nią z napięciem.

— Wiem, że nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi — zaczęła, rozglądając się na boki. Była wczesna godzina popołudniowa i bar był nieomal pusty.

— Abby? Co się dzieje?

Zauważyłam, że drży jej dolna warga.

— Nie mogłam do ciebie zadzwonić. Nie mogę nawet porozmawiać z tobą w moim własnym, pieprzonym mieszkaniu! Jest tak, jak opowiadałam ci w Richmond, tylko tysiąc razy gorzej!

— Musisz iść do lekarza — zaczęłam bardzo spokojnie.

— Nie zwariowałam!

— Jeszcze chwila i całkiem się rozpadniesz.

Abby odetchnęła głęboko i spojrzała mi w oczy z napięciem.

— Kay, ktoś mnie śledzi. Jestem pewna, że mój telefon jest na podsłuchu, i podejrzewam, że w moim mieszkaniu także zainstalowano pluwyskwy... to dlatego nie chciałam cię zaprosić do środka. No, dalej. Powiedz mi, że jestem paranoiczką, psychotyczką, jak tylko chcesz to nazwać. Ale to ja tu żyję, a nie ty. Wiem, co się dzieje dokoła mnie. Wiem o wielu rzeczach dotyczących tych spraw zaginionych nastolatków i wiem, co się dzieje, odkąd się tym zajęłam.

— A co się dzieje?

W tej chwili nadeszła kelnerka z naszą kawą; gdy odeszła, Abby podjęła wątek:

— Jakiś tydzień po tym, jak byłam u ciebie w Richmond, ktoś włamał się do mojego mieszkania.

— Okradziono cię?

— O, nie. — Roześmiała się ponuro. — Nie do końca. Ten, kto to zrobił, był na to za sprytny. Nic nie ukradziono. — Spojrzałam na nią pytająco. — Mam w domu komputer, na którym pracuję; na twardym dysku znajduje się wszystko, co wiem o tych zaginionych nastolatkach. Od bardzo dawna zapisuję w nim wszystko, czego tylko się dowiem. Edytor tekstów, w którym pracuję, ma opcję automatycznego zapisywania wszystkiego co dziesięć minut. Wiesz, żebym nie straciła nic z zapisków, gdyby na przykład zabrakło prądu. Zwłaszcza w moim budynku...

— Abby — przerwałam. — O czym ty mówisz, u Boga Ojca?

— Mówię, że gdy się otworzy plik w moim komputerze i pozostanie się w nim co najmniej dziesięć minut, nie tylko utworzy się backup, ale po zamknięciu dokumentu zostanie zapisany czas i data ostatniego wejścia do pliku. Rozumiesz?

— Chyba tak — odparłam, sięgając po kawę.

— Pamiętasz, kiedy byłam u ciebie na jesieni, notowałam sobie wszystko, co powiedziała mi ta dziewczyna z 7-Eleven. — Skinęłam głową. — Rozmawiałam wtedy także z innymi osobami, między innymi z Pat Harvey. Planowałam wpisać to wszystko do komputera, kiedy tylko przyjadę do domu, ale sprawy trochę mi się tu pokomplikowały. Jak sobie może przypominasz, widziałam się z tobą we wtorek wieczorem, a w środę rano wróciłam do Waszyngtonu. Tego samego dnia, w środę, rozmawiałam z szefem, który nagle przestał być zainteresowany moim artykułem. Powiedział, że chce wstrzymać publikację na temat sprawy Harvey-Cheneya, bo gazeta już podpisała kontrakt na serię artykułów o AIDS. To było bardzo dziwne — kontynuowała — gdyż sprawa Harvey-Cheneya była na topie, a „Post” bardzo się z nią spieszył. I co, kiedy wracam z Richmond, nagle mam

inne zadanie? — Zapaliła papierosa, po czym mówiła dalej: — Wyszło na to, że do soboty nie miałam nawet chwili wolnej, a gdy wreszcie siadłam do komputera i otworzyłam ten plik z nastolatkami, zobaczyłam, że zarejestrowana jest data i czas zupełnie bez sensu. Piątek, dwudziesty września, druga trzynaście po południu, kiedy nawet nie było mnie w domu. Ktoś otworzył mój plik, Kay. Ktoś wszedł w niego, a na pewno nie byłam to ja, bo nie dotykałam go aż do soboty, do dwudziestego pierwszego...

— Może zegar w twoim komputerze był wyłączony...

Ale Abby potrząsnęła głową, zanim zdążyłam dokończyć zdanie.

— Był włączony, sprawdziłam.

— Jak ktoś mógłby tego dokonać? — spytałam. — Jak ktokolwiek mógłby się włamać do twojego mieszkania tak, by nikt tego nie zauważył ani nie usłyszał?

— FBI nie miałyby z tym najmniejszego problemu.

— Abby — mruknęłam zdesperowana.

— Jest wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia.

— Więc mnie oświeć, bardzo proszę — odparłam.

— Jak myślisz, dlaczego wzięłam wolne w „Post”?

— Według artykułu w „New York Timesie” pracujesz nad książką.

— I założyłaś, że wiedziałam, iż chcę napisać książkę, kiedy byłam u ciebie w Richmond, tylko nic ci o tym nie powiedziałam?

— To trochę więcej niż tylko założenie — odparłam, znowu czując przypływ gniewu.

— Nie wiedziałam, przysięgam. — Nachyliła się nad stołem i dodała głosem drżącym z nadmiaru emocji: — Zmieniono mi przydział w gazecie. Rozumiesz, co to oznacza? — Oniemiałam. — Jediną gorszą rzeczą, jaką mogli mi zrobić, to mnie wylać. Nie mieli najmniejszego powodu. Jezu Chryste, przecież w zeszłym roku zdobyłam nagrodę za najlepszy reportaż policyjny, a tu nagle oddelegowują mnie do kolumny towarzyskiej. Słyszysz mnie?! Kolumny towarzyskiej! Powiedz mi teraz, jak mam to rozumieć?

— Nie mam pojęcia, Abby.

— Ja także. — Zamrugła nagle powiekami, by odegnać łzy. — Ale mam

jeszcze odrobinę szacunku dla samej siebie. Wiem, że coś tu śmierdzi... i wiem, że z tego może być niezła historia, dlatego usiłuję ją sprzedać. Myśl, co chcesz, ale ja tylko staram się przetrwać. Muszę jakoś żyć i musiałam zerwać z gazetą. Kolumna towarzyska! Och, Boże, Kay. Tak bardzo się boję.

— Opowiedz mi o FBI — powiedziałam.

— Już ci o tym mówiłam. O tym, że pomyliłam zjazdy i wylądowałam przed bramą Camp Peary, i o tym, że niedługo po tym przyszli do mnie agenci FBI.

— Ale to jeszcze za mało.

— Walet kier, Kay — rzekła tak, jakby mówiła mi coś, o czym sama dobrze wiem.

Kiedy wreszcie dotarło do niej, że nie mam najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi, na twarzy Abby pojawiło się zdumienie.

— Nie wiesz? — zapytała.

— O co ci chodzi z tym waletem kier?

— W sprawie każdej zaginionej pary znaleziono kartę do gry. — Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

Jak przez mgłę przypominałam sobie coś podobnego z jednego z policyjnych raportów; detektyw z Gloucester rozmawiał z przyjaciółmi Bruce'a Phillipsa i Judy Roberts, pierwszej zaginionej pary. O co ich pytał? Pamiętam, że jego pytanie wydawało mi się wtedy wyjątkowo dziwne. Karty. Czy Judy i Bruce grali ze sobą w karty? Czy widziano wcześniej karty do gry w samochodzie Bruce'a?

— Opowiedz mi o tym, Abby — poprosiłam.

— Czy wiesz, jakie znaczenie miał asa pik i jak był używany w Wietnamie? — Odparłam, że nie mam pojęcia, więc wyjaśniła: — Kiedy pewien specjalny oddział amerykańskich żołnierzy chciał dać Wietnamczykom do zrozumienia, że jakieś zabójstwo było tak naprawdę celową egzekucją, zostawiali przy zwłokach asa pikowego. Firma produkująca karty do gry zaopatrywała ten oddział w całe pudełka talii, przeznaczonych tylko do tego celu.

— Ale co to ma do rzeczy ze sprawami dziejącymi się w Wirginii? —

zapytałam zupełnie zbity z tropu.

— Jest pewne podobieństwo. Tylko w tym wypadku nie mamy do czynienia z asem pik, ale z waletem kier. W każdej z czterech pierwszych spraw w porzuconym samochodzie znajdowano waleta kierowego.

— Skąd o tym wiesz?

— Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, Kay. Ale słyszałam o tym z więcej niż jednego źródła. I dlatego jestem przekonana, że to prawda.

— A czy twoje źródła powiedziały ci, czy znaleziono kartę w jeepie Debory Harvey?

— A znaleziono? — Zamieszała kawę.

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę — ostrzegłam.

— Wcale się z tobą nie bawię. — Spojrzała mi w oczy. — Jeżeli znaleziono waleta kier w samochodzie Debory albo gdziekolwiek indziej, nic mi o tym nie wiadomo. Najwyraźniej jest to bardzo ważny szczegół, gdyż połączyłby zabójstwo Debory Harvey i Freda Cheney'a ze śmiercią pozostałych nastolatków. Wierz mi, że sama szukam takiego powiązania. Nie jestem pewna, czy w ogóle istnieje, a nawet jeżeli tak, to nie mam pojęcia, co oznacza.

— A co to ma wszystko wspólnego z FBI? — zapytałam niechętnie, gdyż nie byłam przekonana, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

— Byli zaabsorbowani tym śladem nieomal od samego początku, Kay. I chodzi mi o to, że ich zaangażowanie jest czymś więcej niż zwykłym udziałem drużyny VICAP w dochodzeniu. FBI od początku wiedziało o tych kartach. Kiedy znaleziono waleta kier w samochodzie Bruce'a — na desce rozdzielczej — nikt nie przywiązywał do tego znaczenia. Potem zniknęła następna para i znowu znaleziono kartę, tym razem na przednim siedzeniu. Kiedy Benton Wesley dowiedział się o tym, przejął dowodzenie. Poszedł do tego detektywa z Gloucester i kazał mu trzymać buzię na kłódkę, nie wspominać nikomu o karcie znalezionej w camaro Bruce'a. To samo nakazał inspektorom, którzy zajmowali się drugą sprawą. Przy każdej następnej zaginionej parze Wesley długo rozmawiał z detektywami prowadzącymi śledztwo. — Urwała i spojrzała na mnie sponad filiżanki, jakby odczytując

moje myśli. — Chyba nie powinnam być zdziwiona, że o niczym nie wiesz — dodała. — Podejrzewam, że policja z łatwością mogła ukryć przed tobą taki drobny szczegół.

— Na pewno nie byłoby to dla nich zbyt trudne — odrzekłam. — Gdyby karty znajdowano przy ciałach, to co innego. Tego pewnie nie udałoby im się tak łatwo zataić.

Lecz nawet gdy wypowiadałam te słowa, wątpiłam w ich prawdziwość. Ostatnim razem policja zwlekała kilka godzin z wezwaniem mnie na miejsce; zanim tam dotarłam, Wesley już tam był, a ktoś przeszukał ciała.

— Rozumiem jednak, dlaczego FBI przemilczało ten szczegół — dodałam po chwili. — Jest przecież bardzo ważny dla śledztwa.

— Mam już dość słuchania podobnych bzdur — warknęła Abby gniewnie. — Szczegół tego typu, morderca zostawiający za sobą wizytówkę, że się tak wyrażę, jest istotny tylko wówczas, gdy ktoś przyjdzie na policję i przyzna się do morderstw. Gdy wyzna, że zostawił przy każdym samochodzie kartę, o czym nie mógłby wiedzieć, gdyby faktycznie nie był poszukiwanym zabójcą. Nie sądzę jednak, by ktoś czekał na przyznanie się do winy ani by FBI kontrolowało tę sprawę tylko dlatego, żeby nikt nie schrzanił śledztwa.

— W takim razie dlaczego? — spytałam cicho.

— Bo tu nie chodzi o seryjnego mordercę. Nie mówimy o jakimś szajbusie, który ma problem z nastolatkami, więc ich zabija. Moim zdaniem, to jakaś polityczna gierka. Jestem tego pewna.

Abby umilkła, a chwilę później skinęła na kelnerkę. Nie odezwała się, dopóki drugi dzbanek nie pojawił się na stole.

— Kay — kontynuowała, popijając z wolna kawę — czy nie dziwi cię to, że Pat Harvey zgodziła się ze mną porozmawiać, kiedy byłam w Richmond na jesieni?

— Szczerze mówiąc, owszem. Dziwi.

— A czy zastanawiałaś się może, dlaczego to zrobiła?

— Podejrzewam, że zrobiłaby wszystko, żeby tylko odzyskać córkę całą i zdrową — rzekłam. — A czasem nagłośnienie takiej sprawy może pomóc.

Abby potrząsnęła głową.

— Kiedy z nią rozmawiałam, Pat Harvey powiedziała mi wiele rzeczy, których nigdy nie odważyłabym się wydrukować w gazecie. Poza tym to nie było moje pierwsze spotkanie z nią.

— Nie rozumiem. — Ręce zaczynały mi się trząść.

— Wiesz chyba o jej krucjacie przeciwko organizacjom charytatywnym, które stanowią przykrywkę dla handlu narkotykami i innych przestępstw?

— Coś niecoś — odpowiedziałam.

— To ja zwróciłam jej uwagę na to, że taki problem w ogóle istnieje.

— Ty?!

— W zeszłym roku zaczęłam pracować nad dużym reportażem mającym zdemaskować przemyt narkotyków. Z biegiem czasu zaczęłam odkrywać mnóstwo rzeczy, których nie miałam jak potwierdzić... i tu właśnie pojawiły się na scenie organizacje charytatywne. Pat Harvey ma tu, w Waszyngtonie, apartament w hotelu Watergate; pewnego wieczoru poszłam do niej, by przeprowadzić z nią wywiad i zyskać kilka cytatów do mego artykułu. Całkiem nieźle się nam rozmawiało. Skończyło się na tym, że opowiedziałam jej o zasłyszanych tu i ówdzie pogłoskach, a ona obiecała, że je sprawdzi. I tak to się zaczęło.

— O jakich pogłoskach mówisz?

— Na przykład dotyczących ACTMAD — odparła Abby. — Pogłoski o tym, że niektóre z organizacji głośno potępiających narkotyki są w rzeczywistości przykrywką dla karteli i nielegalnych organizacji z Ameryki Środkowej. Powiedziałam Pat Harvey, iż zostałam poinformowana przez źródła, które uważam za wiarygodne, że miliony dolarów pochodzące z darowizn na rzecz tych organizacji rokrocznie kończą w kieszeniach ludzi takich jak na przykład Manuel Noriega. Oczywiście, zanim Noriega został aresztowany. Ale krążą plotki, że pieniądze zbierane przez ACTMAD i inne tego typu organizacje są używane do przekupywania agentów rządowych oraz do szmuglowania heroiny przez lotniska w Panamie, na Dalekim Wschodzie i w obu Amerykach.

— A dopóki do niej z tym nie przysłałaś, Pat Harvey nie miała o niczym pojęcia?

— Nie, Kay. Nie sądzę, by o czymkolwiek wiedziała, ale była mocno wkurzona. Zaczęła dochodzenie, potem wreszcie kazała sporządzić raport i przedstawiła go w Kongresie. Powołano do życia specjalną podkomisję w celu prowadzenia dalszego śledztwa, a Pat Harvey została mianowana jej konsultantem. Prawdopodobnie słyszałaś o tym. Najwyraźniej udało się jej wyciągnąć na widok publiczny całą masę brudów... w kwietniu tego roku ma znowu wystąpić przed Kongresem. Niektórzy są z tego powodu bardzo niezadowoleni, między innymi Departament Sprawiedliwości.

Wreszcie zaczęłam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— W całą sprawę zamieszani są informatorzy, których DEA* [* Drug Enforcement Agency — Agencja do spraw Zwalczania Narkotyków (przyp. tłum.)], FBI i CIA chciały dorwać od wielu lat. Wiesz, jak to działa. Kiedy do sprawy wkracza Kongres, ma prawo przyznania specjalnych immunitetów w zamian za informacje. Kiedy informatorzy Pat Harvey zaczną zeznawać przed Kongresem, gra będzie skończona. Departament Sprawiedliwości nie będzie miał jak postawić ich w stan oskarżenia.

— Czyli wysiłki pani Harvey nie są zbyt entuzjastycznie przyjmowane przez Departament Sprawiedliwości.

— Czyli Departament Sprawiedliwości byłby zachwycony, gdyby jej dochodzenie się rozpadło.

— Ale przecież Pat Harvey, albo raczej Narkotykowa Caryca, jest bezpośrednią podwładną prokuratora generalnego, który rządzi FBI i DEA — rzekłam. — Jeżeli zachodzi tu jakiś konflikt interesów pomiędzy panią Harvey a Departamentem Sprawiedliwości, dlaczego prokurator generalny jej nie powstrzyma?

— To nie on ma z nią kłopoty, Kay. Dzięki jej działaniom, i on, i Biały Dom zyskują popularność i dobre imię. Ich Narkotykowa Caryca niweczy handel narkotykami. Patrząc na sprawę z punktu widzenia DEA i FBI, przeciętny obywatel nie zrozumie, że przesłuchania przed Kongresem nie będą miały wcale aż tak wspaniałych skutków. Doprowadzą tylko do ujawnienia nazw organizacji zamieszanych w ten szwindel oraz dokładnego przebiegu ich działalności. Nagłośnienie sprawy w mediach sprawi, że

organizacje takie jak ACTMAD wypadną z interesu, lecz prawdziwi złoczyńcy stojący za nimi ledwie dostaną po łapach. Agenci pracujący nad tymi sprawami nie będą mieli kogo aresztować. Żli ludzie nie przestaną czynić zła... to tak jakby zamknąć jedną szulernię. Tydzień później, przecnicę dalej, powstanie nowa.

— Nie rozumiem tylko, jak to się łączy z tym, co spotkało córkę pani Harvey — powiedziałam raz jeszcze.

— Popatrz na to w ten sposób: gdyby twoje interesy były sprzeczne z interesami FBI albo gdybyś nawet prowadziła z nimi cichą wojnę, jak byś się czuła, jeśliby to właśnie FBI pracowało nad odnalezieniem twego dziecka?

Nie była to miła myśl.

— Bez względu na to, czy byłoby to usprawiedliwione, czy nie, czułabym się bardzo bezbronna i pewnie dostałabym lekkiej paranoi. Podejrzewam też, że nikomu bym nie ufała.

— Jeszcze ci się nie udało wyrazić tego, co czuje Pat Harvey. Uważam, że jest przekonana, iż ktoś posłużył się jej córką, by się do niej dostać. Że Debora nie padła ofiarą jakiegoś szaleńca, lecz z góry ukartowanej egzekucji. Nie jest też przekonana, czy FBI nie maczało w tym palców...

— Czekaj — przerwałam jej. — Niech to dobrze zrozumiem. Chcesz mi wmówić, że Pat Harvey podejrzewa, iż za zabójstwami jej córki i Freda kryje się FBI?!

— Powiedzmy, że przeszło jej to przez myśl.

— Dobry Boże — mruknęłam pod nosem.

— Dobrze wiem, jak dziwne się to wydaje. Ale jestem skłonna uwierzyć, że FBI doskonale wie, kto się za tym kryje, i dlatego ja stanowię dla nich problem. Federalni nie chcą, bym węszyła dokoła tych spraw. Obawiają się, że mogą odwrócić kamień i zobaczyć, co się pod nim kryje.

— Jeżeli naprawdę o to chodzi — wytknęłam jej — to „Post” powinien ci zaproponować podwyżkę, a nie zsyłać cię do kolumny towarzyskiej. Zawsze byłam zdania, że redaktora naczelnego tej gazety trudno jest zastraszyć.

— Ale ja nie jestem Bobem Woodwardem — odparła Abby gorzko. — Jestem tu od niedawna, a rubryka policyjna to zazwyczaj pole do popisu dla

żółtodziobów. Jeżeli dyrektor FBI albo ktoś z Białego Domu zechce pozwać mnie do sądu, to „Post” prawdopodobnie nawet się za mną nie wstawi.

Pomyślałam, że Abby może mieć jednak rację. Jeżeli jej zachowanie w redakcji choćby w najmniejszym stopniu przypominało to, co robi w tej chwili, nic dziwnego, że nikt nie chce mieć z nią do czynienia. W rzeczy samej wiadomość, iż zmieniono jej przydział, zbytnio mnie nie zdziwiła.

— Przykro mi, Abby — powiedziałam. — Może i polityczne rozgrywki są przyczyną zabójstwa Debory Harvey, ale co z resztą? Morderstwa pozostałych czterech par nigdzie tu nie pasują. Pierwsza zginęła dwa i pół roku przed porwaniem Debory i Freda.

— Kay, nie znam odpowiedzi na te pytania — odrzekła Abby podekscytowana. — Ale przysięgam na Boga, że ktoś tu coś ukrywa. Coś, czego FBI czy rząd nie chcą ujawnić. Zapamiętaj moje słowa, nawet jeżeli te morderstwa ustaną, sprawy pozostaną nie rozwiązane, jeżeli FBI będzie tak je prowadzić, jak robi to do tej pory. I właśnie o to mi chodzi... I tobie też powinno. — Skończywszy kawę kilkoma haustami, dodała: — I może to nie byłoby nawet takie złe, byleby tylko ustały. Problem polega na tym, kiedy to się stanie? I co można zrobić, by powstrzymać tego mordercę? Czy można było go powstrzymać już wcześniej?

— Czemu mówisz mi to wszystko? — spytałam prosto z mostu.

— Bo chodzi o niewinne dzieciaki, które kończą martwe w lasach. Żeby nie wspomnieć o oczywistym... bo tylko tobie ufam, Kay. I może potrzebuję przyjaciela.

— Nadal chcesz pisać tę książkę?

— Tak. Mam tylko nadzieję, że ją dokończę.

— Proszę, uważaj na siebie, Abby.

— Wiem — odrzekła. — Uwierz mi, wiem.

Kiedy wyszliśmy z baru, na dworze było ciemno i bardzo zimno. Szliśmy zatłoczonym chodnikiem i myśli przebiegały mi przez głowę w zawrotnym tempie, a podczas powrotnej drogi do Richmond nie było wiele lepiej. Chciałam porozmawiać z Pat Harvey, ale nie miałam odwagi tego zrobić. Chciałam także pogadać z Wesleyem, ale wiedziałam, że i tak nie

wyjawi mi swoich sekretów, jeżeli miał takowe; poza tym bardziej niż kiedykolwiek przedtem wątpiłam w naszą przyjaźń.

Gdy tylko dotarłam do domu, zadzwoniłam do Marina.

— Gdzie dokładnie w Karolinie Południowej mieszka Hilda Ozimek? — zapytałam.

— Dlaczego pytasz? Czego dowiedziałaś się w Smithsonian?

— Po prostu odpowiedz na moje pytanie, proszę.

— W maleńkiej miejscinie o nazwie Six Mile.

— Dziękuję.

— Hej! Zanim się rozłączysz, może byś mi powiedziała, co zdarzyło się w Waszyngtonie?

— Nie dzisiaj, Marino. Jeżeli nie dam rady złapać cię jutro, zadzwoń do mnie.

Rozdział siódmy

O piątej czterdzieści pięć rano lotnisko w Richmond było opustoszałe; restauracje były pozamykane, gazety leżały poukładane w stojaku przed zamkniętym sklepem z pamiątkami, a sprzątaczką powoli snuła się korytarzami, ciągnąc za sobą kubeł na śmieci, zbierając papierki po gumach do żucia i niedopałki papierosów.

Znalazłam Marina w terminalu linii lotniczych USAir, z oczyma zamkniętymi i płaszczem przeciwdeszczowym zwiniętym pod głową drzemał w dusznym, sztucznie oświetlonym pomieszczeniu wypełnionym pustymi krzeselkami stojącymi na poplamionym niebieskim dywanie. Przez jedną ulotną chwilę patrzyłam na niego tak, jakbym widziała go pierwszy raz; poczułam w sercu smutne ukłucie. Marino się postarzał.

Po raz pierwszy spotkałam go zaledwie kilka dni po objęciu nowego stanowiska w Richmond. Przeprowadzałam w kostnicy sekcję zwłok, kiedy do środka wszedł ogromny mężczyzna o nieprzeniknionym wyrazie twarzy i stanął naprzeciw mnie, po drugiej stronie stołu. Doskonale pamiętałam chłód w jego oczach, gdy lustrował mnie od stóp do głowy. Miałam wtedy nieprzyjemne uczucie, jakby rozkładał mnie wzrokiem na czynniki pierwsze, jak ja robiłam to skalpelem ze zwłokami leżącymi na stole.

— Więc to pani jest nowym naczelnym koronerem. — Powiedział to wyzywającym tonem, jakby chcąc zmusić mnie do wyznania, że uważam się za wystarczająco kompetentną do zajmowania stanowiska do tej pory obsadzonego wyłącznie przez mężczyzn.

— Jestem doktor Scarpetta — odparłam wtedy. — A pan pracuje dla Departamentu Policji Richmond, tak?

Wymamrotał swe nazwisko, po czym zaczekał w milczeniu, aż wyjmę kilka kul z ofiary morderstwa, nad którym pracował, i przekażę mu je za pokwitowaniem. Potem wyszedł z sali bez pożegnania czy choćby grzecznościowego „miło było panią poznać”. W ten sposób zaczęła się nasza współpraca. Założyłam wtedy, że Marino nie znosi mnie tylko i wyłącznie z

powodu mojej płci, za co ja skreśliłam go automatycznie jako bałwana o mózgu zżartym przez testosteron. Szczerze mówiąc, Marino na początku strasznie mnie deprimował, choć nigdy bym się do tego głośno nie przyznała.

Przykro mi było teraz patrzeć na jego postarzałą twarz i nie wyobrażałam sobie, jak kiedykolwiek mogłam go uznać za groźnego. Wyglądał na starego i przegranego faceta, w koszuli opiętej na wielkim brzuchu, o zmierzwionych siwych włosach i krzaczastych brwiach zmarszczonych w dziwnym wyrazie ni to złości, ni to zmartwienia.

— Dzień dobry. — Delikatnie dotknęłam jego ramienia.

— Co masz w torbie? — mruknął bez otwierania oczu.

— Zdawało mi się, że śpisz — odparłam zaskoczona.

Marino usiadł i ziewnął szeroko.

Usadowiwszy się obok niego, otworzyłam papierową sakiewkę i wyciągnęłam z niej styropianowe kubki z kawą oraz bułeczki serowe, które przygotowałam w domu i podgrzałam przed wyjazdem.

— Zakładam, że nie jadłeś jeszcze śniadania? — Podałam mu serwetkę.

— Jeszcze ciepłe?

— Aha — odrzekłam, odwijając moją z folii.

— Chyba mówiłaś, że samolot odlatuje o szóstej.

— O szóstej trzydzieści. Na pewno tak właśnie ci powiedziałam. Mam nadzieję, że nie czekasz zbyt długo.

— Aha... trochę ci się zeszło.

— Przepraszam.

— Masz bilety, co?

— W torebce — odpowiedziałam. Gdyby ktoś słuchał naszej rozmowy, mógłby przypuścić, że jesteśmy starym małżeństwem.

— Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to nie jestem pewien, czy ten twój pomysł wart jest ceny biletów. Nie dałbym za to ani centa, nawet gdybym miał go w kieszeni. Szczerze mówiąc, nie podnieca mnie także myśl, że ty się przez to spluczesz, doktorku. Poczulbym się lepiej, gdybyś przynajmniej poprosiła o zwrot kosztów.

— Ale ja wcale bym się lepiej nie poczuła. — Już wcześniej o tym rozmawialiśmy. — Nie zamierzam prosić o zwrot kosztów i ty także tego nie zrobisz. Gdybyśmy złożyli formularze o przyznanie zwrotu poniesionych wydatków, zostawilibyśmy po sobie ślad. — Spojrzałam na niego znad kubka kawy i dodałam: — Poza tym stać mnie na to.

— Gdyby miało mi to zaoszczędzić sześćset dolców, zostawiłbym za sobą ślad aż do samego księżyca.

— Bzdury. Znam cię nie od dziś.

— Aha. Bzdury, co? Cała ta sprawa to jedna wielka bzdura. — Wrzucił do swojej kawy kilka kostek cukru. — Mam wrażenie, że Abby Turnbull zrobiła ci wodę z mózgu.

— Dzięki — odrzekłam krótko.

Zaczęli się zjawiać inni pasażerowie, a ja znowu byłam zdumiona mocą, jaką posiadał Marino, by naginać zasady rządzące światem. Usiadł w części przeznaczonej dla niepalących, po czym przyniósł sobie popielniczkę i w najlepsze zapalił papierosa. Dzięki temu kilku innych, na wpół śpiących palaczy usiadło w pobliżu, a niektórzy przyciągnęli popielniczki. Do czasu odlotu w części przeznaczonej dla palących nie było już ani jednej, a ludzie rozglądali się dokoła, nie wiedząc, co się dzieje. Zażenowana postanowiłam nie brać udziału w tym oszustwie i nie wyjmowałam swojej paczki z torebki.

Marino, który nie znosił latać jeszcze bardziej niż ja, przespał cały lot do Charlotte, gdzie przesiedliśmy się do śmigłowego samolociku, który boleśnie przypomniatł mi, jak niewiele dzieli delikatne ludzkie ciało od pustki przestworzy. Pracowałam przy sporej liczbie zwłok wydobytych z nadpalonych kadłubów samolotów i wiedziałam, jak przykry widok przedstawia sobą wrak wraz z ciałami pasażerów rozrzuconymi w promieniu kilku mil. Zauważyłam, że nie ma toalety ani jadłospisu, a gdy silniki rozpoczęły pracę, cały kadłub zatrzęsł się, jakby samolot wpadł w przedśmiertne drgawki. Przez pierwszą część lotu dostąpiłam rzadkiego zaszczytu oglądania pilotów rozmawiających ze sobą, przeciągających się i ziewających, dopóki stewardesa nie podeszła do drzwi kokpitu i nie zaciągnęła cienkiej zasłonki. Potem wpadliśmy w turbulencje, a szczyty gór

co chwilę wynurzały się i ginęły we mgle. Kiedy po raz drugi samolot gwałtownie stracił wysokość, żołądek podjechał mi do gardła, a Marino złapał kurczowo poręczę fotela i zacisnął dłonie tak mocno, że pobieleły mu kłykcie.

— Jezu Chryste — mruknął, a ja zaczęłam żałować, że przyniosłam mu śniadanie. Miał minę, jakby zaraz miało mu się zrobić niedobrze. — Jeżeli ta skorupka kiedykolwiek doleci na ziemię w jednym kawałku, idę do baru na jednego. Wszystko jedno, która będzie godzina.

— Hej, ja stawiam — odezwał się facet siedzący przed nami.

Marino wlepił wzrok w coś, co działo się w przejściu pomiędzy rzędami foteli dokładnie przed nami. Spod dywanika na metalowej podłodze wyciekało coś dziwnie zbliżonego do zgęstniałej pary wodnej. Wydawało się, że chmury przenikają przez kadłub i skraplają się wewnątrz samolotu. Marino wskazał na to palcem spytał przechodzącą stewardesę:

— Co to jest, u diabła? — Lecz ona kompletnie go zignorowała.

— Następnym razem wsypię ci do kawy środek usypiający — ostrzegłam go przez zaciśnięte zęby.

— Następnym razem, gdy postanowisz porozmawiać z jakąś szurniętą Cyganką mieszkającą na odludziu, polecisz sama.

Przez pół godziny krążyliśmy nad Spartanburgiem; samolotem rzucało i trzęsło, a krople deszczu uderzały o szybę. Nie mogliśmy podejść do lądowania z powodu gęstej mgły i nagle przyszło mi do głowy, że możemy wszyscy zginąć. Pomyślałam o mojej matce i o Lucy, mojej siostrzenicy. Powinnam była pojechać do domu na Boże Narodzenie, ale byłam strasznie przybita własnymi zmartwieniami i nie chciałam odpowiadać na pytania dotyczące Marka. „Jestem zajęta, mam. Po prostu nie mogę się w tej chwili stąd wyrwać”. „Ale to przecież Boże Narodzenie, Kay”. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz moja matka płakała, lecz zawsze wiedziałam, kiedy się jej zbiera na płacz. Jej głos robił się wtedy taki dziwny, a słowa wypowiadała w ogromnych odstępach. „Lucy będzie taka zawiedziona” — powiedziała; wysłałam Lucy czek na sporą sumę i zadzwoniłam do niej rano w pierwszy dzień świąt. Strasznie za mną tęskniła, lecz ja tęskniłam za nią chyba jeszcze bardziej.

Nagle chmury się rozwiały i wyszło słońce. Spontanicznie wszyscy pasażerowie — włącznie ze mną — nagrodzili Boga i pilotów gorącymi oklaskami. Świątowaliśmy własne przetrwanie cichymi pogaduszkami, jakbyśmy od lat wszyscy byli przyjaciółmi.

— Może jednak Wiedźma Hilda mimo wszystko czuwa nad nami — warknął Marino sarkastycznie; twarz miał zlaną potem.

— Może i tak — odparłam, oddychając z ulgą, gdy koła samolotu wreszcie dotknęły pasa startowego.

— Taa... podziękuj jej ode mnie.

— Sam możesz jej podziękować, Marino.

— Aha. — Marino ziewnął szeroko i zupełnie już otrząsnął się z niedawnego zdenerwowania.

— Wydaje się bardzo miła. Może choć raz pozbędziesz się uprzedzeń?

— Aha — powtórzył.

Kiedy zdobyłam numer telefoniczny Hildy Ozimek i zadzwoniłam do niej z biura, spodziewałam się, że to cwana i podejrzliwa kobieta, która wszystkie swe zdania uzależnia od dolara. Okazało się jednak, że pani Ozimek jest wyjątkowo miła, łagodna i zaskakująco ufna. Nie zadawała mi wcale pytań ani nie prosiła o jakiegokolwiek potwierdzenie tożsamości z mojej strony. W jej głosie niepokój zabrzmiał tylko raz, gdy powiedziała, że nie może po nas wyjechać na lotnisko.

Ponieważ to ja płaciłam za wycieczkę i miałam ochotę być wożona, powiedziałam Mannowi, by w wypożyczalni samochodów wybrał, co mu się żywnie podoba. Niczym szesnastolatek na pierwszej jeździe wybrał nowusieńkiego thunderbirda, czarnego, wyposażonego w szyberdach, radio z magnetofonem, elektrycznie opuszczane szyby oraz skórzane obicia na siedzeniach. Pojechaliśmy na zachód z otwartym szyberdachem i włączonym ogrzewaniem; po drodze opowiedziałam mu ze szczegółami o spotkaniu z Abby w Waszyngtonie.

— Wiem, że ciała Debory Harvey i Freda Cheneya były ruszane, zanim się zjawiłam — wyjaśniłam swoje podejrzenia. — A teraz chyba już rozumiem dlaczego.

— Ale ja nie do końca — odparł. — Może więc wytłumaczysz mi wszystko, krok po kroku?

— I ty, i ja pojawiliśmy się na tym parkingu, gdzie znaleziono jeepa, zanim ktokolwiek zdążył go przeszukać — zaczęłam. — Nie widzieliśmy waleta kierowego ani na desce rozdzielczej, ani na siedzeniach, ani nigdzie indziej.

— To nie znaczy, że karta nie mogła być na przykład w schowku, albo gdzieś ukryta i gliniarze znaleźli ją dopiero, gdy psy obwąchały cały wóz. — Zmniejszywszy trochę ogrzewanie, dodał: — Jeżeli ten interes z kartami to prawda. Jak już powiedziałem, słyszę o tym po raz pierwszy.

— Załóżmy jednak, że to prawda.

— Słucham dalej.

— Wesley pojawił się na postoju już po nas, więc on także nie widział karty. Później jeepa przeszukali policjanci, a ja mogę się założyć, że Wesley był przy tym albo też zadzwonił do Morrella, by dowiedzieć się, co znaleźli. Jeżeli nigdzie nie było waleta kierowego, założę się, że zabiło to Wesleyowi niezłego ćwieka. W takim wypadku założyłby pewnie, że zniknięcie Debory i Freda nie jest związane z morderstwami pozostałych nastolatków albo że Debora i Fred już nie żyją, a karta leży gdzieś przy ich zwłokach.

— I uważasz, że to dlatego ich ciała były ruszane, zanim pojawiłaś się w lesie? Że gliniarze szukali karty do gry?

— Albo Benton. Ale owszem, właśnie coś takiego podejrzewam. Nic innego nie ma sensu. Wesley i wszyscy policjanci doskonale wiedzą, że nie wolno ruszać zwłok, dopóki nie przyjedzie koroner, ale Benton na pewno nie chciałby ryzykować, że walet kier przyjedzie wraz z ciałami do kostnicy. Nie chciałby, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

— W takim razie sensowniejsze byłoby, gdyby po prostu kazał nam trzymać buzie na kłódki. Nie mieści mi się w głowie, by miał przekopywać miejsce zbrodni — ciągnął Marino. — Wątpię, by przyjechał do tego lasu samotnie. Dokoła kręcili się inni gliniarze. Zauważyliby, gdyby Benton coś znalazł.

— Pewnie tak — odrzekłam. — Ale Wesley na pewno zdaje sobie sprawę,

że im mniej ludzi wie o tych kartach, tym lepiej. Orientuje się też, że gdybym znalazła kartę do gry pomiędzy osobistymi rzeczami Debory albo Freda, musiałabym napisać o tym w raporcie... a raporty z autopsji są udostępniane adwokatom, członkom mojego zespołu, krewnym ofiar, personelowi firm ubezpieczeniowych... i jeszcze wielu innym ludziom.

— No, dobra, dobra. — Marino zaczynał się niecierpliwić. — Ale co z tego? To znaczy, po co ten cały szum?

— Nie mam pojęcia. Ale co będzie, jeżeli przypuszczenia Abby są słuszne?

— Bez obrazy, doktorku, ale nigdy nie przepadałem za tą całą Abby Turnbull. Ani gdy pracowała u nas w Richmond, ani teraz gdy przeniosła się do „Posta”.

— Ale też nigdy nie spotkałam się z tym, by kłamała — odrzekłam.

— Taa... ty się z tym nie spotkałaś.

— Detektyw z Gloucester wspominał o karcie w swoim raporcie; wiem, bo go czytałam.

— I może właśnie tam Abby złapała trop. A teraz dostaje fioła i wymyśla niestworzone rzeczy. Wyciąga dziwne wnioski i ma nadzieję, że ktoś to kupi. Jej zależy tylko na tym, by napisać tę cholerną książkę.

— Ona nie jest sobą, Marino. Jest przerażona, wściekła, ale nie mogę się z tobą zgodzić co do jej charakteru.

— Aha — burknął Marino. — Przyjeżdża do Richmond i zachowuje się jak twoja od dawna nie widziana przyjaciółka, mówi, że nic od ciebie nie chce. A zaraz potem czytasz w „New York Timesie”, że podpisała pieprzony kontrakt na książkę o tych sprawach. Taak, doskonała z niej przyjaciółka, doktorku.

Zamknęłam oczy i zaczęłam przysłuchiwać się muzyce country płynącej cicho z radia. Słońce świeciło przez szyby i ciepłą plamą padało mi na kolana; tego dnia wstałam bardzo wcześnie, teraz zasnęłam, zanim się obejrzałam. Obudziłam się w momencie, gdy telepaliliśmy się wolno wiejską wyboistą dróżką, gdzieś wśród pól.

— Witaj w wielkim mieście Six Mile — odezwał się Marino.

— W jakim znowu mieście?

Nie widać tu było wysokich domów, nie dostrzegłam ani jednego sklepu czy stacji benzynowej. Na poboczach rosły ogromne drzewa i gęste krzaki, w oddali widniał zarys masywu górskiego Blue Ridge, a domki były biedne i tak daleko od siebie stały, że działo mogło wystrzelić przy jednym, a w sąsiednim nikt by tego nie usłyszał.

Hilda Ozimek, medium FBI oraz alfa i omega Federalnego Biura Ochrony Prezydenta, mieszkała w maleńkim białym domku, na trawniku od frontu widać było pomalowane na biało opony, w których na wiosnę zapewne rosły żonkile i tulipany. Uschnięte łodygi kukurydzy opierały się o ganek, a na podjeździe, stojąc na kołach, z których dawno uszło powietrze, rdzewiał Chevrolet impala. Nagle zaczął szczekać wyleniały pies, brzydki jak nieszczęście i tak duży, że poważnie zastanowiłam się, czy lepiej nie zostać w samochodzie. Nagle odwrócił się od nas i pobiegł do frontowych drzwi domu, powłócząc prawą przednią łapą. Na progu stanęła kobieta i spojrzała na nas, mrużąc oczy przed jasnym światłem zimnego poranka.

— Spokojnie, Tootie. — Poklepała psa po szyi. — Idź sobie na tyły. — Wielki kundel posłusznie zwiesił głowę i merdając ogonem, kulejąc poszedł dokoła domu.

— Dzień dobry — powiedział Marino, wchodząc ciężko na stopnie ganku. Przynajmniej silił się na uprzejmość, a to już było coś.

— W rzeczy samej piękny mamy dzionek — odparła Hilda Ozimek.

Miała co najmniej sześćdziesiąt lat i wyglądała, jakby całe życie spędziła na wsi. Czarne poliestrowe spodnie mocno opinały jej szerokie biodra, a beżowy, szeroki sweter zapięła po samą szyję; na nogach miała grube skarpetki i buty za kostkę. Jej oczy były intensywnie niebieskie, a na głowie zawiązała czerwoną chustkę. Brakowało jej kilku zębów. Wątpiłam, czy Hilda Ozimek kiedykolwiek spogląda w lustro albo zastanawia się nad swoim wyglądem, chyba że coś ją do tego zmusi.

Zaprowadziła nas do niedużego saloniku zapchanego starymi meblami i od podłogi do sufitu zastawionego półkami z najróżniejszymi książkami, byle jak poupychanymi. Były tu książki o religiach i psychologii, biografie i książki historyczne oraz mnóstwo powieści moich ulubionych autorów: Alice Walker,

Pata Conroya i Keri Hulme. Jediną oznaką dziwacznych zainteresowań naszej gospodyni było parę książek Edgara Cayce'a oraz z pół tuzina kryształowych kul porozstawianych na półkach i stolikach. Razem z Marinem przysiedliśmy na kanapie tuż obok piecyka naftowego, a Hilda usiadła naprzeciw nas na szerokim, miękkim fotelu. Słońce wpadało do pokoju przez odsłonięte żaluzje i malowało jasne smugi dokoła jej głowy.

— Mam nadzieję, że nie mieliście kłopotów z dotarciem tutaj. Bardzo mi przykro, że nie mogłam po was wyjechać, ale ja już po prostu nie prowadzę.

— Pani wskazówki były doskonałe — zapewniłam ją. — Nie mieliśmy najmniejszych problemów ze znalezieniem pani domu.

— Jeżeli wolno spytać — odezwał się Marino — to jak daje sobie pani radę? Nie widzę w okolicy żadnego sklepu, do którego można byłoby dojść na piechotę.

— Odwiedza mnie wielu ludzi, niektórzy przychodzą na czytania, a inni po prostu, by porozmawiać. Jakoś zawsze ktoś ma czas mnie podwieźć.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon i zaraz odezwała się automatyczna sekretarka.

— Jak mogę wam pomóc? — zapytała Hilda.

— Przywiozłem fotografie — odparł Marino. — Kay powiedziała, że chciała je pani zobaczyć. Ale jest kilka rzeczy, które chciałem najpierw wyjaśnić. Nie chcę pani obrazić ani nic takiego, pani Ozimek, ale nigdy jakoś specjalnie nie wierzyłem w to całe czytanie myśli i takie tam. Może pani pomoże mi to lepiej zrozumieć.

Dla Marina taka bezpośredniość bez cienia wojowniczości w głosie była tak niezwykła, że spojrzałam na niego zaskoczona. Przyglądał się Hildzie z otwartą ciekawością dziecka, a na jego twarzy malowało się połączenie ciekawości i melancholii.

— Po pierwsze, ja nie odczytuję myśli — odrzekła Hilda spokojnie. — Szczerze mówiąc, nie lubię też określenia „medium”, ale z braku lepszego terminu tak właśnie o mnie mówią i tak sama o sobie mówię. Wszyscy mamy tę zdolność; jakiś szósty zmysł, fragment mózgu, którego większość z nas woli nie używać. Wyjaśniam mój dar intuicją; wyczuwam energię emanującą

z ludzi i opowiadam o wrażeniach, które przychodzą mi do głowy.

— I to właśnie zrobiła pani podczas rozmowy z Pat Harvey?

Hilda skinęła głową.

— Zaprowadziła mnie do pokoju Debbie, pokazała mi jej zdjęcia, a potem zawiozła mnie na postój, na którym odnaleziono jeepa.

— I jakie wrażenia pani odniosła? — spytałam.

Hilda zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń, zamyśliła na parę chwil, po czym odparła:

— Nie pamiętam wszystkiego... To jest właśnie mój problem. Tak samo jest, gdy ktoś przychodzi do mnie na czytanie; wraca później, pyta o coś, co mu wtedy powiedziałam, a ja nie zawsze wszystko pamiętam, dopóki mi się nie przypomni.

— A pamięta pani cokolwiek z tego, co powiedziała pani Pat Harvey? — chciał wiedzieć Marino; w jego głosie słychać było zawód.

— Kiedy pokazała mi zdjęcie Debbie, od razu wiedziałam, że ta dziewczyna nie żyje.

— A co z jej chłopcem? — spytał Marino.

— Widziałam jego zdjęcie w gazecie i wiedziałam, że on także nie żyje. Wiedziałam, że oboje są martwi.

— Więc czytała pani o tych sprawach w gazecie — mruknął Marino.

— Nie — odrzekła Hilda. — Nie czytuję gazet, ale widziałam zdjęcie chłopca, bo pani Harvey wycięła je, by mi pokazać. Nie miała żadnego ich wspólnego zdjęcia, tylko fotografie córki.

— Czy może mi pani wytłumaczyć, skąd pani wiedziała, że oni nie żyją?

— Wyczułam to. Takie wrażenie odniosłam, dotykając ich zdjęć.

Marino sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągając portfel, zapytał:

— Czy jeżeli dam pani zdjęcie dowolnej osoby, będzie pani w stanie zrobić to samo? Powiedzieć mi, jakie wrażenie pani odnosi?

— Postaram się — odpowiedziała, biorąc od niego fotografię.

Przymknąwszy oczy, zaczęła pocierać delikatnie zdjęcie kolistymi ruchami. Trwało to mniej więcej minutę, po czym odezwała się ponownie:

— Poczucie winy jest silne. Nie wiem jednak, czy ta kobieta czuła się

winna, gdy zdjęcie było robione, czy może teraz tak się czuje. Ale odbieram to bardzo wyraźnie. Konflikt, poczucie winy. Tam i z powrotem. W jednej chwili podjęła decyzję, a w następnej wątpi w jej słuszność. Nie wie, czy dobrze postępuje. Tam i z powrotem.

— Żyje? — zapytał Marino, odkaszlnąwszy cicho.

— Taak, czuję, że żyje — odparła Hilda, nadal pocierając zdjęcie koniuszkami palców. — Odbieram także coś jakby szpital, coś związanego z medycyną. Nie wiem, czy to oznacza, że to ona jest chora, czy może ktoś jej bliski, ale na pewno jest tu coś związanego z chorobą i smutkiem. Albo może będzie w niedalekiej przyszłości.

— Coś jeszcze?

Hilda znowu zamknęła oczy i potarła zdjęcie.

— Ogromny konflikt — powtórzyła. — Tak jakby coś należało już do przeszłości, ale trudno jest się jej od tego oderwać. Mnóstwo bólu. A jednak wydaje się jej, że nie ma wyboru. To wszystko, co wyczuwam. — Spojrzała na Marina.

Kiedy wziął od niej fotografię, twarz miał czerwoną; schował portfel z powrotem do kieszeni, po czym otworzył walizkę i wyciągnął z niej dyktafon na mikrokasetki oraz dużą kopertę, w której znajdowały się zdjęcia ze sprawy Harvey-Cheneya. Były tu fotografie drogi prowadzącej przez las w powiecie New Kent, aż do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Freda Cheneya i Debory Harvey. Hilda rozłożyła je na stoliku do kawy i zaczęła je pocierać po kolei, dokładnie tak jak zrobiła to ze zdjęciem otrzymanym od Marina. Przez długą chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma, podczas gdy w sąsiednim pokoju znowu zadzwonił telefon. Zdawało się, że zupełnie nie zwraca uwagi na głosy dobiegające z automatycznej sekretarki. Pomyślałam, że jej umiejętności wymagają znacznie więcej skupienia niż wyczyny jakiegokolwiek lekarza.

— Wyczuwam strach — zaczęła mówić szybko, nieomal gwałtownie. — Nie wiem, czy to dlatego że ktoś go odczuwał, gdy robiono te zdjęcia, czy ktoś bał się wcześniej w tych miejscach, które widać na zdjęciach. Ale czuję bardzo wyraźnie strach. — Pokiwała głową, lecz oczy nadal miała zamknięte.

— Jest obecny na wszystkich zdjęciach. Bardzo silny.

Niczym osoba niewidoma Hilda przesuwiała palcami od jednego zdjęcia do drugiego, odczytując z nich coś, co było dla niej równie oczywiste, jak dla mnie grymas twarzy.

— Tu czuję śmierć — powiedziała, dotykając trzech różnych fotografii. — Bardzo silnie. — Były to fotografie polany, gdzie znaleziono ciała. — Ale tu nie. — Jej palce spoczęły na zdjęciu drogi i fragmentu lasu, przez który szło się do polany.

Spojrzałam na Marina; siedział na kanapie pochylony do przodu, opierając łokcie na kolanach i wpatrując się w Hildę z napięciem. Jak na razie nie powiedziała nam nic, czego byśmy do tej pory nie wiedzieli. Żadne z nas nie podejrzewało, by Debora i Fred zostali zamordowani na drodze, zginęli na polanie, gdzie znaleźliśmy ich ciała.

— Widzę mężczyznę — kontynuowała Hilda. — Ma jasną cerę, nie jest zbyt wysoki, ale i nie niski. Przeciętnego wzrostu i szczupły, ale nie chudy. Nie wiem, kto to jest, ale ponieważ wyczuwam go bardzo wyraźnie, muszę założyć, że to ktoś, kto spotkał tę parę w lesie. Wyczuwam miłą, przyjazną atmosferę. Słyszę śmiech. Tak jakby byli zadowoleni ze spotkania. Może spotkali się z nim gdzieś wcześniej... Nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz wyczuwam, że ufali temu człowiekowi.

— Czy widzi pani coś jeszcze? — spytał Marino. — Może jak wygląda?

Hilda cały czas pocierała fotografie.

— Widzę ciemność. Możliwe, że miał ciemną brodę albo coś ciemnego na twarzy. Może był ubrany na czarno... Nie wiem, ale wyczuwam wyraźny związek między nim, tą parą a miejscami na zdjęciach. — Otworzyła oczy i zapatrzyła się na sufit. — Ich pierwsze spotkanie odbyło się w przyjaznej atmosferze. Nie zaniepokoiło ich. Ale potem pojawia się strach... jest bardzo silny w tym miejscu, w lesie.

— Co jeszcze? — Marino był tak spięty, że na szyi wystąpiły mu żyły. Jeżeli pochylił się jeszcze bardziej, choćby cał, spadnie z kanapy, pomyślałam.

— Dwie rzeczy — odrzekła. — Może nic nie znaczą, ale odbieram je dość

silnie. Wyczuwam inne miejsce, którego nie ma na tych zdjęciach i które jest jakoś związane z dziewczyną. Może została w nie zaprowadzona albo sama tam poszła. To miejsce prawdopodobnie znajduje się gdzieś niedaleko, ale niekoniecznie. Wyczuwam panikę, wrażenie zgubienia w tłumie, mnóstwo ruchu dokoła i hałasu. To bardzo złe odczucia. I jeszcze coś, co zostało zgubione. Widzę to jako coś metalowego, co może się przydać na wojnie. Nie wyczuwam nic więcej, oprócz tego, że nie wydaje mi się, by rzecz ta sama w sobie była szkodliwa.

— Kto zgubił ten metalowy przedmiot? — dopytywał się Marino.

— Mam wrażenie, że ta osoba jest jeszcze wśród żywych. Nie widzę wyraźnie, ale chyba jest to mężczyzna. Wie, że go zgubił albo gdzieś zapodział, ale zbytnio się tym nie martwi. Jednak lekko się niepokoi, ilekroć sobie o tym przypomni.

Umilkła, a w pokoju obok znowu odezwał się telefon.

— Czy rozmawiając z Pat Harvey zeszłej jesieni, wspominała jej pani o czymś takim? — zapytałam.

— Kiedy pani Harvey chciała się ze mną zobaczyć, nie odnaleziono jeszcze ciała — odparła Hilda. — Nie miałam jeszcze tych zdjęć.

— Więc nie miała pani podobnych odczuć, wrażeń?

Zastanowiła się.

— Pojechałyśmy na ten postój i zaprowadziła mnie na miejsce, gdzie znaleziono jeepa. Stałam tam przez jakiś czas i pamiętam, że był tam nóż.

— Jaki nóż? — spytał Marino.

— Zobaczyłam nóż.

— Ale jaki rodzaj noża? — Kiedy Marino zadawał to pytanie, przypomniałam sobie, że Gail, opiekunka psów, pożyczyła od niego scyzoryk, by otworzyć drzwi jeepa.

— Taki o długim ostrzu — odpowiedziała Hilda. — Jak nóż myśliwski, albo wojskowy. Zdaje się, że miał specjalną rękojeść, czarną i chyba gumową, z ostrzem, które zazwyczaj kojarzy mi się z cięciem twardych powierzchni, jak na przykład drewno.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem — rzekłam, choć rozumiałam bardzo

dobrze; nie chciałam jej pomagać.

— Ostrze jak piła, ząbkowane, tak to się chyba nazywa — odparła.

— I to pani wyczuła, stojąc na parkingu? — spytał Marino, patrząc na nią z niedowierzaniem.

— Nie wyczułam jednak nic przerażającego — powiedziała. — Ale zobaczyłam nóż i wiedziałam, że to nie te dzieciaki siedziały w jeepie, gdy został porzucony na postoju. Zupełnie nie wyczuwałam ich obecności na tym parkingu. Nigdy ich tam nie było. — Urwała, przymknęła oczy i zmarszczyła brwi. — Przypominam sobie, że odebrałam wtedy niepokój. Odniosłam wrażenie, że ktoś jest niespokojny i bardzo się spieszy. Widziałam ciemność, jakby była noc. Potem widziałam, jak ktoś szybko odchodzi, lecz nie wiem kto.

— A czy widzi to pani teraz? — spytałam.

— Nie, nie widzę go.

— Go? Ma pani na myśli mężczyznę?

Znowu urwała i pomyślała chwilę.

— Jestem przekonana, że moje odczucia dotyczą mężczyzny.

Tym razem odezwał się Marino:

— I opowiedziała pani to wszystko Pat Harvey, gdy byliście razem na postoju?

— Część z tego, tak — odrzekła Hilda. — Ale nie pamiętam wszystkiego, co mówiłam.

— Muszę się trochę przejść — mruknął Marino, wstając z kanapy. Hilda nie wyglądała na zaskoczoną czy zaniepokojoną, gdy wyszedł z pokoju, a po chwili usłyszałyśmy trzask drzwi frontowych.

— Hildo — zaczęłam — kiedy spotkała się pani z Pat Harvey, czy odczuła pani coś w związku z nią? Czy odniosła pani wrażenie, na przykład, że ona wie, co spotkało jej córkę?

— Odebrałam bardzo mocne poczucie winy, jakby czuła się odpowiedzialna za to, co się stało. Ale to wcale nie jest niezwykłe. Kiedy rozmawiam z krewnymi osób zaginionych albo niedawno zamordowanych, zawsze rejestruję poczucie winy. Jednak trochę bardziej niezwykła była jej

aura.

— Aura?

Wiedziałam, co to jest aura w kontekście medycznym: na przykład przeczucie poprzedzające napad padaczkowy; nie miałam jednak najmniejszego pojęcia, o czym mówi Hilda.

— Aury są niewidoczne dla większości osób — wyjaśniła. — Widzę je jako kolory otaczające ludzi. Aura Pat Harvey była szara.

— Co to oznacza?

— Szary to ani życie, ani śmierć — odpowiedziała. — Zazwyczaj kojarzę go z chorobą. Jeżeli ktoś jest chory na ciele, umyśle lub duszy, jego aura jest szara. Jakby coś wyciągało z życia wszystkie inne kolory.

— Biorąc pod uwagę jej ówczesny stan ducha, ma to wiele sensu — rzekłam.

— Możliwe. Ale pamiętam, że odniosłam przy tym bardzo niemiłe wrażenie. Przyszło mi wtedy do głowy, że pani Harvey może znajdować się w jakimś niebezpieczeństwie. Jej energia nie była dobra, zdrowa. Jakby sama ściągała sobie na głowę ryzyko... jakby przez własne działania zbliżała się do zagłady.

— Czy widziała pani już kiedyś szarą aurę?

— Kilka razy.

— A jaki kolor wyczuwa pani u mnie? — Nie mogłam się oprzeć temu pytaniu.

— Żółty, z niewielką domieszką brązowego.

— A to ciekawe — odparłam, trochę zaskoczona. — Nigdy nie noszę żadnego z tych kolorów. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, bym w całym domu miała choć jedną żółtą czy brązową rzecz. Ale za to uwielbiam słońce i czekoladę.

— Aura nie ma nic wspólnego z kolorem ubrań czy jedzeniem, które pani lubi. — Uśmiechnęła się. — Żółty kolor oznacza niezależność. A brązowy kojarzę zazwyczaj z praktycznością i rozsądkiem. Z kimś mocno stąpającym po ziemi. Ale proszę pamiętać, że to moja interpretacja. Dla każdej osoby kolory mogą oznaczać trochę co innego.

— A Marino?

— Cienki paseczek czerwonego — powiedziała. — To właśnie widzę dookoła niego. Czerwony często oznacza gniew, lecz wydaje mi się, że jemu potrzeba znacznie więcej czerwonego.

— Chyba pani żartuje — rzekłam, gdyż wydawało mi się, że ostatnią rzeczą, jakiej Marino potrzebuje, jest jeszcze więcej gniewu.

— Kiedy ktoś ma słabą energię, mówię mu, że potrzebuje w życiu więcej czerwieni. To dodaje sił, sprawia, że szybciej dajemy sobie radę z problemami, skuteczniej walczymy z przeciwnościami losu. Czerwony może być naprawdę wspaniałym kolorem, jeżeli tylko potrafimy go odpowiednio ukierunkować. Wyczuwam jednak, że pani przyjaciel boi się tego, co czuje, i to wyraźnie go osłabia.

— Hildo, czy widziała pani zdjęcia innych zaginionych par?

Skinęła głową.

— Pani Harvey pokazała mi ich fotografie, także wycięte z gazet.

— Czy dotykała ich pani, czy usiłowała je pani odczytać?

— Tak.

— I co pani wyczuła?

— Śmierć — rzekła. — Wszyscy ci młodzi ludzie nie żyją.

— A co z tym mężczyzną o jasnej cerze, który może mieć ciemną brodę lub coś ciemnego na twarzy?

Zastanowiła się.

— Nie wiem. Ale pamiętam, że wyczułam wtedy tę samą beztroską, przyjazną atmosferę, o której wam wspomniałam. Ich pierwsze spotkania z zabójcą były miłe. Odniosłam wrażenie, że żadne z tych dzieci nie bało się na początku.

— Chciałabym panią jeszcze zapytać o karty — odezwałam się po chwili.

— Wspomniała pani, że czasem czyta pani z kart. Miała pani na myśli takie zwykłe karty do gry?

— Czytać można właściwie ze wszystkiego, kart do tarota, kryształowych kul, to nie ma znaczenia. To są tylko narzędzia, sprawiają, że łatwiej jest się skoncentrować. Ale tak, używam czasem talii zwykłych kart do gry.

— I jak to działa?

— Proszę daną osobę, by przełożyła talię, i zaczynam wykladać po kolei karty na stół, mówiąc wszystko, co mi w tej chwili przychodzi do głowy.

— Czy gdyby wybrała pani waleta kierowego, miałby on jakieś specjalne znaczenie? — zapytałam.

— To zależy od osoby, z którą miałabym do czynienia, od energii, jaką bym wyczuwała u niej. Ale walet kier jest równoznaczny z rycerzem pucharowym w kartach do tarota.

— Czy to dobra karta, czy zła?

— To zależy, kogo reprezentuje w odniesieniu do osoby, której czytam — odparła. — W tarocie karty pucharowe oznaczają miłość i uczucia, podobnie jak miecze i pendenty oznaczają interesy i pieniądze. Walet kierowy byłby kartą symbolizującą miłość i uczucie. To mogłaby być zarówno bardzo dobra karta, jak i bardzo zła, gdyby miłość przeminęła i zamieniła się w nienawiść lub chęć zemsty.

— W jaki sposób walet kierowy różni się na przykład od dziesiątki kierowej czy królowej kier?

— Walet kier to karta figuralna — wyjaśniła. — Powiedziałabym, że to karta reprezentująca mężczyznę. Król kier to także karta figuralna, lecz zawsze kojarzę ją z władzą, z kimś, kto uważa się lub jest uważany przez innych za wpływowego, kontrolującego... na przykład ojciec lub szef, ktoś w tym rodzaju. Walet, podobnie jak rycerz, może reprezentować kogoś, kto jest uważany lub uważa się za żołnierza, obrońcę albo zdobywcę. Może to być ktoś, kto walczy o swoje w świecie wielkiego biznesu albo jest zawodowym sportowcem, zawodnikiem. Może tu być naprawdę mnóstwo interpretacji, lecz skoro kiery są kartami uczucia i miłości, odważyłabym się twierdzić, że ten, kogo ta karta reprezentuje, jest elementem emocjonalnym, pozostającym w sprzeczności z elementem pracy lub pieniędzy.

Znowu odezwał się telefon.

— Niech pani nie wierzy zawsze w to, co pani słyszy, doktor Scarpetta — rzekła nagle Hilda.

— Nie rozumiem — odparłam zaskoczona.

— Coś, co ma dla pani ogromne znaczenie, sprawia, że jest pani smutna i nieszczęśliwa. Ma to coś wspólnego z jakąś osobą. Może z członkiem rodziny, nie wiem. Na pewno jest to ktoś bardzo ważny w pani życiu. Ale słyszy pani albo nawet wyobraża sobie na jego temat wiele rzeczy... Proszę uważać na to, czemu daje pani wiarę.

Mark, pomyślałam, albo Benton Wesley. Nie mogłam powstrzymać się przed zapytaniem:

— Czy to ktoś w tej chwili obecny w moim życiu? Czy spotykam się z nim?

Zastanowiła się.

— Ponieważ wyczuwam dużo zamieszania, wiele nieznanego, podejrzewam, że to ktoś, z kim nie jest pani obecnie zbyt blisko. Odczuwam dystans, lecz niekoniecznie geograficzny, być może tylko emocjonalny. Ten dystans sprawia, że nie potrafi pani zaufać. Radziłabym odpuścić sobie trochę, nie robić nic, by tę sytuację rozwiązać. Rozwiązanie przyjdzie samo, co prawda nie potrafię powiedzieć kiedy, lecz wiem, że tak będzie, jeżeli tylko się pani odpręży, nie usłucha własnych uczuć i nie będzie działać impulsywnie. I jest coś jeszcze — dodała po chwili. — Nie bardzo wiem, o co w tym chodzi. Jest coś, czego pani nie widzi, ma to coś wspólnego z przeszłością... to coś bardzo ważnego, co zdarzyło się dawno temu. Przyjdzie to do pani i zaprowadzi do prawdy, ale nie rozpozna pani tego,]jeżeli wcześniej się pani nie otworzy. Niech prowadzi panią wiara, a nie rozum.

Zastanawiając się, gdzie też podział się Marino, podeszłam do okna.

Na lotnisku w Charlotte Marino wypił dwa bourbony z wodą, a gdy już znaleźliśmy się na pokładzie samolotu, poprosił stewardesę o jeszcze jednego. Podczas drogi powrotnej do Richmond miał mi wyjątkowo mało do powiedzenia. Dopiero gdy szliśmy ku naszym samochodom na parkingu przy lotnisku, postanowiłam wykonać pierwszy ruch.

— Musimy pogadać — rzekłam, wyciągając kluczyki z kieszeni.

— Jestem skonany.

— Dochodzi piąta — odparłam. — Może wstąpisz do mnie na obiad?

Marino zapatrzył się gdzieś w dal, mrużąc oczy przed słońcem. Nie byłam pewna, czy jest wściekły, czy też bliski łez; nie byłam też pewna, czy kiedykolwiek wcześniej widziałam go w podobnym stanie.

— Zły jesteś na mnie, Marino?

— Nie, doktorku. Po prostu chcę być teraz sam.

— Uważam, że to ostatnia rzecz, na jaką powinnam ci teraz pozwolić.

Zapinając górny guzik płaszcza, Marino wymamrotał:

— No, to cześć — i odszedł.

Wróciłam do domu absolutnie wykończona i właśnie bezmyślnie siedziałam przy kuchennym stole, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Spojrzałam przez judasza i ze zdumieniem zobaczyłam twarz Marina.

— Miałem to w kieszeni — wyjaśnił, gdy tylko otworzyłam drzwi. Podał mi bilet na samolot i dokumenty z wypożyczalni samochodowej. — Pomyślałem, że przydadzą ci się do rozliczenia podatkowego.

— Dziękuję — odparłam, wiedząc, że to wcale nie dlatego do mnie przyszedł. Miałam rachunki na te rzeczy i nic, co mi dał, nie było mi niezbędne. — Właśnie miałam się zabrać do zrobienia obiadu. Skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz zostać.

— Może na chwilę. — Nie patrzył mi w oczy. — Ale potem mam jeszcze mnóstwo rzeczy do roboty.

Poszedł za mną do kuchni i usiadł przy stole, podczas gdy ja zajęłam się krojeniem słodkich czerwonych papryk, które potem miałam dodać do posiekanej cebuli.

— Wiesz, gdzie jest bourbon — powiedziałam, mieszając warzywa.

Marino wstał i poszedł do barku.

— Kiedy już tam jesteś — zawołałam za nim — zmieszaj mi, proszę, whisky z wodą sodową!

Nie odpowiedział, lecz gdy wrócił do kuchni, postawił mojego drinka na blacie kuchennym, po czym oparł się o drewniany klocek do krojenia mięsa. Dodałam cebulę i paprykę do przecieru pomidorowego i postawiłam na gazie pod przykrywką, a potem wzięłam się do przygrzewania kielbasek.

— Niestety nie mam drugiego dania — powiedziałam przepaszająco.

— Na oko nie wygląda, by było nam potrzebne.

— Jagnię w winie, pierś indyka albo pieczona wieprzowina byłyby tu doskonałe. — Nalałam wodę do garnka i postawiłam go na gazie. — Doskonale przyrządzam jagnięcinę, kiedyś się o tym przekonasz.

— Może powinnaś zaprzestać krojenia trupów i otworzyć restaurację.

— Zakładam, że to miał być komplement.

— Oczywiście. — Miał pokerową minę i właśnie zapalał papierosa. — Więc co to jest? — Skinął w stronę pieca.

— To żółte i zielone szerokie kluski ze słodką papryką i kiełbaskami — odparłam, dodając kiełbaski do sosu na patelni. — Ale gdybym naprawdę chciała zrobić na tobie wrażenie, powiedziałabym, że to *lepapardelle del Cantunzien*.

— Nie przejmuj się. I tak jestem pod wrażeniem.

Spojrzałam na niego poważnie.

— Marino, co się stało dziś rano?

Odpowiedział mi pytaniem na pytanie:

— Czy wspominałaś komukolwiek o swojej rozmowie z Vesseyem? I o tym, że rana na kości Debory została zadana nożem o ząbkowanym ostrzu?

— Jak na razie powiedziałam o tym tylko tobie.

— W takim razie zupełnie nie rozumiem, skąd Hilda Ozimek mogła wiedzieć o nożu myśliwskim z zębatym ostrzem. I to podobno jeszcze zeszłej jesieni.

— Faktycznie trudno to wyjaśnić — zgodziłam się, wrzucając makaron do wrzącej wody. — Ale niektórych rzeczy w życiu nie da się tak po prostu wytłumaczyć, Marino.

Świeży makaron gotuje się zaledwie kilka minut, więc gdy był już gotowy, przełożyłam go do podgrzanej w piekarniku miski, zalałam sosem, wrzuciłam nieco masła i roztartego parmezanu, po czym powiedziałam Marinowi, że możemy już siadać do stołu.

— Mam w lodówce trochę karczochów, ale żadnej surówki — rzekłam, rozstawiając talerze. — Jest też trochę chleba.

— Wystarczy mi to — odparł z pełnymi ustami. — Nieźle, naprawdę dobre.

Jeszcze nie zjadłam nawet połowy swej porcji, gdy on już czekał na dokładkę. Można by przypuszczać, że Marino nie jadł od tygodnia. Widać było, że źle mu się ostatnio powodzi: jego krawat gwałtownie potrzebował wizyty w pralni, jedna z nogawek u spodni była odwinięta i nie podszyta, a koszula miała żółtawe plamy pod pachami. Wszystko w nim krzyczało, że czuje się odrzucony i niechciany; poruszało mnie to i oburzało. Niby dlaczego dorosły, inteligentny mężczyzna nagle rozpada się i zapuszcza, niczym porzucony dom? Jednak wiedziałam, że życie wymknęło mu się spod kontroli i że w pewien sposób Marino sam już nie potrafi sobie pomóc.

Wstałam i przyniosłam butelkę czerwonego wina.

— Marino, czyje zdjęcie pokazałeś Hildzie? — spytałam, nalewając dwa pełne kieliszki. — Czy to była twoja żona?

Przestał jeść, odchylił się na krześle, lecz nie spojrzał mi w oczy.

— Nie musisz mi odpowiadać, jeżeli nie chcesz, ale już od dłuższego czasu nie jesteś sobą. To bardzo widać.

— To, co powiedziała, przeraziło mnie — odparł.

— To, co powiedziała Hilda?

— Aha.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. — Urwał i sięgnął po swój kieliszek. Jego twarz zastygła w ponurym grymasie, lecz w oczach tliło się upokorzenie. — Wróciła do New Jersey w zeszłym roku w listopadzie.

— Chyba nigdy mi nie powiedziałaś, jak twoja żona ma na imię.

— Ojej — mruknął gorzko. — Cóż za wnikliwy komentarz!

— A właśnie, że tak! Jesteś strasznie skryty, Marino.

— Zawsze taki byłem, ale praca w policji chyba to jeszcze zaostrzyła. Jestem przyzwyczajony do słuchania, jak chłopaki klną i skarżą się na swoje żony, dziewczyny czy dzieciaki. Płaczą ci w mankiet, a tobie się wydaje, że jesteś ich bratem, tylko że gdy przyjdzie twoja kolej i poskarżysz się komuś, w chwilę później gada o tym cały departament. Już dawno temu nauczyłem

się trzymać gębę na kłódkę. — Urwał i wyciągnął portfel. — Ma na imię Doris. — Podał mi zdjęcie, które tego dnia rano pokazał Hildzie Ozimek.

Doris miała przyjemną twarz i niebrzydkie zaokrąglone ciało. Stała sztywno wyprostowana, ubrana w elegancką sukienkę jak do kościoła, a na jej twarzy dojrzałam nieśmiałość zmieszaną z niechęcią. Widziałam ją setki razy, gdyż świat pełen był kobiet takich jak ona. Były to te wszystkie słodkie młode mężatki, które siedząc w księżycowe noce na huśtawkach na werandach, marzyły o wielkiej miłości. Były niczym lustra odbijające postaci ważnych osób w ich życiu. Czerpały swe poważanie ze świadczenia usług innym, żyły tylko dlatego, że dzień po dniu, kawałek po kawałku zabijały swe marzenia... aż wreszcie, pewnego ranka, budziły się wściekłe jak wszyscy diabli.

— Tego czerwca minęłaby nasza trzydziesta rocznica ślubu — odezwał się Marino, gdy oddałam mu zdjęcie. — I nagle mówi mi, że jest nieszczęśliwa. Mówi, że za dużo pracuję, że nigdy nie ma mnie w domu... że mnie nie zna, takie brednie. Ale ja nie urodziłem się wczoraj, wiem, co się za tym wszystkim kryje.

— Co takiego?

— Wszystko zaczęło się zeszłego roku w lecie, kiedy jej matka miała wylew. Doris pojechała się nią zająć... była na północy ponad miesiąc, doglądała matki w szpitalu, załatwiała dla niej dom opieki, sprzedawała jej mieszkanie i inne takie. Kiedy wróciła do Richmond, była już zmieniona. Jakby zupełnie inna osoba.

— Jak sądzisz, co się stało w New Jersey?

— Wiem, że spotkała tam faceta, którego żona zmarła kilka lat temu. Zajmuje się handlem nieruchomościami i pomagał jej sprzedać dom matki. Doris wspomniała o nim kilka razy, tak jakby nic dla niej nie znaczył. Ale coś wisiąło w powietrzu... czasem późno w nocy dzwonił telefon, a gdy ja odbierałem, tamten ktoś się rozłączał. Doris bardzo pilnowała, by odbierać pocztę, zanim ja to zrobiłem. Potem, w listopadzie, nagle spakowała się i wyjechała, mówiąc, że matka jej potrzebuje.

— I od tamtej pory nie wróciła do domu? — zapytałam.

Marino potrząsnął głową.

— Och, dzwoni od czasu do czasu... mówi, że chce rozwodu.

— Bardzo mi przykro.

— Wiesz, jej matka jest cały czas w tym domu opieki, a Doris dogląda jej i jednocześnie spotyka się z tym facetem od handlu nieruchomościami. Tak mi się przynajmniej zdaje. W jednej chwili jest nieszczęśliwa, a w drugiej radosna. Czuje się winna, a zaraz potem wszystko ma gdzieś. Dokładnie tak, jak powiedziała Hilda, patrząc na zdjęcie. Tam i z powrotem.

— Co jest dla ciebie bardzo bolesne.

— Hej! — Rzucił serwetkę na stół. — Może robić, co chce! Niech ją szlag!

Wiedziałałam, że tak nie myśli. Był zdruzgotany i serce mnie bolało na widok jego cierpienia. Ale równocześnie współczułam jego żonie, gdyż z pewnością niełatwo było kochać Marina.

— Chcesz, by wróciła?

— Byliśmy razem dłużej, niż żyłem, zanim się poznaliśmy, ale spójrzmy prawdzie w oczy, doktorku. — Spojrzał na mnie, a w jego oczach widać było strach. — Moje życie jest do dupy. Ciułam grosz do grosza, bywa, że w środku nocy wzywają mnie na miejsce zbrodni. Plany wakacyjne zawsze biorą w łeb, wszystkie inne też, a ona zostaje w domu, rozpakowuje walizki i czeka na mnie... jak w ten weekend przed Świętem Pracy, gdy zniknęli Debora Harvey i Fred Cheney. To była ostatnia kropla.

— Kochasz ją?

— Ona w to nie wierzy.

— Może powinieneś ją przekonać — powiedziałam. — Może powinieneś jej pokazać, że okropnie jej pragniesz, lecz nie potrzebujesz jej aż tak bardzo.

— Nie rozumiem. — Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

I nigdy tego nie zrozumiesz, pomyślałam, na wpół załamana.

— Po prostu sam się sobą zajmuj, nie oczekuj, że ona zrobi to za ciebie — rzekłam. — Może to jakoś zmieni waszą sytuację.

— Nie zarabiam dostatecznie dużo, i o to tu głównie chodzi.

— Założę się, że Doris nie dba aż tak bardzo o pieniądze. Pewnie chce

się czuć kochana i doceniana.

— On ma duży dom i nowusieńkiego chryslera ze skórzanymi obiciami... długiego na dziewięć jardów. — Nie odpowiedziałam. — W zeszłym roku pojechał na wakacje na Hawaje. — Marino zaczął być zły.

— Doris większą część swego życia spędziła z tobą. To był jej wybór, a Hawaje...

— Hawaje to tylko spęd dla turystów — wtrącił, zapalając papierosa. — Osobiście wolę wyspę Buggs i całodzienne wędkowanie.

— A czy nie przyszło ci do głowy, że Doris może mieć dość matkowania ci?

— Przecież nie jest moją matką! — warknął.

— Więc dlaczego odkąd wyjechała, wyglądasz, jakbyś desperacko potrzebował matki?

— Bo nie mam czasu na przyszywanie guzików, gotowanie, pranie i tego typu bzdury.

— Ja także jestem zajęta, a jednak znajduję czas na tego typu bzdury.

— Aha, i masz sprzątaczkę. I pewnie zarabiasz ze sto tysięcy rocznie.

— Zajmowałabym się sobą, nawet gdybym zarabiała dziesięć tysięcy rocznie — odparłam. — Robiłabym to, bo zbyt się szanuję, by się zapuścić, poza tym nie chcę, by ktokolwiek się mną zajmował. Chcę, by ktoś się mną przejmował, a to bardzo duża różnica.

— Jeżeli znasz wszystkie odpowiedzi, to dlaczego jesteś rozwiedziona, doktorku? I dlaczego twój przyjaciel Mark jest w Kolorado, a ty tutaj? Coś mi się zdaje, że i ty nie mogłabyś napisać podręcznika stosunków międzyludzkich.

Poczułam, że rumieniec wypływa mi na szyję.

— Tony'emu tak naprawdę wcale na mnie nie zależało i gdy wreszcie to do mnie dotarło, odeszłam od niego. A jeżeli chodzi o Marka, to miał problem z zaangażowaniem się w nasz związek.

— A ty byłaś zaangażowana? — Marino wlepił we mnie wzrok nieomal ze złością. Nie odpowiedziałam mu. — Dlaczego nie pojechałaś z nim na zachód? Może ty angażujesz się tylko w swoją pracę?

— Mieliśmy problemy i z całą pewnością wina leżała także po mojej stronie. Mark był zły i dlatego wyjechał na zachód... może żeby dać mi coś do zrozumienia, a może by uciec ode mnie — wypaliłam, zdumiona, że nie potrafię opanować uczuć. — Z powodu pracy i tak nie mogłabym z nim wyjechać, lecz on nigdy mi tego nie zaproponował.

Marino nagle zrobił zawstydzoną minę.

— Przepraszam, nie wiedziałem. — Nic nie powiedziałam, więc chwilę później dodał: — Zdaje się, że siedzimy w tej samej łódce.

— W pewien sposób — odparłam, lecz sama przed sobą nie chciałam się przyznać, jak bardzo miał rację. — Ale ja się przynajmniej sobą zajmuję. Jeżeli Mark kiedykolwiek jeszcze pojawi się w moim życiu, nie zastanie mnie wyglądającej jak siedem nieszczęść. Chcę, by wiedział, że go nie potrzebuję. Może ty powinienes tego samego spróbować z Doris?

— Aha. — Wydawało się, że wróciło mu trochę wiary w siebie. — Może tak zrobię. A teraz chyba już dojrzałem do kawy.

— A wiesz, jak ją zrobić?

— Chyba żartujesz?! — Spojrzał na mnie zaskoczony.

Podczas gdy wyjaśniałam mu techniczny cud znany ogólnie jako ekspres do kawy, nie wymagający przy obsłudze inteligencji powyżej pięćdziesięciu punktów, Marino wrócił do rozmyślań nad wydarzeniami dnia.

— Jakaś część mnie nie chce poważnie traktować tego, co powiedziała Hilda — wyjaśnił mi. — Ale z drugiej strony, nie mam wyboru. Chodzi mi o to, że jej słowa sporo mi dały do myślenia.

— W jaki sposób?

— Debora Harvey została postrzelona z broni o kalibrze dziewięć milimetrów, ale nigdy nie odnaleźliśmy łuski. Trudno mi uwierzyć, że morderca znalazł ją w ciemnościach... uważam, że Morrell i jego ludzie źle szukali albo nie w tym miejscu, co trzeba. Pamiętasz, Hilda wspomniała coś o innym miejscu w lesie i o czymś zgubionym. Czymś metalowym, co kojarzyło się jej z wojną. Czyli na przykład z pustą łuską.

— Ale przecież powiedziała też, że ten obiekt jest nieszkodliwy — przypomniałam mu.

— Pusta łuska nikomu nie wyrządziłaby krzywdy. To kula rani, a i to tylko wtedy, gdy jest wystrzelona.

— Ale zdjęcia zostały zrobione zeszłej jesieni — ciągnęłam. — Cokolwiek tam zgubiono, najprawdopodobniej już zniknęło.

— Myślisz, że morderca wrócił tam za dnia, by poszukać łuski?

— Hilda powiedziała, że osoba, która zgubiła ten metalowy przedmiot, jest trochę zaniepokojona.

— Nie sądzę, by tam wrócił — rzekł Marino. — Jest na to zbyt ostrożny. Nie ryzykowałby aż tak. Zaraz po zniknięciu dzieciaków roіło się tam od gliniarzy i psów... założę się, że ten drań przywarował. Musi być naprawdę sprytny i ostrożny, skoro tak długo udaje mu się bezkarnie hasać na wolności, bez względu na to, czy mówimy tu o psychopacie, czy też o płaatnym zabójcy.

— Może — mruknełam, podczas gdy kawa zaczęła powoli ściekać do dzbanka.

— Uważam, że powinniśmy tam wrócić i trochę się rozejrzeć. Co ty na to?

— Szczerze mówiąc, już się nad tym zastanawiałam.

Rozdział ósmy

W świetle bezchmurnego popołudnia las nie wydawał się wcale tak złowieszczy, jak zapamiętałam, dopóki wraz z Marinem nie doszliśmy do polanki, na której wcześniej znaleziono ciała. Wtedy poczuliśmy lekki, nieprzyjemny zapach rozkładających się ciał, nadal unoszący się w powietrzu. Igły świerkowe i liście zmiecione były na kupki, a warstwa ziemi zgarnięta w jedno miejsce przez łopaty i sita. Minie jeszcze wiele czasu i spadnie dużo deszczu, zanim ostatecznie oznaki popełnionej zbrodni znikną z tego miejsca.

Marino przyniósł ze sobą wykrywacz metalu, a ja trzymałam grabie. Wyjął z kieszeni papierosy i rozejrzał się dokoła.

— Nie sądzę, by szukanie tu miało jakikolwiek sens, tę polanę już przetrząsnęli gliniarze — mruknął.

— Zakładam, że ścieżkę wiodącą od drogi także przeszukano bardzo starannie — odparłam, patrząc do tyłu na wąski szlak, którym tu przyszliśmy.

— Niekoniecznie, bo ta ścieżka wcale nie istniała, kiedy ktoś przyprowadził tu Freda i Deborę zeszłej jesieni.

Dopiero po chwili zrozumiałam, o czym on mówi. Ścieżka została wydeptana przez policjantów i innych zainteresowanych, chodzących tam i z powrotem między polanką a drogą. Rozglądając się po lesie, Marino dodał:

— Szczerze mówiąc, trudno nawet zgadnąć, gdzie zaparkowali samochód. Najprościej jest przyjąć, że przyjechali tu tą samą drogą co my i mniej więcej tam, gdzie my, zaparkowali jeepa. Ale z drugiej strony, wcale niekoniecznie tak musiało być. Wszystko zależy od tego, czy jechali na tę polankę, czy gdzieś indziej.

— Mam wrażenie, że morderca dokładnie wiedział, dokąd ich prowadzi — odrzekłam. — Nie miałoby sensu, by na oślep zjechał z autostrady w pierwszą lepszą leśną dróżkę, po wielu dniach skrupulatnego planowania morderstwa, i po dłuższym błędzeniu w ciemnościach wylądował akurat tutaj.

Marino wzruszył ramionami, po czym włączył wykrywacz.

— Nie zaszkodzi sprawdzić.

Zaczęliśmy od wewnętrznej granicy polanki, potem przetrząsnęliśmy ścieżkę, sprawdzając każdy fragment podszycia i każdą kupkę liści na poboczach. Prawie przez dwie godziny sprawdzaliśmy każdą przerwę między drzewami, każdy skrawek ziemi między krzakami, który choćby w najmniejszym stopniu wyglądał tak, jakby ktoś nim przechodził. Kiedy po raz pierwszy odezwało się cienkie piszczenie detektora, okazało się, że nasze wysiłki zostały wynagrodzone starą puszką po piwie, a za drugim razem — zardzewiałym otwieraczem do konserw. Detektor odezwał się po raz trzeci, dopiero gdy byliśmy już na krawędzi lasu i mieliśmy w zasięgu wzroku zaparkowany Samochód; tam właśnie znaleźliśmy łuskę po naboju na śrut myśliwski, której osłona z czerwonego plastiku była już mocno wypłowiała.

Opierając się na grabiach, wpatrywałam się w ziemię i ciężko myślałam. Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała nam Hilda — o tym, że widzi jeszcze jakieś miejsce, którego nie było na zdjęciach, a do którego być może morderca zabrał Deborę. Przypomniałam sobie polankę i jej wygląd, gdy leżały tam jeszcze ciała. Przyszło mi na myśl, że jeżeli Deborze udało się w pewnym momencie wyswobodzić, mogło to być właśnie w chwili, gdy oprawca prowadził ją i Freda z drogi na polankę. Ale przyjrzawszy się lasowi dokoła, zrozumiałam, że jest to mało prawdopodobne.

— Załóżmy, że mamy do czynienia tylko z jednym mordercą — powiedziałam do Marina.

— No, dobra, słucham cię. — Wytał pot z czoła rękawem płaszcza.

— Gdybyś był mordercą i właśnie porwał dwoje ludzi, gdybyś ich tu przyprowadził, prawdopodobnie pod groźbą rewolweru, to kogo zabiłbyś najpierw?

— Chłopak stanowiłby większy problem — odparł bez zająknięcia. — Ja najpierw sprzątnąłbym jego, a dziewczynę zostawił na deser.

A jednak nadal trudno mi było sobie to przetłumaczyć. Kiedy usiłowałam zobaczyć jedną osobę, zmuszającą dwoje młodych ludzi do przejścia w ciemnościach przez las, jakoś nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Czy

morderca miał latarkę? Czy może znał ten teren tak dobrze, że mógł swobodnie poruszać się po nim w całkowitych ciemnościach? Zadałam te pytania Marinowi.

— Sam się nad tym zastanawiałem — odrzekł. — I przyszło mi do głowy kilka rozwiązań. Po pierwsze, najprawdopodobniej ich unieszkodliwił, pewnie związał im ręce na plecach. Po drugie, na jego miejscu podczas tego spaceru trzymałbym dziewczynę przy sobie, z lufą wetkniętą pod żebra. Dzięki temu jej chłopak nie sprawiłby mi najmniejszego kłopotu. Jeden fałszywy ruch z jego strony i dziewczyna obrywa. A jeżeli chodzi o latarkę? Musiał ją mieć, żeby cokolwiek widzieć w tym gąszczu.

— Ale jak można trzymać latarkę, rewolwer i dziewczynę jednocześnie? — zapytałam.

— Bez problemu. Chcesz, żebym ci pokazał?

— Nieszczególnie. — Cofnęłam się o krok, widząc jego wyciągnięte w moim kierunku ręce.

— Daj mi grabie. Jezu, doktorku, nie bądź tak cholernie nerwowa.

Podał mi wykrywacz metali, a ja jemu grabie.

— Załóżmy, że te grabki to Debora, okay? Przyciskam ją do siebie, trzymając lewe przedramię na jej gardle, a latarkę w lewej dłoni. O, tak. — Zademonstrował. — W prawej ręce trzymam rewolwer przytknięty lufą do jej żeber. Nie ma problemu. Fred idzie kilka stóp przed nami w świetle latarki, a ja go pilnuję. — Urwał i zapatrzył się na ścieżkę. — Prawdopodobnie nie poruszali się zbyt szybko.

— Szczególnie jeżeli byli boso — dodałam.

— Taak, a coś mi się zdaje, że byli. Skoro chciał ich tu przyprowadzić, nie mógł związać im nóg, ale jeżeli każe im zdjąć buty, to nie będą mogli iść zbyt szybko, a na pewno nie będą mogli łatwo uciec. Może jak ich już załatwi, zatrzymuje sobie buty na pamiątkę.

— Może. — Znowu pomyślałam o torebce Debory. Po chwili odezwałam się: — Jeżeli dziewczyna miała ręce związane na plecach, to jakim cudem wzięła się tu jej torebka? Nie miała paska, nie mogła więc zarzucić jej sobie na ramię albo zawiesić na szyi. A jeżeli ktoś zabiera cię do lasu pod groźbą

rewolweru, niby po co masz brać ze sobą torebkę?

— Nie mam pojęcia. Też mi to nie dawało spokoju.

— Spróbujmy jeszcze raz — zaproponowałam.

— O, cholera.

Zanim dotarliśmy z powrotem na polanę, chmury zakryły słońce, zaczął wiać wiatr i zdawało się, że temperatura spadła o dziesięć stopni. Byłam cała mokra pod płaszczem i zaczynałam powoli marznąć, a ręce drżały mi już od ciągłego poruszania grabiami. Przeszedłszy na krawędź polanki najbardziej odległą od ścieżki, spojrzałam na rozciągający się dalej teren, tak niezachęcający, że pewnie nawet myśliwi nigdy się tam nie zapuszczali. Policja przekopła i przesiała ziemię oraz podszycie jakieś dziesięć stóp w tamtą stronę, zanim natrafiła na gęsto pnące się kudzu* [* Kudzu — bardzo szybko rosnąca winorośl, spotykana w ciepłych klimatach (przyp. tłum.)]. Drzewa pokryte siecią zielonych łodyg i liści wyglądały niczym prehistoryczne dinozaury, górujące nad morzem bezkresnej zieleni lasu. Każde drzewo i krzak rosnące w okolicy było powoli zaduszane na śmierć przez bezwzględną winorośl.

— Dobry Boże — mruknął Marino, gdy wskazałam mu ten gąszcz grabiami.

— Nie pójdziemy zbyt daleko — obiecałam.

Nie musieliśmy.

Detektor metali odezwał się nieomal natychmiast. Piszczenie robiło się coraz przeraźliwsze i głośniejsze, w miarę jak Marino przybliżał skaner do kudzu rosnącego jakieś piętnaście stóp od miejsca, gdzie znaleziono ciało. Przekonałam się, że grabienie kudzu jest sto razy gorsze od rozczesywania splątanych włosów, i wreszcie rzuciłam grabie, opadłam na kolana i zaczęłam rozgarniać liście i trawy rękami w chirurgicznych rękawiczkach. Dopiero po paru minutach znalazłam coś zimnego i twardego, lecz nie to, co miałam nadzieję znaleźć.

— Łap! — Rzuciłam brudnego miedziaka Marino.

Kilka stóp dalej detektor znowu się odezwał i tym razem moje pełzanie na kolanach się opłaciło. Kiedy wyczułam pod palcami charakterystyczny

twardy, cylindryczny kształt, rozdzieliłam delikatnie kudzu i zobaczyłam błysk nierdzewnej stali — łuska po kuli lśniła niczym wypolerowane srebro. Ostrożnie wyjęłam ją z płataniny liści, starając się jak najmniej dotykać powierzchni, podczas gdy Marino pochylił się i przytrzymał mi otwartą plastikową torebkę.

— Kaliber dziewięć milimetrów, federalna — rzekł, odczytując pieczęć na czubku. — A niech mnie szlag trafi.

— Tutaj stał, kiedy do niej strzelił — mruknęłam. Ogarnęło mnie dziwne uczucie i dreszcz przebiegł mi po plecach, gdy przypominałam sobie, jak Hilda mówiła, że Debora znajdowała się w „zatłoczonym” miejscu, gdzie coś ją „łapało”. Kudzu.

— Postrzelono ją z bliska — odezwał się Marino. — W takim razie musiała upaść gdzieś niedaleko stąd.

Zaczęłam się przedzierać jeszcze dalej, a Marino podążył za mną z wykrywaczem.

— Jak on, u diabła, widział w ciemności? Jak ją zobaczył na tyle wyraźnie, by móc ją postrzelić? Boże drogi, Marino. Wyobrażasz sobie, jak wygląda to miejsce w nocy?

— Noc była bezchmurna i świecił księżyc.

— Ale nie było pełni — odparłam.

— Wystarczyło jednak, by nie było tu zupełnie ciemno.

Pogodę tamtej nocy sprawdzono już wiele miesięcy temu. Noc z piątku na sobotę, z trzydziestego pierwszego sierpnia na pierwszego września, kiedy zniknęli Debora Harvey i Fred Cheney, była bezchmurna i ciepła, a na niebie świecił księżyc w trzeciej kwadrze. Nawet jeżeli morderca był uzbrojony w potężną latarkę, nadal nie wyobrażałam sobie, by mógł się swobodnie poruszać po tym gąszczu. Jeżeli przyprowadził tu dwoje młodych ludzi, to powinien czuć się równie zagubiony i dezorientowany jak oni. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić mnóstwo zamieszania, potykania się i niezdarnego poruszania po omacku w ciemnościach.

Dlaczego po prostu nie zabił ich na drodze, nie przeciągnął ciała kilka jardów dalej i nie odjechał? Dlaczego chciał ich przyprowadzić akurat tutaj?

A jednak podobnie było w przypadku pozostałych par. Ich ciała również znajdowaliśmy w odległych zakątkach lasu, takich jak ten.

Rozglądając się po zaroślach kudzu, Marino z nieprzyjemnym wyrazem twarzy odezwał się ponuro:

— Całe szczęście, że węże nie znoszą takiej pogody.

— Jaka miła uwaga — odparłam trochę rozeźlona.

— Chcesz pchać się dalej? — Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że nie ma najmniejszej ochoty włączyć w kudzu choćby cal dalej.

— Chyba wystarczy nam jak na jeden dzień. — Wyszłam z zarośli najszybciej, jak mogłam, lecz nadal nie potrafiłam otrząsnąć się z nieprzyjemnego wrażenia. Uwaga Marina o węzach zupełnie mnie dobiła. Byłam na skraju ataku panicznego lęku.

Dochodziła piąta po południu i w lesie robiło się już szaro, gdy wędrowaliśmy z powrotem do samochodu. Za każdym razem, gdy jakaś gałązka trzaskała pod butami Marina, serce we mnie zamierało. Niesamowitą ciszę tego miejsca zakłócały tylko wiewiórki buszujące po drzewach i ptaki przelatujące z gałęzi na gałąź.

— Jutro z samego rana odwiozę to do laboratorium — powiedział Marino. — Potem muszę jechać do sądu. Niezły sposób na spędzenie dnia...

— W jakiej sprawie zeznajesz?

— W sprawie Bubby, postrzelonego przez swego przyjaciela imieniem Bubba. Jedynym świadkiem jest osobnik o imieniu Bubba.

— Chyba kpisz.

— Hej — odparł, otwierając drzwi samochodu. — Nigdy nie mówiłem poważniej. — Włączając silnik, mruknął: — Zaczynam mieć dość tej roboty, doktorku. Po prostu nienawidzę tego draństwa.

— W tej chwili, Marino, nienawidzisz całego świata.

— Nieprawda — odrzekł i roześmiał się szczerze. — Ciebie całkiem lubię.

Ostatni dzień stycznia zaczął się od tego, że w porannej poczcie znalazłam oficjalny komunikat od Pat Harvey, w którym zwięźle i dobitnie

informowała mnie, że jeżeli raport z autopsji jej córki oraz wyniki testów toksykologicznych nie znajdą się na jej biurku przed końcem przyszłego tygodnia, zdobędzie nakaz sądowy. Kopia tego listu została wysłana do mego szefa, Komisarza Zdrowia i Służb Publicznych, którego sekretarka zadzwoniła do mnie godzinę później z prośbą, bym natychmiast zjawiła się w biurze.

W czasie gdy na dole czekały na mnie sprawy do autopsji, wyszłam z kostnicy i przeszłam szybko przez ulicę Franklina, aż do Main Street Station. Zanim ten teren został wykupiony przez władze miasta Richmond, znajdowało się tu nieduże centrum handlowe, zorganizowane w ogromnym budynku, który przez wiele lat stał opustoszały. W pewnym sensie ten historyczny budynek z czerwonej cegły, z wieżą zegarową i dachem z czerwonej dachówki znowu został stacją kolejową, przystankiem dla pracowników państwowych zmuszonych do czasowej zmiany miejsca pracy, podczas gdy Madison Building był poddawany renowacji. Gubernator mianował doktora Paula Sessionsa na jego obecne stanowisko dwa lata temu; w tym czasie nasze spotkania były nieczęste, lecz dość przyjemne. Miałam jednak wrażenie, że tego dnia wszystko może ulec zmianie. Rozmawiając ze mną, jego sekretarka miała dość dziwny głos, jakby wiedziała z góry, że wzywa mnie, bym dostała burę.

Komisarz urzędował w biurze na drugim piętrze, szło się do niego zabytkowymi marmurowymi schodami, wypolerowanymi przez stopy mnóstwa petentów, którzy przewinęli się przez to miejsce w ciągu wielu lat. Pomieszczenia zajmowane obecnie przez mego szefa były niegdyś sklepem z artykułami sportowymi oraz butikiem, w którym sprzedawano kolorowe latawce. Wyburzono ściany działowe, szklane okna zamurowano, biura wyłożono dywanami i zastawiono pięknymi meblami. Doktor Sessions dostatecznie dobrze znał ospałe metody działania rządu, by umożliwić sobie w tym tymczasowym miejscu pracy tak wygodne gniazdko, żeby mu posłużyło jak najdłużej.

Sekretarka powitała mnie przepaszającym uśmiechem, co sprawiło, że poczułam się jeszcze gorzej, po czym odwracając się od klawiatury komputera, sięgnęła po interkom.

Zaanonsowała mnie i natychmiast otworzyły się ciężkie dębowe drzwi naprzeciwko jej biurka i doktor Sessions zaprosił mnie do gabinetu.

Był to energiczny człowiek o rzadziejących na skroniach ciemnych włosach i okularach w ogromnych oprawkach, które zakrywały dużą część wąskiej twarzy; był chodzącym dowodem na to, że ludzki gatunek nigdy nie był przeznaczony do brania udziału w biegach długodystansowych. Klatkę piersiową miał okrągłą i wypukłą, a pokrywę tłuszczową ciała tak znikomą, że prawie nigdy nie zdejmował marynarki, a nawet w lecie nosił koszule z długimi rękawami, gdyż było mu ustawicznie zimno. Nadal nosił temblak na lewym przedramieniu, które złamał podczas maratonu na zachodnim wybrzeżu jakieś dwa miesiące temu, kiedy to metalowy wieszak na ubrania, ominięty przez pozostałych zawodników podciął go i powalił na chodnik. Doktor Sessions był chyba jedynym sportowcem, który nie ukończył tego wyścigu, a mimo to znalazł się na pierwszych stronach gazet.

Teraz siedział za biurkiem z ponurą miną, a przed nim, na samym środku olbrzymiego blatu, leżało pismo od Pat Harvey.

— Zakładam, że już to pani widziała? — Postukał w list wskazującym palcem.

— Tak — odparłam. — Jest zupełnie oczywiste, że pani Harvey interesuje się wynikami autopsji córki.

— Ciało Debory Harvey znaleziono jedenaście dni temu. Czy mam rozumieć, że jeszcze pani nie wie, co spowodowało śmierć jej oraz Freda Cheney'a?

— Wiem, co ją zabiło, ale przyczyny zgonu Freda nadal nie ustaliłam.

Spojrzał na mnie zdumiony.

— Doktor Scarpetta, czy może mi pani uprzejmie wyjaśnić, dlaczego państwo Harvey i pan Cheney nie zostali jeszcze o tym poinformowani?

— To proste — powiedziałam. — Te sprawy nie są jeszcze zakończone, gdyż przeprowadzamy kolejne szczegółowe badania. Poza tym FBI prosiło mnie, bym nikomu nie wydawała raportów ani nie udzielała informacji dotyczących tych zgonów.

— Rozumiem. — Doktor Sessions zapatrzył się na ścianę, jakby tam było

okno, przez które mógłby wyglądać na świat.

— Jeżeli każe mi pan wydać raporty z autopsji, uczynię to, doktorze Sessions. W rzeczy samej bardzo by mi ulżyło, gdyby nakazał mi pan spełnić życzenie pani Harvey.

— Dlaczego? — Wiedział dlaczego, lecz chciał usłyszeć to z moich ust.

— Bo pani Harvey i jej mąż mają prawo wiedzieć, co spotkało ich córkę — odparłam. — Bruce Cheney ma prawo wiedzieć o naszych wątpliwościach dotyczących śmierci jego syna. Wiem, że to oczekiwanie jest dla nich dobijające.

— Rozmawiała pani z Pat Harvey?

— Ostatnio nie.

— A czy rozmawiała z nią pani od czasu, gdy znaleziono ciała? — Doktor Sessions nerwowo gładził temblak.

— Zadzwoiłam do niej, gdy byłam już pewna tożsamości zwłok, ale od tamtej pory nie rozmawiałam z nią.

— Ale usiłowała się z panią skontaktować, tak?

— Owszem.

— A pani odmówiła odpowiadania na jej telefony?

— Już wyjaśniłam, dlaczego nie mam ochoty z nią rozmawiać — rzekłam. — I nie sądzę, by poinformowanie jej, że FBI nie chce, by znała wyniki sekcji córki, było dyplomatycznym posunięciem z mojej strony.

— W takim razie mam rozumieć, że nikomu nie wspominała pani o prośbie FBI?

— Właśnie wspomniałam o niej panu, doktorze. — Doceniam to. — Poprawił się na fotelu. — Jednak mówienie o tym komukolwiek innemu byłoby wielce niestosowne. Zwłaszcza dziennikarzom.

— Robię co w mojej mocy, by ich unikać.

— „Washington Post” zadzwonił do mnie dziś rano.

— Kto z „Posta”?

Czekałam w niemiłym napięciu, podczas gdy on przeszukiwał swe notatki. Nie chciało mi się wierzyć, by Abby mogła wykręcić mi za plecami taki numer.

— Niejaki Clifford Ring. — Spojrzał na mnie. — Właściwie to nie pierwszy raz do mnie dzwonił ani też nie jestem jedyną osobą, z którą usiłował się skontaktować. Nagabywał również moją sekretarkę, innych pracowników, włącznie ze strażnikami. Zakładam, że dzwonił także i do pani; podobno zwrócił się do nas, do administracji, gdyż „koroner nie chce z nim rozmawiać”.

— Dzwoniło do mnie wielu dziennikarzy. Nie pamiętam większości ich nazwisk.

— No, cóż... pan Ring jest przekonany, że coś ukrywamy, że wszyscy jesteśmy w zмовie i sądząc ze sposobu zadawania przez niego pytań, ma dowody potwierdzające te przypuszczenia.

Dziwne, pomyślałam. Wedle moich informacji „Washington Post” wcale nie był zainteresowany tymi sprawami, co Abby podkreślała mi wielokrotnie.

— Pan Ring ma wrażenie — kontynuował mój szef — że pani biuro ukrywa istotne informacje i że to właśnie jest częścią jakiegoś spisku.

— I zapewne ma rację. — Bardzo się starałam, by nie było słychać zniecierpliwienia w moim głosie. — Jestem pomiędzy młotem a kowadłem. Jak pójdę na rękę pani Harvey, będę miała na pieńku z Departamentem Sprawiedliwości, i na odwrót, ale szczerze mówiąc, gdybym miała wybór, wolałabym postąpić zgodnie z życzeniem pani Harvey. Prędzej czy później i tak będę musiała to zrobić. Jest w końcu matką Debory Harvey, a FBI nic nie muszę mówić.

— Nie chcę sobie z Departamentu Sprawiedliwości robić wroga — rzekł doktor Sessions.

Nie musiał mi wyjaśniać dlaczego. Znacząca część budżetu komisarza pochodziła z zasobów federalnych; pieniądze te, w nieznaczej ilości, ściekały także do mego biura, aby na przykład podreperować system baz danych potrzebny do różnego rodzaju akcji prewencyjnych organizowanych przez FBI czy DEA. Departament Sprawiedliwości potrafił dobijać się o swoje. Nawet jeżeli zrobienie sobie wroga z władz federalnych nie spowodowałyby obciążenia bardzo potrzebnej nam gotówki, na pewno moglibyśmy liczyć na to, że utrudnią nam życie, jak tylko będą mogli. Komisarz nie chciał być

zmuszony do rozliczania się z każdego ołówka i z każdej kartki papieru zakupionej za rządowe pieniądze; wiedziałam, jak to działa — wszyscy zginęlibyśmy pod nawałem papierkowej roboty.

Doktor Sessions sięgnął zdrową ręką po list pani Harvey i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Moim zdaniem, jedynym wyjściem z sytuacji jest zaczekanie, aż pani Harvey spełni swą pogrózkę — powiedział.

— Jeżeli zdobędzie nakaz sądowy, nie będę mieć innego wyboru, jak tylko wydać jej raporty, których żąda.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Dzięki temu jednak FBI nie będzie mogło mieć do nas o nic pretensji. Co prawda nada to sprawie przykry rozgłos — myślał na głos. — Oczywiście, jeżeli opinia publiczna dowie się, że byliśmy zmuszeni przez sąd do przekazania pani Harvey tego, co zapewnia jej prawo, nie postawi nas to w zbyt korzystnym świetle... być może nawet dostarczy nowej wody na młyn naszego przyjaciela Clifforda Ringa.

Przeciętny obywatel nie ma pojęcia, że biuro koronera podlega komisarzowi zdrowia; to ja będę wyglądać źle w świetle opinii publicznej, a nie doktor Sessions. Komisarz, w najlepszym biurokratycznym stylu, wystawiał mnie do odstrzału tylko po to, by nie denerwować Departamentu Sprawiedliwości.

— Oczywiście — rozważał dalej — Pat Harvey wyda się społeczności wyjątkowo nieprzyjemnym zawodnikiem, gdyż będzie musiała użyć do tej sprawy wpływów swego biura. Z drugiej strony, możliwe jest także, iż blefuje.

— Wątpię — odparłam, ledwie hamując złość.

— Zobaczmy. — Wstał zza biurka i odprowadził mnie do drzwi. — Napiszę list do pani Harvey, w którym poinformuję ją, że rozmawiałem z panią na ten temat.

Założę się, że tak, pomyślałam.

— Proszę dać znać, jeżeli będzie pani potrzebować mojej pomocy — dodał z uśmiechem, lecz nie patrzył mi w oczy.

Właśnie dałam mu znać, że potrzebuję jego pomocy; równie dobrze

mógł mieć połamane obie ręce — nie zamierzał kiwnąć palcem w mojej obronie.

Gdy tylko wróciłam do biura, zapytałam recepcjonistki oraz Rose, czy dzwonił jakiś reporter z „Posta”, jednak po przekopaniu się przez sterty wiadomości i starych notatek, nikt nie znalazł nazwiska Clifforda Ringa. Nie może przecież oskarżyć mnie o zatajanie faktów, jeżeli nawet nie próbował się ze mną kontaktować, usiłowałam wyjaśnić sobie wszystko na zdrowy chłopski rozum. A jednak nadal byłam zaniepokojona.

— A tak przy okazji — zawołała za mną Rose, gdy szłam już korytarzem w stronę windy. — Linda cię szukała; mówi, że musi się z tobą jak najszybciej spotkać.

Linda była ekspertem z biura balistycznego; Marino musiał jej dostarczyć tę łuskę, pomyślałam, wspaniale.

Laboratorium balistyczne znajdowało się na trzecim piętrze i swobodnie mogło uchodzić za sklep z używaną bronią. Rewolwery, strzelby, wiatrówki i pistolety pokrywały dosłownie każdy cal powierzchni blatów i stołów, a dowody rzeczowe zawinięte w brązowe papierowe torby leżały na podłodze, sięgając do brody komuś mojego wzrostu. Już pomyślałam, że wszyscy wyszli na lunch, gdy zza zamkniętych drzwi usłyszałam przytłumiony odgłos wystrzału. Zaraz za laboratorium znajdował się maleńki pokój używany do próbnego strzelania w galwanizowany, stalowy zbiornik z wodą.

Po opróżnieniu dwóch magazynków Linda pojawiła się w drzwiach z rewolwerem kalibru.35 special w jednej ręce oraz nabojami i łuskami w drugiej. Była szczupła i kobieca, z drobnymi kośćmi i szeroko osadzonymi piwnymi oczyma. Biały laboratoryjny fartuch osłaniał powiewną czarną spódnicę i żółtą jedwabną bluzkę spiętą pod szyją okrągłą złotą broszką. Gdybym siedziała obok niej w samolocie i usiłowała domyślić się, kim jest z zawodu, stawiałabym na właścicielkę galerii sztuki albo może wykładowczynię poezji na jakimś uniwersytecie.

— Mam złe wieści, Kay — odezwała się, kładąc rewolwer i naboje na biurku.

— Mam nadzieję, że nie dotyczą one tej łuski, którą przyniósł ci Marino

— odparłam.

— Obawiam się, że tak. Właśnie miałam zamiar wskrobać na niej moje inicjały i numer ewidencyjny, gdy trochę się zdziwiłam. — Podeszła do mikroskopu. — Zobacz. — Podsunęła mi krzesło. — Widok wart miliony dolarów.

Usiadłszy, spojrzałam przez soczewki; w oświetlonym polu po lewej stronie podstawki leżała łuska z nierdzewnej stali.

— Nie rozumiem — mruknęłam dostrajając ostrość.

Wewnątrz kołnierza wyryte były inicjały „J.M.”

— Myślałam, że Marino ci to dał. — Spojrzałam na nią.

— Tak. Przyszedł tu jakąś godzinę temu — odrzekła Linda. — Zapytałam go, czy to on wskrobał te inicjały, lecz zaprzeczył. Oczywiście, wydawało mi się to mało prawdopodobne. Po pierwsze, jego inicjały to „P.M.”, a nie „J.M.”, a po drugie, od dawna powinien wiedzieć, że nie wolno bawić się dowodem rzeczowym.

Choć niektórzy detektywi oznaczali swymi inicjałami łuski nabojęw, podobnie jak niektórzy patolodzy oznaczali kule wyjęte z ciał, specjaliści od balistyki głośno przeciw temu protestowali. Wskrobywanie inicjałów na metalowej powierzchni zawsze groziło zatarciem śladów balistycznych mogących służyć później do identyfikacji broni, z jakiej pocisk został wystrzelony. Marino wiedział o tym doskonale. Podobnie jak ja zawsze oznaczał plastikową torebkę, dowód w środku pozostawiając nienaruszony.

— Czy mam rozumieć, że te inicjały były już w środku, gdy Marino ci to przyniósł? — zapytałam.

— Najwyraźniej tak.

J.M. Jay Morrell, pomyślałam zdumiona. Niby dlaczego miałby zostawiać łuskę po kuli na miejscu zbrodni, i to na dodatek oznaczoną inicjałami?

— Zastanawiam się, czy przypadkiem jakiś policjant pracujący przy ciałach nie miał tego z jakiegoś powodu w kieszeni i nie zgubił, nawet o tym nie wiedząc — rzekła Linda. — Na przykład mógł mieć dziurę w kieszeni.

— Trochę trudno jest mi w to uwierzyć.

— No, cóż... mam jeszcze jedną teorię, którą ci zaraz przedstawię, lecz

jestem pewna, że niezbyt ci się ona spodoba. Ta łuska mogła być ponownie użyta, rozumiesz? Ktoś w zużytej łusce wsadził nową kulę.

— To dlaczego miałyby na sobie inicjały detektywa? Kto przy zdrowych zmysłach używałby ponownie łuski oznaczonej jako dowód?

— To się już zdarzało, Kay. Ale ode mnie tego nie usłyszałaś, okay? — Skinęłam głową. — Liczba broni, amunicji oraz pustych łusek po nabojach, skonfiskowana przez policję i przekazana sądom jest astronomiczna i warta grube miliony. Ludzie są chciwi, nawet niektórzy sędziowie. Zabierają towar dla siebie albo sprzedają handlarzom bronią lub entuzjastom broni palnej. Podejrzewam, że jest możliwe, by ta łuska została odnaleziona przez detektywa, oddana do sądu jako dowód w jakiejś sprawie, po czym skończyła jako produkt wtórny. Bardzo możliwe, że ten, kto wsadził do niej drugą kulę i wystrzelił, nie miał pojęcia o wyskrobanych w niej inicjałach.

— Nie możemy udowodnić, że ta łuska należy do kuli znalezionej w ciele Debory Harvey i nie będziemy w stanie tego zrobić, dopóki nie odnajdziemy broni, z której została wystrzelona — przypomniałam jej. — Nie możemy nawet powiedzieć z pełnym przekonaniem, że to łuska po kuli typu Hydra-Shock. Wiemy tylko, że to dziewięćmilimetrowa federalna łuska.

— To prawda, ale federalni mają patent na kule typu Hydra-Shock od późnych lat osiemdziesiątych...

— Ale czy federalni sprzedają kule Hydra-Shock do ponownego ładowania w zużyte łuski? — spytałam.

— I tu jest problem, nie. Na rynku dostępne są tylko łuski. Ale to nie oznacza jeszcze, że ktoś w jakiś sposób nie dostał kul w swoje ręce; mógł ukraść je z fabryki albo mieć kontakt z kimś, kto je kradnie. Na przykład ja mogłabym je dostać, gdybym powiedziała, że pracuję nad jakimś specjalnym projektem. Kto wie? — Wyciągnęła z biurka puszkę dietetycznej coca-coli i dodała: — Nic mnie już nie dziwi.

— Czy Marino wie o tym?

— Zadzwoiłam do niego.

— Dziękuję, Lindo — powiedziałam, wstając. Miałam już własną teorię na temat tego, co się stało, która znacznie różniła się od teorii Lindy i była

bardziej prawdopodobna. Sama myśl o tym doprowadzała mnie do wściekłości. Kiedy tylko znalazłam się w biurze, chwyciłam za telefon i wykręciłam numer pagera Marina; odpowiedział nieomal natychmiast.

— Mały skurwiel — warknął bez zbędnego wstępu.

— Kto? Linda? — zapytałam, kompletnie zaskoczona.

— Morrell, ot kto. Kłamliwy sukinsyn. Dopiero co skończyłem z nim rozmawiać. Twierdził, że nie ma pojęcia, o czym mówię, dopóki nie oskarżyłem go o kradzież dowodu rzeczowego do ponownego załadowania... zapytałem, czy kradnie też broń i amunicję. Zagroziłem, że naślę na niego wydział spraw wewnętrznych... i zaczął śpiewać.

— Wyskrobał inicjały na łusce i zostawił ją tam celowo, tak, Marino?

— O, taak. Znaleźli łuskę jeszcze w zeszłym tygodniu. Tę prawdziwą. A potem ten dupek podłożył tam swoją... płakał, że to FBI mu kazało.

— Więc gdzie jest prawdziwa łuska? — zapytałam; krew pulsowała mi w skroniach.

— W laboratorium FBI. Całe upojne popołudnie spędziliśmy w lesie, doktorku, i wiesz co? Cały ten cholerny czas byliśmy obserwowani. Ta polanka jest pod ciągłą obserwacją agentów terenowych FBI. Dobrze, że żadne z nas nie kucnęło sobie za jakimś krzaczkiem, by się załatwić, co?

— Rozmawiałaś z Bentonem?

— Do diabła, nie. Jeżeli o mnie chodzi, może się pieprzyć. — I Marino z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Rozdział dziewiąty

W atmosferze restauracji Globe and Laurel jest coś, co sprawia, że czuję się bezpieczna. Budynek, położony na wąskim skrawku ziemi w północnej Wirginii w Triangle, nieopodal bazy jednostki U.S. Marines, jest z czerwonej cegły, prosty w konstrukcji, bez cienia ostentacyjności. Wąski pasek trawnika od frontu zawsze jest równo przystrzyżony, krzaki przycięte, a parking zamieciony, czysty i zapchany do ostatniego miejsca.

Semper Fidelis wisi nad drzwiami, a wchodząc do środka, zostałam powitana przez śmietankę szefów policji, czterogwiazdkowych generałów, sekretarzy obrony, dyrektorów FBI i CIA, których zdjęcia wisiały na ścianach. Znałam ich twarze na pamięć i wydawali mi się nieomal przyjaciółmi, co prawda dawno nie widzianymi, ale jednak przyjaciółmi. Major Jim Yancey, którego brązowe, zniszczone wojskowe buty jeszcze z Wietnamu stały na fortepianie po drugiej stronie baru, podszedł od mnie szybko po pięknym szkockim dywanie.

— Doktor Scarpetta — powitał mnie, uśmiechając się szeroko i potrząsając moją dłońią. — Już się bałam, że ostatnim razem nie smakowało ci jedzenie i dlatego tak długo się u nas nie pojawiałaś.

Major ubrany był w gruby golf i spodnie z materiału, które jednak w żaden sposób nie mogły ukryć jego poprzedniej profesji. Był wojskowym w każdym calu, z dumnie wyprostowanymi plecami, bez grama zbędnego tłuszczu na ciele oraz z siwymi włosami przyciętymi na jeża. Już dawno przekroczył wiek emerytalny, lecz nadal wyglądał na zdolnego do służby w piechocie morskiej i bez kłopotu mogłam go sobie wyobrazić tłukącego się jeepem po wyboistej drodze lub jedzącego fasolę z puszki w dżungli podczas rześistej monsunowej ulewy.

— Nigdy nie zjadłam tu nic, co by mi nie smakowało, i dobrze o tym wiesz, Jim — odrzekłam ciepło.

— Szukasz Bentona, a on szuka ciebie... Staruszek siedzi tam — wskazał za siebie — w swojej zwykłej norze.

— Dziękuję, Jim. Wiem, jak tam trafić. I miło mi cię znowu widzieć.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo i wrócił za bar.

To Mark przedstawił mnie majorowi Yanceyowi i po raz pierwszy zaprowadził do jego restauracji, kiedy na dwa weekendy każdego miesiąca przyjeżdżałam do niego do Quantico. Przechodząc pod sufitem pokrytym odznakami policyjnymi i obok ścian, na których wisiała kolekcja pamiątek po kolegach z korpusu majora Yanceya, wróciłam myślami do przeszłości. Pamiętałam, przy którym stoliku zazwyczaj siadaliśmy z Markiem, i dziwnie było mi zobaczyć tam teraz jakichś obcych ludzi pograżonych w rozmowie. Nie było mnie tu od ponad roku.

Po wyjściu z głównej sali przeszłam do nieco mniejszego, bardziej prywatnego pomieszczenia, gdzie Wesley czekał na mnie w swej norze — stoliku w kącie, tuż obok okna z czerwonymi zasłonami. Popijał właśnie drinka i nie uśmiechnęłam się, gdy przywitaliśmy się formalnie. Kelner w czarnym smokingu przyszedł, by zapytać, co piję.

Wesley patrzył na mnie nieprzeniknionym wzrokiem, a ja potraktowałam go podobnie. Uderzył w gong oznaczający rozpoczęcie pierwszej rundy, a pod koniec pewnie żadne z nas nie będzie się trzymać na nogach.

— Jest mi bardzo przykro, że nie potrafimy się porozumieć, Kay — zaczął.

— Mam podobne odczucia — odparłam z żelaznym spokojem, którego nauczyłam się, składając zeznania w sądzie. — Mnie również bardzo martwi to, że nie potrafimy się dogadać. Czy FBI ma także mój telefon na podsłuchu, czy ja także jestem śledzona? Mam nadzieję, że twoi koledzy czający się w lesie zrobili mnie i Marinowi ładne zdjęcia.

Wesley odpowiedział mi równie spokojnie:

— Ty, osobiście, nie znajdujesz się pod obserwacją, ale obszar lasu, na który weszłaś wczoraj z Marinem, owszem.

— Może gdybyś raczył informować mnie o swoich poczynaniach — rzekłam, z trudem hamując złość — uprzedziłabym cię, że razem z Marinem postanowiliśmy wrócić na tę polanę.

— Nie przyszło mi do głowy, że możecie wpaść na taki pomysł.

— Zazwyczaj wracam na miejsce, gdzie policja znajduje ciała. Pracujesz ze mną dostatecznie długo, by o tym wiedzieć.

— Mój błąd. Ale teraz wiesz już o wszystkim i wolałbym, żebyś więcej tam nie wracała.

— Nie zamierzam — odparłam ostrożnie. — Ale jeżeli będzie taka konieczność, z przyjemnością cię o tym poinformuję. Chociaż nie wiem po co, skoro i tak się o tym dowiesz. A szczerze mówiąc, nie zamierzam tracić czasu, zbierając dowody podłożone przez twoich agentów czy policję.

— Kay — odezwał się Wesley łagodniejszym tonem. — Ja wcale nie staram się przeszkadzać ci w pracy.

— Zostałam okłamana, Benton. Powiedziano mi, że nie znaleziono żadnej łuski na miejscu zbrodni, a teraz dowiaduję się, że została ona przekazana waszemu laboratorium ponad tydzień temu.

— Kiedy postanowiliśmy obserwować ten teren, nie chcieliśmy, by były jakiegokolwiek przecieki — rzekł Wesley. — Im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej dla sprawy.

— Najwyraźniej zakładacie, że morderca może wrócić na miejsce zbrodni.

— Istnieje taka możliwość.

— A czy taka możliwość przyszła wam do głowy przy pierwszych czterech sprawach?

— Tym razem jest inaczej.

— Dlaczego?

— Bo zostawił po sobie ślad i wie o tym.

— Jeżeli tak by się martwił zgubioną łuską, mógł po nią wrócić zeszłej jesieni; miał na to mnóstwo czasu — odparłam.

— Mógł nie wiedzieć, że zorientujemy się, iż Debora została postrzelona albo że z jej ciała wydobędziemy kulę typu Hydra-Shock.

— Nie wierzę, by morderca był aż tak głupi — powiedziałam.

Wrócił kelner z moją whisky z wodą sodową, a Wesley kontynuował:

— Łuska, którą znalazłaś, została podłożona, nie będę temu zaprzeczał. I owszem, wraz z Marinem wesłicie na teren pozostający pod obserwacją

naszych agentów. W lesie czaiło się dwóch moich ludzi... widzieli wszystko, co tam robiliście, włącznie ze znalezieniem łuski. Gdybyś do mnie nie zadzwoniła, ja skontaktowałbym się z tobą.

— Chciałabym ci wierzyć.

— Wyjaśniłbym ci wszystko. Właściwie nie miałbym innego wyjścia, skoro bezwiednie poruszyłaś gniazdo os. I masz rację. — Sięgnął po swego drinka. — Powinienem był cię o tym uprzedzić; wtedy nic z tego by się nie zdarzyło i nie musielibyśmy odwoływać, albo może raczej odraczać pewnych spraw.

— A co, konkretnie, musieliście odroczyć?

— Gdybyście wraz z Marinem nie wleźli nam w drogę, jutro w gazetach pojawiłby się artykuł skierowany do mordercy. — Urwał na chwilę. — Byłaby to dezinformacja, by go wyciągnąć z kryjówki, zdenerwować. Wypuścimy ten artykuł, ale na pewno nie przed poniedziałkiem.

— A jaki to ma sens? — zapytałam.

— Chcemy, by uważał, że odkryliśmy coś podczas autopsji. Coś, dzięki czemu wierzymy, że na miejscu zbrodni zostawił ważny dowód wskazujący na niego. Sugestia tu, sugestia tam, z mnóstwem zaprzeczania i żadnym komentarzem ze strony policji. Wszystko, by go przekonać, że wiemy o istnieniu dowodu, lecz jeszcze go nie znaleźliśmy. Morderca wie, że zostawił łuskę w lesie, i jeżeli dostanie odpowiednio silnej paranoi, wróci tam, by jej poszukać, a my będziemy na niego czekać. Sfilmujemy go i dopadniemy.

— Łuska jest bezużyteczna, chyba że znajdziecie przy nim broń, z której strzelał. Poza tym, dlaczego miałby ryzykować powrót do lasu, wiedząc, że cały czas kręci się tam policja? — Nie wierzyłam w to, co mówił Benton.

— Może się martwić o wiele rzeczy, bo czuje, że stracił panowanie nad sytuacją. Gdyby go nie stracił, nie byłby zmuszony do strzelenia Deborze w plecy. Wygląda na to, że Cheney zabił bez użycia rewolweru. Skąd może wiedzieć, czego szukamy, Kay? Może łuski po kuli? Może czego innego. Morderca nie ma pojęcia, w jakim stanie były ciała, kiedy je znaleźliśmy. Nie wiemy, co on zrobił tym dzieciakom, a on nie ma pojęcia, co mogłaś odkryć podczas autopsji. Może nie wrócić do lasu w dzień po ukazaniu się artykułu,

lecz za tydzień albo za dwa, kiedy będzie uważał, że wszystko już przycichło.

— Wątpię, by to zadziało — rzekłam.

— Jeżeli nic nie zaryzykujemy, nic nie zyskamy. Morderca zostawił po sobie ślad. Bylibyśmy idiotami, gdybyśmy nie spróbowali tego jakoś wykorzystać.

Postanowiłam trochę go pomęczyć.

— A co ze śladami pozostawionymi przez mordercę w pierwszych czterech sprawach, Benton? Jakoś nie spieszyliście się, by je wykorzystać. Z tego, co wiem, znaleźliście waleta kierowego w samochodzie każdej z zaginionych par. Jest to szczegół, który najwyraźniej bardzo starannie przede mną ukrywałeś.

— Kto ci o tym powiedział? — zapytał Wesley bez zmruczenia oka. Nie wydawał się nawet zbyt zdziwiony.

— Czy to prawda?

— Tak.

— A czy znaleźliście kartę w sprawie Harvey-Cheneya?

Wesley spojrzał w przeciwny róg sali, przyzywając wzrokiem kelnera.

— Polecam ci filet z ryby. — Otworzył swe menu. — Albo może kotlety jagnięce.

Złożyłam zamówienie z mocno bijącym sercem. Zapaliłam papierosa, lecz nadal nie potrafiłam się odprężyć; rozpaczliwie zastanawiałam się nad jakimś sposobem, by do niego dotrzeć.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Bo nie widzę, jaki ma związek z twoją rolą w tym dochodzeniu — odparł.

— Policja czekała kilka godzin z wezwaniem mnie na miejsce, ciała były przesuwane i ktoś je dokładnie oglądał, zanim ja tam przyjechałam. Inspektorzy pracujący nad tą sprawą nie informują mnie o przebiegu śledztwa, ty proszę, bym w nieskończoność odwlekała udostępnienie raportów o przyczynach śmierci Freda i Debory. W tym czasie Pat Harvey groziła mi, że zdobędzie nakaz sądowy, bo nie chcę jej powiedzieć, czego się dowiedziałam. — Urwałam i spojrzałam na niego; nadal miał niewzruszoną

minę. Dokończyłam ze złością: — Wreszcie wracam na miejsce zbrodni, nie wiedząc, że znajduje się pod obserwacją ani że dowód, który znalazłam, jest podłożony. A ty nie sądzisz, by szczegóły dotyczące tego śledztwa były dla mnie ważne? Nie jestem pewna, czy w ogóle odgrywam jeszcze jakąś rolę w tym dochodzeniu! W każdym razie wydaje się, że robisz, co w twojej mocy, bym nie odgrywała!

— Nie robię nic podobnego.

— Ale ktoś to robi. — Nie odpowiedział. — Jeżeli walet kierowcy został znaleziony w torebce Debory albo gdzieś obok ciała, muszę o tym wiedzieć. To dla mnie bardzo ważne, bo wiązałoby tę sprawę z czterema poprzednimi. Kiedy w Wirginii grasuje seryjny morderca, powinnam o tym wiedzieć.

I wtedy Wesley złapał mnie z zaskoczenia.

— Ile powiedziałaś Abby Turnbull?

— Nic jej nie powiedziałam — odrzekłam, czując, że serce wali mi coraz mocniej.

— Spotkałaś się z nią, Kay. Nie będziesz chyba temu zaprzeczać.

— Mark ci o tym powiedział, nie będziesz chyba temu zaprzeczać.

— Mark nie miałby powodu wiedzieć o twoich spotkaniach z Abby w Richmond i Waszyngtonie, chyba że sama byś mu o tym powiedziała. Tak czy inaczej, nie miałby żadnego powodu, by przekazywać mi te informacje.

Patrzyłam na niego w osłupieniu. Skąd Wesley miałby wiedzieć, że spotkałam się z Abby w Waszyngtonie, jeżeli naprawdę nie była śledzona?

— Kiedy Abby przyjechała do mnie do Richmond — odparłam — Mark zadzwonił do mnie, i wspomniałam mu o tym. Chcesz mi wmówić, że nic ci o tym nie powiedział?

— Ano nie.

— Więc skąd wiesz?

— Są rzeczy, o których nie mogę z tobą rozmawiać. Musisz mi po prostu zaufać, Kay.

Kelner postawił przed nami sałatki i zaczęliśmy jeść w milczeniu. Wesley odezwał się ponownie dopiero przy drugim daniu.

— Znajduję się pod ogromną presją — powiedział cicho.

- Widzę; wyglądasz na wycieńczonego i zaharowanego.
- Dziękuję, pani doktor — odrzekł ironicznie.
- Zmieniłeś się także pod innymi względami — brnęłam dalej.
- Jestem pewien, że to tylko twoja wyobraźnia.
- Odrącasz mnie, Benton.
- Podejrzewam, że trzymam cię na dystans, ponieważ zadajesz mi pytania, na które nie mogę ci odpowiedzieć; podobnie jak Marino. Przez to czuję się pod jeszcze większą presją. Rozumiesz?
- Bardzo staram się cię zrozumieć — odparłam.
- Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Czy możesz to tak zostawić?
- Niezupełnie, bo właśnie w tym punkcie spotykają się nasze drogi. Ja mam informacje, które są tobie potrzebne, a ty takie, których ja potrzebuję. Nie przekażę ci moich, dopóki ty nie przekażesz mi swoich. — Benton roześmiał się głośno, co mnie mocno zaskoczyło. — Myślisz, że możemy się w tych warunkach jakoś dogadać? — nalegałam.
- Wygląda na to, że nie mam innego wyjścia.
- Ano nie masz — powiedziałam.
- Tak, znaleźliśmy waleta kierowego w sprawie Harvey-Cheneya. I zgadza się, ciała ruszano, zanim przyjechałaś do lasu. Wiem, że to było brzydkie zagranie z mojej strony, ale nie masz pojęcia, dlaczego te karty są aż tak ważne dla śledztwa ani o problemach, jakie byśmy napotkali, gdyby ktokolwiek się o nich dowiedział. Na przykład dziennikarze. Nic więcej nie mogę ci teraz powiedzieć.
- Gdzie znaleźliście kartę? — spytałam.
- W torebce Debory Harvey. Kiedy kilku policjantów pomogło mi przewrócić jej ciało na plecy, pod spodem znaleźliśmy torebkę.
- Czyżbyś sugerował, że to morderca przyniósł torebkę do lasu?
- Tak. Założenie, że to dziewczyna ją ze sobą wzięła, nie ma najmniejszego sensu.
- W pozostałych sprawach karta była zostawiona na widoku, w samochodach ofiar — wytknęłam mu.
- Aha, dokładnie. Miejsce, gdzie znaleźliśmy kartę, jest tylko jeszcze

jednym nie zgadzającym się szczegółem, różniącym tę sprawę od pozostałych. Dlaczego nie została podłożona jeepie? Inną nieścisłością jest to, że do tej pory znajdowaliśmy karty firmy Bicycle, ta zostawiona przy Deborze Harvey jest innej marki. No i pozostaje jeszcze sprawa tych włókien.

— Jakich znowu włókien? — spytałam.

Choć ze wszystkich ciał zebrałam mnóstwo różnego rodzaju włókien, większość z nich pasowała do odzieży ofiar lub obić wewnątrz ich samochodów. Kilka znalezionych przeze mnie nie pasujących do niczego włókienek jak na razie nie stanowiło żadnego związku pomiędzy wszystkimi pięcioma sprawami.

— W czterech sprawach poprzedzających morderstwo Debory i Freda — wyjaśnił Wesley — z siedzenia kierowcy każdego porzuconego wozu zgarnęliśmy białe bawełniane włókna.

— A to coś nowego — rzekłam, czując, jak znowu budzi się we mnie złość.

— Ich analiza została przeprowadzona w naszym laboratorium — odparł Benton spokojnie.

— I jak to interpretujesz? — zapytałam.

— Ciekawy jest rodzaj zebranych przez nas fragmentów. Ponieważ ofiary nie miały na sobie białych bawełnianych ubrań, zakładamy, że włókna zostawił po sobie morderca, czyli że w jakimś momencie prowadził samochody tych dzieciaków już po popełnieniu zbrodni, lecz tego domyślaliśmy się od dawna. Prawdopodobnie miał na sobie jakiś biały mundur albo przynajmniej białe mundurowe spodnie, nie wiem. Jednak w jeepie Debory Harvey nie znaleźliśmy ani jednego białego bawełnianego włókna.

— A co znaleźliście? — chciałam wiedzieć.

— Nic, co by w tej chwili cokolwiek wyjaśniało. Prawdę mówiąc, wnętrze wozu było wyjątkowo czyste. — Urwał, przekroił stek, po czym kontynuował. — Chodzi o to, że *modus operandi* w tej sprawie jest wystarczająco różny od poprzednich, bym zaczął się martwić... z uwagi na inne okoliczności.

— Z uwagi na to, że jedną z ofiar jest córka Narkotykowej Carycy, a ty

nadal uważasz, że to, co przydarzyło się Deborze, mogło mieć powiązania z antynarkotykową działalnością jej matki — powiedziałam, a Benton skinął głową.

— Nie możemy wykluczyć możliwości, że morderstwo Debory i jej chłopaka jest sprytnym zabójstwem na zlecenie, spreparowanym tak, by pasowało do morderstw pozostałych czterech par.

— Jeżeli ich śmierć nie ma nic wspólnego z pozostałymi sprawami i była wykonaniem wyroku, to skąd zabójca wiedział o walecie kierowym? — zapytałam sceptycznie. — Nawet ja dowiedziałam się o tym dopiero niedawno. A na pewno nic nie pisano o tym w gazetach.

— Pat Harvey wie — rzekł Wesley, co zupełnie mnie zaskoczyło.

Abby, pomyślałam. Byłam gotowa się założyć, że to ona podała ten szczegół pani Harvey i że Benton Wesley o tym wie.

— Jak długo pani Harvey wie, że w każdą ze spraw zamieszana jest karta do gry? — spytałam.

— Kiedy znaleźliśmy jeepa jej córki, zapytała, czy był w nim walet kier. Powtórzyła pytanie zaraz po odkryciu ciał w lesie.

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Skąd mogłaby o tym wiedzieć zeszłej jesieni? Wygląda na to, że była dobrze poinformowana, zanim jeszcze zniknęła jej córka i Fred.

— Znała kilka szczegółów, to pewne. Pat Harvey była zainteresowana tymi sprawami na długo, zanim zaangażowała się w nie emocjonalnie.

— Dlaczego?

— Słyszałaś przecież niektóre z teorii na ten temat — odparł. — Że dzieciaki przedawkowały prochy. Że na ulice wprowadzany jest jakiś nowy narkotyk i że zażywające go dzieciaki idą na balangę do lasu, gdzie umierają. Albo że jakiegoś handlarza podnieca sprzedawanie dzieciakom złego towaru gdzieś w lesie i patrzenie, jak umierają.

— Owszem, słyszałam te teorie, lecz jak na razie nic ich nie potwierdza. Testy toksykologiczne wykazały brak jakichkolwiek narkotyków w ciałach ośmiu pierwszych zamordowanych nastolatków.

— Pamiętam twoje raporty — odparł Benton zamysłonym głosem. — Ale

założyłem wtedy, że to wcale nie wyklucza, by te dzieciaki eksperymentowały z narkotykami. W końcu ich ciała były praktycznie całkiem rozłożone... Niewiele z nich zostało, oprócz kości, do poddania testom.

— Tkanki mięśniowej wystarczyło, by przeprowadzić badania toksykologiczne. Na przykład w celu wykrycia kokainy czy heroiny. Poza tym, przeprowadziliśmy testy na obecność morfiny i pochodnych PCP oraz amfetaminy, by wykluczyć jakieś nowe odmiany tych narkotyków.

— A co z China White? — zapytał, mając na myśli bardzo mocny syntetyczny środek przeciwbólowy, popularny w Kalifornii. — Z tego, co wiem, łatwo go przedawkować i trudno wykryć.

— To prawda. Śmiercionośny może być już jeden miligram, co oznacza, że stężenie jest zbyt niskie, by wykryć go w organizmie bez pomocy specjalnych procedur analitycznych, jak na przykład RIA. — Widząc jego minę, wyjaśniłam: — Metoda radioimmunologiczna oparta na wykrywaniu specjalnych reakcji antyciał na występowanie narkotyku. W odróżnieniu od zwykłych metod, dzięki RIA można wykryć w ciele człowieka niezwykle małe dawki narkotyku, wszystko jedno, czy to będzie China White, LSD, czy THC.

— I, oczywiście, nic nie znaleźliście.

— Nic.

— A co z alkoholem?

— Z wykryciem alkoholu są spore problemy, gdy ciało jest zbyt mocno rozłożone. Niektóre z testów dały negatywne wyniki, inne wskazywały na mniej niż zero pięć dziesiątych... co równie dobrze mogło być spowodowane procesami gnilnymi. Innymi słowy, nic, co mogłoby być znaczące dla spraw.

— Podobnie w przypadku Debory Harvey i Freda Cheney'a?

— Jak na razie nie wykryliśmy żadnego narkotyku w ich ciałach — odparłam. — Czym Pat Harvey interesowała się we wcześniejszych sprawach?

— Nie zrozum mnie źle — odparł. — Nie mówię, że to było jej główne zajęcie. Ale gdy była prokuratorem, musiała mieć dostęp do tajnych informacji, i pewnie wiedziała, komu zadać odpowiednie pytania. To wszystko polityka, Kay. Podejrzewam, że gdyby się okazało, iż te morderstwa w

Wirginii są powiązane w jakiś sposób z narkotykami — albo jako przypadkowe, albo umyślne zabójstwa — użyłaby ich jako kolejnych dowodów w swej kampanii antynarkotykowej.

To by wyjaśniało, dlaczego pani Harvey była tak doskonale poinformowana, gdy rozmawiałam z nią przy lunchu zeszłej jesieni. Nie wątpię, że w biurze miała szczegółowe informacje, dotyczące zniknięcia wszystkich par.

— I tak jej dochodzenia w tych sprawach utknęły na martwym punkcie — kontynuował Wesley. — Zdaje mi się, że odpuściła je sobie nieco, dopóki nie zaginęła jej córka i Fred. Wtedy wszystko do niej wróciło ze zdwojoną siłą, jak łatwo sobie wyobrazić.

— Taak, wyobrażam sobie. Jakaż to by była ironia losu, gdyby się okazało, że to narkotyki były przyczyną śmierci córki Narkotykowej Carycy.

— Niech ci się nie zdaje, że pani Harvey o tym nie pomyślała — odrzekł ponuro Wesley.

Jego słowa sprawiły, że znowu zeszywniałam.

— Ona ma prawo wiedzieć, Benton. Nie mogę w nieskończoność ukrywać wyników sekcji.

Skinął na kelnera, że jesteśmy już gotowi na poobiednią kawę.

— Musisz mi kupić trochę czasu, Kay.

— Dla twojego pomysłu z dezinformacją zabójcy?

— Musimy przynajmniej spróbować wypuścić ten artykuł, bez ingerencji z jej strony. Gdy tylko Pat Harvey wydobędzie od ciebie te informacje, rozpęta się piekło. Uwierz mi, że w tej chwili lepiej wiem, do czego jest zdolna pani Harvey. Pójdzie do dziennikarzy i spieprzy nam całą akcję.

— A co będzie, jeżeli uzyska nakaz sądowy?

— To zabierze jej trochę czasu. Nie dostanie go jutro. Proszę, wstrzymaj się jeszcze trochę dłużej, Kay.

— Nie wyjaśniłeś mi jeszcze do końca tej sprawy z waletem kierowym — przypomniałam mu. — Niby skąd zabójca wykonujący wyrok na dziecku Pat Harvey miałby wiedzieć o karcie?

Wesley odpowiedział mi z wyraźną niechęcią:

— Pat Harvey nie działa sama ani też sama nie zbiera informacji. Ma wielu pomocników, współpracowników i tym podobnych. Rozmawia z innymi politykami, mnóstwem ludzi, w tym także ze zwykłymi obywatelami. Wszystko zależy od tego, komu mogły zaszkodzić zebrane przez nią informacje i kto może chcieć ją zniszczyć, zakładając, rzecz jasna, że o to chodzi, czego wcale nie jestem pewien.

— Płatny zabójca, który ma sprawę załatwić tak, by wyglądała na piątę z kolei zabójstwo — zastanawiałam się głośno. — Tyle że morderca popełnił błąd; nie wiedział, iż powinien zostawić waleta kierowego w samochodzie. Zostawił go przy ciele Debory, w jej torebce. Może to ktoś związany z tymi organizacjami charytatywnymi, które zdemaskowała pani Harvey?

— Mówimy tu o złych ludziach, którzy znają innych złych ludzi, o handlarzach narkotykami, o zorganizowanej przestępczości. — Benton powoli mieszał swą kawę. — Pani Harvey nie trzyma się w tej chwili zbyt dobrze. Jest bardzo roztargniona, zdekoncentrowana. Te zeznania przed Kongresem nie są teraz dla niej najważniejsze.

— Rozumiem. I podejrzewam, że ze względu na to przesłuchanie nie jest obecnie na zbyt przyjacielskiej stopie z Departamentem Sprawiedliwości.

Wesley ostrożnie odłożył łyżeczkę na brzeg spodeczka.

— Ano nie — odparł, patrząc mi w oczy. — To, co Pat Harvey usiłuje zdziałać, nie jest nam na rękę. Dobrze, że chce wykluczyć z interesu ACTMAD i inne tego typu organizacje, ale to jeszcze za mało. W tej sytuacji nie będziemy mieli kogo oskarżyć. W przeszłości istniał już spory rozłam między jej dążeniami a wysiłkami DEA, FBI i CIA.

— A teraz? — Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej.

— Teraz jest jeszcze gorzej, bo jest zaangażowana emocjonalnie, musi polegać na FBI, że rozwiąże zagadkę śmierci jej córki. Nie chce z nami współpracować, popada w paranoję. Usiłuje działać za naszymi plecami, wziąć sprawy w swoje ręce. — Wzdychając ciężko, dodał: — Ona stanowi dla nas poważny problem, Kay.

— Prawdopodobnie mówi to samo o was — odparłam.

— Pewnie tak. — Uśmiechnął się gorzko.

Chciałam kontynuować tę umysłową partyjkę pokera, żeby przekonać się, jak wiele Wesley jeszcze przede mną ukrywa, więc podsunęłam mu następny skrawek informacji.

— Zdaje się, że broniąc się przed napastnikiem, Debora otrzymała ranę na palcu wskazującym lewej ręki. Nie cięcie, lecz jakby ktoś zadawał cios siekierą. Uderzenie nożem o ząbkowanym ostrzu.

— Gdzie na palcu? — spytał, pochylając się nieco.

— Na grzbietowej krawędzi. — Wyciągnęłam do niego dłoń i pokazałam.
— Tuż przy pierwszym kłykcju.

— Interesujące; nietypowe.

— Taak, trudno zrekonstruować, jak mogła otrzymać takie cięcie.

— A więc wiemy, że morderca był uzbrojony w nóż — myślał Benton na głos. — To tylko sprawia, że coraz bardziej podejrzewam, iż coś tam poszło nie tak. Stało się coś, czego ten drań się nie spodziewał. Może porwał ich pod groźbą rewolweru, a chciał załatwić nożem? Pewnie przez poderżnięcie gardeł. Ale coś pokrzyżowało mu plany. Debora wyrwała mu się, więc postrzelił ją w plecy, a potem prawdopodobnie podciął jej gardło.

— Następnie ułożył ich ciała tak, by wyglądały jak pozostałe? — spytałam. — Twarzą do ziemi, ramię w ramię? W ubraniu?

Wesley zapatrzył się na ścianę nad moją głową.

Pomyślałam o niedopałkach papierosów pozostawionych na każdym miejscu zbrodni; pomyślałam o wszystkich podobieństwach. To, że tym razem karta była innej marki i zostawiono ją w innym miejscu, jeszcze niczego nie dowodziło. Mordercy to nie maszyny; ich przyzwyczajenia nie zawsze są niezmiennie. Nic z tego, co powiedział mi Wesley, nawet brak białych bawełnianych włókien w jeepie Debory, nie świadczyło jeszcze o tym, że morderstwo Debory i Freda nie miało nic wspólnego z pozostałymi zabójstwami. Ogarnęło mnie podobne poczucie konfuzji, które zawsze czułam na terenie Quantico, gdyż nigdy nie wiedziałam, czy agenci strzelają tam z prawdziwych naboju, czy ze ślepeków, ani czy przelatujące mi nad głową helikoptery mają na pokładzie oddziały piechoty morskiej udające się na prawdziwą akcję, czy też tylko kadetów udających się na manewry.

Wiedziałam, że dalsze podpuszczanie Wesleya nic mi nie da; dziś już nic więcej z niego nie wyciągnę.

— Robi się późno — odezwał się nagle. — Masz do domu kawał drogi.

Zamierzałam powiedzieć mu jeszcze tylko jedno.

— Nie chcę, by przyjaźń wchodziła nam w drogę, Benton.

— To oczywiste.

— To, co zaszło między mną a Markiem...

— To nie ma tu znaczenia — przerwał mi pewnym, lecz uprzejmym tonem.

— Był twoim najlepszym przyjacielem.

— Myślę, że nadal nim jest.

— Czy winisz mnie za to, że wyjechał z Quantico do Kolorado?

— Wiem, dlaczego wyjechał — odpowiedział Benton. — I bardzo mi przykro z tego powodu. Brakuje nam go w akademii.

Strategii FBI, by wywabić mordercę za pomocą błędnych informacji w gazetach, nie zrealizowano w następnym poniedziałek; albo FBI zmieniło zdanie, albo jej plany uprzedziła Pat Harvey, która tego właśnie dnia zwołała konferencję prasową.

W południe stanęła oko w oko z kamerami dziennikarzy, a patosu całej sytuacji dodawał Bruce Cheney siedzący u jej boku. Wyglądała okropnie. Luźne ubrania ani makijaż nie zdołały ukryć jej niesamowitej chudości i ciemnych sińców pod oczyma.

— Kiedy zaczęły się te pogróżki, pani Harvey, i jakiej były natury? — zapytał jeden z reporterów.

— Pierwszy list otrzymałam wkrótce po tym, jak zaczęłam prowadzić dochodzenie przeciwko organizacjom charytatywnym. Było to mniej więcej rok temu — odparła spokojnie. — List ten przyszedł pod adres mojego domu w Richmond. Nie będę się tu rozwodzić, wystarczy, że powiem, iż grożono mojej rodzinie.

— I wierzy pani, że miało to związek z pani śledztwem?

— Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Były też inne groźby, ostatnią otrzymałam dwa miesiące przed zniknięciem córki i Freda Cheney'a.

Na ekranie pojawiła się na chwilę twarz Bruce'a Cheney'a — był błydy i mrugał powiekami, by ochronić oczy przed rażącym światłem kamer.

— Panno Harvey...

— Pani Harvey...

Dziennikarze przerywali sobie nawzajem, a Pat Harvey przerywała im z kolei. Kamera śledziła każdy jej ruch.

— FBI dokładnie zdawało sobie sprawę z sytuacji i wedle jego opinii wszystkie pogróżki pochodziły z tego samego źródła — powiedziała pani Harvey.

— Pani Harvey...

— Panno Harvey — jakaś dziennikarka zdołała przekrzyczeć kolegów po fachu — wszyscy wiemy, że pani i Departament Sprawiedliwości działacie na różnych frontach, a konflikt waszych interesów wzrasta od czasu wszczęcia dochodzenia przeciwko organizacjom charytatywnym. Czy sugeruje pani, że FBI wiedziało o niebezpieczeństwie grożącym pani rodzinie i nic nie zrobiło?

— To coś więcej niż tylko sugestia z mojej strony — odparła z przekonaniem.

— Czyżby oskarżała pani Departament Sprawiedliwości o brak kompetencji?

— Oskarżam Departament Sprawiedliwości o knucie spisku — rzekła Pat Harvey.

Jęknąwszy pod nosem, sięgnęłam po papierosa; głosy dziennikarzy nakładały się na siebie i osiągały apogeum. Oszalałam, pomyślałam, patrząc z niedowierzaniem w telewizor stojący w maleńkiej bibliotece w moim biurze w centrum miasta.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Serce wypełniał mi strach, gdy pani Harvey, patrząc zimnym wzrokiem w kamerę, wbijała sztylety w plecy wszystkich osób zaangażowanych w śledztwo, włącznie ze mną. Nie oszczędziła nikogo ani niczego; nie było dla niej żadnej świętości — opowiedziała dziennikarzom nawet o walecie kierowym.

Stwierdzenie Wesleya, że pani Harvey nie chce współpracować z FBI i że stanowi problem, było ogromnym, strasznym niedopowiedzeniem. Pod powłoką rozsądku kryła się kobieta oszalała z bólu i wściekłości. Oszołomiona słuchałam, jak oskarża wszystkich, od policji, poprzez FBI, aż do biura koronera, o zмовę i brak kooperacji.

— Specjalnie nie ujawniają prawdy o tych sprawach — skonkludowała.
— A ich egocentryzm powoduje tylko, że giną niewinni ludzie.

— Co za stek bzdur — mruknął siedzący obok mnie Fielding, mój zastępca.

— O jakich sprawach pani mówi? — zapytał głośno jeden z dziennikarzy.
— Czy mówi pani tylko o śmierci swej córki i jej chłopca, czy także o sprawach czterech wcześniejszych par?

— O wszystkich — odparła pani Harvey. — Mówię o wszystkich tych młodych chłopcach i dziewczętach, którzy zostali złapani jak zwierzęta i zamordowani.

— I co, konkretnie, policja ukrywa?

— Tożsamość osoby lub osób odpowiedzialnych za te zbrodnie. — Powiedziała to tak, jakby sama wiedziała, kto popełnił morderstwa. — Departament Sprawiedliwości nie uczynił nic, by im zapobiec, a powody mogą być tylko natury politycznej. Pewna agencja federalna kryje tyłki swoich podwładnych.

— Czy mogłaby pani sprecyzować? — odkrzyknął ktoś z sali.

— Kiedy zakończę dochodzenie, ujawnię wszystko.

— Na przesłuchaniu przed Kongresem? — zadano pytanie. — Czy sugeruje pani, że morderstwo Debory i jej chłopaka...

— On ma na imię Fred!

To Bruce Cheney zabrał głos; jego ożywiona twarz nagle pojawiła się na ekranie telewizora.

W pokoju zapadła cisza.

— Fred. On nazywa się Fredrick Wilson Cheney! — Jego głos drżał z nadmiaru emocji. — Nie jest tylko chłopcem Debbie! On także nie żyje! On też został zamordowany! To był mój syn! — Słowa ugrzęzły mu w gardle i

pochylił głowę, by ukryć łzy.

Wyłączyłam telewizor, zdenerwowana i zmartwiona. Rose stała w drzwiach; zobaczyłam, jak potrząsa głową.

Fielding wstał, przeciągnął się i zawiązał ciasniej troczki swego zielonego chirurgicznego fartucha.

— Właśnie dała dupy przed całym tym pieprzonym światem — burknął i wyszedł z biblioteki.

Kiedy nalewałam sobie kawy, dotarło do mnie to, co powiedziała Pat Harvey. Z wolna wracały do mnie jej słowa.

„Złapani jak zwierzęta i zamordowani”...

W tych słowach było coś dziwnego; nie wydawały się zwykłą figurą retoryczną, wyrażeniem, mającym podnieść temperaturę konferencji.

„Agencja federalna kryje tyłki swoich podwładnych...”

Polowanie.

Walet kier to odpowiednik rycerza w kartach tarota. Ktoś, kto jest uważany lub sam siebie uważa za wojownika, obrońcę. Ktoś, kto walczy, tak mi powiedziała Hilda Ozimek.

Rycerz. Żołnierz.

Polowanie.

Ich morderstwa były precyzyjnie przemyślane, metodycznie zaplanowane. Bruce Phillips i Judy Roberts zniknęli w czerwcu. Ich ciała odnaleziono w połowie sierpnia, z początkiem sezonu łowieckiego.

Jim Freeman i Bonnie Smyth zaginęli w lipcu, a ich ciała odkryto wraz z początkiem sezonu na przepiórki i bażanty.

Ben Anderson i Carolyn Bennett zniknęli w marcu, a ich zwłoki znaleziono w listopadzie, podczas sezonu łowieckiego na jelenie.

Susan Wilcox i Mark Martin zaginęli pod koniec lutego, a ich ciała znaleźli myśliwi w połowie maja, podczas trwania sezonu na indyki.

Debora Harvey i Fred Cheney zniknęli w weekend poprzedzający Święto Pracy, a ich ciał nie odnaleziono przez wiele miesięcy, dopóki w lasach nie

zaczęli kręcić się myśliwi polujący na zające, wiewiórki, lisy i szopy pracze.

Do tej pory nie uważałam tej reguły za znaczącą, gdyż większość rozłożonych ciał i szkieletów trafiających na moje stoły znajdowana jest w lasach przez myśliwych. Kiedy ktoś umiera lub zostaje zamordowany w lesie, najprawdopodobniej to myśliwi kręcący się w poszukiwaniu zwierzyny znajdą jego szczątki. Jednak to, gdzie i kiedy zostaną znalezione ciała tych par, mogło zostać zaplanowane.

Morderca chciał, byśmy odnaleźli ciała ofiar, ale nie od razu, więc zabijał w czasie, gdy polowania były zabronione, wiedząc, że nikt nie natknie się na zwłoki, dopóki myśliwi znowu nie wyruszą w teren. Do tej pory ciała już dawno zaczęły gnić i zniknie poraniona tkanka, a jeżeli gwałcił dziewczyny, nie zostanie śladu po spermie. Większość śladów zmyją deszcze i wymiotą wiatry; możliwe także, że morderca chce, by jego ofiary były znajdowane przez myśliwych, bo sam fantazjuje, że nim jest. Najwspanialszy myśliwy wszech czasów.

Ale oni polują na zwierzęta, myślałam, siedząc za biurkiem następnego ranka, natomiast najemnicy, specjaliści agencji wojskowej czy snajperzy polują na ludzi.

W promieniu pięćdziesięciu mil od miejsc, gdzie zniknęły dzieciaki, a potem odkrywano ich ciała, znajdowały się: Fort Eustis, Langley Field i kilka innych placówek wojskowych włącznie z West Point CIA, funkcjonującym pod przykrywką bazy wojskowej — Camp Peary. „Farma”, jak określano Camp Peary w powieściach szpiegowskich czy paradokumentalnych książkach o wywiadzie Stanów Zjednoczonych, była miejscem, gdzie trenuje się agentów specjalizujących się w infiltracji i obserwacji, akcjach snajperskich, nocnych skokach ze spadochronem i innych umiejętnościach koniecznych do powodzenia tajnych misji.

Abby Turnbull pomyliła skręty i zatrzymała się tuż przed bramą Camp Peary, a kilka dni później przyszli do niej agenci FBI.

Federalni mieli lekką paranoję i podejrzewałam, że wiem dlaczego. Po przeczytaniu komentarza w gazecie z wystąpienia Pat Harvey, tylko jeszcze umocniłam się w moich przekonaniach.

Kilka gazet, między innymi „Post”, leżało na moim biurku; przeczytałam je parę razy — artykuł w „Post” został napisany przez Clifforda Ringa, reportera, który nagabywał komisarza Sessionsa i innych pracowników Departamentu Zdrowia i Służb Społecznych. Pan Ring raczył wspomnieć mnie zaledwie przelotnie, gdy pisał, jak to Pat Harvey niestosownie używa swoich kontaktów i władzy, by wymusić na mnie rozpowszechnienie szczegółów dotyczących śmierci jej córki. To wystarczyło, bym zaczęła podejrzewać, że pan Ring był kontaktem Bentona Wesleya z mediami, kanałem do wstawiania lipnych informacji, co w ostatecznym rozrachunku nie byłoby takie straszne. Jednak komentarz zamieszczony w tych wszystkich artykułach bardzo mnie zmartwił.

To, co jak zakładałam, miało być sensacyjnym zdemaskowaniem miesiąca, okazało się potwornym poniżeniem kobiety, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej była najbliższa zajęcia fotela wiceprezydenta po następnym głosowaniu. Pierwsza zaryzykowałabym powiedzenie, że wystąpienie Pat Harvey było co najmniej niedojrzałe; najlepsze określenie, jakie przychodziło mi do głowy, to — szalone. Zdziwiło mnie tylko, że najwyraźniej nikt nie zamierzał zdementować jej oskarżeń. Reporterzy w tej sprawie zdawali się nie mieć ochoty na pogoń za gubernatorem czy innymi rządowymi biurokratami, których zazwyczaj nękali z entuzjazmem, choćby po to, by uzyskać od nich sztywne „bez komentarza”.

Zdawało się, że ich jedyną ofiarą jest Pat Harvey, i atakowali ją bez cienia litości. Jeden z artykułów miał tytuł MORDGATE*? [* Nawiązanie do słynnej afery WATERGATE z czasów prezydentury Nixona (przyp. tłum.).] Ośmieszono ją nie tylko w prasie, ale także w politycznych komiksach; jedna z najbardziej szanowanych osób publicznych Stanów Zjednoczonych została obrzucona błotem jako histeryczka, która swe wiadomości czerpie od wróżki z Karoliny Południowej. Nawet jej najzagorzalsi poplecznicy wycofywali się, potrząsając głowami, a jej przeciwnicy subtelnie wykańczali ją atakami obłudnie owiniętymi w słowa współczucia. Jej reakcja jest z pewnością zrozumiała w świetle okrutnej straty osobistej, jaką poniosła — mówił jeden z senatorów demokratów, dodając: „Uważam, że powinniśmy zignorować jej

wyskok, potraktować go jako oskarżenia mocno nadwerężonego przez ból umysłu”. Innego cytowano: „To, co się przydarzyło Pat Harvey, jest tragicznym przykładem autodestrukcji spowodowanej przez zbyt trudne do przetrwania problemy osobiste”.

Wsuwając raport z autopsji Debory Harvey do maszyny do pisania, zamazałam korektorem wyraz „nieznany” w rubryczce „przyczyna śmierci” i wpisałam „zabójstwo” oraz „przerwanie rdzenia kręgowego spowodowane strzałem z broni palnej oraz rany cięte”. Po wyciągnięciu z teczek jej aktu zgonu i raportu CME-1 poszłam do biura, by sporządzić ich fotokopie. Włożyłam je wraz z listem wyjaśniającym moje odkrycia i raportami toksykologicznymi, nadal nie ostatecznymi. Tyle byłam winna Bentonowi Wesleyowi. Pat Harvey nie dowie się ode mnie, że miałam dla niego przeciągać wyjawienie prawdy i udostępnienie jej raportów medycznych z autopsji córki.

Harveyowie dowiedzą się o wszystkim: o rezultatach autopsji, o wynikach badań toksykologicznych — wraz z tym, że wyniki były negatywne — o kuli w lędźwiowym odcinku kręgosłupa Debory, o ranie na dłoni oraz o stanie ubrania, kiedy znaleźliśmy ciała. Policja odnalazła jej kolczyki, zegarek i pierścionek, który dostała na urodziny od Freda.

Kopie wyników badań Freda Cheney’a wysłałam do jego ojca, choć nie potrafiłam powiedzieć nic ponad to, że śmierć jego syna jest „zabójstwem” spowodowanym „nieustaloną przemocą”.

Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do biura Bentona Wesley’a, tylko po to, by się dowiedzieć, że jest nieobecny. Chwilę później zadzwoniłam do niego do domu.

— Udostępniam informacje o sprawie Harvey-Cheney’a — powiedziałam mu, gdy tylko podszedł do telefonu. — Chciałam, żebyś o tym wiedział.

Cisza. A potem bardzo spokojnie:

— Kay, oglądałaś jej konferencję prasową?

— Tak.

— A czytałaś dzisiejsze gazety?

— Widziałam relację z konferencji i czytałam artykuły o niej —

odparłam. — Doskonale wiem, że sama postrzeliła się w nogę.

— Raczej w głowę — mruknął.

— Ale nie bez czyjejś pomocy.

Minęła chwila ciszy, zanim Benton spytał:

— O czym ty mówisz?

— Z radością ci to wytłumaczę. Dziś. Na spotkaniu w cztery oczy.

— Tutaj? — W jego głosie zabrzmiało zaniepokojenie.

— Tak.

— Nie, to nie jest najlepszy pomysł. Nie dzisiaj.

— Przykro mi, ale to nie może czekać.

— Kay, nie rozumiesz. Zaufaj mi...

— Nie, Benton — ucięłam. — Nie tym razem.

Rozdział dziesiąty

Lodowaty wiatr szarpał ciemnymi gałęziami drzew, a mdłe światło księżyca rzucało na teren niesamowitą poświatę, sprawiając, że wszystko wyglądało obco. Przy drodze wiodącej do domu Bentona Wesleya nie było zbyt wielu latarni, a te polne dróżki są tak fatalnie oznakowane, że wreszcie zatrzymałam się przy jakimś sklepie, przed którym stały dwie pompy paliwowe. Włączywszy wewnętrzne światło w samochodzie, przyjrzałam się moim notatkom i wreszcie zrozumiałam, że zgubiłam się z kretesem.

Wiedziałam, że sklep jest już zamknięty, lecz nieopodal drzwi frontowych zauważyłam telefon. Podjechałam bliżej i wysiadłam, zostawiając włączony silnik i przednimi reflektorami oświetlając budkę. Wrzuciłam ćwierćdolarówkę i wykręciłam numer domowy Wesleya; telefon odebrała jego żona, Connie.

— Aleś się urządziła — mruknęła, gdy już jej opisałam, gdzie się znajduję.

— O Boże — jęknęłam.

— No, cóż, to właściwie nie jest wcale tak bardzo daleko. Chodzi o to, że droga do nas od tego sklepu jest dość skomplikowana. — Urwała na moment, po czym dodała: — Uważam, że najrozsądniej będzie, jeżeli tam zaczekasz, Kay. Zamknij drzwi i nigdzie nie odchodź. Lepiej będzie, jeżeli przyjedziemy po ciebie. Będziemy za piętnaście minut, dobrze?

Wycofałam się spod sklepu, zaparkowałam blisko drogi stanowej i włączywszy radio, czekałam. Minuty ciągnęły mi się jak godziny. Droga nie jechał ani jeden samochód, przednie reflektory mojego wozu oświetlały biały płot, za którym rozciągało się oszronione pastwisko, a księżyc wyglądał jak biała bańka mydlana szybująca po ciemnym morzu. Wypaliłam kilka papierosów, niespokojnie rozglądając się na boki.

Zastanawiałam się, czy tak właśnie czuły się te zamordowane nastolatki; jakie to uczucie być zmuszonym do wyjścia z samochodu w ciemną noc i pójścia przez las na bosaka? Musieli przecież wiedzieć, że zaraz zginą. Musieli

być przerażeni na myśl o tym, co ten drań planował im zrobić. Pomyślałam o mojej siostrzenicy, Lucy. Pomyślałam o mojej matce i siostrze, o znajomych i przyjaciółach. Obawa, że ci, których kochasz, mogą cierpieć i umrzeć, jest znacznie straszniejsza niż obawa o własne życie. Wtedy na wąskiej polnej drodze zobaczyłam zbliżające się światła jakiegoś samochodu. Wóz, którego nie rozpoznałam, przejechał obok mnie, zawrócił i zatrzymał się nieopodal. Kiedy zobaczyłam profil kierowcy, adrenalina popłynęła moim krwiobiegiem niczym prąd elektryczny.

Mark James wysiadł z samochodu; opuściłam szybę w oknie i patrzyłam na niego zbyt zaskoczona, by się odezwać.

— Witaj, Kay.

Wesley powiedział, że dzisiaj nie jest zbyt dobra pora na spotkanie, i usiłował mnie odwieść od przyjeżdżania do niego — teraz już wiedziałam dlaczego. Mark był u nich z wizytą. Być może Connie poprosiła go, by po mnie przyjechał, albo on sam zaproponował, że to zrobi. Nie wyobrażam sobie swojej reakcji, gdybym miała wejść do domu Wesleyów i zastać Marka Jamesa siedzącego na kanapie u nich w salonie.

— Droga do domu Bentona jest jak labirynt — powiedział. — Myślę, że najbezpieczniej będzie, jeżeli zostawisz tu swój samochód. Nic mu się nie stanie. Odwiozę cię tu z powrotem, żebyś nie miała kłopotów z powrotem do miasta.

Bez słowa zaparkowałam wóz pod sklepem i wsiadłam do jego samochodu.

— Co u ciebie słychać? — spytał cicho.

— Wszystko w porządku.

— A u twojej rodziny? Jak tam Lucy?

Podczas każdej naszej rozmowy Lucy nadal o niego pytała; nigdy nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

— W porządku — powtórzyłam.

Kiedy patrzyłam na jego twarz, jego silne dłonie zaciśnięte na kierownicy, każdy kontur, każda linia i każda żyła były mi tak drogie i znajome, że serce bolało mnie z nadmiaru emocji. Kochałam go i

nienawidziłam jednocześnie.

- W pracy wszystko okay?
- Przestań być tak cholernie uprzejmy, Mark!
- Wolisz, żebym był tak niemiły jak ty?
- Wcale nie jestem niemiła.
- Więc co, u diabła, chcesz, bym powiedział?

Odpowiedziałam mu milczeniem.

Włączył radio i w milczeniu jechaliśmy przez noc.

— Wiem, że to dość niezręczna sytuacja, Kay. — Patrzył prosto przed siebie. — Przykro mi. Benton zasugerował, że powinienem po ciebie wyjechać.

— Jak to miło z jego strony — odparłam sarkastycznie.

— To nie tak. Gdyby mnie nie poprosił, sam bym nalegał. Niby skąd miałas wiedzieć, że tam będę.

Skręciliśmy ostro i znaleźliśmy się w okolicy, którą już poznawałam. Wjeżdżając na podjazd prowadzący do domu Wesleyów, Mark rzekł:

- Lepiej będzie, jeżeli cię uprzedzę: Benton jest w fatalnym humorze.
- Taak, ja również — odpowiedziałam zimno.

W salonie trzaskał ogień na kominku, a Wesley siedział przed paleniskiem; o nogę jego fotela opierała się otwarta aktówka. Na stoliku obok znajdował się kieliszek. Nie wstał, kiedy weszłam do pokoju, lecz lekko skinął głową, gdy Connie poprosiła, bym usiadła na kanapie; ja przysiadłam na jednym krańcu, Mark na drugim.

Kiedy tylko Connie wyszła do kuchni, odezwałam się:

- Mark, nie wiedziałam, że jesteś w to zamieszany.
- Bo nie jestem. Przez kilka dni byłem w Quantico i spędzam teraz noc z Bentonem i Connie; jutro wracam do Denver. Nie jestem zamieszany, jak to ujęłaś, w śledztwo, nie przydzielono mnie do tych spraw.

— No dobrze, ale zdajesz sobie sprawę z tego, co tu się dzieje. — Zastanawiałam się, o czym też Mark i Wesley rozmawiali pod moją nieobecność. Ciekawe, co Wesley opowiadał mu o mnie?

- Wie o nich — odpowiedział Benton.

— Więc zadam to pytanie wam obu — rzekłam. — Czy FBI wystawiło Pat Harvey? A może zrobiło to CIA?

Wesley nie poruszył się, a na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień.

— Dlaczego uważasz, że została wystawiona?

— Najwyraźniej taktyka FBI, polegająca na podawaniu do publicznej wiadomości fałszywych informacji, miała na celu coś więcej niż tylko wyciągnięcie mordercy z kryjówki. Ktoś miał zamiar zniszczyć dobre imię Pat Harvey i z wydatną pomocą dziennikarzy udało mu się to w stu procentach.

— Nawet prezydent nie ma takiego wpływu na media. Nie w naszym kraju.

— Nie obrażaj mojej inteligencji, Benton — odparłam.

— Ujmijmy to tak: efekt jej przemówienia nie był wcale zbyt trudny do przewidzenia. — Wesley założył nogę na nogę i sięgnął po drinka.

— A ty zastawiłaś pułapkę — powiedziałam.

— Nikt za nią nie wypowiedział słów, jakie padły na konferencji.

— To bez znaczenia, nikt nie musiał tego robić. Ktoś dopilnował, by jej oskarżenia zostały skomentowane przez dziennikarzy jako wymysły oszalałej ze złości i rozpaczy wariatki. Kto podpuścił polityków, reporterów, jej wcześniejszych sprzymierzeńców, Benton? Kto szepnął mediom, że Pat Harvey kontaktowała się z wróżką? Ty?

— Nie.

— Pani Harvey widziała się z Hildą Ozimek w zeszłym roku, we wrześniu — kontynuowałam. — Nikt do tej pory nic o tym nie mówił, co oznacza, że dziennikarze aż do wczoraj nie mieli o niczym pojęcia. Sam mi mówiłaś, że FBI i Federalne Biuro Ochrony Prezydenta korzystają z rad Hildy Ozimek. To pewnie od was pani Harvey dowiedziała się o jej istnieniu, na miłość boską!

Connie wróciła z kawą dla mnie, po czym wyszła z pokoju tak szybko, jak się w nim pojawiła.

Czułam na sobie wzrok Marka, wyczuwałam jego napięcie. Wesley nadal patrzył w płomienie.

— Zdaje się, że znam już prawdę. — Nawet nie próbowałam ukryć mojej wściekłości i odrazy. — Chcę teraz wszystko wyciągnąć na jaw, a jeżeli ty nie

dostosujesz się do moich życzeń, ja nie będę w stanie dalej podporządkowywać się twoim.

— Co ty sugerujesz, Kay? — Wesley wreszcie spojrzał na mnie.

— Jeżeli to się znowu stanie, jeżeli zginie jeszcze jedna para, nie mogę zagwarantować, że prasa nie dowie się, co tu się tak naprawdę dzieje...

— Kay. — Tym razem to Mark się odezwał, lecz nawet na niego nie spojrzałam. Robiłam, co w mojej mocy, by się nim nie przejmować. — Chyba nie chcesz skończyć tak jak Pat Harvey.

— Coś mi się zdaje, że ktoś jej dopomógł — odrzekłam. — I uważam, że ona ma rację. Ktoś tu coś ukrywa. Coś tu śmierdzi.

— Zakładam, że już wysłałaś jej swoje raporty — powiedział Wesley.

— Owszem, nie zamierzam dłużej brać udziału w tej manipulacji.

— To był błąd.

— Błędem było niewysłanie ich wcześniej.

— Czy w raportach wspomniałaś o kuli wyjętej z kręgosłupa Debory? Czy napisałaś, że była to dziewięciomilimetrowa Hydra-Shock?

— Kaliber i markę kuli podano w raporcie balistycznym — odparłam. — Nie wysyłam nikomu kopii raportów balistycznych, podobnie jak nikomu nie udostępniam raportów policyjnych... moje biuro nie zajmuje się ani jednymi, ani drugimi. Jednak ciekawi mnie, skąd to zainteresowanie?

Kiedy Wesley nie odpowiedział, znowu wtrącił się Mark.

— Benton, musimy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. — Wesley nadal nic nie mówił. — Uważam, że ona ma prawo wiedzieć — dodał Mark.

— Coś mi się zdaje, że już wiem — rzekłam. — Myślę, że FBI ma podstawy, by przypuszczać, że mordercą jest jakiś zbłąkany agent federalny. Bardzo możliwe, że ktoś z Camp Peary.

Za oknami wył wiatr, a Benton wstał i kucnął przed paleniskiem. Dołożył do ognia następny kawał drewna, poprawił go pogrzebaczem i wymiółł popiół. Nie spieszył się zbytnio; grał na zwłokę. Usiadłszy z powrotem w fotelu, sięgnął po drinka i rzekł:

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— To bez znaczenia — odparłam.

— Czy ktoś ci to powiedział?

— Nie dosłownie. — Wyjęłam papierosy. — Jak długo to podejrzewasz, Benton?

— Uważam, że lepiej będzie dla ciebie, jeżeli nie poznasz zbyt wielu szczegółów — odpowiedział; w jego głosie słychać było lekkie wahanie. — Naprawdę, to bardzo przykra sprawa. Wolałbym nie zrzucić jej na twoje barki.

— Doskonale potrafię sobie radzić z przykrymi sprawami... a dość mam błąkania się w ciemnościach. Niech mnie ktoś wreszcie oświeci.

— Musisz mi obiecać, że to, co powiem, zostanie między nami.

— Znasz mnie chyba zbyt dobrze, by się o to martwić.

— Camp Peary wkroczył do sprawy bardzo wcześnie; prawie na samym początku.

— Dlatego, że znajduje się tak blisko miejsc, w których znajdujemy ciała?

Wesley spojrzął na Marka i powiedział:

— Ty jej to wyjaśnij.

Odwrociłam się i popatrzyłam na mężczyznę, z którym swego czasu dzieliłam łóżko i który na wiele lat zdominował moje sny. Ubrany był w granatowe spodnie, koszulę w biało-czerwone paski, którą doskonale znałam z przeszłości. Był wysoki i szczupły, dokładnie taki, jak pamiętałam. Ciemne włosy nieco mu posiwiały na skroniach, oczy miał zielone, mocny podbródek, ładne rysy twarzy; nadal przy rozmowie nieco się pochylał i gestykulował.

— Częściowo sprawą zainteresowała się CIA, ponieważ wszystkie morderstwa zdarzyły się niedaleko Camp Peary — wyjaśnił. — Jestem pewien, że wiesz doskonale, iż CIA jest bardzo skryta, jeżeli chodzi o to, co dzieje się za murami jej jednostek szkoleniowych. Wiedzą znacznie więcej, niż się to komukolwiek wydaje, a w rzeczy samej lokalne miasteczka i ich mieszkańcy często uczestniczą w ich manewrach.

— Jakich znowu manewrach? — spytałam.

— Na przykład w obserwacjach. Agenci trenowani w Camp Peary często ćwiczą obserwację, traktując mieszkańców lokalnych miasteczek jako króliki

doświadczalne. Ustawiają urządzenia podsłuchowe albo jednostki obserwujące w miejscach publicznych: restauracjach, barach, centrach handlowych. Śledzą ludzi w samochodach, na piechotę, robią zdjęcia i temu podobne. Nikt, oczywiście, nigdy nie zdaje sobie z tego sprawy. No i podejrzewam, że nikomu nie dzieje się krzywda... choć co prawda, moim zdaniem, przeciętny obywatel nie byłby zbyt zachwycony, gdyby się dowiedział, że ktoś go śledzi, fotografuje i podsłuchuje.

— Nie sądzę — odparłam, czując się trochę nieswojo.

— Te manewry polegają także na ćwiczeniach terenowych „na sucho” — kontynuował wyjaśnienia Mark. — Agent taki może na przykład zatrzymać się na poboczu i udawać, że zepsuł mu się samochód; zatrzymać kogoś przejeżdżającego i poprosić go o pomoc, zobaczyć, jak dalece taka przypadkowa osoba mu zaufa. Może udawać policjanta z drogówki, kierowcę ciężarówki, kogokolwiek. To wszystko jest doskonałym treningiem dla agentów mających potem wykonywać zadania szpiegowskie za granicą. Uczy ludzi, jak podchodzić innych i jednocześnie nie dać się im zaskoczyć.

— I jest to *modus operandi*, który pokrywa się z tym, co być może czyni nasz morderca, tak? — zgałam.

— Właśnie — wtrącił się Wesley. — Ktoś w Camp Peary zaczął się niepokoić. Poproszono nas, byśmy pomogli w monitorowaniu sytuacji. A potem znaleziono ciała drugiej zaginionej pary, a *modus operandi* był taki sam jak w pierwszej sprawie. CIA zaczęło panikować. Oni, ogólnie biorąc, mają paranoiczne zadatki, lecz ostatnia rzecz, jakiej im trzeba, to jeden z podwładnych naprawdę zabijający niewinnych ludzi.

— CIA nigdy nie przyznała się, że Camp Peary to jej główna baza treningowa — wytknęłam mu.

— Ale i tak wszyscy doskonale o tym wiedzą — odparł Mark, patrząc mi w oczy. — Ale masz rację, że CIA nigdy tego głośno nie przyznała, i pewnie nigdy nie przyzna.

— I między innymi dlatego nie chcą, by ktokolwiek powiązał te morderstwa z Camp Peary — rzekłam, zastanawiając się, czy on jeszcze cokolwiek do mnie czuje. Może nic?

— Jest bardzo długa lista innych powodów — przejął pałeczkę Wesley. — Nagłośnienie całej sprawy w prasie byłoby dla nich fatalne w skutkach. A poza tym, kiedy ostatnio przeczytałaś w gazetach coś pozytywnego o CIA? Imelda Marcos została oskarżona o kradzież i sprzeniewierzenie mienia, a adwokat Marcosów twierdzi, że każda transakcja przez nią wykonana miała pełną aprobatę CIA...

Gdyby nic nie czuł, nie byłby tak spięty... nie obawiałby się na mnie spojrzeć...

— ...Potem wychodzi na jaw, że i Noriega był na ich liście płac — mówił dalej Wesley, bez chwili przystanku. — Niedawno ujawniono, że ochrona, jakiej CIA udzieliła syryjskiemu handlarzowi narkotyków, umożliwiła podłożenie bomby na pokładzie boeinga 747, który eksplodował nad Szkocją, zabijając dwieście siedemdziesiąt osób. Żeby już nie wspominać o ostatnich pogłoskach, że CIA finansuje wojny narkotykowe w niektórych krajach azjatyckich, chcąc obalić tamtejsze rządy.

— Możesz sobie wyobrazić, jaka byłaby reakcja opinii publicznej, gdyby się okazało, że agent szkolony w Camp Peary zamordował dziesięcioro nastolatków — odezwał się Mark, nie patrząc na mnie.

— Byłoby to wręcz niewyobrażalne — odrzekłam, zmuszając się do skoncentrowania na naszej rozmowie. — Ale dlaczego CIA jest tak przekonana, iż te morderstwa popełnił jeden z jej podopiecznych? Jakie ma na to dowody?

— Większość z nich to tylko poszlaki — wyjaśnił Mark. — Przede wszystkim militarystyczny motyw zostawiania za sobą karty do gry. Po drugie, podobieństwo pomiędzy tymi sprawami a manewrami agentów przeprowadzanymi na Farmie oraz w pobliskich miasteczkach. Na przykład miejsca w lasach, w których znajdowaliście zwłoki, bardzo przypominają „strefy wojenne” wewnątrz Camp Peary, w których agenci ćwiczą z granatami, automatyczną bronią palną oraz ekwipunkiem takim jak noktowizory, pozwalające na swobodne poruszanie się w ciemnym lesie. Poza tym agenci szkoleni przez CIA uczą się sztuki samoobrony, a także tego, jak kogoś obezwładnić i zabić gołymi rękoma.

— Kiedy nie można było ustalić oczywistej przyczyny śmierci tych dzieciaków — kontynuował Wesley — każdy założył, że zamordowano ich bez użycia jakiegokolwiek broni, na przykład uduszono. A gdyby na przykład podejrznięto im gardła, to jest to ulubiona metoda najemników cichego pozbywania się przeciwnika. Jeżeli przetniesz jego drogi oddechowe, nie narobi hałasu.

— Ale Debora Harvey została postrzelona — powiedziałam.

— Z broni automatycznej lub półautomatycznej — odrzekł natychmiast. — Z pistoletu lub czegoś podobnego do uzi. Amunicja także była niezwykła, stosowana zazwyczaj przez agentów federalnych, wywiad wojskowy lub snajperów, słowem tych, których ofiarami padają inni ludzie. Eksplodujące kule typu Hydra-Shock nie bywają używane przez myśliwych polujących na jelenie. — Odetchnąwszy cicho, dodał: — Chyba już rozumiesz, dlaczego nie chcemy, by Pat Harvey знаła typ broni i amunicji, z której została raniona jej córka.

— A co z tymi pogrozkami, o których pani Harvey wspomniała na konferencji prasowej? — zapytałam.

— To prawda — odrzekł Wesley. — Gdy tylko objęła swoje stanowisko, ktoś zaczął przysyłać listy, grożąc jej i jej rodzinie. Prawdą jest także to, że FBI nie potraktowało tego poważnie. Wcześniej już nieraz jej grożono i zawsze traktowaliśmy to bardzo poważnie, lecz nie mieliśmy pojęcia, kto stoi za tymi pogrozkami... i nadal nie wierzę, by miały coś wspólnego z zabójstwem Debory.

— Pani Harvey wspominała coś o „agencji federalnej” — przypomniałam sobie. — Miała na myśli CIA? Czy wie o tym, co mi przed chwilą powiedzieliście?

— To właśnie mnie niepokoi — przyznał Wesley. — To, co powiedziała, sugeruje, że wie o czymś, o czym nie powinna wiedzieć... i bardzo mnie to martwi. Być może miała na myśli CIA, ale może nie... Trzeba jednak przyznać, że ma doskonałą siatkę wywiadowczą. Przede wszystkim ma dostęp do informacji przechowywanych przez CIA, zakładając, że mają one coś wspólnego z handlem narkotykami. Znacznie bardziej jednak martwi

mnie to, że Pat Harvey przyjaźni się z byłym ambasadorem Organizacji Narodów Zjednoczonych, który jest także członkiem Komisji Doradczej Zagranicznego Wywiadu Prezydenta, a członkowie tej komisji mają dostęp o każdej porze dnia i nocy do ściśle tajnych raportów wywiadu. A ponieważ komisja wie o tym, co tu się dzieje, bardzo możliwe, że pani Harvey także zna wszystkie szczegóły.

— Więc została wystawiona w najlepszym stylu Marthy Mitchell? — zapytałam. — Ktoś dopilnował, by została uznana za wariatkę, której słów nikt nie weźmie poważnie? I nawet jeżeli wyjawi tajemnice państwowe, i tak nikt jej nie uwierzy?

Wesley bawił się szklanką.

— To bardzo niefortunne. Nie mogliśmy jej kontrolować ani zmusić do współpracy... Cała ironia losu polega na tym, że może nawet bardziej niż ona chcemy dowiedzieć się, kto zamordował jej córkę. Z oczywistych powodów. Robimy wszystko, co w naszej mocy, zaangażowaliśmy wszystkie nasze środki i ludzi, by odnaleźć tego drania lub kogokolwiek, kto się za tym kryje.

— To, co w tej chwili mówisz, nijak ma się do twoich wcześniejszych sugestii, że śmierć Debory Harvey i Freda Cheney'a mogła być zabójstwem wykonanym na zlecenie — rzekłam gniewnie. — A może była to tylko zasłona dymna, jaką przede mną roztoczyłeś, by ukryć prawdziwe zmartwienie FBI?

— Nie wiem, czy te dzieciaki nie zostały sprzątnięte przez płatnego mordercę, Kay — powiedział Wesley ponuro. — Szczerze mówiąc, w tej chwili wiemy naprawdę niewiele. Ich zabójstwo mogło mieć polityczne przesłanki, jak ci to już tłumaczyłem. Ale jeżeli mamy tu do czynienia z jakimś agentem CIA, który oszalał, to morderstwa wszystkich pięciu par mogą być ze sobą powiązane. I bardzo możliwe, że szukamy seryjnego zabójcy.

— Mogłoby to być doskonałym przykładem eskalacji — wtrącił Mark. — Pat Harvey była bardzo popularna przez ostatni rok. Jeżeli szukamy agenta CIA, który uważa, że ćwiczy manewry podchodzenia i zabijania wroga, bardzo możliwe, że po kilku próbach z innymi osobami, postanowił spróbować zabić córkę osoby znanej na forum publicznym.

— Bo to dodałoby sprawie posmaku ryzyka, wywołałoby większe

podniecenie — wyjaśnił mi Wesley. — Prawdopodobnie stara się też symulować operacje wykonywane przez jego kolegów w Ameryce Środkowej lub na Wschodzie... mówiąc krótko, upodabnia je do zabójstw na zlecenie.

— Zdawało mi się, że CIA nie ma prawa zlecać zabójstw od czasu prezydentury Forda — powiedziałam cicho. — W rzeczy samej podobno CIA nie ma prawa mieszać się do sprawy nawet wtedy, gdy zagrożone jest życie jednego z przywódców obcych państw.

— Masz rację — odpowiedział mi Mark. — CIA nie powinna zajmować się tego typu sprawami, a amerykańscy żołnierze w Wietnamie nie powinni byli zabijać cywili. Policjanci nie powinni stosować brutalnej siły w celu wymuszenia zeznań od podejrzanych. Jednak gdy mamy do czynienia z ludźmi, zawsze coś może gdzieś nawalić. Przepisy zostają złamane, coś wymyka się spod kontroli.

W tej chwili przypomniało mi się to, co mówiła Abby Turnbull. Ile wiedziała z tego, co ja przed chwilą usłyszałam? Czy pani Harvey coś jej powiedziała? O czym, tak naprawdę, będzie jej książka? Nic dziwnego, że podejrzewała, iż ktoś zainstalował podsłuch w jej telefonie i mieszkaniu. Nic dziwnego, że była śledzona. CIA, FBI, a nawet Komisja Doradca Zagranicznego Wywiadu Prezydenta, która miała prawo wstępu do Gabinetu Ovalnego o dowolnej porze dnia, mogły każdego przyprawić o atak paranoi. Bardzo możliwe, że Abby znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Wiatr ucichł nieco, a mgła zaczęła snuć się pomiędzy drzewami, gdy Wesley zamknął za nami drzwi. Idąc za Markiem do jego samochodu, czułam się nieco przytłoczona mnóstwem informacji i byłam mocno zaniepokojona tym, czego się dowiedziałam.

Odezwałam się dopiero, gdy wyjechaliśmy na szosę.

— To, co dzieje się z Pat Harvey, jest oburzające. Straciła córkę, a teraz jeszcze niszczą jej karierę i reputację.

— Benton nie ma nic wspólnego z przeciekami wiadomości do prasy czy jakimkolwiek „wystawianiem” jej dziennikarzom, jak to ujęłaś. — Mark nie spuszczał oczu z wąskiej drogi.

— Tu nie chodzi o to, jak ja to ujmuję, Mark.

— Po prostu nawiązuję do twoich słów — odrzekł.

— Wiesz, co tu się dzieje, więc nie zgrywaj naiwnego.

— Benton zrobił dla niej wszystko, co było w jego mocy, ale ona prowadzi wendetę przeciwko Departamentowi Sprawiedliwości. Dla niej Benton Wesley jest tylko jeszcze jednym agentem federalnym, którego trzeba zniszczyć.

— Na jej miejscu pewnie czułabym podobnie.

— Znając cię, prawdopodobnie tak.

— A to niby co miało znaczyć? — zapytałam; gotowałam się we mnie wściekłość znacznie głębsza niż oburzenie na to, co spotykało Pat Harvey.

— Nic.

Kilka minut przejechaliśmy w milczeniu; w powietrzu wyczuwało się rosnące napięcie. Nie rozpoznawałam drogi, którą jechaliśmy, lecz wiedziałam, że nasz wspólnie spędzony czas nieuchronnie zbliża się do końca. A potem Mark skręcił na parking przed sklepem i zatrzymał się tuż obok mojego wozu.

— Przykro mi, że musieliśmy się spotkać w takich okolicznościach — odezwał się cicho. Kiedy nie odpowiedziałam, dodał: — Ale wcale nie żałuję, że się znowu zobaczyliśmy.

— Dobranoc, Mark. — Zaczęłam otwierać drzwi.

— Nie rób tego, Kay. — Położył dłoń na mojej ręce.

Siedziałam w bezruchu.

— Czego chcesz?

— Porozmawiać z tobą. Proszę.

— Jeżeli tak bardzo chcesz ze mną porozmawiać, to dlaczego nie zakręciłeś się koło tego wcześniej? — odrzekłam wściekle, oswobadzając rękę. — Od wielu miesięcy nie zadałeś sobie trudu, by się do mnie odezwać choćby słowem!

— To działa w obie strony. Zadzwoiłem do ciebie zeszłej jesieni, ale ty nigdy nie oddzwoniłaś.

— Wiedziałam, co zamierzasz powiedzieć, i nie chciałam tego znowu słyszeć — odpowiedziałam; czułam, że i w nim zaczyna się gotować dawna

złość.

— O, przepraszam! Zapomniałem, że masz niezwykłą zdolność odczytywania moich myśli! — Położył dłonie na kierownicy i zapatrzył się przed siebie, w mrok nocy.

— Miałeś zamiar mi powiedzieć, że nie mamy żadnych szans na pojednanie, że to koniec. I nie byłam zainteresowana wysłuchiwaniem czegoś, czego już dawno się domyśliłam.

— Myśl sobie, co chcesz.

— To nie ma nic wspólnego z tym, co chcę myśleć! — Jakże nie znosiłam tego, że zawsze przy nim znikало moje słynne opanowanie.

— Posłuchaj. — Odetchnął głęboko. — Czy nie sądzisz, że powinniśmy zakopać topór wojenny? Ogłosić pokój? Zapomnieć o tym, co było?

— Nie ma szans.

— Doskonale. Dzięki, że tak rozsądnie podchodzisz do tematu. Przynajmniej ja się starałem.

— Staraleś?! Ile to już minęło? Osiem, dziewięć miesięcy, odkąd wyjechałeś? Co starałeś się zrobić? Nie wiem, o co mnie prosisz, Mark, ale ja nie potrafię zapomnieć o przeszłości. Nie potrafię wpadać na ciebie od czasu do czasu i udawać, że między nami nic nigdy nie było! Odmawiam.

— Wcale cię o to nie proszę, Kay. Proszę tylko, byśmy zapomnieli o kłótniach, o złości, o tym, co powiedzieliśmy w gniewie.

Naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć, co wtedy powiedzieliśmy ani co poszło nam nie tak. Kłóciliśmy się, sami nie wiedząc, o co tak naprawdę walczyliśmy, aż doszliśmy do etapu, w którym główną rolę w naszych sporach zaczęły odgrywać poniesione przez nas rany i dzielące nas różnice charakteru.

— Kiedy zadzwoniłem do ciebie zeszłej jesieni — kontynuował Mark z uczuciem — wcale nie chciałem ci powiedzieć, że nie mamy szans na pojednanie. Właściwie, wykręcając twój numer, obawiałem się, że usłyszę to od ciebie. A gdy nie oddzwoniłaś, założyłem, że nie chcesz pojednania.

— Chyba nie mówisz poważnie!

— Diabła tam, nie!

— No, cóż, może jednak miałaś rację. Po tym, co zrobiłaś...

— Po tym, co ja zrobiłem?! — spytał z niedowierzaniem w głosie. — A co z tym, co ty zrobiłaś?

— Ja tylko powiedziałam, że mam dość kompromisów. Ty nigdy tak naprawdę nie starałaś się przenieść do Richmond. Nie wiedziałaś, czego pragniesz, a jednak spodziewałaś się, że pójdę za tobą wszędzie, gdzie tylko zechcesz, porzucając tak ot zobowiązania, pracę i karierę. Bez względu na to, jak bardzo cię kocham, nie zrezygnuję z tego, kim jestem, podobnie jak nie żądam od ciebie, byś zrezygnował z tego, kim ty jesteś.

— A właśnie, że żądałaś. Nie poprosiłem o przeniesienie do Richmond, bo tego nie chciałem.

— Doskonale; więc teraz już masz to, czego chciałaś.

— Kay, wina jest obustronna. Ty także ponosisz odpowiedzialność za to, co się stało.

— To nie ja wyjechałam. — Moje oczy wypełniły się łzami i wyszeptałam: — O, cholera.

Wyciągnąwszy chusteczkę z kieszeni, Mark położył mi ją delikatnie na kolanach. Wycierając oczy, podsunęłam się bliżej do drzwi i oparłam głowę o szybę. Nie chciałam przy nim płakać.

— Przykro mi — odezwał się Mark.

— To nic nie zmienia.

— Proszę, nie płacz.

— Będę, jeżeli tylko przyjdzie mi na to ochota — odparłam dziecinnie.

— Przykro mi — powtórzył tym razem szeptem i pomyślałam, że zaraz mnie dotknie. Ale nie zrobił tego. Odchylił się na siedzeniu i zapatrzył w dach samochodu. — Posłuchaj — powiedział. — Jeżeli chcesz znać prawdę, wolałbym, żebyś to ty wyjechała. Wtedy ty byłabyś tą stroną, która nawaliła, a nie ja.

Nie odpowiedziałam; nie ośmieliłam się.

— Słyszałaś, co powiedziałem?

— Nie jestem pewna — odpowiedziałam w stronę okna.

Mark poprawił się i spojrzał na mnie; czułam jego spojrzenie na sobie.

— Kay, popatrz na mnie.

Niechętnie zrobiłam, o co mnie prosił.

— Jak myślisz, dlaczego ciągle tu wracam? — spytał cichym głosem. — Staram się o ponowne przyjęcie do Quantico, ale to nie jest łatwe. Czas jest nieodpowiedni, gdyż budżet federalny ma obecnie duże braki, a ekonomiczne rozwiązania prezydenta mocno uderzyły FBI po kieszeni.

— Chcesz mi powiedzieć, że czujesz się zawodowo nie spełniony?

— Mówię ci, że popełniłem błąd.

— Przykro mi, że popełniłeś jakieś błędy w pracy — powiedziałam.

— Nie chodzi mi tylko o to i dobrze o tym wiesz.

— Więc o co ci chodzi? — Byłam zdecydowana zmusić go, by to powiedział.

— Doskonale wiesz o co. Mówię o nas. Odkąd wyjechałem, nic już nie jest takie jak dawniej. — Jego oczy błyszczały w ciemnościach; wyglądał na nieomal zagniewanego. — A ty? Jak ty się czułaś? — nalegał.

— Myślę, że oboje popełniliśmy mnóstwo błędów.

— Chcę zacząć je naprawiać, Kay. Nie chcę, by to, co było między nami, skończyło się w ten sposób. Od dawna zdawałem sobie z tego sprawę, lecz... no, cóż, nie bardzo wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Nie byłem pewien, czy w ogóle zechcesz ze mną rozmawiać, nie wiedziałem, czy nie spotykasz się z kimś innym.

Nie chciałam przyznać, że te same wątpliwości i pytania chodziły mi po głowie w związku z nim i że bałam się usłyszeć odpowiedzi na nie.

Kiedy tym razem ujął mnie za rękę, nie odsunęłam się.

— Usiłowałem zrozumieć, dlaczego nam nie wyszło — rzekł. — Wiem tylko, że oboje jesteśmy potwornie uparci. Ja chciałem ułożyć nasze życie wedle własnego pomysłu, a ty wedle własnego. I skończyliśmy tak, a nie inaczej. Nie mam pojęcia, jak wyglądało twoje życie, odkąd wyjechałem, lecz gotów jestem się założyć, że nie było najszcześniejsze.

— Jakiś ty arogancki!

Uśmiechnął się tylko.

— Ja tylko staram się sprostać twoim oczekiwaniom. Ostatnią rzeczą,

jaka mi powiedziałaś, zanim wyjechałem, było, że jestem aroganckim łajdakiem.

— To było przed czy po tym, jak nazwałam cię sukinsynem?

— Zdaje mi się, że przed.

— Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, ty także obrzuciłeś mnie kilkoma epitetami. A zdawało mi się, że chciałeś zapomnieć o wszystkim, co wtedy powiedzieliśmy.

— A ty przed chwilą powiedziałaś: „bez względu na to, jak bardzo cię kocham”.

— Że co, przepraszam?

— Powiedziałaś „kocham”, w czasie teraźniejszym. Nie usiłuj mi wmówić, że się przestyszałem.

Przytulił policzek do mojej dłoni; jego wargi poruszyły się pod moimi palcami.

— Usiłowałem przestać o tobie myśleć, ale nie potrafię. — Urwał; jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od mojej. — Wcale nie proszę, byś powiedziała mi to samo.

Ale właśnie o to prosił, więc mu odpowiedziałam.

Dotknęłam jego policzka, a on przyłożył dłoń do mojej twarzy; potem pocałowaliśmy miejsca, gdzie przed chwilą znajdowały się nasze palce, aż wreszcie nasze wargi się spotkały. I nie mówiliśmy już nic więcej. Przestaliśmy myśleć o czymkolwiek, dopóki szyba w oknie nagle nie rozbłysła i nie zobaczyliśmy czerwonego, pulsującego światła rozjaśniającego mroki nocy. Pospiesznie zaczęliśmy poprawiać ubrania, podczas gdy wóz patrolowy zatrzymał się nieopodal i wysiadł z niego policjant drogówki z latarką w jednej, a krótkofalówką w drugiej ręce.

Mark otworzył okno.

— Wszystko w porządku? — zapytał policjant, pochylając się, by zajrzeć do środka. Jego oczy prześlizgnęły się po nas; zobaczyłam, że coś wypycha mu policzek.

— Wszystko jest okay — odpowiedziałam, z przerażeniem szukając dokoła siebie bosą stopą; gdzieś w tym zamieszaniu zgubiłam but.

Policjant odsunął się i splunął sokiem z tytoniu.

— Rozmawialiśmy — wyjaśnił kulawo Mark. Na szczęście był na tyle przytomny, by nie pokazywać swej odznaki. Ów policjant z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że robiliśmy w tym samochodzie wiele rzeczy, ale na pewno nie rozmawialiśmy.

— No, cóż, jeżeli chcecie kontynuować swoją rozmowę — położył na ostatnim słowie szczególny nacisk — to byłbym wdzięczny, gdybyście robili to gdzie indziej. Wiecie, niebezpiecznie jest siedzieć tak po ciemku w samochodzie, na pustkowiu. Mieliśmy z tym już wcześniej problemy. Może nie jesteście stąd, ale pewnie słyszeliście o tych parach, które znikają po nocy.

Krew zastygła mi w żyłach.

— Ma pan rację, dziękujemy — powiedział Mark na pożegnanie. — Zaraz stąd odjedziemy.

Kiwnąwszy głową, policjant splunął ponownie, po czym wsiadł do swego samochodu. Powoli wyjechał na szosę i już po chwili zniknął w mroku.

— Jezu — mruknął Mark cicho.

— Nawet tego nie mów — odparłam. — Nie mieści mi się w głowie, że mogliśmy być tak głupi. Wielki Boże.

— Widzisz już, jakie to proste? — Wiedziałam, że i tak to powie. — Dwoje ludzi siedzi w samochodzie i podjeżdża do nich ktoś trzeci. Do diabła, mam spluwę w schowku, ale nie przyszło mi do głowy, by ją wyciągnąć. Nie pomyślałam o niej, dopóki nie spojrzałam temu gościowi w oczy... Ale to już za późno.

— Mark, przestań! Błagam. — Drgnęłam, gdy się głośno roześmiał. — To wcale nie jest śmieszne!

— Masz krzywo zapiętą bluzkę — wykrztusił wreszcie.

— Cholera!

— Miej nadzieję, że ten pan cię nie rozpoznał, doktor Scarpetta.

— Bardzo panu dziękuję za uspokojenie, panie agencie FBI. A teraz muszę już jechać do domu. — Otworzyłam drzwi. — Jak na jedną noc, wpędziłeś mnie już w wystarczające tarapaty.

— Hej, to ty zaczęłaś!

— Z całą pewnością nie!

— Kay? — Spowaźniał. — Co my teraz zrobimy? Chodzi mi o to, że jutro muszę wracać do Denver. Nie wiem, co się wydarzy ani czy mam cokolwiek robić w tym kierunku...

Na to nie było jednej, prostej odpowiedzi. Między nami zawsze wszystko musiało być skomplikowane.

— Jeżeli nie będziesz się starał, nigdy nic z tego nie wyjdzie.

— A ty? — spytał.

— Musimy jeszcze porozmawiać o wielu sprawach, Mark.

Włączył światła i zapiał pasy.

— A ty? — powtórzył. — Żeby coś nam wyszło, oboje musimy się postarać, spróbować...

— Zabawne, że akurat ty to mówisz.

— Kay, nie zaczynaj od nowa, proszę.

— Muszę się zastanowić. — Wyciągnęłam kluczyki; nagle poczułam się wyczerpana.

— Przestań mnie mamić!

— Wcale cię nie mamię, Mark — odrzekłam, dotykając jego policzka.

Pocałowaliśmy się po raz ostatni. Chciałam, by ten pocałunek trwał wiecznie, lecz jednocześnie pragnęłam jak najszybciej znaleźć się w domu. Zawsze byliśmy namiętymi, szalonymi kochankami, lecz na tym nigdy nie udało się nam zbudować nic konstruktywnego.

— Zadzwoń do ciebie — powiedział, a kiedy otwierałam drzwi samochodu, dodał: — Słuchaj Bentona. Jemu możesz ufać. To, w co się wplątałaś, to naprawdę śmierdząca sprawa.

Włączyłam silnik.

— Wolałbym, żebyś się trzymała od tego z daleka.

— Zawsze to powtarzasz — odparłam.

Mark zadzwonił następnego wieczoru i dwa dni później. Kiedy zadzwonił

po raz trzeci, dziesiątego lutego, to, co powiedział, wysłało mnie na poszukiwania ostatniego wydania „Newsweeka”.

Smutne oczy Pat Harvey patrzyły na mnie z okładki tygodnika; wielkie czarne litery biegły pod zdjęciem: „MORDERSTWO CÓRKI NARKOTYKOWEJ CARYCY”, a w środku znalazłam dokładną relację z fatalnej konferencji prasowej, streszczenie oskarżeń pani Harvey oraz przypomnienie wcześniejszych spraw zaginionych nastolatków, których ciała odnaleziono rozkładające się w lasach Wirginii. Choć odmówiłam udzielenia wywiadu dla tego artykułu, ktoś wygrzebał moje stare zdjęcie zrobione na schodkach budynku sądu w Richmond i podpisał je: „Koroner okręgowy wydaje raporty z autopsji pod groźbą pozwania do sądu”.

— To nic niezwykłego w tej robocie — zapewniłam Marka, gdy do niego oddzwoniłam. — Nic mi nie jest.

Nawet gdy moja matka zadzwoniła do mnie tego samego wieczoru, udało mi się zachować spokój, dopóki nie powiedziała:

— Jest tu ze mną ktoś, kto aż umiera z niecierpliwości, by z tobą porozmawiać, Kay.

Moja siostrzenica, Lucy, zawsze miała niesamowity talent do dobijania mnie.

— Dlaczego masz kłopoty? — zapytała prosto z mostu.

— Wcale nie mam kłopotów.

— W gazecie napisali, że masz. Że ktoś ci groził.

— To zbyt skomplikowane, bym mogła ci to teraz wyjaśnić, Lucy.

— To niesamowita historia — odrzekła moja siostrzenica, zupełnie nie poruszona. — Wezmę „Newsweeka” jutro ze sobą do szkoły i pokażę wszystkim w klasie. — No, świetnie, pomyślałam. — A pani Barrows — kontynuowała Lucy, mówiąc o swej wychowawczyni — pytała, czy przyjedziesz do nas w kwietniu na dzień spotkań z przedstawicielami różnych zawodów?

Nie widziałam Lucy od roku. Nie mieściło mi się w głowie, że moja siostrzenica chodzi już do drugiej klasy szkoły średniej, i choć wiedziałam, że teraz nosi szkła kontaktowe zamiast okularów i ma już prawo jazdy, nadal

myślałam o niej jako o pulchnym szkrabie, który chce, by go tulić na dobranoc, jako o *enfant terrible*, które z nie znanych mi powodów pokochało mnie, zanim jeszcze nauczyło się chodzić. Nigdy nie zapomnę Bożego Narodzenia, kiedy się urodziła, i tego tygodnia, który zaraz po porodzie siostry spędziłam wraz z nimi dwiema na Florydzie. Zdawało się, że każdą chwilę swego życia Lucy spędza na obserwowaniu mnie; jeżeli tylko nie spała, wodziła za mną oczyma wielkimi jak spodeczki i błyszczącymi jak dwa księżycy. Uśmiechała się do mnie, gdy ją przewijałam, i ryczała z wściekłości, gdy choćby na chwilę wychodziłam z pokoju.

— Czy chciałabyś spędzić ze mną wakacje w Richmond? — zapytałam.

Lucy zawahała się, po czym odparła:

— Czy to znaczy, że nie możesz do mnie przyjechać w kwietniu? — W jej głosie brzmiało rozczarowanie.

— Zobaczymy, dobrze?

— Nie wiem, czy będę mogła przyjechać do ciebie tego lata. — W jej tonie zaczęły pobrzmiwać niemiłe nutki. — Znalazłam pracę i pewnie nie będę się mogła wyrwać.

— To cudownie, że znalazłaś pracę!

— Taak, w sklepie z komputerami. Zamierzam oszczędzić wszystkie zarobione pieniądze i kupić sobie samochód. Chcę mieć sportowego kabrioleta, a czasem w komisie można znaleźć jakiegoś starego rupiecia, który jeszcze całkiem ładnie wygląda.

— Lucy, toż to samobójstwo — powiedziałam, zanim zdołałam się powstrzymać. — Błagam, zastanów się dwa razy, zanim zrobisz coś podobnego. Może jednak przyjedziesz do mnie, do Richmond? Razem poszukamy jakiegoś samochodu dla ciebie? Czegoś ładnego i bezpiecznego zarazem?

Wykopała pode mną dołek, a ja, jak zwykle, w niego wpadłam. Była ekspertką od manipulacji, a nie trzeba było psychiatry, by domyślić się powodu takiego stanu rzeczy. Lucy była ofiarą chronicznego odrzucenia przez matkę, a moją siostrę.

— Jesteś inteligentną młodą damą, która sama potrafi podejmować

decyzje — rzekłam, zmieniając taktykę. — Wiem, że potrafisz rozsądnie zagospodarować swój czas i pieniądze. Ale jeżeli zdołasz jakoś wcisnąć mnie w swój harmonogram zajęć w te wakacje, może gdzieś się razem wybierzemy? Nad morze albo w góry, gdzie tylko zechcesz. Byłaś kiedyś w Anglii?

— Nie.

— W takim razie mogłybyśmy się tam wybrać.

— Naprawdę? — spytała podejrzliwie.

— Naprawdę. Od lat tam nie byłam — powiedziałam, zapalając się do tego pomysłu. — Myślę, że już czas, byś zobaczyła Oxford i Cambridge, i muzea w Londynie. Jeżeli chcesz, załatwię ci wycieczkę po Scotland Yardzie, a jeżeli wyjedziemy w czerwcu, może zdobędziemy bilety na mecze na Wimbledonie.

Cisza.

— Tylko się z tobą drażniłam — usłyszałam wreszcie radosny głosik. — Wcale nie chcę sportowego samochodu, ciociu Kay.

Następnego ranka nie miałam żadnych autopsji w planie, więc siedziałam przy biurku, usiłując uporać się ze stosem papierkowej roboty. Miałam na głowie śmierć wielu ludzi, wykłady do poprowadzenia i procesy sądowe, w których miałam zeznawać w charakterze świadka, a jednak na niczym nie potrafiłam się skupić. Za każdym razem, gdy usiłowałam wziąć się do jakiejś pracy, moje myśli samoistnie wracały do zaginionych par nastolatków. Było coś ważnego, co przeoczyłam; znajdowało się tuż pod moim nosem.

Czułam, że wiąże się to z zabójstwem Debory Harvey.

Była gimnastyczką, sportsmenką, która doskonale potrafiła kontrolować swe ciało. Być może nie była tak silna jak Fred, lecz z pewnością była od niego szybsza i zwinniejsza. Dałabym sobie głowę uciąć, że morderca nie docenił jej fizycznych możliwości i dlatego właśnie w lesie stracił kontrolę nad całą sytuacją. Wpatrując się martwym wzrokiem w raport, który miałam

ocenić, przypomniałam sobie słowa Marka. Wspomniał coś o „strefach wojennych” w Camp Peary, gdzie agenci przeprowadzają ćwiczenia z bronią automatyczną, granatami i noktowizorami, polując na siebie nawzajem w ciemnym lesie. Usiłowałam to sobie wyobrazić; do głowy przyszedł mi koszmarny scenariusz.

Być może porwawszy Deborę i Freda, morderca zawiózł ich do lasu, bo planował przerażającą zabawę. Może kazał im zdjąć buty i skarpetki, po czym związał im ręce na plecach. Może włożył noktowizor, a ten, wykorzystując blade światło księżyca, umożliwił mu doskonałą widoczność w mrocznym lesie, w którym chciał urządzić sobie polowanie.

Marino miał rację; morderca zapewne najpierw pozbyłby się Freda. Być może kazał mu uciekać, „dał mu szansę”, a gdy chłopak, potykając się, pobiegł w głąb lasu, zabójca obserwował jego wysiłki, bez trudu poruszając się między drzewami, z nożem w ręce. W odpowiednim momencie z łatwością od tyłu dopadł swej ofiary, ramieniem poderwał głowę, by odsłonić gardło, po czym przeciął aortę i krtań. Ten atak w stylu komandosów jest szybkim i cichym sposobem pozbycia się przeciwnika. Jeżeli ciała miały zostać odkryte dopiero po jakimś czasie, morderca wiedział, że patolog nie znajdzie żadnych dowodów mordu, gdyż tkanki i chrząstki dawno się rozłożą.

Pociągnęłam ten scenariusz nieco dalej: być może sadyzm mordercy popchnął go do tego, że zmusił Deborę do obserwowania ucieczki chłopaka i jego śmierci. Rozważałam prawdopodobieństwo takiej sytuacji, w której morderca związałby dziewczynie nogi w kostkach i zostawił na polanie, by przyglądała się jego zabawie w kotka i myszkę z Fredem. Mógł nie przewidzieć jej sprawności fizycznej — możliwe, że podczas gdy on zajmował się chłopakiem, Deborze udało się przesunąć związane dłonie pod pośladkami; w ten sposób ręce, choć nadal związane, miałyby przed sobą, zdolne do obrony.

Wyciągnęłam ręce przed siebie, udając, że mam je związane w nadgarstkach. Gdyby Debora zacisnęła palce w coś na kształt podwójnej pięści, po czym zamachnęła się na mordercę, i gdyby on odruchowo uniósł dłonie w obronnym geście, trzymając w jednej z nich nóż, bardzo możliwe,

że jego ostrze wbiłoby się we wskazujący palec dziewczyny. Potem Debora zaczęłaby uciekać ze wszystkich sił, a morderca, wytrącony z równowagi, mógłby ją postrzelić w plecy.

Czy miałam rację? Czy to mogło się wydarzyć naprawdę? Nie miałam pojęcia. Ale odegrawszy ten scenariusz w myślach, nie wyczułam żadnego zgrzytu; wszystko grało. Nie pasowały tu tylko pewne wcześniejsze założenia Bentona Wesleya. Jeżeli śmierć Debory była zabójstwem na zlecenie wykonanym przez profesjonalistę, to czy taki ktoś przeoczyłby fakt, że jego ofiara jest gimnastyczką na skalę olimpijską? Czy nie przyszłoby mu do głowy, że dziewczyna może być niezwykle szybka i sprawna?

Czy strzeliłby jej w plecy?

Czy sposób, w jaki zginęła, pasuje do sposobu śmierci, jaki zadaje płatny morderca swej ofierze?

Dostała kulę w plecy.

Kiedy Hilda Ozimek przyglądała się zdjęciom zaginionych nastolatków oraz miejsc, gdzie znaleźliśmy ciała Debory i Freda, cały czas wyczuwała strach. Aż do tej pory nie przyszło mi do głowy, że zabójca także mógł go odczuwać. Kiedy Debora zachowała się niezgodnie z jego planem, na pewno wytrąciło go to z równowagi; stracił kontrolę nad sytuacją. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że Wesley i wszyscy inni mylą się co do charakteru tego drania. Polowanie na związane, bose dzieci w ciemnym lesie, kiedy masz przy sobie broń, prawdopodobnie znasz teren i masz noktowizor, przypomina strzelanie do ryb w beczce. To zbyt proste; nie fair. Nie było to zachowanie, jakiego spodziewałabym się po opanowanym zabójcy, ekspercie, którego podnieca ryzyko.

No i jeszcze rodzaj broni, jaką się posługiwał.

Gdybym była agentem CIA polującym na człowieka, jakiej bym broni użyła? Uzi? Możliwe. Jednak bardziej prawdopodobne jest, że wybrałabym pistolet kalibru dziewięć milimetrów, coś, co wystarczyłoby do wykonania zadania. Użyłabym zwyczajnych naboji, czegoś, co może przejść nie zauważone. Nigdy nie bawiłabym się czymś tak niezwykłym jak kule typu HydraShock.

Amunicja. Myśl, Kay! Nie przypomi nałam sobie, kiedy ostatni raz wyciągnęłam z kogoś kulę tego typu.

Tego rodzaju amunicję wymyślono na potrzeby agentów federalnych; takie kule miały znacznie większą siłę rażenia niż jakiegokolwiek inne nadające się do wystrzelenia z broni o lufie długości dwóch cali. Kiedy pocisk o pustym i lekko uniesionym czubku wnika w ciało, ciśnienie hydrostatyczne sprawia, że zewnętrzna krawędź zapala się jak petarda i zostawia ślad podobny do płatków kwiatu. Tego typu kule prawie wcale nie powodują odrzutu, więc z łatwością można nimi strzelać raz za razem. Takie pociski prawie zawsze zostają w ciele ofiary, której tkanki i organy są zazwyczaj poważnie uszkodzone.

Morderca zna się na amunicji. Bez wątpienia wybrał swój rewolwer i naboje ze względu na ich śmieronosność; to pewnie dodało mu odwagi, sprawiło, że poczuł się silny i ważny. Być może miał co do tego jakieś wątpiwości.

Podniosłam słuchawkę telefonu i wykręciwszy numer Lindy, powiedziałam jej, czego potrzebuję.

— Chodź do mnie na górę — odrzekła.

Kiedy weszłam do laboratorium balistycznego, zastałam ją siedzącą przy komputerze.

— W tym roku nie znalazłam żadnej takiej sprawy, z wyjątkiem Debory Harvey, rzecz jasna — odezwała się, przesuwając kursor w dół ekranu. — W zeszłym roku jedna. I jeszcze jedna rok wcześniej. Nic związanego z FBI czy CIA, ale znalazłam dwie sprawy dotyczące skorpionów.

— Skorpionów? — zapytałam zaskoczona i zajrzałam jej przez ramię.

— To wcześniejsza wersja — wyjaśniła Linda. — Dziesięć lat wcześniej, zanim federalni kupili patent, korporacja Hydra-Shock produkowała właściwie takie same naboje. Dokładnie rzecz biorąc, skorpiony do trzydziestekósemek, i copperheady do magnum trzysta pięćdziesiąt siedem. — Nacisnęła kilka klawiszy i wydrukowała to, co znalazła. — Osiem lat temu mieliśmy tu jedną sprawę dotyczącą skorpiona kalibru trzydzieści osiem. Ale nie chodziło o człowieka.

— Że co, proszę? — Popatrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

— Zdaje się, że ofiarą był ssak, lecz... pies. Postrzelono go trzy razy.

— Czy postrzelenie tego psa było związane z jakimś innym przestępstwem? Samobójstwem, włamaniem albo morderstwem?

— Tu nic nie napisano — odparła Linda przepraszająco. — Jest tylko tyle, że wyciągnięto trzy kule typu Skorpion ze zdechłego psa. Do niczego tego nie dopasowali, zdaje się, że sprawa nadal jest nie rozwiązana.

Oddała wydruk wiszący z drukarki i podała mi go.

W kostnicy miejskiej, od czasu do czasu, ale niezbyt często, przeprowadzano autopsje zwierząt. Czasem przysyłano nam jelenie zastrzelone poza sezonem łowieckim albo czyjeś psy postrzelone podczas włamania, czy też znalezione martwe obok swych martwych właścicieli. Robiliśmy im sekcje, wyciągaliśmy kule i przeprowadzaliśmy badania toksykologiczne, jednak nie wydawaliśmy aktów zgonów ani raportów z autopsji czworonogów. Nie miałam zbyt dużych szans na znalezienie w aktach czegokolwiek na temat tego psa.

Zadzwoiłam do Marina i opowiedziałam mu o wszystkim.

— Chyba żartujesz — burknął.

— Czy możesz to jakoś wyśledzić, nie wywołując zamieszania? Nie chcę, by ktokolwiek o tym wiedział. Może to nic takiego, ale pochodzi z jurysdykcji West Point, a ciała drugiej pary znaleźliśmy niedaleko od tamtego miejsca.

— Taak, dobra. Zobaczę, co da się zrobić — powiedział, lecz w jego głosie nie było słychać entuzjazmu.

Następnego ranka Marino zjawił się w kostnicy, gdy właśnie kończyłam sekcję czternastolatka, który tego popołudnia wypadł z paki jadącego autostradą pickupa.

— To chyba nie twoje perfumy — rzekł Marino na powitanie, przysuwając się do stołu i pociągając ostentacyjnie nosem.

— Miał w kieszeni spodni buteleczkę płynu po goleniu; rozbiła się, gdy upadł na jezdnię... to stąd ten zapach. — Wskazałam na stertę ubrań

leżących na pobliskim stoliku.

— Brute, co?

— Pewnie tak — odpowiedziałam bezmyślnie.

— Doris często kupowała mi Brute. A pewnego roku kupiła mi Obsession, dasz wiarę?

— Czego się dowiedziałeś? — Nie przestawałam pracować.

— Pies nazywał się Sukinsyn i przysięgam, że nie żartuję — zaczął Marino. — Należał do jakiegoś dziadka w West Point, niejakiego pana Joyce'a.

— Czy dowiedziałeś się, dlaczego trafił do kostnicy miejskiej?

— Nie było żadnego powiązania z innymi sprawami. Podejrzewam, że ktoś komuś zrobił uprzejmość.

— Stanowy weterynarz musiał być na urlopie — burknęłam, gdyż wcześniej zdarzały się tu takie wypadki.

Po drugiej stronie mojego budynku znajdował się Departament Zdrowia Zwierzęcego, a w nim doskonale wyposażona kostnica, w której przeprowadzano normalne badania. Zazwyczaj wszystkie zwierzęta trafiały do weterynarza, lecz bywały także wyjątki. Ulegając prośbom gliniarzy, gdy weterynarz był na wakacjach, patolodzy sądowi przeprowadzali sekcje zwierzętom. W swej karierze miałam wątpliwą przyjemność zajmowania się torturowanymi psami, skatowanymi kotami, wykorzystaną seksualnie kłaczą i otrutym kurczakiem, którego ktoś zostawił w skrzynce na listy pewnego sędziego. Ludzie byli równie okrutni w stosunku do zwierząt, jak do siebie nawzajem.

— Pan Joyce nie ma telefonu, lecz mój informator twierdzi, że staruszek nadal mieszka w tej samej chatce — oznajmił Marino. — Pomyślałam, że skoczę do niego i zadam mu parę pytań. Masz ochotę pojechać ze mną?

Zakładając nowe ostrze na skalpel, pomyślałam o moim zawalonym papierami biurku, o sprawach czekających na podsumowanie, o telefonach, na które muszę odpowiedzieć, i innych, które muszę wykonać.

— Dobra — odparłam.

Marino zawahał się, jakby na coś czekając.

Dopiero spojrzawszy na niego, zobaczyłam, o co chodzi. Marino ostrzygł się. Poza tym miał na sobie spodnie koloru khaki podtrzymywane przez szerokie szelki oraz tweedową marynarkę, która wyglądała na nowiuteńką. Jego krawat i jasnożółta koszula były nieskazitelnie czyste. Nawet buty miał wyczyszczone na wysoki połysk.

— Wyglądasz szalenie elegancko — powiedziałam niczym dumna matka.

— Taak. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a twarz poczerwieniała mu lekko. — Rose zagwizdała na mój widok, gdy wsiadałem do windy. To było całkiem zabawne. Od lat żadna kobieta nie gwizdnęła na mój widok, oprócz Sugar, ale ona się nie liczy.

— Sugar?

— Kręci się na rogu Adam i Church. Kiedyś popełniłem ten błąd, że znalazłszy Sugar, znaną także pod imieniem Szalonej Mamuśki, gdzieś przy śmietniku, pijaną w trzy dupy, zawiozłem ją na komisariat. Walczyła ze mną jak dzika kocica i przeklinała mnie przez całą drogę do śródmieścia. Od tego czasu, ile razy zbliżę się do niej choćby na kilometr, wrzeszczy, gwizdże i zadziera spódnicę.

— A ty się martwiłeś, że kobiety nie uważają cię za atrakcyjnego — odparłam.

Rozdział jedenasty

Pochodzenie Sukinsyna było nieznane, choć na pierwszy rzut oka widać było, że z długiej linii przodków odziedziczył wszystko, co najgorsze.

— Wychowałem go od szczeniaka — powiedział pan Joyce, kiedy oddałam mu zdjęcie interesującego nas psa. — To był przybłęda. Po prostu pojawił się na moim progu pewnego ranka, a że zrobiło mi się go szkoda, dałem mu kilka ochłapów. Od tej pory nie mogłem się go pozbyć.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole pana Joyce'a; słońce prześwitywało przez zakurzone okno nad poznaczonym rdzą porcelanowym zlewem. Odkąd pojawiliśmy się tu piętnaście minut temu, pan Joyce nie powiedział ani jednego miłego słowa o swoim zamordowanym psie, jednak w starych oczach widziałam ciepły błysk. Jego szerokie, szorstkie dłonie gładziły bezwiednie kubek do kawy; podejrzewałam, że pod tą zgryźliwą powłoką bije serce zdolne do czułości.

— Skąd się wzięło jego imię? — chciał wiedzieć Marino.

— Widzi pan, nigdy tak naprawdę nie nadałem mu imienia. Ale cały czas wrzeszczałem na niego: „Do nogi, sukinsynie!” czy „Chodź tutaj, sukinsynie!” — Uśmiechnął się niemądrze. — Aż doszło do takiego momentu, w którym on zaczął uważać, że nazywa się Sukinsyn, więc i ja zacząłem na niego tak wołać.

Pan Joyce był emerytowanym pracownikiem firmy produkującej cement, a jego maleńki domek stanowił pomnik wiejskiej biedy stojący w samym środku pól. Podejrzewałam, że wcześniejszy właściciel chałupki był farmerem dzierzawiącym ziemię uprawną, gdyż z każdej strony posiadłość otoczona była polami, na których — wedle słów pana Joyce'a — latem rosła najlepsza kukurydza w stanie.

To właśnie latem, w gorącą, parną lipcową noc, Jim Freeman i Bonnie Smyth jechali rzadko uczęszczaną drogą, ciągnącą się przed domkiem pana Joyce'a. Potem przyszedł listopad i ja jechałam tą samą drogą służbowym samochodem załadowanym płachtami, noszami i torbami na ciała. Niecałe

dwie mile na wschód od posiadłości pana Joyce'a rozciąga się las, gdzie dwa lata temu znaleźliśmy ciała drugiej zaginionej pary nastolatków. Dziwny zbieg okoliczności? A może nie?

— Niech nam pan opowie, co się stało z Sukinsynem — rzekł Marino, zapalając papierosa.

— Był weekend — zaczął staruszek. — Gdzieś w połowie sierpnia, tak mi się zdaje. Wszystkie okna w domu były otwarte, a ja siedziałem w salonie, oglądając telewizję. Akurat leciało „Dallas”. Śmieszne, jak człowiek pamięta takie szczegóły. To znaczy, że był piątek. Gdzieś około dziewiątej.

— W takim razie pański pies został postrzelony między dziewiątą a dziesiątą — wtrącił Marino.

— Tak mi się zdaje. To nie mogło się zdarzyć dużo wcześniej, bo nie zdołałby się przyczołgać do domu. Więc siedzę sobie, oglądam telewizję, aż tu nagle słyszę skrobanie do drzwi i takie ciche piski. Pomyślałem, że dostał gdzieś wciury, może pobił się z dzikim kotem albo co. Ale wystarczyło, że na niego spojrzałem i już wiedziałem, że to nie to.

Wyciągnął z kieszeni mieszek z tytoniem i powoli, metodycznie, zaczął zwijać papierosa.

— I co się stało później? — drażył Marino.

— Wsadziłem go na tył mojej ciężarówki i zawiozłem do doktora Whiteside'a... to jakieś pięć mil stąd, na północny zachód.

— Ten doktor Whiteside to weterynarz? — spytałem.

Pan Joyce powoli potrząsnął głową.

— Nie, proszę pani. Nigdy nie znałem żadnego weterynarza. Doktor Whiteside zajmował się moją żoną, zanim się jej zmarło. To bardzo miły gość. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, gdzie indziej mógłbym pojechać z taką sprawą. Oczywiście, przyjechałem za późno; kiedy wniosłem go do domu doktora, już nic nie można było zrobić dla Sukinsyna. Doktor powiedział, że powinienem zadzwonić na policję. W połowie sierpnia można polować tylko na wrony, a nie ma żadnego powodu, by ktoś w środku nocy polował na ptaszyska czy cokolwiek innego. Tak powiedział doktor Whiteside. Więc zadzwoniłem na policję.

— Czy domyśla się pan, kto mógł strzelać do pańskiego psa? — spytałam.

— Jak już wspominałem, Sukinsyn był wredny, lubił szczekać na ludzi, ganiał za samochodami... Jeżeli chcą państwo znać moje zdanie, to podejrzewam, że postrzelił go jakiś gliniarz.

— Dlaczego tak pan uważa? — zapytał Marino.

— Jak już zrobili mu sekcję, powiedzieli mi, że kule pochodziły z rewolweru. Pomyślałem więc, że biedny Sukinsyn pogonił jakiegoś policjanta i oberwał od niego.

— A czy widział pan tego wieczoru jakiś wóz policyjny na drodze przed domem?

— Nie, ale to nie znaczy, że go tam nie było. Poza tym nie mam pojęcia, gdzie to się stało. Wiem, że nigdzie w pobliżu, bo bym usłyszał.

— Może niekoniecznie, skoro miał pan włączony telewizor? — odparł Marino.

— Na pewno bym usłyszał, nie ma co do tego wątpliwości. Tu zwykle jest cisza, szczególnie wieczorami. Kiedy trochę się tu pomieszka, człowiek jak radar łowi wszystkie niezwykle dźwięki, nawet przy włączonym telewizorze i zamkniętych oknach.

— A czy słyszał pan jakieś samochody przejeżdżające tamtej nocy drogą? — zapytał Marino.

Staruszek zamyślił się.

— Jestem pewien, że jeden przejechał na chwilę przed tym, jak Sukinsyn zaczął skrobać we drzwi. Policja także mnie o to pytała. Mam przeczucie, że ten, kto nim jechał, postrzelił mojego psa. Policjant, który spisywał moje zeznania, także był tego samego zdania. W każdym razie tak twierdził. — Pan Joyce umilkł i zapatrzył się na pola widoczne za oknem. — Pewnie to był jakiś dzieciak.

Z salonu dobiegł nas dźwięk zegara wybijającego godzinę; potem nastąpiła cisza odmierzana równomiernym kapaniem wody do zlewu. Pan Joyce nie miał telefonu; w okolicy mieszkało niewiele osób, nikogo w zasięgu wzroku. Zastanowiłam się, czy staruszek ma dzieci. Nie wyglądało na to, by

znalazł sobie nowego psa albo chociaż kota. Nie było żadnej oznaki wskazującej, że mieszkał tu z kimkolwiek.

— Stary Sukinsyn był bezużyteczny, ale przyzwyczałem się do niego. Doprowadzał listonosza do zawału. Często stałem tu w oknie i śmiałem się z niego, aż łzy mi z oczu leciały. To był taki malutki, pulchniutki człowieczek; trzeba było wam widzieć, jak rozglądał się dokoła, blady ze strachu, bojąc się wysiąść z ciężarówki. A stary Sukinsyn biegał w kółko, szczekał i kłapał zębami. Zawsze dawałem mu pobawić się kilka minut, zanim wychodziłem na ganek i kazałem iść do budy. Wystarczyło, bym pogroził palcem, a psisko samo wracało do domu z podkulonym ogonem. — Odetchnął głęboko, a zapomniany papieros tlił się w popielniczce. — Mnóstwo jest podłości na tym świecie.

— Ma pan rację — zgodził się Marino, odchylając się na krześle. — Podłość spotyka się nawet w takich cichych, spokojnych zakątkach jak ten. Byłem tu ostatnim razem ze dwa lata temu, kilka tygodni przed Świętem Dziękczynienia, kiedy znaleźli w lesie ciała tych zamordowanych dzieciaków. Pamięta pan?

— Pewnie, że pamiętam — odrzekł pan Joyce. — Nigdy nie widziałem takiego ruchu na tej drodze jak wtedy. Właśnie rąbałem drewno na opał, gdy drogą przejechała kawalkada wozów policyjnych na sygnale, w włączonych migającymi światłami. Było ich z tuzin i kilka karettek. — Umilkł i przyjrzał się Marinowi z namysłem. — Nie przypominam sobie, bym tam pana widział. — Obróciwszy się do mnie, dodał: — Podejrzewam, że i pani tam była.

— Tak.

— Tak też sobie pomyślałem. — Wydawał się zadowolony z siebie. — Wydawała mi się pani znajoma, cały czas usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie już panią widziałem, ale teraz już wiem.

— Czy pojechał pan wtedy do lasu? Gdy znaleziono te ciała? — zapytał Marino zwyczajnym tonem.

— Z tymi wszystkimi wozami policyjnymi przejeżdżającymi obok mojej chaty, jakże miałbym usiedzieć spokojnie. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Tam dalej nie ma już żadnych domów, tylko lasy... Pomyślałem, że może

jakiś myśliwy się zabił, ale to nie miałoby wiele sensu. Czy do zwykłego wypadku jechałoby aż tylu gliniarzy? Wsiadłem więc do ciężarówki i pojechałem za nimi. Zatrzymałem się obok policjanta stojącego przy samochodzie i zapytałem, co się dzieje. Powiedział, że myśliwi znaleźli jakieś ciała, a potem chciał wiedzieć, czy mieszkam w okolicy. Odparłem, że tak, a kiedy wróciłem do domu, zanim się obejrzałem, przyjechał jakiś detektyw i zadawał mi mnóstwo pytań.

— Pamięta pan może nazwisko tego detektywa? — spytał Marino.

— Niestety nie.

— A jakie pytania panu zadawał?

— Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy widziałem kogoś w okolicy, mniej więcej w tym czasie, co zaginęły te dzieci. Jakies obce samochody czy coś w tym stylu.

— No i co mu pan powiedział?

— Że nie, ale kiedy już odjechał, długo nad tym myślałem. Od czasu do czasu wraca to do mnie, nawet teraz — odpowiedział zagadkowo pan Joyce. — Chodzi mi o to, że tej nocy, kiedy, jak podejrzewają, ktoś porwał i zamordował tę parę, nie słyszałem nic dziwnego ani niezwykłego. Czasem kładę się wcześniej do łóżka. Mogłem już spać. Ale pamiętam coś, co wydarzyło się kilka miesięcy wcześniej, męczy mnie od czasu, gdy znaleziono tę drugą parę na początku tego roku.

— Deborę Harvey i Freda Cheneyą? — podpowiedziałam.

— Dziewczynę, której matka jest grubą rybą.

Marino skinął głową, a pan Joyce kontynuował:

— Te morderstwa mocno mnie poruszyły i zacząłem znowu myśleć o ciałach znalezionych w lesie. Jeżeli państwo zwrócili uwagę, mam od frontu skrzynkę pocztową. Kilka tygodni wcześniej, zanim znaleźli pierwsze zamordowane dzieci, miałem pecha...

— Zanim znaleziono Jima Freemana i Bonnie Smyth, tak?

— Tak. Miałem gripę, wymiotowałem od rana do nocy i czułem się jak półtora nieszczęścia. Leżałem w łóżku chyba ze dwa dni i nie miałem nawet siły, by pójść po listy do skrzynki. Tej nocy, o której mówię, po raz pierwszy

byłem na nogach, zrobiłem sobie zupy, i nawet jej nie zwróciłem, więc poszedłem też po listy. Była dziewiąta, może dziesiąta wieczorem i kiedy szedłem z powrotem do domu, usłyszałem samochód. Ciemno było jak w studni, a on jechał z wyłączonymi światłami.

— W którą stronę jechał? — zapytał Marino.

— Tam. — Pan Joyce wskazał na zachód. — Innymi słowy, wracał od strony lasu, z powrotem na autostradę. Może to nic takiego, ale pamiętam, że pomyślałem, iż to bardzo dziwne. Przede wszystkim, tam skąd wracał, nie ma nic oprócz pól i lasu. Pomyślałem, że to pewnie jakieś dzieciaki, które pojechały tam się napić albo popieścić, czy co tam...

— Przyjrzał się pan samochodowi? — dopytywałam się.

— Zdaje się, że nie był zbyt duży, ciemnego koloru. Czarny, granatowy, albo może ciemnoczerwony.

— Stary czy nowy? — spytał Marino.

— Nie wiem, czy był zupełnie nowy, ale stary nie był na pewno. No i nie był to jeden z tych zagranicznych wozów.

— Skąd pan wie? — Marino patrzył na staruszka z niedowierzaniem.

— Poznają po głosie — odrzekł pan Joyce spokojnie. — Te zagraniczne samochody inaczej słychać niż nasze, silniki pracują głośniejsze, jakby się bardziej krztusiły. Nie potrafię tego opisać, ale po prostu to słyszę. Dokładnie tak jak wtedy, gdy wy podjeżdżaliście; wiedziałem, że macie amerykański samochód, fordą albo chevroleta. Ten, który tędy przejeżdżał bez świateł, był naprawdę cichy, silnika prawie nie było słychać. Miałem wrażenie, że to kształt jednego z tych nowych thunderbirdów, ale nie przysięgnę. Może to był cougar.

— W każdym razie typ sportowego wozu, o to chodzi, tak?

— Zależy, jak na to patrzeć. Dla mnie sportowy samochód to corvetta, a thunderbird czy cougar to po prostu fikuśna bryka.

— A widział pan może, ile osób siedziało w samochodzie? — zapytałam. Staruszek potrząsnął głową.

— Nie, nie mam pojęcia. Było bardzo ciemno, a ja nie stałem zbyt długo w drzwiach i nie widziałem.

Marino wyciągnął z kieszeni notatnik i zaczął go kartkować.

— Panie Joyce — powiedział — Jim Freeman i Bonnie Smyth zniknęli dwudziestego dziewiątego lipca, w noc z soboty na niedzielę. Jest pan pewien, że widział ten samochód wcześniej? Nie później?

— Na sto procent. Jestem pewien, bo jak już wam powiedziałem, byłem chory. Rozłożyłem się na początku drugiego tygodnia lipca. Pamiętam, ponieważ urodziny mojej żony wypadają trzynastego lipca i zawsze wtedy idę na cmentarz, by położyć kwiaty na grobie. Kiedy wróciłem z cmentarza, czułem się fatalnie, a następnego dnia już nie mogłem wstać z łóżka. — Zastanawiał się przez chwilę. — Musiał być jakiś piętnasty czy szesnasty, kiedy wyszedłem po listy i zobaczyłem ten samochód.

Marino założył okulary przeciwsłoneczne i przygotował się do wyjścia.

Pan Joyce, który nie urodził się wczoraj, spytał jeszcze:

— Myślicie, że śmierć mojego psa może mieć coś wspólnego z morderstwami tych dzieciaków, tak?

— Sprawdzamy wiele tropów, więc najlepiej będzie, jeżeli nikomu nie wspomni pan o naszej rozmowie.

— Nie puszczę pary z gęby.

— Będziemy wdzięczni.

Odprowadził nas do drzwi.

— Odwiedźcie mnie, jeżeli kiedyś będziecie w okolicy — powiedział. — Przejdźcie w lipcu, kiedy będą pomidory. Za domem mam ogródek, a w nim najlepsze pomidory w całej Wirginii. Ale możecie wpaść wcześniej, kiedy tylko zechcecie. Ja i tak nigdy się stąd nie ruszam.

Kiedy objeżdżaliśmy, stał na ganku i machał nam.

Gdy wracaliśmy zakurzoną dróżką wiodącą do autostrady, Marino podzielił się ze mną wrażeniami.

— Mam podejrzenia co do tego samochodu, który dziadek widział dwa tygodnie przed zniknięciem Bonnie Smyth i Jima Freemana.

— Ja także.

— A jeżeli chodzi o psa, to mam pewne wątpliwości. Gdyby został zastrzelony kilka tygodni, albo nawet miesięcy, przed śmiercią Jima i Bonnie,

pomyślałbym, że mamy jakiś trop. Ale, do diabła, Sukinsyn oberwał pięć lat przed tym, zanim zaczęły znikać dzieciaki.

Strefy wojenne, pomyślałam. Może jednak znaleźliśmy wreszcie jakiś trop?

— Marino, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że może mamy do czynienia z kimś, dla kogo miejsce zbrodni jest ważniejsze niż same ofiary? — Spojrzał na mnie; wiedziałam, że całkowicie przyciągnęłam jego uwagę, więc kontynuowałam: — Ten drań może poświęcać mnóstwo czasu na znalezienie odpowiedniego miejsca. Kiedy już tego dokona, porywa ofiary i przywozi je tam. Najważniejsze w tym wszystkim jest miejsce i pora roku. Pies pana Joyce'a został zabity w połowie sierpnia. To najgorętsza pora roku, lecz nie wolno polować na nic oprócz wron. Każda z zaginionych par została zamordowana poza sezonem łowieckim i za każdym razem ciała były znajdowane tygodnie, a nawet miesiące później, już podczas sezonu. Przez myśliwych. To jest przemyślany sposób działania.

— Czy sugerujesz, że morderca był w lesie i wybierał miejsce odpowiednie do popełnienia zbrodni, gdy podbiegł do niego pies i zepsuł mu plany? — Popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

— Ja po prostu głośno myślę.

— Bez obrazy, ale coś mi się zdaje, że równie dobrze możesz przestać myśleć. Chyba że nasz ptaszek już od lat fantazjuje o zabijaniu.

— Moim zdaniem nasz ptaszek, jak go określiłeś, ma bardzo bujną wyobraźnię.

— Może powinnaś zatrudnić się jako psycholog w FBI — odparł. — Zaczynasz mówić jak Benton.

— A ty zaczynasz mówić tak, jakbyś już spisał Bentona na straty.

— Nie. Po prostu nie mam ochoty z nim gadać w tej chwili.

— On nadal jest twoim partnerem z drużyny VICAP, Marino. Nie tylko my mamy kłopoty; nie bądź dla niego zbyt surowy.

— Ależ ty masz gadkę — burknął.

— Przecież ktoś musi cię uświadomić, więc się ciesz, że nie każę ci za to płacić.

— Jesteś głodna?

Zbliżała się szósta po południu.

— Nie, dziś wieczorem się gimnastykuję — odparłam spokojnie.

— Jeezu. Jeszcze trochę i mnie zaczniesz do tego namawiać.

Na tę myśl oboje sięgnęliśmy po papierosy.

Spóźniłam się na lekcję tenisa, mimo że robiłam wszystko, co w mojej mocy — oprócz przejeżdżania skrzyżowań na czerwonym świetle — by się dostać do klubu Westwood na czas. Urwało mi się sznurowadło, ręce ślizgały się po rakiecie, a na piętrze właśnie zorganizowano meksykański bufet, czyli galeria pełna była widzów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty niż popijanie margarity, chrupanie tacos i komentowanie mojego poniżenia. Po posłaniu pięciu bekhendów poza linię zaczęłam wreszcie uginać kolana i zwolniłam nieco tempo. Trzy następne uderzenia poszły w siatkę. Moje serwy były żenujące, a publiczka sobie nie żałowała. Im bardziej się starałam, tym gorzej mi wychodziło.

— Zbyt szybko pani startuje i za każdym razem za późno uderza. — Ted przeszedł na moją stronę siatki. — Za daleko odchyła się pani do tyłu i za mało podąża za rakieta po uderzeniu. Co się dzieje?

— Zastanawiam się nad przerwaniem się na brydża — odparłam; moja frustracja powoli zamieniała się w złość.

— Niech pani cofa rakieta powoli, obraca ramię, robi wykrok i uderza piłkę, gdy znajduje się na wprost.

Poszedł ze mną na linię i kilkakrotnie zademonstrował, o co mu chodzi, podczas gdy ja skręcałam się z zazdrości. Ted miał muskulaturę posągu Michała Anioła, płynną koordynację i potrafił bez zbyteńnego wysiłku tak podkręcić piłkę, że albo przelatowała nad głową, albo spadała tuż pod stopy. Zastanawiałam się, czy sportowcy zdają sobie sprawę z tego, jak my, szarzy ludzie, się przy nich czujemy?

— Większość pani problemów ma swoje źródło w głowie, doktor Scarpetta — powiedział Ted. — Przychodzi pani na kort i usiłuje być Martina Navratilova zamiast sobą.

— No, cóż... i tak z pewnością nigdy nie będę Martiną — mruknęłam.

— Niech pani nie stara się tak zaciekle zdobywać punktów, kiedy powinna się pani skupić na nietraceniu ich. Najważniejsze to być sprytnym, utrzymywać piłkę w powietrzu, dopóki pani przeciwnik nie zagra na aut albo nie odsłoni się tak, by mogła go pani spokojnie załatwić. Przecież my tylko gramy. Meczów klubowych się nie wygrywa, lecz przegrywa. Ktoś cię pokonuje nie dlatego, że zdobył więcej punktów, lecz dlatego, że mniej ich stracił. — Patrząc na mnie z zastanowieniem, Ted dodał: — Założę się że w pracy nie jest pani tak niecierpliwa. Założę się, że potrafi pani cały dzień odbijać piłeczkę, że się tak wyrażę, i nie tracić jej z oczu.

Nie byłam tego taka pewna, lecz słowa Teda podziałały odwrotnie do jego zamierzenia; zupełnie przestałam myśleć o tenisie. Grać sprytnie. Myślałam o tym jeszcze dużo później, wylegując się w wannie.

Nie pokonamy tego mordercy. Podkładanie łusek i podsuwanie mylnych informacji gazetom nie zadziałało, a w odwodzie nie mieliśmy wielu innych strategii. Kryminaliści, którzy wykręcają się systemowi sprawiedliwości, nie są doskonali, lecz mają po prostu szczęście. Wszyscy popełniamy błędy, więc oni także. Problem polega na tym, by te błędy zauważyć, zrozumieć ich znaczenie i oddzielić to, co zamierzone, od tego, co zdarzyło się przypadkowo.

Pomyślałam o niedopałkach papierosów, jakie znajdowaliśmy przy wszystkich ciałach. Czy morderca celowo je tam zostawiał? Prawdopodobnie tak. Czy świadczyły o popełnionym przez niego błędzie? Nie, bo nie stanowiły dla nas żadnego dowodu ani nawet nie potrafiliśmy ustalić ich marki. Walet kierowy w samochodach z całą pewnością zostawiany był celowo, nie przez pomyłkę. Nie znaleźliśmy na kartach ani jednego odcisku palca, więc być może morderca zostawił je, byśmy pomyśleli to, co chciał.

A jednak postrzelenie Debory Harvey z pewnością było błędem.

Była też przeszłość zabójcy, nad którą aż do tej pory w ogóle się nie zastanawiałam. Przecież z dnia na dzień nie zmienił się z przestrzegającego prawa obywatela w maniackalnego mordercę. Jakie grzechy popełnił, zanim zaczął zabijać? Jakie inne podłości ma na sumieniu?

Po pierwsze, być może osiem lat temu zastrzelił psa należącego do

staruszka Joyce'a. Jeżeli miałam rację, to popełnił jeszcze jeden błąd, gdyż ten incydent sugeruje, że pochodzi z okolicy Richmond. Że zna tutejsze tereny. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zabił kogoś wcześniej?

Tuż po zebraniu z pracownikami następnego dnia rano kazałam Margeret, mojemu komputerowemu analitykowi, znaleźć i wydrukować wszystko, co mamy w bazach danych na temat morderstw, które miały miejsce w okręgu o promieniu pięćdziesięciu mil od Camp Peary w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Choć wcale nie szukałam podwójnego zabójstwa, to właśnie znalazłam.

Sprawy numer C0104233 i C0104234. Nigdy nie słyszałam o nich, gdyż wydarzyły się kilka lat przed moim przyjazdem do Wirginii; wróciwszy do mego biura, zaczęłam czytać dokumenty z rosnącym podnieceniem. Jill Harrington i Elizabeth Mott zostały zamordowane osiem lat temu, we wrześniu; miesiąc po tym, jak ktoś zastrzelił psa pana Joyce'a.

Obie kobiety miały niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy zaginęły osiem lat temu, w nocy z piątku na sobotę, czternastego września; ich ciała znaleziono następnego ranka, na przykościelnym cmentarzu. Dopiero następnego dnia zlokalizowano volkswagena należącego do Elizabeth — został znaleziony na parkingu przed motelem, przy drodze numer 60, w Lightfoot na przedmieściach Williamsburga.

Zaczęłam studiować raporty z autopsji; Elizabeth Mott została postrzelona w szyję, a potem — jak się domyślano — napastnik pchnął ją nożem w pierś, i poderżnął gardło. Była ubrana, nie znaleziono żadnych oznak gwałtu, nie znaleziono kuli, a na nadgarstkach dziewczyny widać było obtarcia po kajdankach lub czymś, czego użyto do związania jej. Nie znaleziono śladów świadczących, że się broniła. Jednak z kartoteki Jill wyczytałam inną historię. Miała cięcia na obu przedramionach i dłoniach, świadczące o tym, że usiłowała się osłonić przed ciosami nożem; zanotowano wstrząśnienie mózgu, liczne rany i obrzmienia na twarzy i głowie, świadczące o tym, że mogła zostać uderzona ręką rewolweru, a jej bluzka była

porwana. Najwyraźniej ze wszystkich sił walczyła o życie, choć nie na wiele się to jej zdało — skończyła z jedenastoma ranami kłutymi.

Do akt dołączony był wycinek z gazety, informujący, iż wedle słów Departamentu Policji Powiatu James City obie dziewczyny ostatni raz widziano około dziesiątej wieczorem, popijające piwo w Anchor Bar and Grill w Williamsburgu. Podejrzewano, że to tam właśnie spotkały swego oprawcę; typowy podryw barowy: dwie kobiety wychodzą z baru w towarzystwie nieznanego mężczyzny i idą wraz z nim do motelu, prawdopodobnie tego samego, przed którym znaleziono potem samochód Elizabeth. W pewnym momencie mężczyzna zmusił je do zawiezienia go na cmentarz, gdzie zamordował obie dziewczyny.

W tym scenariuszu było dla mnie wiele niezrozumiałych szczegółów. Policja znalazła krew na tylnym siedzeniu volkswagena, której pochodzenia nie wyjaśniono — nie pasowała do grup krwi żadnej z ofiar. Jeżeli należała do mordercy, to co się tam tak naprawdę wydarzyło? Czyżby szamotał się z jedną z dziewczyn na tylnym siedzeniu? Jeżeli tak, to dlaczego nie odnaleziono także plam krwi należącej do niej? Jeżeli obie kobiety siedziały z przodu, to jakim cudem morderca został ranny? A nawet jeżeli zranił się podczas walki z Jill na cmentarzu, to także nie miało to sensu. Po dokonaniu mordu musiał odjechać z cmentarza samochodem Elizabeth, więc jego krew znajdowałaby się na siedzeniu kierowcy, a nie z tyłu. I wreszcie, jeżeli planował zamordować dziewczyny po odbyciu z nimi stosunku, dlaczego nie zabił ich w pokoju motelowym? I dlaczego w ciałach ofiar nie znaleziono ani odrobiny spermy? Czyżby po uprawianiu z nim seksu miały jeszcze czas się umyć? Dwie kobiety z jednym mężczyzną? Trójkąt? Z drugiej strony, w mojej pracy człowiek spotyka się z dziwniejszymi rzeczami.

Zadzwoiłam do Margaret; podniosła słuchawkę nieomal natychmiast.

— Sprawdź dla mnie coś jeszcze — poprosiłam. — Sporządź mi listę morderstw związanych z narkotykami, nad którymi pracował detektyw R.P. Montana z powiatu James City. I byłabym ci wdzięczna, gdybyś mogła dostarczyć mi tych informacji jak najszybciej.

— Nie ma sprawy. — Słyszałam w słuchawce stukot klawiszy jej

komputera.

Kiedy dostałam wydruk, przekonałam się, że detektyw Montana pracował nad sześcioma morderstwami, w które zamieszane były narkotyki. Nazwiska Elizabeth Mott i Jill Harrington także znajdowały się na tej liście, ponieważ w ich krwi wykryto alkohol. Co prawda w obu wypadkach jego ilość była śladowa — mniej niż 0,5 — lecz w krwi Jill znaleziono chlorodiazepoksydę i clidinium, aktywne związki chemiczne, najczęściej wchodzące w skład leku o nazwie librax.

Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do wydziału zabójstw Departamentu Policji Powiatu James City, powiedziałam, że chcę rozmawiać z detektywem Montana. Poinformowano mnie, że Montana jest obecnie kapitanem w wydziale spraw wewnętrznych i przełączono mnie bezpośrednio do niego.

Postanowiłam być wyjątkowo ostrożna; obawiałam się, że Montana wycofa się, jeżeli tylko wyczuje, iż podejrzewam, że sprawa zabójstwa tych dwóch dziewczyn ma coś wspólnego z obecnymi morderstwami.

— Montana — usłyszałam w słuchawce głęboki głos.

— Mówi doktor Scarpetta — rzekłam.

— Miło mi panią słyszeć, pani doktor! Podobno ludzie w Richmond nadal do siebie strzelają.

— I z roku na rok robi się gorzej — odparłam. — Właśnie przeglądałam raporty ze spraw zabójstw związanych z narkotykami — wyjaśniłam — i zastanawiam się, czy mogłabym zadać panu kilka pytań na temat prowadzonych przez pana spraw, na które natknęłam się w komputerze.

— Proszę strzelać. Choć minęło już sporo czasu i mogę nie pamiętać wszystkich Szczegółów.

— Ogólnie biorąc, interesują mnie scenariusze, szczegóły dotyczące śmierci ofiar. Wszystkie te sprawy zdarzyły się, zanim jeszcze pojawiłam się w Richmond.

— Taak, wtedy w kostnicy rządził stary Cagney. Praca z nim to było niezapomniane przeżycie. — Montana roześmiał się basem. — Nigdy nie zapomnę, jak babrał się w zwłokach bez rękawiczek. Nic go nie ruszało z wyjątkiem dzieci. Nie lubił grzebać się w zwłokach dzieci.

Zaczęłam mu przytaczać informacje, które miałam na wydruku, a to, co Montana mówił, nie było niczym niezwykłym. Pociąg do alkoholu i domowe problemy zaowocowały tym, że mąż zastrzelił żonę, albo na odwrót — typowy rozwód z pomocą smith and wessona, jak określali to policjanci. Mężczyzna w trupa pijany został pobity przez kilku podpitych kompanów podczas sprzeczki przy pokerze. Pijany ojciec zastrzelony przez syna. I tak dalej. Na koniec zostawiłam sobie sprawę Jill Harrington i Elizabeth Mott.

— Pamiętam je bardzo dobrze — odparł Montana na moje pytanie. — Jedyne, co mam do powiedzenia na temat tej sprawy, to to, że była ona cholernie dziwna. Wydawało się, że nie należały do typu dziewczyn, które wyszłyby z baru do motelu w towarzystwie nieznanego. Obie ukończyły college, miały dobrą pracę, były bystre i atrakcyjne. Moim zdaniem facet który je załatwił, musiał być niesamowicie sprytny. Zawsze podejrzewałem, że zrobił to ktoś przyjezdny, kto nie zagrzał długo miejsca w Richmond.

— Dlaczego tak pan sądzi?

— Bo gdyby zrobił to ktoś miejscowy, nie mielibyśmy aż takich kłopotów z ustaleniem podejrzanego. Moim zdaniem zrobił to jakiś seryjny zabójca, który podrywa kobiety w barach, a potem je załatwia. Może ktoś, kto dużo podróżuje, często jeździ z miasta do miasta, stale jest w drodze.

— A czy w ich przypadku miała miejsce jakaś kradzież? — spytałam.

— Zdaje się, że nie. Kiedy zacząłem zajmować się tą sprawą, pomyślałem, że może dziewczyny eksperymentowały z narkotykami, poszły z kimś, by kupić towar, może zgodziły się spotkać z nim w motelu i pofiglować w zamian za towar. Ale nie zginęła żadna biżuteria ani pieniądze. Nie znaleźliśmy też nic, co by wskazywało, że dziewczyny miały w przeszłości do czynienia z narkotykami.

— Zauważyłam, że podczas testów toksykologicznych w krwi Jill znaleziono nie tylko alkohol, ale i librax — rzekłam. — Czy pamięta pan może coś więcej na ten temat?

Zastanowił się przez chwilę.

— Librax? Nie. Nic mi to nie mówi.

Nie pytałam go już o nic więcej, lecz podziękowałam uprzejmie za

rozmowę.

Librax jest lekiem stosowanym w psychoterapii, powoduje obniżenie napięcia mięśniowe go, a w efekcie zmniejszenie stanów lękowych i napięcia psychicznego. Być może Jill miała jakieś problemy z kręgosłupem lub cierpiała na odparzenia czy otarcia związane ze sportem, jaki uprawiała, albo mogła mieć jakieś psychiczne problemy — spazmy lub dysfunkcje gastryczne. Moim następnym zadaniem było znalezienie lekarza, który ją leczył. Zaczęłam od zadzwonienia do jednego z moich patologów w Williamsburgu i poproszenia go, by przefaksował mi strony z książki telefonicznej, na których znajdują się adresy i telefony aptek działających w jego okolicy. Potem zadzwoniłam na pager Marina.

— Masz jakichś znajomych policjantów w Waszyngtonie? Kogoś, komu ufasz? — spytałam, gdy oddzwonił do mnie.

— Kilku. A bo co?

— Muszę bardzo pilnie porozmawiać z Abby Turnbull, a nie sądzę, by dzwonienie do niej było najlepszym pomysłem.

— Chyba że chcesz, by ktoś niepowołany się o tym dowiedział.

— Święte słowa.

— Ale jeżeli chcesz znać moje zdanie, to rozmowa z nią w ogóle nie jest najlepszym pomysłem — dodał.

— Rozumiem twój punkt widzenia, ale i tak nie zmienię zdania, Marino. Możesz skontaktować się z jednym ze swoich przyjaciół i poprosić go, by podskoczył do jej mieszkania albo spróbował ją zlokalizować?

— Uważam, że popełniasz błąd. Ale dobra, zajmę się tym.

— Niech przekaże, że muszę z nią porozmawiać. Chcę, by natychmiast się ze mną skontaktowała. — Dałam Marinowi waszyngtoński adres Abby.

Do tego czasu przefaksowane strony z książki telefonicznej Williamsburga leżały już na moim biurku. Do wieczora dzwoniłam do każdej apteki, z której mogła korzystać Jill Harrington, aż wreszcie znalazłam tę, w której mieli jej dane.

— Czy była regularną klientką? — zapytałam farmaceuty na dyżurze.

— O, tak. Podobnie jak Elizabeth Mott. Obie mieszkały niedaleko stąd, w

takim kompleksie mieszkalnym. To były bardzo miłe dziewczyny, nigdy nie zapomnę, jaki szok przeżyłem na wieść o ich śmierci.

— Czy mieszkały razem?

— Niech pomyślę. — A po chwili ciszy: — Zdaje się, że tak. Co prawda miały inne adresy i telefony, ale mieszkały w tym samym kompleksie. W Old Town, jakieś dwie mile stąd. Miłe miejsce, mnóstwo młodych ludzi się tam kręci, głównie studenci z William and Mary.

Podał mi całą historię Jill: przez trzy lata Jill Harrington przynosiła do apteki recepty na różne antybiotyki, leki tłumiące kaszel i inne, zazwyczaj kojarzone z przewlekłymi stanami grypowymi, oraz takie, których używa się przy infekcjach dróg oddechowych. Miesiąc przed śmiercią Jill wykupiła receptę na lek o nazwie sepra, którego najwyraźniej już nie zażywała, gdy została zamordowana, gdyż w jej krwi nie znaleziono trimetoprimy ani sulfametyzolu.

— A czy wydawaliście jej może lek o nazwie librax? — spytałam.

Sprawdzanie w dokumentach zajęło mu trochę czasu.

— Nie, proszę pani. Tu nie ma nic na temat libraksu.

Być może recepta była na nazwisko Elizabeth, pomyślałam.

— A co z jej przyjaciółką, Elizabeth Mott? — zapytałam aptekarza. — Czy ona nie przychodziła do was z receptami na ten właśnie lek?

— Nie.

— A czy wie pan może, czy któraś z nich korzystała z jakiejś innej apteki?

— Obawiam się, że tym razem pani nie pomogę. Po prostu nie mam pojęcia.

Podał mi jednak nazwy aptek znajdujących się w okolicy; do większości już dzwoniłam, a po skontaktowaniu się z pozostałymi przekonałam się, że żadna z dziewcząt nigdzie nie kupowała libraksu ani innego równie silnego leku. Doszłam do wniosku, że librax sam w sobie niekoniecznie jest ważny. Jednak cały czas dręczyło mnie, kto i po co go przepisał.

Rozdział dwunasty

Abby Turnbull prowadziła kronikę policyjną w gazecie, kiedy Jill Harrington i Elizabeth Mott zostały zamordowane. Gotowa byłam się założyć, że nie tylko doskonale pamięta tę sprawę, lecz będzie potrafiła opowiedzieć mi o niej znacznie więcej niż kapitan Montana.

Następnego ranka Abby zadzwoniła do mnie do biura z budki telefonicznej i podała Rose numer, pod którym, jak powiedziała, zaczeka piętnaście minut. Nalegała, bym oddzwoniła z „bezpiecznego miejsca”.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała Rose cicho, podczas gdy ja ścierałam rękawiczki chirurgiczne.

— Bóg jeden wie — odrzekłam i odwiesiłam fartuch na wieszak.

Najbliższym „bezpiecznym miejscem” wydawał mi się telefon w kafejce mieszczącej się na parterze mojego budynku. Zdyszana i trochę zdenerwowana, że nie zdążę, wykręciłam numer, jaki Abby podała Rose.

— Co się dzieje? — zapytała Abby, nie mówiąc nawet „dzień dobry”. — Do mojego mieszkania przyszedł jakiś gliniarz z metra i powiedział, że to ty go przysłałaś.

— Faktycznie tak było — zapewniłam ją pospiesznie. — Po naszej ostatniej rozmowie nie sądziłam, żeby dzwonienie do ciebie było najlepszym pomysłem. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

— Czy tylko dlatego chciałaś, żebym zadzwoniła? — W jej głosie brzmiało rozczarowanie.

— To jeden z powodów. Muszę z tobą porozmawiać.

Nastąpiła długa cisza, aż wreszcie Abby powiedziała:

— Będę w sobotę w Williamsburgu. Może zjemy razem kolację, w restauracji Trellis, o siódmej?

Nie pytałam, po co chce jechać do Williamsburga; nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź. Jednak gdy w sobotę zaparkowałam samochód na Merchant's Square, poczułam, że moje podniecenie maleje z każdym krokiem. Trudno było myśleć o morderstwach czy jakichkolwiek innych

aktach okrucieństwa, spacerując po jednym z moich ulubionych miejsc w Stanach Zjednoczonych i popijając grzane piwo.

Co prawda nie był to sezon turystyczny, lecz ruch na ulicach i tak panował ogromny; wszędzie widać było spacerujące parki, ludzi zaglądających do sklepików z pamiątkami lub jeżdżących ulicami w ciągniętych przez konie staromodnych powozach, powożonych przez stangretów w liberii, bryczesach i trójgraniastych kapeluszach. Często z Markiem planowaliśmy weekendową wycieczkę do Williamsburga; wynajęlibyśmy pokój w jednym z tych osiemnastowiecznych zajazdów w starej części miasta, chodzilibyśmy na spacery uliczkami wysadzonymi kocimi łbami, jedlibyśmy w restauracjach przy świetle lamp gazowych, po czym pilibyśmy wino przed kominkiem, dopóki sen by nas nie zmorzył.

Oczywiście, nic z tego się nie ziściło; historia naszego związku ma w sobie więcej pobożnych życzeń niż prawdziwych wspomnień. Czy to się kiedykolwiek zmieni? Całkiem niedawno, przez telefon, Mark obiecał mi, że tak. Ale obiecywał mi już wcześniej wiele rzeczy, podobnie jak ja jemu. On nadal siedział w Denver, a ja tutaj.

W sklepiku ze srebrną biżuterią kupiłam ręcznie rzeźbiony wisiołek na szczęście i łańcuszek do niego; Lucy dostanie spóźniony walentynkowy prezent od swej okropnej ciotki. W staromodnej „Aptece” kupiłam mydełka zapachowe dla siebie, mocno pachnące kremy do golenia dla Fieldinga i Marina oraz potpourri dla Rose i Berthy. Za pięć siódma weszłam do restauracji Trellis i zaczęłam rozglądać się za Abby. Kiedy zjawiła się pół godziny później, siedziałam niecierpliwie przy stoliku.

— Przepraszam — powiedziała, zdejmując płaszcz. — Dotarłam tu najszybciej, jak tylko mogłam.

Wyglądała na wyczerpaną i zdenerwowaną, a oczy biegały jej po sali, jakby nie mogła choć na chwilę się odprężyć. Trellis było elegancką restauracją, każdy tu pilnował własnego nosa, a ludzie przy stolikach rozmawiali przyciszonymi głosami. Zastanawiałam się, czy Abby przypadkiem nie podejrzewa, że ktoś za nią jechał.

— Cały dzień spędziłaś w Williamsburgu? — spytałam, a ona skinęła

głową. — Nawet nie śmiem pytać, co tu robiłaś.

— Szperałam — rzekła tylko.

— Mam nadzieję, że nigdzie w okolicy Camp Peary. — Popatrzyłam jej w oczy.

Doskonale wiedziała, o co mi chodzi.

— Wiesz, jak to jest — odparła.

Podeszła do nas kelnerka, po czym poszła do baru po bloody mary dla Abby.

— Jak się o tym dowiedziałaś? — zapytała Abby, zapalając papierosa.

— Lepszym pytaniem jest: skąd ty się o tym dowiedziałaś?

— Tego ci nie mogę powiedzieć, Kay.

Oczywiście, że nie. Powinam się była tego domyślić. Pat Harvey.

— Wiem, że masz swoje źródła — zaczęłam ostrożnie. — Pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Dlaczego twój informator przekazał ci tę informację? Jestem pewna, że nikt nie udziela dziennikarzom informacji, nie mając w tym ukrytego motywu.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

— No więc?

— Liczy się tylko prawda. — Abby nie patrzyła mi w oczy. — Poza tym ja także jestem źródłem.

— Rozumiem. W zamian za informacje ty przekazujesz wszystko, czego się dowiesz, tak? — Nie odpowiedziała. — Czy to dotyczy także mnie? — spytałam.

— Nie zamierzam cię wyrolować, Kay. Czy kiedykolwiek cię wykorzystałam? — Spojrzała na mnie surowo.

— Nie — odparłam szczerze. — Do tej pory nie.

Kelnerka postawiła przed nią bloody mary, a Abby zaczęła mieszać w szklance gałązką selera.

— Mogę ci tylko powiedzieć — ciągnęłam — że stąpasz po bardzo cienkim lodzie. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Tylko czy twoja książka warta jest takich poświęceń? Takiego stresu? — Kiedy znowu mi nie odpowiedziała,

dodałam z ciężkim westchnieniem: — Chyba nie uda mi się ciebie namówić do zmiany postępowania, prawda?

— Czy zdarzyło ci się kiedyś wplątać w coś, z czego nie potrafiłaś się wyplątać?

— Co chwilę ładuję się w takie sytuacje — odparłam z gorzkim uśmiechem. — Między innymi dlatego teraz tutaj siedzę.

— Ja także.

— Rozumiem. A jeżeli się mylisz, Abby?

— To nie ja się myślę — odpowiedziała. — Jakakolwiek byłaby prawda o tych morderstwach, faktem jest, że FBI i inne zainteresowane śledztwem agencje działają na podstawie takich, a nie innych podejrzeń i podejmują na ich podstawie decyzje. Mogę to udowodnić. Jeżeli federalni i gliniarze nie mają racji, wystarczy, że dopiszę jeszcze jeden rozdział.

— To wyjątkowo zimne podejście do sprawy — rzekłam, czując się nieswojo.

— To profesjonalne podejście do sprawy, Kay. Kiedy ty mówisz o sprawach zawodowych, także jesteś okropnie zimna.

Rozmawiałam z Abby zaraz po tym, jak policja znalazła ciało jej zamordowanej siostry; jeżeli faktycznie nie byłam zimna przy tej tragicznej okazji, najlepszym określeniem byłoby chyba — profesjonalna.

— Potrzebuję twojej pomocy — rzekłam. — Osiem lat temu niedaleko stąd zamordowano dwie kobiety, Elizabeth Mott i Jill Harrington.

Popatrzyła na mnie z nagłym błyskiem w oczach.

— Chyba nie sądzisz, że...

— Sama jeszcze nie wiem, co mam myśleć — przerwałam jej. — Ale muszę znać szczegóły tej sprawy. Nie było mnie jeszcze w Wirginii, gdy to się zdarzyło, a raporty w moim biurze są strasznie lapidarne. Znalazłam w aktach kilka wycinków z gazet, kilka z nich było podpisanych twoim nazwiskiem.

— Nie mieści mi się w głowie, by to, co przydarzyło się Jill i Elizabeth, miało jakiś związek z tymi sprawami.

— Więc pamiętasz coś niecoś? — spytałam; kamień spadł mi z serca.

— Nigdy tego nie zapomnę. Był to jeden z nielicznych przypadków, gdy podczas dochodzenia śniły mi się po nocach koszmary.

— Dlaczego tak trudno jest ci uwierzyć, że sprawy zaginionych nastolatków mają związek z zabójstwem Jill i Elizabeth?

— Z kilku powodów. Nigdzie nie znaleziono waleta kierowego; ich samochód nie został porzucony na poboczu drogi, lecz na parkingu przy motelu, a ciała nie zostawiono w lesie i nie gniły tam przez wiele tygodni czy miesięcy, lecz znaleziono je w ciągu dwudziestu czterech godzin od zabójstwa. Obie ofiary były kobietami i miały przeszło dwadzieścia lat, nie były nastolatkami. I niby dlaczego morderca miał uderzyć raz, a potem przyczaić się na pięć lat?

— Masz rację — odpowiedziałam. — Czas nie pasuje tu do portretu psychologicznego typowego seryjnego mordercy, ale *modus operandi* pasuje do obecnych spraw. Z drugiej strony, wybór ofiar znowu jest inny...

— Więc dlaczego tak cię interesuje ta stara sprawa? — Abby popijała wolno drinka.

— Szukam po omacku. Powiedzmy, że martwi mnie sprawa zabójstwa, bo podobnie jak te, którymi się teraz zajmuję, nie została rozwiązana — przyznałam szczerze. — Bardzo rzadko ktoś porywa dwie osoby i potem je morduje. Nie było żadnych śladów gwałtu; obie dziewczyny zostały zamordowane tutaj, na tym samym terenie, co pary nastolatków przez ostatnie dwa lata.

— No i użyto noża i rewolweru — dodała Abby zamyślonym głosem.

Więc wiedziała o Deborze Harvey.

— Istnieją pewne podobieństwa — przyznałam wymijająco.

— Co chcesz wiedzieć, Kay?

— Wszystko, co tylko możesz sobie przypomnieć.

Abby myślała przez długą chwilę, bawiąc się swym drinkiem.

— Elizabeth pracowała w dziale handlowym jakiejś lokalnej firmy komputerowej i doskonale sobie radziła — odezwała się wreszcie. — Jill właśnie ukończyła szkołę prawniczą w William and Mary i zaczęła pracować dla niewielkiej firmy w Williamsburgu. Nigdy nie kupiłam tego scenariusza, że

poszły do motelu, by zabawić się z jakimś facetem, którego dopiero co poznały w barze. Żadna z nich nie wydawała mi się tego typu kobietą. Poza tym dwie dziewczyny i jeden facet? Zawsze wydawało mi się to dość dziwne. No i na tylnym siedzeniu ich samochodu znaleziono plamę krwi, która nie pasowała do żadnej z nich.

Abby była kopalnią wiadomości, która nigdy nie przestawała mnie zadziwiać; jakim cudem zdobyła wyniki testów serologicznych?

— Zakładałam, że krew należała do mordercy; ale było jej mnóstwo. Widziałam ten samochód, Kay. Wyglądało to tak, jakby komuś poderżnięto gardło na tylnym siedzeniu. Być może siedział tam morderca, lecz trudno jest mi wymyślić, co się mogło wydarzyć. Policja przypuszczała, że Jill i Elizabeth spotkały się z tym draniem w Anchor Bar and Grill. Ale jeżeli wsiadł do ich samochodu i odjechał z nimi, to jak planował potem wrócić do swego wozu?

— Zależy od tego, jak daleko położony jest motel od baru. Po dokonaniu zbrodni mógł wrócić na piechotę.

— Motel, o którym mówimy, leży jakieś cztery, pięć mil od baru, który, notabene, już nie istnieje. Ofiary po raz ostatni widziano w Anchor Bar około dziesiątej wieczorem; jeżeli zabójca zostawił swój samochód na parkingu przed barem, to zanim po niego wrócił, lokal był już zamknięty, a parking opustoszały. Nie byłoby to zbyt rozsądne z jego strony: jakiś gliniarz mógł zauważyć porzucony wóz i spisać numery, albo przynajmniej stróż nocny zauważyłby, że jeden z gości gdzieś się ulotnił, zostawiając wóz.

— Ale to wcale nie oznacza, że morderca nie mógł zostawić swego samochodu na parkingu motelowym, potem wsiąść do wozu Elizabeth, a po dokonaniu mordu wrócić i odjechać do domu — wytknęłam.

— Masz rację. Ale jeżeli przyjechał do motelu własnym samochodem, to po co miałby wsiadać do jej wozu? Z drugiej strony scenariusz, że zabawiali się we trójkę w pokoju motelowym, a potem on zmusił je do zawiezienia go na cmentarz, nigdy do mnie nie przemawiał. Po co zadawać sobie tyle trudu? Po co tak ryzykować? Na parkingu mogły zacząć krzyczeć albo stawiać opór. Dlaczego nie zabił ich w środku?

— Czy kiedykolwiek potwierdzono, że we trójkę znajdowali się w pokoju

w tym motelu?

— A to już inna sprawa — odparła Abby. — Przepytowałam recepcjonistę, który akurat pracował tej nocy. Mówimy o Palm Leaf, tanim moteliku przy drodze numer 60, w Lightfoot. Ledwo ciągnie, ale jeszcze nie zbankrutował; chodzi mi o to, że recepcjonista nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział Jill albo Elizabeth. Nie pamiętał też żadnego faceta, który tej nocy wynajmowałby pokój gdzieś w pobliżu znalezionej volkswagena. Co więcej, nikt się nie zameldował i nie wyszedł bez zwracania klucza do recepcji. Nie wydaje mi się, by nasz zabójca miał zamiar wypisywać się z motelu. Na pewno nie po popełnieniu krwawego morderstwa; przecież byłby powalany krwią.

— A jaką miałaś wtedy teorię na ten temat?

— Taką samą jak teraz. Nie sądzę, by poznały zabójcę w barze; wydaje mi się, że coś się wydarzyło zaraz po tym, jak Jill i Elizabeth wyszły na zewnątrz.

— Na przykład co?

Abby zmarszczyła brwi i znowu zaczęła się bawić drinkiem.

— Nie mam pojęcia. Na pewno nie był to typ dziewcząt, które wzięłyby do samochodu autostopowicza, szczególnie tak późno w nocy. Nigdy nie wierzyłam, by ich zabójstwo miało jakieś powiązania z narkotykami. Nikt nie słyszał, by Jill czy Elizabeth kiedykolwiek zażywały kokainę, heroinę czy cokolwiek w tym rodzaju; nic podobnego nie znaleziono także w ich mieszkaniach. Nie paliły, nie piły zbyt często. Obie uprawiały jogging; miały świra na punkcie zdrowia.

— Podejrzewasz, dokąd mogły pojechać po wyjściu z baru? Prosto do domu? Może się gdzieś zatrzymywały po drodze?

— Nie zostawiły po sobie żadnego śladu.

— Z baru wyszły same?

— Nikt, z kim rozmawiałam, nie pamiętał, by w barze ktoś się do nich przysiadł. Jeżeli mnie pamięć nie myli, wypity kilka piw przy stoliku w kącie sali; wszyscy twierdzili, że wyszły same.

— Mogły spotkać kogoś na parkingu — rzekłam. — Możliwe nawet, że

morderca czekał na nie w samochodzie Elizabeth.

— Wątpię, by zostawiły wóz na parkingu otwarty, ale nie jest to wykluczone.

— Nie wiesz, czy często bywały w tym barze?

— Zdaje się, że nie, ale wpadały tam już wcześniej.

— Jak tam jest? Zwykły prymitywny bar czy coś bardziej wyrafinowanego?

— Ponieważ tam tankowała większość żołnierzy, spodziewałabym się tego pierwszego, ale szczerze mówiąc, przypominał mi taki tradycyjny angielski pub. Miły, przytulny, ludzie grali w karty, rozmawiali. Było to takie miejsce, do którego sama poszłabym z przyjaciółką, by spokojnie porozmawiać. Gliniarze twierdzili, że morderstwa dokonał albo ktoś przejeżdżający przez miasto, albo jakiś wojskowy, czasowo tu przeniesiony. Nikt znajomy, nikt stąd.

Może nie, pomyślałam. Ale był to ktoś, komu przynajmniej na początku zaufały. Przypomniałam sobie słowa Hildy Ozimek, że pierwsze spotkanie z mordercą odbywało się w „przyjaznej atmosferze”. Ciekawe, co by mi powiedziała, gdybym pokazała jej zdjęcia Jill i Elizabeth.

— Czy wiesz może coś na temat stanu zdrowia Jill? — zapytałam.

Zastanowiła się.

— Nic sobie nie przypominam — odparła.

— Skąd pochodziła?

— Coś mi się kojarzy, że z Kentucky.

— Często jeździła do domu?

— Chyba nie. Mam wrażenie, że jeździła na święta i to wszystko. Większość czasu spędzała tutaj.

W takim razie wątpliwe, by receptę na librax zrealizowała w Kentucky, pomyślałam.

— Wspomniałaś, że dopiero co zaczęła pracę w firmie prawniczej — ciągnęłam. — Czy Jill często podróżowała? Wyjeżdżała na dłużej z miasta?

Abby zaczekała, aż kelner postawi przed nami sałatki.

— W szkole prawniczej miała bliskiego przyjaciela; nie pamiętam jego

nazwiska, ale rozmawiałam z nim, wypytywałam o jej przyzwyczajenia, hobby i inne takie. Powiedział mi wtedy, że podejrzewał, iż Jill ma romans.

— Dlaczego tak twierdził?

— Bo podczas ich trzeciego roku studiów często wyjeżdżała do Richmond, podobno po to, by znaleźć sobie pracę; podobało się jej tam i tam chciała pracować. Mówił, że często pożyczala od niego notatki, bo z powodu wyjazdów opuszczała wiele zajęć. Uważał to za dziwne, tym bardziej że po ukończeniu studiów zaczęła pracować w Williamsburgu. Gadał o tym jak najęty, bo podejrzewał, że wyjazdy mogły mieć jakiś związek z jej zabójstwem, na przykład, gdyby w Richmond spotykała się z żonatym facetem i groziła, że o wszystkim opowie jego żonie. Może miała romans z jakimś prominentem, sędzią albo politykiem, który nie pozwolił na skandal i na zawsze uciszył kochankę. Albo kazał komuś odwalić brudną robotę, a Elizabeth tylko znalazła się przy niej w nieodpowiednim momencie.

— Co o tym sądzisz?

— Ten trop zaprowadził mnie donikąd, jak dziewięćdziesiąt procent informacji, które usłyszałam.

— Czy Jill miała romans także ze studentem, z którym rozmawiałaś?

— Zdaje się, że on bardzo by tego chciał, ale nie. Nie chodzili ze sobą — odpowiedziała Abby. — Odniosłam wrażenie, że to wzbudzało jego podejrzenia. Był strasznie pewny siebie i uważał, że jedynym powodem, dla którego Jill mu się opierała, jest jakiś tajemniczy kochanek.

— Czy ten student kiedykolwiek był podejrzany w tej sprawie? — spytałam.

— Nie, skądże. Nie było go w mieście, kiedy wszystko się wydarzyło, co zostało udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

— A czy rozmawiałaś z którymś z prawników pracujących z Jill?

— Nie na wiele mi się to zdało — odrzekła Abby. — Wiesz przecież, jacy są prawnicy. Zresztą pracowała dla tej firmy zaledwie kilka miesięcy, zanim została zamordowana. Nie sądzę, by jej koledzy znali ją zbyt dobrze.

— Z tego, co mówisz, wynika, że Jill nie należała do strasznych ekstrawertyczek — zauważyłam.

— Była podobno charyzmatyczna, miała cięty język, lecz jednocześnie była bardzo skryta.

— A Elizabeth?

— Bardziej na luzie, jak mi się zdaje — powiedziała. — Pewnie dlatego tak dobrze radziła sobie w dziale handlowym.

Kiedy szłyśmy na parking na Merchant's Square, światło lamp gazowych rozpraszało ciemności. Gruba warstwa chmur zasłaniała księżyc, a powietrze było wilgotne i zimne.

— Czasem zastanawiam się, co by robiły te pary, gdyby nadal chodziły po świecie? Czy byłyby jeszcze ze sobą? — rzekła Abby, wciskając ręce w kieszenie płaszcza i wtulając brodę w kołnierz.

— A jak myślisz, co teraz robiłaby Henna? — zapytałam łagodnie, mając na myśli jej siostrę.

— Pewnie nadal mieszkałaby w Richmond. Prawdopodobnie obie byśmy mieszkały.

— Czy żałujesz, że się wyprowadziłaś?

— Czasem żałuję dosłownie wszystkiego. Od śmierci Henny czuję się tak, jakbym nie miała żadnego wyboru ani nawet własnej woli. Jakbym została rzucona w wir spraw, na które zupełnie nie mam wpływu.

— Ja widzę to zupełnie inaczej. Dokonałaś wyboru, postanowiłaś przeprowadzić się do Waszyngtonu i pracować dla „Posta”. A teraz postanowiłaś napisać książkę.

— Dokładnie tak samo, jak Pat Harvey postanowiła zorganizować konferencję prasową i zrobić wszystkie inne rzeczy, za które tak strasznie dostała po łapach — odparła Abby.

— Tak, ona też dokonała pewnego wyboru.

— Kiedy zwała ci się na głowę coś podobnego, nie jesteś w stanie myśleć. Nawet jeżeli jesteś przekonana, że wiesz, co robisz, to wcale nieprawda. Nikt nie może zrozumieć, jak to jest, jeżeli sam nie doświadczył podobnej tragedii. Czujesz się zawieszona w pustce. Idziesz na miasto, a ludzie boją się spojrzeć ci w oczy, omijają cię, nie odzywają się do ciebie, bo nie wiedzą, co powiedzieć. Więc szepczą do siebie nawzajem: „Widzisz tę

tam? Jej siostra została zamordowana przez dusiciela” albo: „To Pat Harvey. To jej córkę zamordowano”. Czujesz się tak, jakbyś mieszkała w środku jaskini. Boisz się być sama, boisz się przebywać w towarzystwie innych, boisz się czuć, boisz się zasnąć, bo wiesz, że następnego ranka będzie jeszcze gorzej. Uciekasz ze wszystkich sił i zupełnie się wyczerpujesz. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, widzę, że połowa z rzeczy, które zrobiłam po śmierci Henny, była zupełnie szalona.

— Uważam, że doskonale sobie poradziłaś — odpowiedziałam, głęboko w to wierząc.

— Nie wiesz, co robiłam... nie wiesz, jakie błędy popełniłam.

— Chodź, odwożę cię do twojego samochodu — powiedziałam, kiedy doszliśmy do Merchant's Square.

Kiedy wyciągnęłam kluczyki i chciałam włożyć je do stacyjki, usłyszałyśmy, jak ktoś za nami zapuszcza silnik. Siedziałyśmy w moim mercedesie, przypięte pasami, gdy podjechał do nas nowy lincoln i okno od strony kierowcy wolno się otworzyło.

Uchyliłam szybę tylko tyle, by móc usłyszeć, co tamten mówi. Był młody, zadbany i właśnie szarpał się z rozkładaną mapą samochodową.

— Przepraszam bardzo — powiedział, uśmiechając się nieporadnie. — Czy może mi pani powiedzieć, jak dojechać stąd do drogi numer 64 wiodącej na wschód?

Kiedy podawałam mu wskazówki, wyczułam napięcie rosnące w Abby.

— Zapisz jego numer rejestracyjny — zawołała gwałtownie, gdy tylko odjechał. Kiedy wygrzebałam kartkę i długopis, podyktowała mi: — E-NT-8-9-9.

— O co ci chodzi? — spytałam trochę zła.

Kiedy wyjechałam z parkingu, rozejrzała się w prawo i lewo, jak gdyby go szukając.

— Zauważyłaś jego samochód, gdy wchodziłyśmy na parking?

Musiałam się nad tym zastanowić. Parking był nieomal pusty, lecz wiedziałam, że w słabo oświetlonym rogu stał jakiś samochód, być może ten lincoln. Powiedziałam Abby to wszystko, dodając jeszcze:

— Ale założyłam, że nikogo w nim nie ma.
— Taak, dlatego że nie paliło się światło w środku.
— Chyba nie.
— Więc jak on czytał mapę w ciemnościach, Kay?
— Masz rację — przyznałam zaskoczona.
— A jeżeli nie jest stąd, to jak wyjaśnisz nalepkę parkingową na jego tylnym zderzaku?

— Nalepkę parkingową? — powtórzyłam.
— Miał na niej pieczęć Williamsburga. Podobną nalepkę dostałam kilka lat temu, kiedy pracowałam nad reportażem o archeologicznych wykopaliskach na Martin's Hundred. Taka nalepka pozwala na parkowanie samochodu w zabytkowej części miasta i przy Carter's Grove.

— Więc facet tu pracuje i potrzebuje pomocy w dojechaniu do sześćdziesiątej czwartej? — mruknęłam.

— Przyjrzałaś mu się dobrze? — zapytała Abby.
— Chyba tak. Myślisz, że to ten sam, co śledził cię w Waszyngtonie?
— Nie mam pojęcia. Ale może... Do diabła, Kay! To mnie doprowadza do szaleństwa!

— No, dobrze już — odparłam pewnym głosem. — Nie martw się. Sprawdzę ten numer rejestracyjny. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Następnego dnia Marino zadzwonił do mnie z tajemniczą wiadomością:
— Jeżeli nie czytałaś jeszcze „Posta”, to idź i jak najszybciej kup.
— Odkąd to czytujesz „Posta”?
— Nigdy nie czytuję, jeżeli tylko mogę temu jakoś zaradzić. Benton ostrzegł mnie jakąś godzinę temu; zadzwoń do mnie później, będę na komendzie.

Włożywszy gruby sweter i kurtkę narciarską, pojechałam w ulewnym deszczu do najbliższego sklepu. Przez dobre pół godziny siedziałam w samochodzie, z włączonym na cały regulator ogrzewaniem i wycieraczkami buczącymi równomiernie w ciągle padającym lodowatym deszczu. Byłam ogromnie poruszona tym, co przeczytałam, i przyszło mi do głowy, że jeżeli Harveyowie nie wytoczą Cliffordowi Ringowi procesu, być może ja to zrobię.

Na pierwszej stronie pod ogromnym nagłówkiem wydrukowano historię zniknięcia Debory Harvey i Freda Cheney'a oraz pozostałych zamordowanych par. Dla reportera nie istniała żadna świętość, Ring napisał w swym artykule o szczegółach śledztwa, o których nawet ja nie miałam pojęcia.

Na krótko przed śmiercią Debora Harvey zwierzyła się przyjaciółce ze swych podejrzeń, że jej ojciec jest alkoholikiem i ma romans ze stewardesą, będącą w jej wieku. Najwyraźniej Debora podsłuchiwała kilka rozmów telefonicznych ojca z domniemaną kochanką; stewardesa mieszkała w Charlotte i pan Harvey był z nią tej nocy, gdy porwano jego córkę i Freda; dlatego właśnie ani policja, ani pani Harvey nie potrafili go zlokalizować czy powiadomić. Jak na złość, Debora wcale nie miała pretensji do ojca, lecz do matki. O to, że jest pochłonięta karierą i że nigdy nie ma jej w domu; w oczach dziecka to ona ponosiła odpowiedzialność za alkoholizm i niewierność ojca.

Kolumna za kolumną, wiersz za wierszem, Ring odmalowywał żalony portret wpływowej kobiety zajętej ratowaniem świata, podczas gdy jej własna rodzina rozpada się dlatego, iż nigdy nie ma jej w domu. Mąż Pat Harvey pochodził z bogatej rodziny; jej dom w Richmond był okazały, a apartament w hotelu Watergate w Waszyngtonie wypełniony antykami oraz bezcennymi dziełami sztuki, włączając w to obrazy Picassa i Remingtona. Pani Harvey ubierała się w najlepsze stroje, chodziła na wszystkie odpowiednie przyjęcia, jej zachowanie było nienagane, a znajomość problemów tego świata wprost znakomita.

A jednak za plutokratyczną, pozornie idealną fasadą kryła się kobieta, jak określił to Ring, „urodzona w robotniczej dzielnicy Baltimore, wedle słów kolegów wiecznie dręczona poczuciem niepewności, która popychała ją do coraz to nowego sprawdzania własnych umiejętności”. Jego zdaniem Pat Harvey była megalomanką, która w sytuacji stresu lub zagrożenia zaczyna zachowywać się zupełnie irracjonalnie.

Ring równie bezpardonowo potraktował morderstwa, które miały miejsce w Wirginii w ciągu ostatnich trzech lat. Dokładnie opisał obawy FBI i CIA, że mordercą może być ktoś z Camp Peary, a jego jadowite komentarze

wszystkich zamieszanych w tę sprawę postawiły w złym świetle.

Ludzie z CIA i Departamentu Sprawiedliwości zamieszani byli w jakąś mistyfikację, a ich paranoja sięgała takich wyżyn, iż zachęcali detektywów z Wirginii do zatajania między sobą informacji. Na miejscu zbrodni podkładano fałszywe dowody; fałszywe informacje „przeciekały” do dziennikarzy, a podejrzewano, że niektórzy reporterzy byli śledzeni. W tym czasie Pat Harvey nie miała o niczym pojęcia, a oburzenie, któremu dała wyraz podczas słynnej konferencji prasowej, nikogo nie zdziwiło. Ponieważ pani Harvey była już wcześniej zaangażowana w wojnę podjazdową z Departamentem Sprawiedliwości, podczas tejże konferencji nie omieszkała wykorzystać swych informacji w celu zdyskredytowania agencji federalnych, z którymi się poróżniła w trakcie kampanii przeciwko fałszywym organizacjom charytatywnym, takim jak ACTMAD.

Ostatnim składnikiem tej trującej strawy byłem ja; na prośbę FBI odraczałam i wstrzymywałam informacje dotyczące spraw zabójstwa Debory i Freda, dopóki groźbą pozwania do sądu nie zostałam zmuszona do wydania raportów z autopsji rodzinom ofiar. Nie chciałam rozmawiać z przedstawicielami prasy. Choć prawnie nie odpowiadałam przed FBI, Clifford Ring sugerował, iż moje życie osobiste prawdopodobnie miało ogromny wpływ na podejmowane przeze mnie decyzje zawodowe. W artykule można było przeczytać, że „z wiarygodnego źródła wiemy, iż naczelny koroner stanu Wirginia, doktor Kay Scarpetta, przez ostatnie dwa lata była zaangażowana w związek ze specjalnym agentem FBI, często odwiedzała go w Quantico i jest w przyjaznych stosunkach z większością agentów federalnych, w tym z Bentonem Wesleyem, psychologiem pracującym nad sprawami zaginionych nastolatków”.

Zastanawiałam się, ilu czytelników wyciągnie z tego prosty wniosek, że mam romans z Wesleyem?

Wraz z prowadzeniem się i stanem umysłowym podważono także moje kompetencje jako patologa sądowego. We wszystkich dziesięciu sprawach — z wyjątkiem jednej — nie potrafiłam ustalić przyczyny śmierci, a gdy odkryłam nacięcie na jednej z kości Debory Harvey, tak bardzo się bałam, że

sama je spowodowałam, iż — jak twierdzi Ring — „pojechałam do Waszyngtonu, nie zważając na śnieg, ze szkieletami Debory Harvey i Freda Cheney w bagażniku mercedesa, by błagać o radę antropologa z Muzeum Historii Naturalnej”.

Podobnie jak Pat Harvey zasięgałam porady u wróżki, oskarżałam inspektorów o to, że pod moją nieobecność ruszali ciała Debory i Freda, a potem, nic nikomu nie mówiąc, wróciłam do lasu, by poszukać łuski, gdyż nie ufałam policji. Wzięłam także na siebie przesłuchiwanie świadków w tej sprawie, włączając w to sprzedawczynię z 7-Eleven, w którym po raz ostatni widziano Deborę Harvey i Freda Cheney. Byłam podobno znana z tego, że palę, piję i mam licencję na noszenie w ukryciu broni palnej, „omal nie zginęłam” przy kilku okazjach, byłam rozwiedziona i „pochodziłam z Miami”, co jakoś zdawało się wyjaśniać wszystko powyższe.

Wedle słów Clifforda Ringa byłam arogancką, niebezpieczną kobietą, która — jeżeli chodzi o wiedzę patologa sądowego — nie potrafi odróżnić własnego tyłka od dziury w ziemi.

Abby, pomyślałam, jadąc do domu przez ulice skąpane w deszczu. Czy to o tym mówiła wczoraj, wspominając o popełnionych błędach? Czyżby przekazała te wszystkie informacje swemu koledze, Cliffordowi Ringowi?

— To mi do niej nie pasuje — rzekł Marino, gdy później tego dnia siedzieliśmy u mnie w kuchni i piliśmy kawę. — Nawet nie chodzi mi o to, że zmieniłem co do niej zdanie, nadal uważam, że za dobrą historię sprzedałaby własną babcię. Ale przecież pracuje nad książką, nie? Nie miałoby sensu, gdyby dzieliła się swymi wiadomościami z konkurencją, szczególnie jeżeli jest wkurzona na „Posta”.

— Niektóre z tych informacji musiały pochodzić od niej. — Trudno było mi to przyznać. — Na przykład ten kawałek o sprzedawczyni z 7-Eleven... poszliśmy tam wspólnie tego wieczoru. Poza tym Abby wiedziała o mnie o i Marku.

— Skąd? — Marino popatrzył na mnie ciekawie.

— Sama jej powiedziałam.

Tylko potrząsnął głową.

Popijając kawę, wyglądałam przez okna na deszcz. Abby usiłowała zadzwonić do mnie dwa razy, odkąd wróciłam do domu, lecz za każdym razem stałam tylko przy automatycznej sekretarce, słuchając jej pełnego napięcia głosu. Jeszcze nie byłam gotowa z nią rozmawiać; obawiałam się tego, co mogłabym powiedzieć.

— Jak Mark na to zareaguje? — zapytał Marino.

— Na szczęście w artykule nie wymieniono jego nazwiska.

Poczułam kolejną falę niepokoju; jak większość agentów FBI pracujących w podziemiu, Mark był przeczulony aż do paranoi na temat szczegółów swego życia osobistego. Obawiałam się, że aluzje w artykule, dotyczące naszego związku, w jakimś stopniu wyprowadzą go z równowagi. Powinnam do niego zadzwonić. Choć z drugiej strony, może nie. Nie miałam pojęcia, co robić.

— Niektóre informacje, jak podejrzewam, musiały pochodzić od Morrella — kontynuowałam, głośno myśląc. Marino się nie odezwał. — Vessey także musiał coś chlapanąć albo przynajmniej ktoś ze Smithsonian. I nie mam zielonego pojęcia, skąd Ring dowiedział się, że byliśmy u Hildy Ozimek.

Odstawiwszy filiżankę i spodeczek, Marino pochylił się nieco i spojrzał mi w oczy.

— Teraz moja kolej, by udzielić ci kilku rad.

Poczułam się jak dziecko, które zaraz ma dostać burę.

— Ta sprawa zrobiła się jak ciężarówka pełna cementu, pędząca z góry bez hamulców. Nie jesteś w stanie jej zatrzymać, doktorku. Jedyne, co możesz zrobić, to ustąpić jej z drogi.

— Mógłbyś to przetłumaczyć? — spytałam niecierpliwie.

— Rób, co do ciebie należy, i przestań się martwić o resztę. Jeżeli szef zacznie zadawać ci pytania, a na pewno to robi, powiedz po prostu, że nigdy nie rozmawiałaś z panem Ringiem i o niczym nie masz pojęcia. Innymi słowy, olej to. Wdasz się w wojnę z prasą, a skończysz jak Pat Harley, wyjdiesz na idiotkę. — Święta racja. — I jeżeli masz choć trochę rozumu, nie rozmawiaj z Abby w najbliższym czasie. — Skinęłam głową, a on wstał. — Mam kilka rzeczy do załatwienia; jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, dam ci znać.

To mi o czymś przypomniało; wyciągnęłam z torebki notes z zapisanym numerem rejestracyjnym samochodu, który poprzedniego dnia zaskoczył mnie i Abby. Podając mu kartkę, rzekłam:

— Mógłbyś to dla mnie sprawdzić? Lincoln mark seven, ciemnoszary. Zobacz, czy coś znajdziesz.

— Ktoś cię śledzi? — Wsunął kartkę w kieszeń spodni.

— Nie wiem. Kierowca zatrzymał się obok mnie, by poprosić o wskazanie drogi, ale nie sądzę, by się naprawdę zgubił.

— Gdzie? — zapytał, kiedy odprowadzałam go do drzwi.

— W Williamsburgu. Facet siedział w samochodzie na pustym parkingu, około wpół do jedenastej, może jedenastej wieczorem przy Merchant's Square. Wsiadałam do mercedesa, gdy nagle zapalił światła i podjechał, pytając o drogę do sześćdziesiątej czwartej.

— Aha — mruknął Marino. — Pewnie jakiś idiota detektyw pracujący po nocy, znudzony, czekający, aż coś się nadarzy... albo też cię namierzył. Niebrzydka kobitka, sama w nocy wsiadająca do mercedesa...

Nie powiedziałam mu, że byłam wtedy z Abby; nie chciałam, słuchać następnego kazania.

— Nie wiedziałam, że detektywi jeżdżą obecnie nowymi lincolnami — powiedziałam.

— Popatrz tylko, jak leje, cholera — narzekał Marino, biegnąc do samochodu.

Fielding, mój zastępca, nigdy nie był zbyt zajęty, by nie skorzystać z przejrzenia się w jakimś odbijającym światło obiekcie, na który właśnie się natknął. Do tego celu nadawało się wszystko — począwszy od przyciemnianych szyb, przez monitory komputerów, a skończywszy na kuloodpornych taflach oddzielających hol od wewnętrznej części, gdzie mieściły się nasze biura. Kiedy wysiadłam z windy na pierwszym piętrze, zobaczyłam go: stał przed drzwiami z nierdzewnej stali prowadzącymi do chłodni i wygładzał włosy.

— Trochę ci już odrosły i robią się za długie za uszami — odezwałam się.

— A twoje powoli robią się siwe. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Popielate. Blondynki na starość robią się popielate, nigdy siwe.

— Jasne. — Bezmyślnie zaciągnął troczki swego zielonego fartucha chirurgicznego, a jego biceps napiął się, przybierając kształt grejpfruta. Fielding nie potrafił choćby mrugnąć bez napinania tego czy innego fantastycznego fragmentu swego umięśnionego ciała. Ile razy widziałam go pochylonego nad mikroskopem, myślałam o napchanej sterydami wersji rzeźby Rodina „Myśliciel”.

— Jakieś dwadzieścia minut temu wypuściłem Jacksona — powiedział, mając na myśli jedną z porannych autopsji. — Na dziś to wszystko, ale na jutro mamy już jednego: faceta, którego sztucznie podtrzymywali przy życiu od tej weekendowej strzelaniny.

— Jakie masz plany na resztę popołudnia? — zapytałam. — Zdaje się, że miałeś być dziś w sądzie w Petersburgu.

— Oskarżony przyznał się do winy. — Spojrzał na zegarek. — Jakąś godzinę temu.

— Musiał usłyszeć, że będziesz zeznawał.

— Ta klitka, którą administracja śmie nazywać moim gabinetem, zapchana jest próbkami i nimi zamierzałem zajmować się przez całe popołudnie, chyba że masz jakąś propozycję. — Popatrzył na mnie pytająco.

— Istnieje pewien problem i szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że mi pomożesz. Muszę namierzyć receptę, która została wykupiona w Richmond jakieś osiem lat temu.

— W której aptece?

— Gdybym to wiedziała, nie byłoby problemu — powiedziałam, kiedy jechaliśmy windą na drugie piętro. — Aby go rozwiązać, musimy zorganizować mały bieg przełajowy, że się tak wyrażę. Potrzeba mi jak najwięcej ludzi, którzy mogliby jeszcze dziś obdzwonić apteki w Richmond.

— Jezus, Kay, ich jest co najmniej ze sto. — Fielding aż się skrzywił.

— Dokładnie sto trzydzieści trzy. Już policzyłam. Wystarczy, że będzie nas sześcioro, a każdy zadzwoni do dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech

aptek. Nic trudnego. Pomożesz mi?

— Jasne. — Wyglądał na załamane.

Oprócz Fieldinga zwerbowałam moją analityczkę, Rose, jeszcze jedną sekretarkę oraz specjalistkę od komputerów. Zasiedliśmy w pokoju konferencyjnym z listą aptek; moje instrukcje były dość proste: dyskrecja przede wszystkim. Żadnego słowa o tym, co robimy, przyjacielom, rodzinie ani policji. Ponieważ recepta została wykupiona ponad osiem lat temu, a Jill od dawna nie żyje, istniało duże prawdopodobieństwo, że akta zostały dawno włożone do archiwum interesującej nas apteki. Jeżeli pracownik apteki nie będzie chciał współpracować, kazałam przełączyć go do mnie.

Potem wszyscy udaliśmy się do naszych gabinetów; dwie godziny później Rose pojawiła się przy moim biurku, masując prawe ucho.

Podając kartkę papieru, nie potrafiła ukryć triumfującego uśmiechu.

— Apteka Boulevard, na rogu Boulevard i Broad. Jill Harrington wykupiła u nich dwie recepty na librax. — Podała mi daty zakupów.

— A kto był jej lekarzem?

— Doktor Anna Zenner — odparła.

Wielki Boże!

— Jesteś cudowna, Rose — powiedziałam, ukrywając zdumienie. — Weź sobie wolne na resztę dnia.

— Zazwyczaj kończę szycie o wpół do piątej... już po czasie.

— W takim razie weź jutro trzygodzinną przerwę na lunch. — Miałam ochotę ją uściskać. — I powiedz innym, że odwołuję akcję. Wszyscy mogą sobie darować.

— Czy doktor Zenner nie była przypadkiem przewodniczącą Akademii Medycznej w Richmond nie tak dawno temu? — spytała Rose, zatrzymując się w drzwiach. — Chyba czytałam coś o niej. O! Już wiem! To ona jest tym lekarzem muzykiem, tak?

— Tak, dwa lata temu była przewodniczącą akademii, i owszem, gra na skrzypcach w filharmonii w Richmond.

— Znasz ją? — Moja sekretarka najwyraźniej była pod wrażeniem.

Aż za dobrze, pomyślałam, sięgając po telefon.

Tego wieczoru, kiedy już znalazłam się w domu, Anna Zenner oddzwoniła.

— Czytałam, że nie próżnujesz ostatnio, Kay — powiedziała. — Dajesz sobie jakoś radę?

Zastanawiałam się, czy czytała ten artykuł w „Post”. Tego ranka w gazetach pojawił się wywiad z Hildą Ozimek i jej zdjęcie z podpisem: „Wróżka wiedziała, że wszyscy nie żyją”. Cytowano wypowiedzi przyjaciół i krewnych zamordowanych nastolatków, a pół strony wypełniały kolorowe mapki pokazujące, gdzie znaleziono porzucone samochody, a gdzie ciała ofiar. Camp Peary usytuowany był w samym środku tego wszystkiego, niczym czaszka i skrzyżowane piszczele na pirackiej fladze.

— U mnie wszystko w porządku — odparłam. — A będzie jeszcze lepiej, jeżeli mi w czymś pomożesz. — Wyjaśniając, czego mi trzeba, dodałam: — Jutro przefaksuję ci wycinek z kodeksu, w którym jest napisane, że mam prawo wiedzieć, co jest w aktach Jill Harrington.

Powiedziałam to tylko pro forma, a jednak poczułam się głupio, przypominając jej o moim statusie.

— Możesz mi to przynieść osobiście. Zjesz ze mną kolację o siódmej wieczorem w środę?

— Nie musisz zadawać sobie tyle trudu...

— Żaden kłopot, Kay — przerwała mi ciepło. — Stęskniłam się za tobą.

Rozdział trzynasty

Pastelowe kolory budynków w stylu art deco na obrzeżach miasta przypominały mi Miami Beach; domy były różowe, żółte i niebieskie, o polerowanych kutych kołatkach i klamkach u drzwi, a kolorowe, ręcznie robione flagi powiewały nad drzwiami — widok tym dziwniejszy, że deszcz powoli zamieniał się w śnieg.

Ruch na ulicach był potworny i musiałam dwa razy objechać przecnicę, zanim znalazłam miejsce do zaparkowania w rozsądnej odległości od mojego ulubionego sklepu z winami. Wybrałam cztery butelki — dwie doskonałego czerwonego wina i dwie nie gorszego białego.

Potem pojechałam wzdłuż Monument Avenue, gdzie posągi generałów konfederacji na koniach górowały nad samochodami snującymi się w mlecznobiałej zadymce. Podczas zeszłego lata jeździłam tą drogą co tydzień na moje spotkania terapeutyczne z Anną, które na jesieni były już mocno nieregularne, a w zimie skończyły się zupełnie.

Przyjmowała w domu, cudownym zakątku na końcu ulicy wysadzonej kocimi łbami, gdzie po zmroku świeciły ogromne gazowe latarnie.

Zadzwoiłam do drzwi, aby zaanonsować swoje przybycie, jak czynili to wszyscy pacjenci, po czym weszłam do środka, do poczekalni Anny. Dokoła stolika z czasopismami ustawiono miękkie skórzane fotele, a stary orientalny dywanik przykrywał drewnianą podłogę. W kącie stało pudło z zabawkami dla najmłodszych pacjentów, a pod ścianą znajdowały się: biurko dla recepcjonistki, ekspres do kawy oraz kominek. Korytarz kończył się drzwiami do kuchni, skąd wydostawały się wspaniałe zapachy, co mi przypomniało, że nie miałam czasu zjeść lunchu.

— Kay? To ty? — rozległ się głos z twardym niemieckim akcentem, a chwilę później nadeszła Anna, wycierając dłonie w fartuch. Uściskała mnie na powitanie i dodała: — Zamknęłaś drzwi za sobą?

— Tak, ale wiesz przecież, że powinnaś sama je zamykać po wyjściu ostatniego pacjenta. — Powtarzałam jej to za każdym razem.

— Ty jesteś moim ostatnim pacjentem.

Poszłam za nią do kuchni.

— Czy wszyscy twoi pacjenci przynoszą ci wino?

— Nie mogłabym na to pozwolić. Poza tym zazwyczaj nie gotuję dla nich ani nie spotykam się z nimi po godzinach pracy. Dla ciebie łamię wszystkie moje zasady.

— Taak, wiem — westchnęłam. — Jak ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę?

— Mam nadzieję, że nie swoimi usługami. — Postawiła torbę z zakupami na blacie kuchennym.

— Obiecuję, że będę bardzo delikatna.

— A ja będę bardzo naga i bardzo martwa, więc niewiele będzie mnie obchodziła twoja delikatność. Chcesz mnie spoić czy trafiłaś na wyprzedaż?

— Zapomniałam zapytać, co gotujesz — wyjaśniłam — i nie wiedziałam, czy przynieść czerwone, czy białe, więc kupiłam oba.

— W takim razie muszę pamiętać, by nigdy ci nie mówić, co gotuję. Kay!

— wykrzyknęła, wyciągając butelki. — Ależ to jest doskonałe! Chcesz kieliszek od razu, czy też może wolisz coś mocniejszego?

— Z całą pewnością coś mocniejszego.

— To co zwykle?

— Proszę. — Patrząc na ogromny garnek syczący na gazie, dodałam: — Mam nadzieję, że to jest to, o czym myślę.

Anna robiła fantastyczne chili.

— Powinno nas rozgrzać. Dorzuciłam też puszkę zielonych papryczek i pomidory, które przywiozłaś mi z ostatniego wyjazdu do Miami. Trzymałam je na specjalną okazję. W piekarniku mam chleb, a surówkę w lodówce. A tak przy okazji, co słychać u twojej rodziny?

— Lucy nagle zaczęła interesować się chłopcami i samochodami, ale nie zamierzam się tym przejmować, dopóki nie staną się dla niej ważniejsi od komputera — odparłam. — Moja siostra za miesiąc wydaje następną książkę dla dzieci i nadal nie ma pojęcia, co dzieje się z jej własnym dzieckiem, które powinna wychowywać. A moja matka, oprócz tego, że jak zwykle narzeka i jojczy, że Miami nie jest już tym samym miejscem co niegdyś, czuje się

znakomicie.

— Pojechałaś do nich na Boże Narodzenie?

— Nie.

— Matka ci przebaczyła?

— Jeszcze nie — odrzekłam.

— Trudno mieć do niej o to pretensje; rodzina powinna widywać się przynajmniej podczas świąt. — Nie odpowiedziałam, ale następne słowa Anny zaskoczyły mnie: — Jednak widzę postępy: nie masz ochoty na wyjazd do Miami, więc nie jedziesz. Doskonale. Cały czas ci powtarzałam, że kobiety powinny nauczyć się odrobiny egoizmu. Czyżbyś się już tego nauczyła?

— Zdaje mi się, że zawsze byłam ogromną egoistką, Anno.

— Gdy mnie przekonasz, że nie masz już w związku z tym żadnego poczucia winy, uznam, że jesteś wyleczona.

— Nadal mam poczucie winy, więc nie jestem całkiem zdrowa, masz rację.

— Taak, widzę.

Patrzyłam, jak otwiera butelkę i odstawia na stół; rękawy białej bawełnianej bluzki miała podwinięte do łokci, a przedramiona silne i zgrabne jak kobieta o połowę od niej młodsza. Nie miałam pojęcia, jak Anna wyglądała za młodu, ale obecnie, w wieku siedemdziesięciu lat, nadal przyciągała do siebie męskie spojrzenia — miała mocne, teutońskie rysy, krótkie białe włosy i jasnoniebieskie oczy. Otworzywszy szafkę, naląła mi drinka, po czym sobie zmieszała manhattan.

— Co się u ciebie działo od czasu naszego ostatniego spotkania, Kay? — spytała, gdy usiadłyśmy przy stole kuchennym. — To było chyba jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. Ale... przecież rozmawiałyśmy potem przez telefon. Martwiłaś się o książkę...?

— Taak, wiesz o książce Abby, a przynajmniej nie mniej niż ja. I wiesz o tych sprawach nastolatków. O Pat Harvey. — Wyciągnęłam papierosy.

— Śledziłam wiadomości w telewizji i gazetach. Dobrze wyglądasz... Jesteś chyba trochę zmęczona i nieco schudłaś...

— Nigdy nie zaszkodzi — odparłam.

— Chodzi mi o to, że widziałam cię już w gorszym stanie. Więc radzisz sobie ze stresem w pracy, tak?

— Czasem lepiej, czasem gorzej, ale ogólnie tak.

Anna popijała wolniutko drinka i patrzyła zamyślonym wzrokiem w piec.

— A Mark?

— Widziałam się z nim — odparłam. — I kilka razy rozmawiałam z nim przez telefon. Nadal jest niepewny, nie wie, czego chce. Tak jak ja. Więc chyba nic nowego w tej kwestii.

— Ale widziałas się z nim. To coś nowego.

— I nadal go kocham.

— To nic nowego.

— To takie trudne, Anno. Zawsze takie było. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie potrafię o nim zapomnieć.

— Bo wasze uczucia są bardzo intensywne, ale oboje boicie się zaangażować. Oboje chcecie dobrze się bawić i postawić na swoim. Zauważyłam, że wspomniano o waszym związku w gazetach.

— Wiem.

— No i?

— Nie powiedziałam mu o tym.

— Nie sądzę, by to było konieczne. Jeżeli sam nie przeczytał tej gazety, na pewno ktoś mu ją pokazał albo opowiedział całą historię. Jeżeli jest zły, to pewnie zadzwoni.

— Masz rację — odrzekłam. — Zadzwoni.

— Przynajmniej macie ze sobą jakiś kontakt. Jesteś trochę szczęśliwsza?

— Tak.

— I masz nadzieję na przyszłość?

— Jestem gotowa zaryzykować — odparłam. — Ale nadal nie wiem, czy się nam uda.

— Nigdy nie można być niczego pewnym.

— To bardzo smutna prawda — powiedziałam. — Wiem, co czuję, ale nie wiem, co z tego wyniknie.

— Ale jeżeli wiesz, co czujesz, to i tak masz przewagę nad większością

ludzi.

— Kimkolwiek byłaby większość ludzi, to jeżeli mam nad nimi przewagę, jest to jeszcze jedna smutna prawda — odrzekłam.

Anna wstała, by wyjąć chleb z pieca; przyglądałam się, jak wykłada chili do glinianych misek, miesza surówkę i nalewa wino. Przypomniawszy sobie formularz, jaki dla niej przyniosłam, wyciągnęłam go z kieszeni i położyłam na stole.

Anna nawet na niego nie spojrzała; podała obiad i usiadła naprzeciw mnie.

— Chcesz obejrzeć jej akta? — spytała.

Znałam Annę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie zanotowałyby w nich nic zbyt osobistego. Ludzie tacy jak ja mają prawo do wglądu w akta chorego, a tego typu dokumenty mogą nawet skończyć jako dowody rzeczowe w sądzie; natomiast ludzie tacy jak Anna są zbyt przezorni, by wpisywać do nich jakiegokolwiek poufne sprawy.

— Może po prostu powiesz mi, co wiesz — zaproponowałam.

— Moim zdaniem miała problemy z przystosowaniem się do życia w społeczeństwie — rzekła.

To brzmiało tak, jakbym określiła przyczynę śmierci Jill jako zatrzymanie akcji serca lub dysfunkcję układu oddechowego. Niezależnie od tego, że zostałeś zastrzelony czy też rozjechany przez pociąg, umierasz, ponieważ twoje serce przestaje bić i przestajesz oddychać. Diagnoza problemów z przystosowaniem się pochodziła prosto z „Podręcznika diagnostycznego i statystycznego chorób umysłowych”. Dzięki niemu pacjent mógł domagać się pokrycia rachunku z ubezpieczenia, nie ujawniając jednocześnie najmniejszego skrawka informacji o swej chorobie czy też jej przebiegu.

— Cała rasa ludzka cierpi na te problemy — wytknęłam Annie, na co ona się uśmiechnęła. Ciągnęłam więc: — Szanuję twą etykę zawodową i nie zamierzam wprowadzić do moich akt żadnych informacji, które ty uznasz za poufne; jednak bardzo ważne jest, abym znała jak najwięcej szczegółów z życia osobistego Jill. Potrzebne są mi wszelakie informacje, które pomogą mi zrozumieć jej śmierć. Może coś w jej stylu życia stwarzało duże zagrożenie.

— Ja również szanuję twoją etykę zawodową.

— Dziękuję. Skoro więc już wymieniliśmy grzeczności i ustaliliśmy, że się wzajemnie szanujemy, może darujemy sobie formalności i będziemy w spokoju kontynuować naszą rozmowę?

— Ależ oczywiście, Kay — odparła Anna łagodnie. — Doskonale pamiętam Jill. Trudno zapomnieć tak niezwykłą pacjentkę, która na dodatek została zamordowana.

— W jaki sposób Jill była niezwykła?

— Niezwykła... — Anna uśmiechnęła się smutno. — Była bardzo inteligentną, uroczą młodą kobietą. Miała naprawdę doskonałe widoki na przyszłość. Z niecierpliwością czekałam na kolejne spotkania z nią. Gdyby nie była moją pacjentką, pewnie miałyby szansę zostać moją przyjaciółką.

— Jak długo spotykała się z tobą?

— Trzy, czasem cztery razy w miesiącu przez ponad rok.

— Ale dlaczego akurat z tobą, Anno? — spytałam. — Dlaczego nie chodziła na terapię do kogoś z Williamsburga? Bliżej jej miejsca zamieszkania?

— Mam sporo pacjentów, którzy przyjeżdżają do mnie z innych miast; niektórzy nawet z tak daleka jak Filadelfia.

— Bo nie chcą, by ktokolwiek dowiedział się, iż leczą się u psychiatry.

Anna skinęła głową.

— Niestety, wiele osób żyje w obawie, że inni się dowiedzą. Nie masz pojęcia, ile osób przychodzących do mnie na terapię wychodzi tylnymi drzwiami, by nie musieć patrzeć w oczy innym pacjentom czekającym w poczekalni.

Sama nigdy nie pisnęłam słowa żywej duszy, że chodzę do psychiatry, i gdyby nie to, że Anna odmówiła przyjmowania zapłaty za moje wizyty, nalegałabym, żeby płacić jej gotówką. Nie potrzebowałam, by ktoś zobaczył moje rachunki i rozpuścił plotki po całym Departamencie Zdrowia.

— W takim razie Jill najwyraźniej nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się o jej wizytach u ciebie — rzekłam. — To może również wyjaśniać, dlaczego receptę na librax wykupiła w Richmond.

— Dopóki nie zadzwoniłaś, nie miałam o tym pojęcia, ale wcale mnie to nie dziwi. — Anna sięgnęła po kieliszek z winem.

Chili było tak ostre, że łzy zakręciły mi się w oczach, lecz było doskonałe, więc jej to powiedziałam. Potem wyjaśniłam to, czego pewnie sama już się domyśliła.

— Jest wielce prawdopodobne, że Jill i jej przyjaciółka, Elizabeth Mott, zostały zamordowane przez tego samego osobnika, który teraz zabija te pary nastolatków — powiedziałam. — Przynajmniej między tymi sprawami jest tak wiele podobieństw, że zaczęło mnie to mocno niepokoić.

— Nie interesują mnie wiadomości dotyczące spraw, nad którymi obecnie pracujesz, chyba że uważasz, iż powinnaś mi o nich opowiedzieć. Może więc zadawaj mi pytania, a ja zrobię co w mojej mocy, by ci jak najlepiej na nie odpowiedzieć.

— Dlaczego Jill tak bardzo bała się, że ktoś odkryje, iż przychodzi do ciebie na terapię? Co takiego chciała ukryć? — zapytałam.

— Jill pochodziła z wpływowej rodziny z Kentucky i ich akceptacja była dla niej bardzo ważna. Chodziła do wszystkich modnych szkół, doskonale radziła sobie z nauką i była na najlepszej drodze do tego, by zostać błyskotliwą prawniczką. Jej rodzina była z niej bardzo dumna; nie mieli o niczym pojęcia.

— O czym? O tym, że leczy się u psychiatry?

— O tym też — odparła Anna. — Ale, co ważniejsze, nie wiedzieli, że Jill była zaangażowana w homoseksualny związek.

— Z Elizabeth? — Znałam odpowiedź, zanim zadałam pytanie; już wcześniej rozważałam tę możliwość.

— Tak. Jill i Elizabeth zaprzyjaźniły się podczas pierwszego roku Jill na studiach. Potem zostały kochankami. Ich związek był bardzo gwałtowny, namiętny i trudny... pierwszy tego typu dla nich obu, a przynajmniej tak mi to przedstawiła Jill. Pamiętaj, że nigdy nie miałam okazji poznać Elizabeth ani jej punktu widzenia na całą sprawę. Jill przyszła do mnie dlatego, że chciała się zmienić. Nie chciała być lesbijką i miała nadzieję, że terapia umożliwi jej związki heteroseksualne.

— Czy widziałaś na to jakąkolwiek szansę?

— Nie mam pojęcia, do czego mogłaby doprowadzić terapia — odrzekła Anna. — Mogę ci tylko powiedzieć, że sądząc po słowach Jill, jej związek z Elizabeth był wyjątkowo silny. Odniosłam wrażenie, że Elizabeth o wiele spokojniej do niego podchodzi, gdy tymczasem Jill nie potrafiła go zaakceptować, a jednocześnie nie potrafiła go zakończyć.

— Pewnie była załamana.

— W ciągu naszych ostatnich paru spotkań stało się to bardzo widoczne; Jill kończyła szkołę prawniczą, miała cały świat przed sobą i wreszcie musiała podjąć decyzje dotyczące przyszłości. Zaczęła cierpieć na różne schorzenia psychosomatyczne. Dlatego przepisałam jej librax.

— Czy Jill kiedykolwiek wspominała o czymś, co mogłoby ci nasunąć podejrzenie, kto je zamordował?

— Dużo o tym myślałam, rozważałam wiele możliwości zaraz po ich śmierci. Kiedy przeczytałam o tym morderstwie w gazetach, wprost nie mogłam uwierzyć. Trzy dni wcześniej Jill była u mnie, rozmawiałam z nią. Nawet nie wiesz, jak długo roztrząsałam każde zdanie, jakie wypowiedziała tamtego dnia; miałam nadzieję, że przypomnę sobie coś, jakiś szczegół, który pomoże w śledztwie. Ale nigdy nic istotnego sobie nie przypomniałam.

— Czy obie ukrywały swój związek przed innymi?

— Tak.

— A co z chłopakami? Kimś, z kim Jill albo Elizabeth umawiały się od czasu do czasu? Na przykład, by iść do kina czy do teatru?

— Podobno żadna z nich nie umawiała się z chłopakami. Wychodzi więc na to, że nie była to zbrodnia popełniona z zazdrości, chyba że jest coś, o czym nie wiem. — Rzuciła okiem na moją pustą miskę. — Masz ochotę na dokładkę chili?

— Pęklabym.

Wstała, by załadować zmywarę; przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Anna rozwiązała fartuch, zdjęła go i powiesiła na haczyku w schowku obok kuchni. Potem zaniósłszy kieliszki i wino do jej saloniku.

Był to mój ulubiony pokój. Dwie ściany wypełniały półki z książkami, a

na trzeciej znajdowało się panoramiczne okno, przez które Anna mogła obserwować — siedząc przy swoim zagraconym biurku — kwitnące kwiatki lub sypiący śnieg. Przez to okno patrzyłam na magnolie rozkwitające mgiełką bieli i przyglądałam się dogasającym ostatnim promykom jesieni. Rozmawialiśmy o mojej rodzinie, rozwodzie i... Marku. Rozmawialiśmy o cierpieniu i śmierci. Siedząc w wysłużonym skórzanym fotelu, oprowadziłam Annę po moim życiu, zupełnie tak samo jak przede mną robiła to Jill Harrington.

Były kochankami. To łączyło je z pozostałymi zaginionymi i zamordowanymi parami i sprawiało, że teoria o mężczyźnie, który poderwał je w barze, wydawała mi się jeszcze mniej prawdopodobna niż poprzednio. Powiedziałam o tym Annie.

— Masz rację — odrzekła.

— Ostatni raz widziano je w Anchor Bar and Grill. Czy Jill kiedykolwiek wspominała ci o tym miejscu?

— Nie z nazwy. Ale wspominała mi o barze, do którego czasem chodziły, by porozmawiać. Czasem chodziły do jakichś restauracyjek na uboczu, gdzie nikt ich nie znał. Czasem jeździły na przejażdżki... najczęściej miało to miejsce podczas wyjątkowo emocjonalnie naładowanych dyskusji czy sporów dotyczących ich związku.

— Jeżeli tego typu rozmowę prowadziły w tamten piątek w Anchor Bar and Grill, pewnie bardzo się zdenerwowały. Możliwe, że jedna z nich czuła się odrzucona i była rozgoryczona — powiedziałam. — Czy jest prawdopodobne, by Jill lub Elizabeth poderwała w barze jakiegoś mężczyznę tylko po to, by zemścić się na przyjaciółce?

— Nie mogę ci powiedzieć z całą pewnością, że to niemożliwe — odparła Anna. — Ale bardzo bym się zdziwiła. Nigdy nie odniosłam wrażenia, że grały w ten sposób na swoich uczuciach. Podejrzewam raczej, że były zbyt zaangażowane w swą rozmowę, skoncentrowane na sobie do tego stopnia, że nie zważały na nikogo innego.

— I ktoś z łatwością mógłby podsłuchać ich rozmowę.

— Jest to ryzyko, na które człowiek się naraża, prowadząc dyskusje na

osobiste tematy w miejscach publicznych. Często powtarzałam to Jill.

— Jeżeli aż tak się bała, by ktoś nie zaczął jej podejrzewać o romans z inną dziewczyną, czemu podjęła takie ryzyko?

— Jill nie miała zbyt silnej woli, Kay. — Anna sięgnęła po wino. — Kiedy były z Elizabeth sam na sam, wpadały w pułapkę własnej bliskości. Nietrudno było im płakać, tulić się do siebie czy pocieszać. I nie podejmować żadnych decyzji.

To brzmiało znajomo. Ile razy usiłowaliśmy dyskutować z Markiem na poważne tematy, czy to w jego mieszkaniu, czy w moim, zawsze kończyliśmy w łóżku. Potem jedno z nas wracało do siebie, a problemy pozostawały nie rozwiązane.

— Anno, czy nie sądzisz, że ich związek mógł mieć coś wspólnego z tym, co im się przydarzyło? — zapytałam.

— Jeżeli już, zawsze mi się wydawało, że ze względu na ich związek cała sprawa jest jeszcze dziwniejsza. Zawsze sądziłam, że samotna kobieta w barze znajduje się w znacznie większym niebezpieczeństwie niż dwie kobiety, które nie są zainteresowane przyciąganiem do siebie męskiej uwagi.

— W takim razie wróćmy do ich zwyczajów i codziennych przyzwyczajień — powiedziałam.

— Mieszkały w tym samym kompleksie mieszkalnym, lecz nie w tym samym mieszkaniu, czy nawet budynku... i znowu, zrobiły to, aby zachować pozory. Poza tym było to dla nich wygodne. Mogły wieść osobne, prywatne życia, a potem, wieczorem, spotykać się w mieszkaniu Jill. Jill zawsze wolała zostawać w swoim domu. Pamiętam, jak kiedyś mi wspominała, że gdyby ktoś z rodziny usiłował dodzwonić się do niej późnym wieczorem, a jej przez całą noc nie byłoby w domu, bez wątplenia padłyby pytania. — Urwała i zamyśliła się. — Obie też uprawiały sport, były naprawdę wysportowanymi młodymi kobietami. Zdaje się, że biegały regularnie, choć nie zawsze razem.

— Gdzie biegały?

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, to w parku, nieopodal miejsca, w którym mieszkały.

— A coś jeszcze? Chodziły może razem do jakichś konkretnych teatrów,

sklepów, centrów handlowych?

— Nic sobie nie przypominam.

— A co ci podpowiada intuicja? Co ci wtedy podpowiadała?

— Czułam, że Jill i Elizabeth odbywały wtedy w barze bardzo stresującą rozmowę. Prawdopodobnie chciały być same i niechętnie potraktowałyby jakiegokolwiek intruza.

— I co jeszcze?

— Najwyraźniej w jakimś momencie wieczoru spotkały się ze swoim zabójcą.

— Czy domyślasz się, jak mogło do tego dojść?

— Zawsze uważałam, że był to ktoś, kogo znały, przynajmniej z widzenia, że nie miały powodów mu nie ufać. Chyba że zostały porwane przez kogoś, kto sterroryzował je rewolwerem; albo na parkingu przed barem, albo gdzieś, gdzie później się udały.

— A jeżeli jakiś nieznajomy podszedł do nich na parkingu, poprosił o podwiezienie czy twierdził, że ma jakiś problem z własnym samochodem...

Ale Anna już potrząsała głową.

— To by mi zupełnie do nich nie pasowało. Chyba że był to ktoś im znajomy.

— A jeżeli morderca udawał policjanta, kazał im się zatrzymać na jakąś rutynową kontrolę?

— To już inna sprawa. Podejrzewam, że nawet ty czy ja byłybyśmy bezbronne w takiej sytuacji.

Anna wyglądała na zmęczoną, więc podziękowałam jej za obiad i czas, jaki mi poświęciła. Wiedziałam, że nasza rozmowa nie była dla niej łatwa, i zastanowiłam się, jak ja bym się czuła na jej miejscu.

Kilka minut po tym, jak weszłam do swego domu, zadzwonił telefon.

— Przypomniałam sobie jeszcze jedną rzecz, ale to chyba nie będzie miało większego znaczenia — rzekła Anna. — Jill wspominała mi coś o tym, że we dwie rozwiązywały krzyżówki. Na przykład, gdy siedziały razem w domu w niedzielne poranki. Może to nic wielkiego, ale to coś, co często razem robiły. Wspólne przyzwyczajenie.

— Jakiego rodzaju krzyżówki rozwiązywały? Takie z gazet, czy może książkowe?

— Nie mam pojęcia. Ale Jill czytała wiele różnych gazet, Kay. Zazwyczaj gdy przychodziła do mnie na spotkania, przynosiła do poczekalni własne pismo, „Wall Street Journal”, lub „Washington Post”.

Podziękowałam jej i powiedziałam, że następnym razem to ja zapraszam ją na obiad. Potem zadzwoniłam do Marina.

— Osiem lat temu w powiecie James City zamordowano dwie kobiety — od razu przeszłam do rzeczy. — Możliwe, że ma to związek z naszymi sprawami. Znasz detektywa Montanę, stamtąd?

— Taak, spotkałem go kilka razy.

— Musimy się z nim spotkać, raz jeszcze zastanowić się nad tymi sprawami. Wiesz może, czy on potrafi trzymać język za zębami?

— A niby skąd? — burknął Marino.

Montana wyglądał dokładnie tak jak stan, którego imię nosił — ogromny, grubokościsty, o jasnych niebieskich oczach, osadzonych w steranej życiem twarzy uczciwego człowieka, głowę zwieńczała mu czupryna gęstych, siwych włosów. Jego akcent wskazywał na rodowitego mieszkańca Wirginii, a mowa upstrzona była wyrażeniami w stylu „jasne, psze pani”. Następnego popołudnia spotkałam się z nim i Marinem w moim domu, gdzie mieliśmy zapewniony spokój.

Montana musiał zużyć na sprawę Elizabeth i Jill cały swój budżet przeznaczony na klisze, gdyż mój stół kuchenny ginął pod zdjęciami ich ciał, miejsca zbrodni, volkswagena porzuconego na parkingu przed motelem Palm Leaf, Anchor Bar and Grill, oraz — co dość niezwykle — wewnątrz ich mieszkań, włącznie ze spizarkami i szafami ściennymi. Montana przyniósł ze sobą walizkę wypchaną notatkami, mapkami, notatkami z przesłuchań, diagramami, inwentarzami dowodów rzeczowych oraz spisami rozmów telefonicznych z dziennikarzami. Trzeba przyznać, że detektywi, którzy rzadko spotykają się w swej jurysdykcji z zabójstwami, naprawdę

przykładają się do roboty. Sprawy takie jak ta zdarzają się raz, może dwa razy w ich karierze, więc pracują nad nimi naprawdę metodycznie.

— Cmentarz znajduje się tuż obok kościoła. — Przysunął zdjęcie w moją stronę.

— Wygląda na bardzo stary — powiedziałam, podziwiając jednocześnie wyblakłe od deszczu dachówki i cegły.

— I tak, i nie. Zbudowano go w siedemnastym wieku i trzymał się całkiem nieźle, dopóki jakieś dwadzieścia lat temu nie załatwiła go fatalna instalacja elektryczna. Pamiętam, jak zobaczyłem dym... patrolowałem wtedy ulice i pomyślałem, że to może pali się jeden z domów sąsiadów. Sprawą zainteresowało się jakieś towarzystwo historyczne... i odbudowano go tak, jak wyglądał wcześniej. Zarówno od środka, jak i na zewnątrz. Dojeżdża się do niego taką podrzędną dróżką... — wskazał następne zdjęcie. — To mniej niż dwie mile na zachód od drogi numer 60 i jakieś cztery mile od Anchor Bar and Grill, gdzie ostatni raz widziano te dziewczyny.

— Kto znalazł ciała? — spytał Marino, wodząc oczyma od jednej fotografii do drugiej.

— Klucznik, który pracuje w kościele. Przychodzi w soboty rano, by posprzątać i naszykować wszystko na niedzielę. Opowiadał, że gdy tylko podjechał, zauważył coś, co wyglądało jak dwoje ludzi śpiących na trawie, jakieś dwadzieścia stóp za bramą cmentarną. Ciała widać było z parkingu przy kościele. Najwyraźniej ten, kto to zrobił, nie przejmował się zbytnio, że je od razu znajdziemy.

— Chce mi pan powiedzieć, że w piątkowy wieczór nikogo nie było w kościele? — zapytałam.

— Nie, psze pani. Był zamknięty, nie odbywało się żadne nabożeństwo.

— A czy w waszym kościele kiedykolwiek coś się dzieje w piątkowe wieczory?

— Od czasu do czasu, owszem. Czasem zbierają się tam grupy młodzieży. Czasem odbywają się próby chóru. Chodzi mi o to, że gdyby ktoś już wcześniej zaplanował sobie zabicie tych dziewczyn na cmentarzu, nie miałyby to sensu. Nie mógłby przewidzieć, że nikogo nie będzie w kościele...

ani w piątek, ani w żaden inny dzień tygodnia. To był jeden z powodów, dla których od razu pomyślałem, że te morderstwa nie zostały wcześniej zaplanowane, lecz były uderzeniem na chybił trafił. Że dziewczyny przypadkowo spotkały kogoś w barze. Niewiele tu wskazuje na to, że morderca zaplanował sprawę.

— Zabójca był uzbrojony — przypomniałam mu. — Miał nóż i rewolwer.

— Na świecie aż roi się od ludzi noszących przy sobie noże, a wielu ma rewolwery w samochodach albo nawet kieszeniach — odparł spokojnie Montana.

Zebrałam zdjęcia ciał na miejscu zbrodni, tak jak je znaleziono, i zaczęłam się im przyglądać wnikliwie.

Kobiety leżały w trawie, oddalone jedna od drugiej o jakiś jard, pomiędzy dwoma pochylonymi granitowymi nagrobkami. Elizabeth leżała twarzą do ziemi, z lekko rozchylonymi nogami, lewym przedramieniem pod brzuchem, a prawym wyciągniętym wzdłuż boku. Była szczupła, miała krótkie brązowe włosy; ubrana była w dżinsy i biały pulower poplamiony krwią przy szyi. Na innej fotografii jej ciało zostało odwrócone i dostrzegłam przód swetra przesiąknięty krwią i oczy martwo wpatrzone w przestrzeń. Nacięcie na gardle było płytkie, ale jak przypomniałam sobie z raportu coronera, rana postrzałowa nie była przyczyną zgonu. Najwyraźniej śmierć dziewczyny spowodowały rany kłute piersi.

Rany Jill należały do znacznie okrutniejszych i było ich więcej. Leżała na plecach, a jej twarz pokrywała zakrzepła krew w takim stopniu, że nie potrafiłam powiedzieć, jak wyglądała za życia, oprócz tego, że miała krótkie czarne włosy i prosty, ładny nosek. Podobnie jak jej przyjaciółka, była szczupła. Ubrana w dżinsy i jasnożółtą bawełnianą bluzkę, pokrwawioną, wyciągniętą ze spodni i rozerwaną od kołnierzyka do pasa, odsłaniającą wiele ran kłutych, z których kilka przebiło stanik. Na przedramionach i dłoniach miała głębokie rany, natomiast nacięcie na szyi było tak płytkie, że prawdopodobnie morderca zadał je już po śmierci ofiary lub też przed zgonem.

Zdjęcia te okazały się bezcenne z szalenie ważnego powodu: pozwalały

mi na ustalenie jedyne go szczegółu, którego nie znalazłam w żadnych wycinkach z gazet ani raportach, gdy przeglądałam akta ofiar w swoim biurze.

Spojrzałam na Marina i nasze oczy się spotkały.

Odwróciłam się do Montany.

— A co się stało z ich butami?

Rozdział czternasty

— Wiecie, ciekawe, że pani o tym wspomniała — odparł Montana. — Nigdy nie udało mi się znaleźć dobrego wytłumaczenia, dlaczego dziewczyny zdjęły buty, chyba że były w motelu i gdy przyszedł czas wyjść, nie zwracały sobie tym głowy. Ich buty i skarpetki znaleźliśmy wewnątrz volkswagena.

— Czy to była ciepła noc? — spytał Marino.

— Owszem. Ale tak czy inaczej człowiek spodziewałby się, że ubierając się, włożyłyby buty.

— Ale przecież nie wiemy z całą pewnością, czy Jill i Elizabeth były w tym motelu — przypomniałam Montanie.

— Ma pani rację — przyznał.

Zastanawiałam się, czy Montana czytał ten artykuł w „Post”, w którym napisano, że w sprawach zaginionych nastolatków brakowało na miejscu zbrodni ich butów i skarpetek. Nawet jeżeli tak, to najwyraźniej jeszcze tego nie połączył.

— Czy miał pan kontakt z dziennikarką, Abby Turnbull, która pracowała nad reportażem o Jill i Elizabeth? — zapytałam.

— Ta kobieta przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona. Gdziekolwiek bym poszedł, ona zaraz się tam zjawiała.

— Pamięta pan może, czy wspominał jej o tych brakujących butach i skarpetkach? Czy pokazywał jej pan zdjęcia z miejsca zbrodni? — spytałam, gdyż Abby była za mądra, by zapomnieć o tak ważnym szczególe.

— Rozmawiałem z nią, psze pani — odparł Montana bez chwili zastanowienia — ale nie, nie pokazywałem jej zdjęć. Byłem bardzo ostrożny. Przecież czytała pani, co pojawiło się na ten temat w gazetach.

— Owszem, niektóre artykuły.

— Nie napisano o tym, jak dziewczyny były ubrane, ani o tym, że bluzka Jill była rozerwana czy że były boso.

Więc Abby o niczym nie wiedziała, pomyślałam z ulgą.

— W raportach z autopsji wyczytałam, że obie kobiety miały ślady po więzach na nadgarstkach — rzekłam. — Czy znalazł pan coś, co mogło posłużyć mordercy do ich związania?

— Nie, psze pani.

— Więc najwyraźniej usunął kajdanki czy sznur już po morderstwie — mruknęłam.

— W każdym razie był bardzo ostrożny. Nie znaleźliśmy łuski ani broni, ani żadnego sznura. Nie było też śladów spermy, więc zdaje się, że ich nie zgwałcił. A nawet jeżeli, to nie mamy na to dowodów. Obie były ubrane. Natomiast jeżeli chodzi o to, że bluzka Jill została porwana — wyciągnął zdjęcie spod innych i wskazał — ...to prawdopodobnie doszło do tego podczas szarpaniny z mordercą.

— Czy znalazł pan jakieś guziki?

— Kilka. W trawie, nieopodal ciała.

— A jakieś niedopałki papierosów?

Montana spokojnie przejrzał swe notatki.

— Żadnych. — Urwał, wyciągnął jeden z raportów i dokończył: — Ale powiem wam, co innego znaleźliśmy: zapalniczkę. Bardzo ładną, srebrną.

— Gdzie? — zapytał Marino.

— Jakieś piętnaście stóp od miejsca, gdzie leżały ciała. Jak widzicie, cmentarz otoczony jest żelaznym płotem, a wchodzi się przez bramę. O, tutaj. — Pokazał na kolejną fotografię. — Zapalniczka leżała w trawie, jakieś pięć, sześć stóp od bramy, na terenie cmentarza. To była jedna z tych drogich, wąskich zapalniczek w kształcie wiecznego pióra, jakimi ludzie czasem zapalają fajki.

— Działała? — chciał wiedzieć Marino.

— Doskonale, i była ładnie wypolerowana — przypomniał sobie Montana. — Jestem całkiem pewien, że nie należała do żadnej z dziewcząt. Nie paliły, a nikt nie mógł sobie przypomnieć, by widział u nich taką zabawkę. Może wypadła mordercy z kieszeni, nie mam pojęcia. Z drugiej strony mógł ją zgubić dosłownie każdy, na przykład ktoś, kto przyszedł zwiedzić kościół kilka dni wcześniej... wiecie, jak ludzie lubią się włóczyć po starych cmentarzach i

oglądać groby.

— Czy sprawdzono na niej odciski palców?

— Nie, powierzchnia była nieodpowiednia. Jak widzicie, w srebrze wygrawerowane są krzyżyki podobne do tych, jakie graweruje się na wiecznych piórach. — Zamyślił się przez chwilę, po czym dodał: — Ta zapalniczka musiała kosztować ze sto dolców.

— Czy nadal ma pan te guziki i zapalniczkę? — spytałam.

— Mam wszystko, co udało mi się znaleźć... zawsze się łudziłem, że kiedyś uda mi się wyjaśnić to morderstwo.

Nadzieja Montany była niczym w porównaniu z moją, lecz dopiero długo potem, kiedy detektyw poszedł już sobie, zaczęłam omawiać wszystkie szczegóły z Marinem.

— To ten sam skurwiel — odezwał się pierwszy Marino z wyrazem niedowierzania na twarzy. — Cholerny skurczybyk kazał im zdjąć buty i skarpetki, dokładnie tak samo jak tym nastolatkom teraz. Chciał uniemożliwić im ucieczkę i zaprowadzić w miejsce, gdzie planował je załatwić.

— Ale to nie miało się stać na cmentarzu — dodałam. — Nie wierzę, by wybrał do tego celu cmentarz.

— Aha. Zdaje się, że wziął na siebie więcej, niż potrafił załatwić. Dziewczyny nie chciały z nim współpracować, albo zdarzyło się coś, co wyprowadziło go z równowagi... może miało to coś wspólnego z plamą krwi na tylnym siedzeniu volkswagena. Więc kazał im zjechać z drogi przy najbliższej sposobności, czyli na opustoszały, ciemny parking przed kościołem, a zarazem obok cmentarza. Masz gdzieś mapę Wirginii?

Poszłam do gabinetu i wróciłam, niosąc ją w ręce. Marino rozpostarł mapę na stole w kuchni; przyglądaliśmy się jej przez dłuższy czas.

— Spójrz tylko — mruknął wreszcie. — Skręt do kościoła jest tu, na drodze numer 60, jakieś dwie mile przed drogą prowadzącą do polany w lesie, gdzie sześć lat później znaleźliśmy ciała Bonnie Smyth i Jima Freemana. Kiedy jechaliśmy na spotkanie z panem Joyce'em, przejechaliśmy dokładnie obok drogi wiodącej do kościoła, gdzie ta gnida załatwiła Jill i

Elizabeth.

— Dobry Boże — szepnęłam. — Zastanawiam się...

— Taak, mnie też to chodzi po głowie — przerwał mi Marino. — Możliwe, że ten drań faktycznie był wtedy w lesie i wybierał dla siebie dogodne miejsce, kiedy zaskoczył go Sukinsyn. Więc zastrzelił psiaka. Jakiś miesiąc później porwał dwie pierwsze ofiary, Jill i Elizabeth. Chciał je zmusić do pojechania do lasu, ale coś wymknęło mu się spod kontroli. I zakończył wycieczkę wcześniej, niż zamierzał. Albo był podenerwowany, pomieszało mu się i kazał skręcić dziewczynom trochę za wcześnie. Kiedy zobaczył kościół, zupełnie spanikował; zrozumiał, że nie dojechali tam, gdzie powinni byli. Mógł nawet nie wiedzieć, gdzie się, u diabła, znaleźli.

Usiłowałam to sobie wyobrazić. Jedna z dziewcząt siedziała za kierownicą, a druga na siedzeniu pasażera; morderca znajdował się z tyłu, trzymając je na muszce rewolweru. Co się stało, że stracił tak dużo krwi? Przypadkowo się postrzelił? Wysoce nieprawdopodobne. Zaciął się nożem? Może, ale znowu trudno to sobie wyobrazić. Na zdjęciach, które przyniósł Montana, widać było, że plama krwi zaczęła się od kilku kropli na zagłówku przedniego siedzenia pasażera. Poza tym krew znajdowała się nie tylko na tylnym siedzeniu, ale także na wycieraczkach na podłodze z tyłu. Czyli morderca siedział dokładnie za fotelem pasażera i mocno pochylał się do przodu. Czyżby krwawił z rany na głowie? Albo na twarzy?

Czy możliwe jest, by dostał krwotoku z nosa?

Zaproponował ten scenariusz Marino.

— Musiałby być naprawdę niezły, wszędzie pełno krwi. — Zamyślił się. — Może jedna z dziewczyn machnęła ręką w tył i wyrznęła go łokciem w nos?

— Jak byś zareagował, gdyby jedna z porwanych przez ciebie kobiet zrobiła ci coś takiego? — zapytałam. — Zakładając, oczywiście, że jesteś mordercą?

— Zagwarantowałbym sobie, żeby nie zrobiła tego po raz drugi. Pewnie zastrzeliłbym ją od razu, jeszcze w samochodzie. Albo rąbnąłbym ją rewolwerem w głowę, żeby więcej nie podskakiwała.

— Na przednim siedzeniu nie było krwi — przypomniałam mu. — Nie

było absolutnie żadnego dowodu na to, że którakolwiek z nich została ranna wewnątrz samochodu.

— Hmm...

— Zastanawiające, co?

— Taak. — Zmarszczył brwi. — Siedzi na tylnym siedzeniu, nagle się pochyla i zaczyna krwawić. Zastanawiające jak cholera.

Zrobiłam dzbanek świeżej kawy i zaczęliśmy rozważać inne warianty. Przede wszystkim znowu pojawił się problem, jak jeden człowiek może obezwładnić dwie kobiety?

— Samochód należał do Elizabeth — powiedziałam. — Załóżmy więc, że to ona prowadziła. Czyli w tym momencie nie miała jeszcze związanych rąk.

— Ale Jill mogła już mieć. Mógł kazać jej unieść ręce nad głową, by je skrępować z tylnego siedzenia.

— Albo mógł kazać jej się odwrócić i przełożyć ramiona do tyłu — zaproponowałam. — Może to wtedy uderzyła go w twarz, jeżeli faktycznie dlatego zaczął krwawić.

— Może.

— W każdym razie — ciągnęłam — załóżmy, że do czasu aż się zatrzymali i wysiedli z samochodu, Jill miała już związane ręce i była boso. Potem morderca każe Elizabeth zdjąć buty i skarpetki, po czym wiąże jej ręce, a następnie pod groźbą rewolweru zmusza je, by poszły na cmentarz.

— Jill miała mnóstwo ran na przedramionach i dłoniach — rzekł Marino. — Czy one pasują do rozkładu ran osoby, która broni się przed nożem związanymi rękoma?

— Jeżeli ręce ma związane z przodu, a nie za plecami.

— Rozsądniej jest wiązać ręce na plecach.

— Pewnie przekonał się, że tak jest wygodniej, i poprawił technikę przy następnych ofiarach — powiedziałam.

— Elizabeth nie miała żadnych ran wskazujących na to, że się broniła?

— Żadnych.

— Więc to ją ten drań zabił pierwszą — zdecydował Marino.

— Jak ty byś to zrobił na jego miejscu? Pamiętaj, że masz na głowie

dwie zakładniczki.

— Kazałbym im położyć się twarzami do ziemi. Przyłożyłbym Elizabeth lufę do karku, żeby była grzeczna, i wyciągnąłbym nóż, którym od początku chciałem załatwić sprawę. Jeżeli zaskoczyłaby mnie jakimś nagłym ruchem, zawsze zdążyłbym pociągnąć za spust.

— To może wyjaśniać, dlaczego została postrzelona w szyję — mruknęłam. — Jeżeli przyłożył jej lufę do karku, to przy poruszeniu się dziewczyny mogła się obsunąć. Ten scenariusz podobny jest do tego, co mogło się przydarzyć Deborze Harvey, tylko że wątpię, by ona leżała na ziemi, kiedy została postrzelona.

— Ten drań lubi posługiwać się nożem — odparł Marino. — Używa rewolweru tylko wtedy, gdy sprawy idą nie po jego myśli. A jak na razie, o ile wiemy, zdarzyło się tak tylko dwa razy. Z Elizabeth i z Deborą.

— Elizabeth została postrzelona i co dalej, Marino?

— Wykańcza ją i bierze się do Jill.

— Ona z nim walczyła — przypomniałam mu.

— Założę się, że tak. Jej przyjaciółka właśnie została zamordowana; Jill wie, że nie ma szans, więc równie dobrze może dać z siebie wszystko.

— Albo już wcześniej stawiała mu opór — zaryzykowałam.

Oczy Marina zwęziły się nieco, jak zawsze gdy sceptycznie podchodził do moich pomysłów.

Jill była prawniczką. Wątpię, by była naiwna lub nie zdawała sobie sprawy z okrucieństwa, jakie ludzie wyrządzają sobie nawzajem. Kiedy wraz z przyjaciółką zostały zmuszone do wyjścia na cmentarz w środku nocy, pewnie wiedziała, że obie umrą. Jedna z nich albo może obie mogły zacząć się opierać, gdy morderca otworzył żelazną bramę wiodącą na cmentarz. Jeżeli srebrna zapalniczka faktycznie należała do niego, w tym momencie mogła mu wypaść z kieszeni. Potem, zgodnie z teorią Marina, możliwe, że zabójca kazał im się położyć na ziemi, lecz gdy zabrał się do Elizabeth, Jill spanikowała i usiłowała obronić przyjaciółkę. Broń wypaliła, raniąc Elizabeth w szyję.

— Rozkład ran Jill świadczy o tym, że morderca był wściekły albo

przerażony, gdyż stracił panowanie nad sytuacją — rzekłam. — Możliwe, że uderzył ją rewolwerem w głowę, potem przydusił i rozerwawszy jej bluzkę, zaczął dźgać. Na odchodnym poderżnął im gardła, potem wsiadł do volkswagena, porzucił go na parkingu przed motelem i na piechotę ruszył do miejsca, w którym zostawił własny wóz.

— Musiał być cały pochłapany krwią — mruknął Marino. — Dziwne, że nie ma śladów na siedzeniu kierowcy, tylko z tyłu.

— Nie znaleźliśmy śladów krwi na siedzeniach żadnego z porzuconych samochodów — przypomniałam mu. — Nasz morderca jest wyjątkowo ostrożny. Może planując popełnienie zbrodni, zabiera ze sobą ubranie na zmianę, ręczniki albo Bóg wie co.

Marino pogrzebał w kieszeniach, wyciągnął swój szwajcarski scyzoryk i zaczął przycinać sobie paznokcie nad serwetką. Bóg jeden wie, co jeszcze Doris musiała znosić przez trzydzieści lat małżeństwa. Marino pewnie nigdy nie zawracał sobie głowy opróżnianiem popielniczek, wkładaniem brudnych naczyń do zlewu czy podnoszeniem brudnych ubrań z podłogi. Wolałam nie domyślać się, jak wygląda łazienka, kiedy on z niej wychodzi.

— Abby Zdrajczyni nadal usiłuje się z tobą spotkać? — zapytał, nie podnosząc na mnie oczu.

— Wolałabym, żebyś tak o niej nie mówił. — Nie odpowiedział. — Nie dzwoniła do mnie od kilku dni, a przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Pomyślałem, że zainteresuje cię informacja, iż ją i Clifforda Ringa łączyło coś więcej niż tylko interesy.

— O co ci chodzi? — zapytałam niepewnie.

— O to, że ten reportaż, który Abby robiła o zaginionych nastolatkach, nie miał nic wspólnego z tym, że przeniesiono ją do pracy w kolumnie towarzyskiej. — Pracował nad paznokciem lewego kciuka, a opiłki spadały powoli na serwetkę. — Najwyraźniej odbiło jej tak, że nikt w redakcji nie mógł sobie z nią poradzić. Sprawy przybrały naprawdę zły obrót zeszłej jesieni, tuż zanim przyjechała do ciebie, do Richmond.

— Co się stało? — spytałam, patrząc na niego ponuro.

— Z tego, co słyszałem, zrobiła scenę redakcji. Wylała Ringowi na

kolana kubek kawy, po czym wypadła z budynku, nikomu nie mówiąc, gdzie idzie ani kiedy zamierza wrócić. Wtedy zmieniono jej przydział.

— Kto ci o tym opowiedział?

— Benton.

— A niby skąd on wie, co się dzieje w redakcji „Posta”?

— Nie pytałem. — Marino złożył szczyryk i wsunął go z powrotem do kieszeni. Wstając, złożył serwetkę, po czym wrzucił ją do kosza na śmieci. — I jeszcze coś — dodał, stojąc pośrodku mojej kuchni. — Pamiętasz tego lincolna, o którego mnie pytałaś?

— Taak?

— Mark seven z 1990 roku, zarejestrowany na nazwisko Barry’ego Aranoffa, trzydziestoosmioletniego białego mężczyzny z Roanoke. Pracuje jako reprezentant handlowy firmy rozprawdzającej sprzęt medyczny. Często podróżuje.

— Czyżbyś z nim rozmawiał?

— Z jego żoną. Nie ma go w mieście i nie było od dwóch tygodni.

— A gdzie miał być, kiedy widziałam jego samochód w Williamsburgu?

— Jego żona powiedziała, że nie jest pewna, czasem co dzień obskakuje inne miasto, często poza granicami stanu. Obsługuje rejon aż do Bostonu. Przypomniała sobie jednak, że w czasie kiedy byłaś w Williamsburgu, Barry powinien krążyć gdzieś w okolicach Tidewater... potem miał jechać do Newport News, i dalej, do Massachusetts.

Nie odpowiedziałam, co Marino pewnie mylnie zinterpretował jako zakłopotanie; myślałam.

— Hej, odwaliłaś kawał niezłej roboty... nie ma nic złego w tym, że człowiek zapisze numer rejestracyjny, a potem go sprawdzi. Powinnaś się cieszyć, że nie jechał za tobą jakiś świr.

Kiedy nadal się nie odzywałam, dodał:

— Myliłaś się tylko co do koloru. Powiedziałaś, że lincoln był ciemnoszary; bryka Aranoffa jest brązowa.

Później tego wieczoru błyskawice rozdzierały mroczne niebo ponad targanymi wiatrem wierzchołkami drzew, kiedy letnia burza szalała z całą swą zaciętością. Siedziałam w łóżku, czytając jakieś czasopisma i czekając, aż przejdzie ulewa, bym mogła spokojnie zadzwonić do kapitana Montany.

Albo jego linia została przerwana, albo gadał z kimś od dwóch godzin. Kiedy także Marino wyszedł ode mnie, przypomniałam sobie szczegół z jednego ze zdjęć, który nasunął mi na myśl coś, o czym mówiła Anna. Wewnątrz apartamentu Jill, na dywanie w salonie, obok krzesła leżała sterta papierów, gazet pochodzących spoza miasta i niedzielne wydanie „New York Timesa”. Nigdy nie zawracałam sobie głowy krzyżówkami — Bóg jeden wie, że w mojej pracy i tak mam aż nadto główkowania — wiedziałam jednak, że te z „Timesa” należały do najpopularniejszych w kraju.

Sięgnęłam po telefon i znowu wykręciłam numer Montany i tym razem kapitan podniósł słuchawkę.

— Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan nad założeniem w domu centrali telefonicznej? — zapytałam przyjaznym tonem.

— Nie, ale rozważałem zamontowanie osobnej linii telefonicznej na wyłączny użytek mojej nastoletniej córki — odparł.

— Mam pytanie.

— Proszę strzelać.

— Kiedy przeszukiwał pan mieszkania Jill i Elizabeth, zakładam, że przejrzał pan także ich pocztę.

— Tak, psze pani. Bardzo dokładnie wszystko sprawdzaliśmy, patrzyliśmy, kto pisał do nich listy, jak regularnie je dostawały, przeglądałem także ich rachunki i inne takie.

— A co może mi pan powiedzieć na temat prenumeraty czasopism Jill?

— Kiedy od razu nie odpowiedział, uświadomiłam sobie, że Montana siedzi teraz w domu. — O, przepraszam. Pewnie zostawił pan dokumenty w biurze...

— Nie, skądże. Przyjechałem prosto do domu i mam je ze sobą. Usiłowałem sobie przypomnieć, ale jestem trochę zmęczony. Może pani chwilę poczekać? — Usłyszałam szelest przewracanych stron. — Nie,

znaleźliśmy tylko listy i rachunki, żadnych prenumerat.

Zaskoczona wyjaśniłam, że Jill miała w mieszkaniu kilka gazet wydawanych w innych miastach.

— Musiała je zdobyć w jakiś inny sposób.

— Może z automatów — zasugerował Montana. — Mnóstwo ich stoi na terenie college'u. Wydaje mi się to najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem.

Możliwe, że „Washington Post”, albo „Wall Street Journal”, ale na pewno nie niedzielne wydanie „New York Timesa”. Może kupowała je w sklepie albo w kiosku, do którego regularnie zaglądała z Elizabeth, kiedy szły gdzieś na śniadanie w niedzielne poranki. Podziękowałam Montanie i odłożyłam słuchawkę.

Wyłączywszy lampkę, naciągnęłam kołdrę po brodę i wsłuchałam się w monotonne bębnienie deszczu o dach. Przez głowę przesuwały mi się różne obrazy i myśli; wyobraziłam sobie czerwoną torebkę Debory Harvey, wilgotną i zabłoconą.

Vander w laboratorium, gdzie badał odciski palców, właśnie skończył robotę; kilka dni temu widziałam jego raport.

— Co zamierzasz z nią zrobić? — pytała mnie Rose. Dziwne, ale czerwona torebka leżała na plastikowej tacy na jej biurku. — Nie możesz jej wysłać rodzinie w takim stanie.

— Oczywiście, że nie.

— Może powinniśmy wyjąć z niej karty kredytowe i inne rzeczy, umyć je i dopiero odesłać? — Twarz Rose wykrzywiła się w gniewie. — Zabierz to stąd! Nie mogę tego znieść!

Nagle znalazłam się w mojej kuchni; przez okno zobaczyłam, jak Mark podjeżdża pod dom — co prawda samochód był mi nie znany, ale i tak wiedziałam, że to on. Zaczęłam przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu szczotki do włosów, potem przyczesalam włosy w pośpiechu. Pobiegłam do łazienki, by umyć zęby, ale nie było już czasu: zabrzmiał dzwonek u drzwi.

Mark wziął mnie w ramiona, szepcząc moje imię; zastanawiałam się, co on tu robi? Dlaczego nie jest w Denver?

Pocałował mnie i zamknął drzwi nogą. Trzasnęły ogłuszająco.

Obudziłam się gwałtownie. To piorun uderzył gdzieś niedaleko. Błyskawice, jedna po drugiej, rozświetlały moją sypialnię, a ja siedziałam w łóżku z mocno bijącym sercem.

Następnego ranka przeprowadziłam dwie autopsje, po czym poszłam na górę na spotkanie z Neilsem Vanderem, szefem laboratorium pracującego nad odciskami palców. Znalazłam go w pracowni komputerowego systemu identyfikacji danych, wpatzonego w zamyśleniu w monitor komputera. Przyniosłam ze sobą egzemplarz raportu o przedmiotach znalezionych w torebce Debory Harvey i położyłam go przed nim na klawiaturze.

— Muszę ci zadać jedno pytanie — powiedziałam, podnosząc lekko głos, by przekrzyczeć monotony szum komputera.

Spojrzał na leżący przed nim raport nieobecny wzrokiem; na oczy opadł mu przydługi kosmyk siwych włosów.

— Jak udało ci się znaleźć cokolwiek, skoro torebka tak długo leżała w lesie? Szczerze mówiąc, bardzo mnie to dziwi.

Wrócił wzrokiem do monitora.

— Torebka jest nylonowa, nieprzemakalna, a karty kredytowe znajdowały się nie tylko w plastikowych okładkach, ale także w zamkniętej na suwak kieszonce wewnątrz torebki. Kiedy potraktowałem je opylaczem, od razu wyskoczyło mnóstwo smug i fragmentarycznych odcisków. Nie musiałem nawet używać lasera.

— Imponujące. — Uśmiechnął się lekko, a ja dodałam: — Jednak nie znalazłeś nic, co mogłoby nam pomóc w identyfikacji.

— Przykro mi, ale nie.

— Ciekawi mnie prawo jazdy; zupełnie nic na nim nie znalazłeś?

— Ani jednej smugi — odparł.

— Aż tak?

— Czyste jak psi ząb.

— Dzięki, Neils.

Znowu się wyłączył, wrócił do swej krainy linii papilarnych, a ja poszłam na dół i sprawdziłam numer telefoniczny do tego 7-Eleven, w którym byłam z Abby zeszłej jesieni. Powiedziano mi, że Ellen Jordan, sprzedawczyni, z którą wtedy rozmawialiśmy, zaczyna pracę dopiero o dziewiątej wieczorem. Pracowałam do późna, nie robiąc nawet przerwy na lunch, nieświadoma upływu czasu. Kiedy dotarłam wreszcie do domu, nie byłam nawet trochę zmęczona.

Właśnie ładowałam brudne naczynia do zmywarki, kiedy o ósmej rozległ się dzwonek do drzwi. Wycierając pospiesznie ręce, poszłam otworzyć.

Na ganku stała Abby Turnbull z kołnierzem płaszcza postawionym do góry, szalikiem zawiniętym aż po uszy, bladą twarzą i nieszczęśliwą miną. Wiatr szarpał drzewa przed domem i unosił kosmyki jej włosów.

— Nie odpowiadałaś na moje telefony; mam nadzieję, że nie odmówisz też wpuszczenia mnie do swego domu — powiedziała.

— Oczywiście, że nie, Abby. Wejdz, proszę. — Otworzyłam drzwi na oścież i odsunęłam się, by ją przepuścić.

Nie zdjęła płaszcza, dopóki jej tego nie zaproponowałam, ale gdy zaofiarowałam, że go odwieszę, potrząsnęła głową i przewiesiła go przez oparcie krzesła, jakby chcąc mnie zapewnić, że nie zamierza mi się zbyt długo narzucać. Ubrana była w wytarte džinsy i gruby wełniany sweter o gdzieniegdzie pozaciąganych oczkach. Przeciskając się obok niej, by sprzątnąć papiery i czasopisma ze stołu, wyczułam unoszący się dokoła niej zatęchły zapach dymu papierosowego i potu.

— Napijesz się czegoś? — zapytałam i z jakiegoś powodu nie potrafiłam już się na nią wściekać.

— Chętnie, obojętnie co. — Wyjęła papierosy, podczas gdy ja przygotowałam nam drinki. — Nie wiem, od czego mam zacząć — rzekła, kiedy już usiadłam. — Artykuły w „Post” były dla ciebie krzywdzące, a i to za mało powiedziane. Wiem, co musisz sobie o mnie myśleć.

— Nieważne, co ja myślę. Chciałabym wiedzieć, co tobie chodzi po głowie.

— Powiedziałaś ci, że popełniłam kilka błędów. — Jej głos drżał lekko.

— Clifford Ring jest jednym z nich. — Nie komentowałam, więc ciągnęła: — Jest jednym z najlepszych reporterów w redakcji i jedną z pierwszych osób, jakie poznałam w Waszyngtonie. To człowiek sukcesu, bystry i pewny siebie. Ja byłam wtedy bardzo podatna na ciosy... przeprowadzka i to... co stało się z Henną, sprawiły, że nie potrafiłam się odnaleźć. — Odwróciła wzrok. — Zaczęliśmy spotykać się na przyjacielskiej stopie, a potem wszystko potoczyło się tak szybko... Nie widziałam, jaki jest naprawdę, bo nie chciałam tego widzieć. — Głos jej się załamał, więc zaczekałam, aż się opanuje. — Zaufałam mu... powierzyłam mu swoje życie, Kay.

— Czy mam z tego wywnioskować, że szczegóły w jego artykule pochodzą od ciebie?

— Nie. Pochodzą z moich notatek.

— Nie rozumiem.

— Nie mam zwyczaju rozmawiać z kimkolwiek o tym, co piszę — odparła Abby. — Cliff wiedział, jak bardzo jestem zaangażowana w te sprawy, ale nigdy mu o nich nie opowiadałam. A on nie wydawał się nimi ani trochę zainteresowany. — W jej głosie zaczęła pobrzmiwać złość. — Ale był, i to więcej niż tylko trochę. On właśnie w ten sposób postępuje.

— Jeżeli nic mu nie mówiłaś, to jak mógł zdobyć te informacje? — spytałam.

— Kiedy wyjeżdżałam z miasta, dawałam mu klucze do mego mieszkania, by podlewał kwiaty i wyciągał listy ze skrzynki. Pewnie je skopiował.

Przypomniałam sobie naszą rozmowę w Mayflower. Kiedy Abby mówiła o kimś, kto włamał się do jej komputera, i oskarżała o to FBI i CIA, podeszłam do tego sceptycznie. Przecież doświadczony agent federalny nie postępowałby w ten sposób — wiedziałby, że utworzą się backupy i zapisze się czas.

— Clifford Ring włamał się do twojego komputera?

— Nie potrafię tego udowodnić, ale wiem, że to on — rzekła Abby. — Nie potrafię udowodnić, że to on przeglądał moją korespondencję, ale także wiem, że to on. Jaki to problem otworzyć list nad parą, potem zakleić z

powrotem i wrzucić do skrzynki? Żaden, jeżeli masz do niej klucz.

— Czy wiedziałaś, że Clifford pisze artykuł na temat tych spraw?

— Oczywiście, że nie. Nie miałam o niczym pojęcia, dopóki nie kupiłam w niedzielę gazety! Wszedł do mojego mieszkania, kiedy był pewien, że mnie tam nie będzie... włamał się do komputera i wyciągnął z niego wszystko, co tylko mogło mu się przydać... nie było w tym nic trudnego, bo doskonale wiedział, czego i gdzie szukać.

— Było to tym łatwiejsze, że zmieniono ci przydział. Kiedy wydawało ci się, że redaktor zrezygnował z historii, tak naprawdę zrezygnował tylko z twojej współpracy.

Abby skinęła gniewnie głową.

— Po prostu przydzielili ją komuś, kogo uważali za bardziej godnego zaufania. Cliffordowi Ringowi.

Wreszcie zrozumiałam, dlaczego pan Ring nawet nie zadał sobie trudu, by ze mną porozmawiać; wiedział, że Abby jest moją przyjaciółką. Gdyby pytał mnie o te sprawy, mogłabym choćby przypadkiem powiedzieć jej o tym, a on chciał, by Abby jak najdłużej pozostała w nieświadomości. Więc mnie unikał.

— Jestem pewna, że on... — Abby odkaslnęła cicho i sięgnęła po drinka; ręka jej drżała. — On potrafi być szalenie przekonujący, prawdopodobnie dostanie nagrodę za ten artykuł...

— Przykro mi, Abby.

— To wyłącznie moja wina. Byłam tak strasznie głupia!

— Często ryzykujemy, pozwalając sobie na miłość...

— Nigdy więcej nie zamierzam podejmować tego ryzyka — przerwała mi gwałtownie. — Z nim zawsze były jakieś problemy. A ja zawsze się godziłam na przeprosiny, dawałam drugą szansę, potem trzecią i czwartą, i tak w nieskończoność.

— Czy ludzie, z którymi pracowaliście, wiedzieli o waszym romansie?

— Byliśmy bardzo ostrożni — rzekła Abby wymijająco.

— Dlaczego?

— Redakcja gazety to wprost idealne miejsce do plotek.

— Chyba jednak wasi koledzy widywali was razem?

— Byliśmy bardzo ostrożni — powtórzyła.

— Przecież musieli wyczuwać, że coś jest między wami... przynajmniej jakieś napięcie.

— Współzawodnictwo. Obrona własnego terytorium. Tak by Cliff powiedział, gdyby go ktoś zapytał.

I zazdrość, pomyślałam. Abby nigdy nie potrafiła ukrywać swych uczuć... mogłam sobie wyobrazić jej sceny zazdrości. Bez trudu mogłam zrozumieć Abby robiącą mu scenę w redakcji, podczas gdy wszyscy byliby święcie przekonani, że chodzi tylko i wyłącznie o zazdrość profesjonalną. Abby na pewno była zazdrosna o jego inne zobowiązania, znajomych, może nawet kobiety.

— On jest żonaty, prawda, Abby?

Tym razem nie potrafiła powstrzymać łez.

Wstałam, by dolać nam do kieliszków. Abby powie mi pewnie, że Cliff jest z żoną nieszczęśliwy, rozmyśla nad rozwodem, a ona uwierzyła, że rozwiedzie się dla niej. Historyjka grubymi nićmi szyta i tak łatwa do przewidzenia, jak akcja najpodlejszego gatunku romansidła. Słyszałam to już setki razy; drań po prostu ją wykorzystał.

Postawiłam drinka przed nią na stole i lekko uścisnęłam jej ramię, zanim usiadłam naprzeciwko.

Opowiedziała mi dokładnie to, czego się spodziewałam; przyglądałam się jej ze smutkiem.

— Nie zasługuję na twoje współczucie — zawołała.

— Zostałaś zraniona znacznie mocniej niż ja.

— Każdy kiedyś dostaje po głowie. Ty. Pat Harvey. Rodzice i przyjaciele tych dzieci. Gdyby nie te sprawy, nadal pracowałabym dla kroniki policyjnej. Przynajmniej zawodowo dobrze by mi się powodziło. Nikt nie powinien mieć prawa wyrządzać innym tak okropnej krzywdy.

Zrozumiałam, że nie myśli już o Cliffie Ringu, lecz o mordercy.

— Masz rację. Nikt nie powinien mieć takiego prawa. I nikt nie będzie go miał, jeżeli tylko my na to nie pozwolimy.

— Debora i Fred nie pozwolili. Jill, Elizabeth, Bonnie, Jim ani nikt inny. — Spojrzała na mnie z rozpaczą. — Oni wcale nie chcieli zostać zamordowani.

— Co Cliff teraz zrobi? — zapytałam.

— Cokolwiek postanowi, nie będę w tym maczać palców. Zmieniłam wszystkie zamki w drzwiach.

— A twoje obawy, że ktoś cię śledzi, że masz telefon na podsłuchu?

— Cliff nie jest jedynym, który chce wiedzieć, co robię. Nie mogę nikomu ufać! — W jej oczach pojawiły się łzy wściekłości. — Jesteś ostatnią osobą, którą chciałabym skrzywdzić, Kay.

— Przestań, Abby! Możesz płakać cały rok na okrągło, ale to mi w niczym nie pomoże.

— Przepraszam...

— Nie chcę tego więcej słuchać — powiedziałam łagodnie, lecz zdecydowanie.

Przygryzła dolną wargę i zapatrzyła się w kieliszek.

— Chcesz mi pomóc? — zapytałam. Podniosła wzrok. — Po pierwsze, jakiego koloru był ten lincoln, którego widziałyśmy w Williamsburgu?

— Ciemnoszary, obicia skórzane, szare albo może czarne — powiedziała, w jej oczach na nowo zapaliło się światełko.

— Dzięki, tak właśnie myślałam.

— Co się dzieje?

— Nie jestem pewna... ale jest coś jeszcze.

— Co?

— Mam dla ciebie zadanie — rzekłam z uśmiechem. — Ale najpierw: kiedy planujesz wracać do Waszyngtonu? Dziś w nocy?

— Nie wiem, Kay. — Odwróciła wzrok. — Nie chcę tam teraz przebywać.

Abby czuła się jak osaczona i w pewien sposób miała do tego prawo. Clifford Ring wypędził ją z Waszyngtonu i prawdopodobnie pomysł, by się stamtąd na jakiś czas wyprowadziła, nie był taki zły.

— W hotelu Northern Neck dają pokój ze śniadaniem do łóżka... — zaczęła, lecz przerwałam jej.

— A ja mam wolny pokój gościnny. Jakiś czas możesz pomieszkać u

mnie.

Spojrzała na mnie niepewnie, po czym zapytała:

— Kay, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak to będzie wyglądać?

— Szczerze mówiąc, w tej chwili zupełnie mnie to nie obchodzi.

— Dlaczego? — Przyglądała mi się z napięciem. — Twoja gazeta i tak już usmażyła mnie na wolnym ogniu... moja reputacja nie jest warta funta kłaków. Sprawy albo przybiorą lepszy, albo gorszy obrót, ale na pewno nie zostaną takie, jakie są w tej chwili.

— Przynajmniej ciebie nie wylali z roboty.

— Ciebie też nie, Abby. Miałaś romans i zareagowałaś nieodpowiedzialnie, wylewając kubek kawy na kochanka.

— Zasłużył na to.

— Nie wątpię. Ale odradzam ci wojnę z „Postem”. Twoja książka jest szansą na odzyskanie szacunku w ich oczach.

— A co z tobą?

— W tej chwili obchodzą mnie tylko te sprawy. Możesz mi pomóc, bo są rzeczy, które ty możesz zrobić, a ja nie.

— Na przykład co?

— Ja nie mogę kłamać, oszukiwać, łągać, zakradać się, podsłuchiwać, podglądać ani udawać kogoś, kim nie jestem, ponieważ należę do przedstawicieli władzy w tym okręgu. Ale ty masz znacznie więcej możliwości... w końcu jesteś dziennikarką.

— Wielkie dzięki! — powiedziała, wychodząc z kuchni. — Przyniosę z samochodu moje rzeczy.

Bardzo rzadko ktoś zatrzymywał się u mnie na noc, a gościnny pokój na dole zazwyczaj zarezerwowany był na nieczęste wizyty Lucy. Na drewnianej podłodze leżał kolorowy irański dywan o kwiatowym wzorze, który zamieniał cały pokój w ogród, moja siostrzenica często udawała na nim oset lub różyczkę, w zależności od tego, w jakim była nastroju.

— Chyba lubisz kwiaty — mruknęła Abby bezmyślnie, kładąc walizkę na

łóżku.

— Wiem, że ten dywan jest trochę za kolorowy — odparłam przepraszająco. — Ale gdy go zobaczyłam, po prostu nie mogłam się powstrzymać, a to był jedyny pokój, do którego się zmieścił. Nie wspominając już o tym, że jest nie do zdarcia, więc doskonale pasuje do pokoju zazwyczaj zajmowanego przez Lucy.

— A w każdym razie kiedyś tak było. — Abby podeszła do szafy i otworzyła drzwi. — Lucy dawno przestała być dziesięcioletnim szkrabem.

— Powinno tu być wystarczająco dużo wieszaków — powiedziałam, spoglądając w głąb szafy. — Jednak gdyby ci zabrakło, mam mnóstwo...

— Nie, wszystko w porządku.

— W łazience są ręczniki, mydło, pasta do zębów. — Chciałam jej pokazać, ale ona już się rozpakowywała i nie zwracała na mnie uwagi. Usiadłam na krawędzi łóżka.

Abby powiesiła spódnice i bluzki; wieszaki zgrzytnęły cicho na drążku; obserwowałam ją w milczeniu, usiłując zwalczyć ukłucie zniecierpliwienia.

Skrzypienie wieszaków i zgrzyt szuflad słyhać było jeszcze kilka minut, potem rozległ się trzask drzwiczek szafki w łazience; wreszcie Abby wepchnęła walizkę do szafy i rozejrzała się dokoła, jakby sprawdzając, co jeszcze zostało do zrobienia. Z aktówki wyciągnęła książkę i notes, które położyła na nocnym stoliku. Z lekkim niepokojem przyglądałam się, jak wsadza rewolwer i pudełko z nabojami do szuflady.

Było już po północy, gdy wreszcie poszłam na górę; przed położeniem się do łóżka, jeszcze raz wykręciłam numer 7-Eleven.

— Ellen Jordan?

— Taak...? Słucham? Kto mówi?

Powiedziałam jej, po czym wyjaśniłam:

— Zeszłej jesieni mówiłaś, że kiedy Fred Cheney i Debora Harvey weszli do sklepu, Debora chciała kupić piwo, ale ją wylegitymowałaś.

— Tak, tak właśnie było.

— Czy możesz mi powiedzieć, co dokładnie zrobiłaś, legitymując ją?

— Powiedziałam, że muszę rzucić okiem na jej prawo jazdy — odparła Ellen, a w jej głosie wyczułam zdziwienie. — No, wie pani, musiałam zobaczyć, kiedy się urodziła.

— Czy wyjęła prawo jazdy z torebki?

— Jasne. Musiała to zrobić, bo jak inaczej mogłabym je zobaczyć?

— I potem ci je podała?

— Aha.

— Czy było w coś owinięte? Na przykład w taką plastikową okładkę?

— Nie — odrzekła Ellen. — Ta dziewczyna po prostu mi je podała, ja spojrzałam i jej oddałam. — Po chwili dodała: — Dlaczego pani pyta?

— Muszę wiedzieć, czy dotykałaś prawa jazdy Debory Harvey.

— Pewnie, że tak. Musiałam go dotknąć, by mu się przyjrzeć. — W jej głosie zaczął pobrzmiwać strach. — Chyba nie będę mieć żadnych kłopotów z tego powodu?

— Nie, Ellen — zapewniłam ją. — Nie będziesz mieć żadnych kłopotów.

Rozdział piętnasty

Abby miała za zadanie dowiedzieć się jak najwięcej o Barrym Aranoffie, więc z samego rana wyjechała do Roanoke; następnego wieczoru wróciła na kilka chwil, zanim Marino pojawił się na moim progu. Zaprosiłam go na obiad.

Kiedy zobaczył Abby w kuchni, źrenice mu się zwęziły, a twarz poczerwieniała.

— Napijesz się czegoś? — spytałam.

Kiedy wróciłam od barku, zostałam Abby palącą papierosa przy stole, a Marina stojącego przy oknie. Rozchylił żaluzje i z ponurą miną przyglądał się karmnikowi dla ptaków.

— O tej porze nie zobaczysz żadnych ptaków, chyba że interesują cię nietoperze — rzekłam.

Nie odpowiedział ani się nie odwrócił.

Podaliśmy sałatkę, lecz Marino nie usiadł za stołem, dopóki nie nalałam wina.

— Nic mi nie wspominałaś, że masz towarzystwo — burknął.

— Gdybym ci powiedziała, nie przyszedłbyś — odrzekłam równie bezpardonowo.

— Mnie też nie uprzedziła — odezwała się Abby nieco nerwowo. — Skoro więc już ustaliliśmy, że cieszymy się wszyscy z tego spotkania, jedzmy, zanim wystygnie.

Moje nieudane małżeństwo z Tonym nauczyło mnie wielu rzeczy, między innymi tego, by nigdy nie angażować się w sprzeczkę późno w nocy ani w porze posiłku. Robiłam, co w mojej mocy, by wypełnić ciszę uprzejmą rozmową o niczym i powiedziałam, o co mi naprawdę chodzi dopiero, gdy już piliśmy kawę.

— Abby zostanie ze mną jakiś czas, Marino — zaczęłam.

— To twoja sprawa. — Sięgnął po cukiernicę.

— Twoja też. Wszyscy siedzimy w tym po uszy.

— Może mi wyjaśnisz, w czym to siedzę z wami po uszy, doktorku — mruknął, po czym dodał, spoglądając na Abby: — Ale najpierw chciałbym wiedzieć, czy ta scena obiadowa pojawi się w twojej książce? Wtedy nie będę musiał czytać jej całej i wystarczy, jeżeli po prostu otworzę ją na właściwej stronie.

— Wiesz, Marino, z ciebie czasem naprawdę jest niezły dupek — odparła Abby.

— Taak, potrafię być także palantem... jeszcze nie zaznałaś tej przyjemności, ale wszystko przed tobą.

— Dzięki. Przynajmniej teraz mam na co czekać.

Marino wyciągnął długopis z kieszeni i rzucił go jej przez stół.

— Lepiej zacznij wszystko zapisywać. Nie chcę, byś mnie potem źle zacytowała.

Abby patrzyła na niego ze złością.

— Przestańcie! — rzekłam gniewnie.

Oboje spojrzeli na mnie jak na komendę.

— Zachowujecie się nie lepiej niż oni wszyscy — dodałam.

— Niby kto taki? — Marino patrzył na mnie beznamiętnie.

— Wszyscy — powiedziałam. — Mam już dość kłamstw, zazdrości i politycznych gier. Od moich przyjaciół oczekuję czegoś więcej, a myślałam, że jesteście moimi przyjaciółmi. — Wstałam gwałtownie. — Jeżeli chcecie kontynuować to wzajemne obrzucanie się błotem, to proszę bardzo, ale beze mnie. Jak na jeden wieczór, mam dość.

Nie spojrzawszy już więcej na żadne z nich, zaniósłam moją filiżankę do salonu i włączyłam muzykę, która była moją terapią na wszystko — ostatnio słuchałam Bacha. Rozległy się pierwsze dźwięki jego kantaty i wreszcie zdołałam się odprężyć. Przez wiele tygodni po odejściu Marka, nie mogąc spać w nocy, schodziłam na dół do salonu, zakładałam słuchawki na uszy i towarzyszył mi Beethoven, Mozart lub Pachelbel.

Kiedy Abby i Marino dołączyli do mnie jakieś piętnaście minut później, mieli idiotyczne miny ludzi, którzy dopiero co doszli do porozumienia.

— Uhm... porozmawialiśmy sobie — zaczęła Abby, kiedy wyłączyłam

muzykę i zdjęłam słuchawki. — Wyjaśniłam wszystko, jak tylko mogłam najlepiej, i zaczęliśmy osiągać pewien poziom porozumienia.

Niesłuchanie mnie to uradowało.

— Równie dobrze możemy zacząć ze sobą współpracować — dodał Marino. — Mam na myśli całą naszą trójkę. Co, u diabła... Abby w tej chwili nie jest już tak naprawdę dziennikarką.

Widziałam, że ta uwaga nieco ją ubodła, lecz zamierzali się pogodzić — cud nad cudami.

— Kiedy wyjdzie ta jej książka, to wszystko pewnie już dawno się skończy... teraz najważniejsze jest, by jak najszybciej położyć temu kres. Minęły już trzy lata i dziesięcioro dzieciaków straciło życie, a jeżeli włączyć w to Jill i Elizabeth, mamy dwanaście ofiar. — Marino potrząsnął głową, a w jego oczach pojawiła się jakaś nieustępliwość. — Ktokolwiek załatwia tych nastolatków, nie zamierza przestać... będzie mordował, dopóki go nie przyskrzynimy. W tego typu śledztwie najczęściej łapie się zabójcę dzięki łutowi szczęścia.

— Być może już się nam poszczęściło — wtrąciła Abby. — To nie Aranoff siedział za kółkiem lincolna, który podjechał do nas w Williamsburgu.

— Jesteś tego pewna? — spytał Marino.

— Oczywiście. Aranoff ma siwe włosy, a właściwie resztki włosów, jakieś pięć stóp i osiem cali wzrostu, a waży około dwustu funtów.

— Chcesz mi powiedzieć, że się z nim spotkałaś?

— Nie — odrzekła Abby. — Nadal nie wrócił do miasta. Zapukałam do drzwi jego domu i żona mnie wpuściła. Miałam na sobie ogrodniczki i grube buciory; powiedziałam, że jestem z ciepłowni i muszę sprawdzić ich licznik. Zaczęłyśmy gawędzić, zaproponowała mi colę. Kiedy zostawiła mnie samą, trochę się rozejrzałam, zerknęłam na rodzinne zdjęcia... dla pewności zadałam jej kilka pytań. W ten właśnie sposób dowiedziałam się, jak wygląda Barry Aranoff. To nie jego widziałyśmy. Nie on śledził mnie w Waszyngtonie.

— Podejrzewam, że nie ma szansy, byście źle odczytały numer rejestracyjny? — zapytał mnie Marino.

— Nie, a nawet jeżeliby tak było, zbieg okoliczności byłby wręcz

nieprawdopodobny — odparłam. — Oba samochody byłyby lincolnami mark seven z 1990 roku? A Aranoff podróżuje po terenie między Williamsburgiem i Tidewater w tym samym czasie, gdy ja przez pomyłkę zapisuję numer jego tablic rejestracyjnych?

— Zdaje się, że będę musiał porozmawiać z panem Aranoffem — mruknął Marino.

Marino zadzwonił do mnie do biura jeszcze w tym tygodniu i spytał bez ogródek:

— Siedzisz?

— Rozmawiałeś z Aranoffem.

— Bingo. Wyjechał z Roanoke w poniedziałek, dziesiątego lutego, i ruszył do Danville, Petersburga i Richmond. We środę, dwunastego, był w okolicach Tidewater i tu dopiero zaczyna się robić ciekawie. Miał być w Bostonie trzynastego, czyli tego dnia, kiedy wraz z Abby byłyście w Williamsburgu. Dzień wcześniej, dwunastego, Aranoff zostawił samochód na parkingu przy lotnisku w Newport News, stamtąd poleciał do Bostonu, gdzie spędził większą część tygodnia, poruszając się wynajętym samochodem. Wczoraj wrócił do Newport News, wsiadł do samochodu i ruszył do domu.

— Czyżbyś sugerował, że ktoś ukradł jego tablice rejestracyjne, gdy samochód stał na parkingu, a potem je zwrócił? — zapytałam.

— Jeżeli Aranoff nie kłamie, a nie widzę powodu, dla którego miałby kłamać, nie ma innego wytłumaczenia, doktorku.

— Czy kiedy wrócił po swój samochód, zauważył może coś podejrzanego? Jakikolwiek ślad mogący świadczyć o tym, że ktoś przy nim majstrował?

— Nie. Poszliśmy wspólnie do garażu i obejrzelśmy brykę. Obie tablice były na miejscu, przykręcone równo i mocno. Były równie brudne jak reszta samochodu i znajdowały się na nich smugi, co może, lecz nie musi o czymś świadczyć. Nie zdjęłem odcisków palców, lecz ktokolwiek pożyczył sobie tablice, na pewno zrobił to w rękawiczkach, co mogłoby wyjaśniać smugi. Nie

widzieliśmy żadnych odprysków farby czy śladów używania narzędzi.

— Czy samochód stał na widocznym miejscu na parkingu?

— Aranoff powiedział, że zostawił go mniej więcej pośrodku, twierdził także, że parking był zapchany samochodami nieomal po ostatnie miejsce.

— Czy gdyby jego samochód stał tam przez kilka dni bez tablic rejestracyjnych, ochrona lub ktokolwiek by się tym zainteresował?

— Niekoniecznie. Ludzie nie są aż tak spostrzegawczy. Kiedy zostawiają wóz na lotnisku albo wracają po podróży, jedyne, o czym myślą, to załadowanie bagażu, złapanie samolotu albo jak najszybsze dojechanie do domu. Nawet jeżeli ktoś zauważyłby brak tablic rejestracyjnych, mało prawdopodobne, by doniósł o tym ochronie. A oni i tak nie mogliby nic z tym zrobić aż do powrotu właściciela, do którego dopiero należy zgłoszenie kradzieży. Natomiast jeżeli chodzi o samą kradzież, wcale nie byłaby taka trudna. Jeżeli pojedziesz na lotnisko po północy, nikogo tam nie zastaniesz. Ja bym to zrobił w ten sposób, że wszedłbym na parking, udając, iż szukam własnego samochodu, a po pięciu minutach wyszedłbym z parkingu z tablicami w teczce.

— I sądzisz, że tak właśnie się stało?

— Moim zdaniem facet, który w zeszłym tygodniu prosił cię o wskazanie drogi, nie pracował dla FBI, nie był też detektywem ani jakimś szajbussem. To był ktoś, kto nie planował nic dobrego. Mógł to być na przykład handlarz narkotyków albo ktokolwiek inny. Uważam, że szary mark seven to jego prywatna bryka, ale żeby nie ryzykować, kiedy zabiera się do roboty, zamienia tablice rejestracyjne, na wypadek gdyby jakiś gliniarz zobaczył go w okolicy i spisał numery.

— To dość ryzykowne, jeżeli na przykład zostanie zatrzymany przez drogówkę za przekroczenie szybkości — wytknęłam słaby punkt tego planu.

— Wyjdzie na jaw, że to nie jego numery rejestracyjne.

— Masz rację, ale nie sądzę, by on brał pod uwagę możliwość bycia zatrzymanym przez policję. Uważam, że znacznie bardziej martwi go to, iż ktoś może gdzieś zauważyć jego samochód. Boi się tego, bo łamie prawo... zamierza wykręcić jakiś numer i nie chce, by połączono go z tym czymś

nawet przez tablice rejestracyjne jego wozu.

— Dlaczego więc nie używa wynajętego samochodu?

— To równie fatalne, z jego punktu widzenia, jak jeżdżenie na własnych tablicach. Każdy gliniarz z odległości mili rozpozna samochód z wypożyczalni. Wszystkie numery rejestracyjne w Wirginii rozpoczynają się na literę R; jeżeli go sprawdzisz, znajdziesz nazwisko klienta, który wóz wypożyczył. Podmienienie tablic jest znacznie bezpieczniejsze, jeżeli wiesz, jak to zrobić. Ja bym to tak właśnie zrobił i wybrałbym do tego samochód stojący na parkingu przy lotnisku. Użyłbym cudzych tablic, załatwił, co mam do załatwienia, po czym bym je odczepił i dalej jechał na własnych. Po zmroku podjechałbym znowu na parking i przykręcił je do samochodu, z którego je zwinąłem.

— A co byś zrobił, jeżeli właściciel wozu już by wrócił i zgłosił ich kradzież?

— Jeżeli bryki nie byłoby na parkingu, wrzuciłbym tablice do najbliższego śmietnika. Tak czy inaczej, nie mogę przegrać.

— Wielki Boże. W takim razie facet, którego spotkałyśmy wraz z Abby, musiał być mordercą, Marino.

— Łepek, którego widziałyście, z pewnością się nie zgubił ani was nie śledził — odparł. — Kombinował coś nielegalnego, ale to jeszcze nie oznacza, że był mordercą.

— A nalepka z parkingu...

— Zamierzam to jeszcze sprawdzić. Zobaczę, czy drogówka w Williamsburgu może dać mi listę osób, którym wydali takie naklejki.

— Samochód, który pan Joyce widział na drodze obok swego domu, mógł być lincolnem mark seven — powiedziałam.

— Masz rację. Ten model zaczęli produkować w 1990, a Jim i Bonnie zostali zamordowani latem tego roku. W ciemnościach mark seven niezbyt różniłby się od thunderbirda... a pan Joyce mówił, że tak właśnie wyglądał samochód, który widział.

— Ależ Wesley będzie miał z tym roboty — mruknęłam z niedowierzaniem.

— Taak — odrzekł Marino. — Muszę do niego zadzwonić.

Marzec nadszedł wraz z cichą obietnicą, że zima nie będzie trwać wiecznie. Czułam ciepło słońca na karku, kiedy myłam przednią szybę mercedesa; Abby w tym czasie wlewała paliwo do baku. Wiał łagodny wietrzyk, orzeźwiający po wielu dniach deszczu. Ludzie wylegli na dwór, by myć samochody i jeździć na rowerach, a ziemia wreszcie zaczynała się budzić do życia.

Jak większość stacji benzynowych w okolicy, ta, do której zazwyczaj jeździłam, miała także niewielki sklepik i bar, więc gdy weszłam zapłacić za paliwo, kupiłam jeszcze dwa kubki kawy. Jechaliśmy z Abby do Williamsburga, z oknami uchylonymi i Bruce'em Hornsbym śpiewającym przez radio „Harbor Lights”.

— Tuż przed wyjazdem zadzwoniłam do mojej automatycznej sekretarki — odezwała się Abby.

— I co?

— Ktoś dzwonił pięć razy i pięć razy odkładał słuchawkę.

— Cliff?

— Jestem gotowa się o to założyć — odrzekła. — Nie chodzi nawet o to, że on chce ze mną porozmawiać. Podejrzewam, że po prostu usiłował się przekonać, czy jestem w domu. Pewnie też co jakiś czas przejeżdża pod moimi oknami i rozgląda się za samochodem.

— Dlaczego miałyby to robić, skoro nie jest zainteresowany rozmową z tobą?

— Może nie wie, że zmieniłam zamki w drzwiach.

— Musiałyby być głupi. Nawet dziecko dodałoby dwa do dwóch po jego artykule i domyśliło się prawdy.

— On nie jest głupi — powiedziała Abby, wyglądając przez okno. Otworzyłam szyberdach. — On wie, że ja wiem — dodała. — Ale nie jest głupi... wszystkich wyprowadził w pole. Nie wiedzą, że to wariat.

— Trudno mi uwierzyć, że zaszedłby tak daleko, gdyby był nienormalny

— odparłam.

— Na tym właśnie polega urok Waszyngtonu — rzekła Abby cynicznie. — Mieszkają tam najbardziej wpływowi i bogaci ludzie na świecie, a połowa z nich jest nienormalna. Druga połowa to zwykli neurotycy. Większość z nich jest niemoralna... to władza tak ich zmienia. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego afera Watergate kogokolwiek zaskoczyła.

— A jak władza zmieniła ciebie? — spytałam.

— Wiem, jak smakuje, ale nie mieszkałam tam dostatecznie długo, by się od niej uzależnić.

— Może więc masz szczęście.

Nie odpowiedziała.

Pomyślałam o Pat Harvey. Co też porabia w tych dniach? O czym myśli?

— Rozmawiałaś może z Pat Harvey? — zapytałam.

— Tak.

— Po tym, jak ukazał się ten artykuł w „Post”? — Skinęła głową. — I co u niej słyhać?

— Kiedyś przeczytałam taki artykuł napisany przez misjonarza, który pracował w Kongo. Opisywał spotkanie z tubylcem, którego spotkał w dżungli i który wyglądał zupełnie normalnie, dopóki się nie uśmiechnął. Jego zęby były spiłowane na kształt ostrych zwierzęcych kłów... był kanibalem.

W jej głosie pojawił się gniew; nagle zmienił się jej nastrój. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

— Taka właśnie jest Pat Harvey — ciągnęła Abby. — Wpadłam do niej rankiem tego dnia, kiedy wybierałam się do Roanoke. Rozmawiałyśmy krótko na temat tego artykułu w „Post” i zdawało mi się, że całkiem nieźle sobie z tym wszystkim radzi, dopóki się nie uśmiechnęła. Jej uśmiech zmroził mi krew w żyłach. — Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. — Wtedy zrozumiałam, że artykuł Cliffa popchnął ją za krawędź normalności. Zabójstwo Debory załamało ją, ale ten artykuł dobił ją zupełnie. Pamiętam, że gdy z nią rozmawiałam, miałam cały czas wrażenie, że czegoś jej brakuje. Po chwili zrozumiałam, że nie ma już w niej Pat Harvey.

— Czy wiedziała o romansie męża?

— Teraz już wie.

— Jeśli to prawda — dodałam.

— Cliff nie napisałby czegoś, na co nie miałyby dowodów.

Zastanawiałam się, co mnie mogłoby doprowadzić do takiego stanu. Lucy? Mark? Gdybym miała jakiś wypadek, wskutek którego nie mogłabym się posługiwać dłońmi, albo gdybym oślepla? Nie mam pojęcia, co mogłoby mnie załamać. Może to było jak z umieraniem? Kiedy już cię nie ma, nawet o tym nie wiesz.

Dotarliśmy do dzielnicy Old Town w Williamsburgu krótko po południu; kompleks mieszkalny, w którym niegdyś mieszkały Jill i Elizabeth, niczym szczególnym się nie wyróżniał — ot, zbiorowisko ceglanych domów w jednakowym, jasnożółtym kolorze, o czerwonych tabliczkach z numerami poszczególnych bloków umieszczonych nad wejściami. Trawniki przed domami pokryte były zeschlą, zimową trawą i ciemnymi paskami klombów, przykrytych igiełkami sosnowymi. Gdzieniedzie widać było huśtawki, stoliki oraz miejsca przygotowane na ogniska i grille.

Zatrzymałyśmy się na parkingu i popatrzyłyśmy na balkon, który niegdyś należał do Jill. Przez szerokie odstępki pomiędzy prętami bariery widać było biało-niebieskie krzeselka, kołyszące się lekko na wietrze. Z haczyka wbitego w sufit zwisał łańcuszek przeznaczony na doniczki z kwiatami. Elizabeth mieszkała w domu po przeciwnej stronie parkingu. Z okien swych apartamentów przyjaciółki mogły patrzeć sobie nawzajem w okna. Mogły sprawdzać, kiedy gaśnie, a kiedy zapala się światło, wiedzieć, kiedy druga z nich wstaje, a kiedy idzie spać, kiedy jest w domu, a kiedy nie.

Przez chwilę siedziałyśmy z Abby w ponurym milczeniu.

— One były dla siebie więcej niż tylko przyjaciółkami, prawda, Kay? — odezwała się Abby.

— Odpowiedź na twoje pytanie byłaby rozpowszechnieniem plotek.

Uśmiechnęła się leciutko.

— Prawdę mówiąc, przyszło mi to już do głowy, kiedy pracowałam nad materiałem do artykułu o nich. W każdym razie zastanawiałam się nad tym, ale nikt nigdy nie powiedział tego wprost ani nawet nie zasugerował. —

Umilkła i przez długą chwilę wyglądała przez okno. — Chyba wiem, co musiały czuć.

Spojrzałam na nią.

— Pewnie było z nimi tak, jak ze mną i Cliffem. Musiały wykradać się za miasto, ukrywać przed znajomymi, poświęcać połowę swej energii na martwienie się, czy też ktoś nie zacznie czegoś podejrzewać.

— Ludzi tak naprawdę nic to nie obchodzi — powiedziałam, wrzucając bieg. — Są zbyt zajęci własnym życiem.

— Ciekawa jestem, czy Jill i Elizabeth kiedykolwiek by się tego domyśliły.

— Jeśli ich miłość była większa niż ich strach, pewnie by kiedyś wreszcie na to wpadły.

— A tak przy okazji, to dokąd jedziemy? — Abby cały czas wyglądała przez okno na umykające pobocze drogi.

— Po prostu zwiedzamy okolicę — odrzekłam. — Jedziemy mniej więcej w kierunku śródmieścia.

Nie wyjaśniłam jej celu naszej podróży; powiedziałam tylko, że „chcę się rozejrzeć”.

— Szukasz tego cholernego samochodu, prawda?

— Nic nie zaszkodzi.

— A co zamierzasz zrobić, kiedy już go znajdziesz, Kay?

— Zapiszę numer rejestracyjny i sprawdzę, do kogo nas doprowadzi tym razem.

— No... cóż. — Abby roześmiała się głośno. — Jeżeli znajdziesz ciemnoszarego lincolna mark seven z 1990 roku, z naklejką na tylnym zderzaku, zapłacę ci sto dolarów.

— Lepiej już zacznij szukać książeczki czekowej, bo jeżeli tylko jest w tym mieście, znajdę go.

I faktycznie znalazłam, niecałe pół godziny później, postępując zgodnie ze starą jak świat regułą, zalecaną przy szukaniu rzeczy zgubionych. Wróciłam po własnych śladach. Kiedy dojechałyśmy na Merchant's Square, samochód, o który nam chodziło, stał tam, jak wół, dokładnie w tym samym

miejscu, gdzie zobaczyliśmy go po raz pierwszy, gdy kierowca zatrzymał się, by zapytać nas o drogę.

— Jezu Chryste — wyszeptała Abby. — Własnym oczom nie wierzę.

Wóz był pusty, a słońce odbijało się w szybach. Wyglądał tak, jakby dopiero co ktoś go umył i wywoskował. Na lewej stronie tylnego zderzaka dojrzałam naklejkę parkingową, a na tablicach rejestracyjnych widniał numer: ITU-144. Abby zapisała go pospiesznie.

— To zbyt proste, Kay. To nie może być prawda.

— Nie wiemy jeszcze, że to ten sam samochód. — Do głosu doszedł mój naukowy umysł. — Wygląda tak samo, ale nie mamy żadnej pewności.

Zaparkowałam jakieś dwadzieścia miejsc dalej, wciskając się pomiędzy vana a pontiaca; nadal siedząc w samochodzie, rozejrzałyśmy się po sklepach przy parkingu: sklepik z pamiątkami, zakład handlujący drewnianymi oprawkami, restauracja. Pomiedzy sklepem z tytoniem a piekarnią znajdowała się mała księgarnia o niewielkiej wystawie zapchanej książkami. Nad drzwiami wisiał drewniany szyld z napisem „Dealer’s Room”, wymalowanym białymi, stylizowanymi literami.

— Krzyżówki — mruknęłam pod nosem i dreszcz przebiegł mi po plecach.

— Co takiego? — Abby nadal przyglądała się lincolnowi.

— Jill i Elizabeth lubiły rozwiązywać krzyżówki. Często w niedziele wychodziły gdzieś na śniadanie i kupowały „New York Timesa”. — Już otwierałam drzwi samochodu.

Abby położyła mi dłoń na ramieniu, usiłując mnie powstrzymać.

— Nie, Kay, zaczekaj chwilę. Musimy się najpierw zastanowić.

Z powrotem oparłam się o siedzenie.

— Nie możesz tak po prostu tam wejść — dodała i zabrzmiało to jak rozkaz.

— Chcę kupić gazetę.

— A jeżeli on tam jest? Co wtedy zrobisz?

— Chcę zobaczyć, czy to ten facet z lincolna. Myślę, że go rozpoznam.

— A on może rozpoznać ciebie.

— „Dealer” może mieć także związek z kartami* [* Dealer — po angielsku to albo „handlarz”, albo ten, kto rozdaje karty podczas gry (przyp. tłum.).] — myślałam na głos; w tej chwili młoda kobieta o krótko ostrzyżonych, czarnych włosach otworzyła drzwi do księgarni i zniknęła w jej wnętrzu. — A ktoś, kto ma do czynienia z kartami, mógłby mieć dostęp do waleta kierowego — dodałam cicho.

— Rozmawiałś z nim, kiedy prosił cię o wskazanie drogi do autostrady, twoje zdjęcie nie raz było w gazetach. — Abby przejęła kontrolę nad sytuacją. — Nie pozwolę ci tam wejść. Ja to zrobię.

— Obie wejdziemy.

— Toż to szaleństwo!

— Masz rację. — Już się zdecydowałam. — Ty tu zostajesz, a ja wchodzę do księgarni.

Wysiadłam z samochodu, zanim Abby zdążyła się ze mną pokłócić. Ona także wysiadła, lecz stała obok mercedesa z zagubionym wyrazem twarzy, a ja dziarskim krokiem poszłam w stronę sklepu. Na szczęście Abby nie ruszyła za mną — była zbyt rozsądna, by wywoływać scenę.

Kiedy położyłam dłoń na żelaznej klamce u drzwi, serce waliło mi jak szalone, a kolana nieomal się pode mną ugięły.

Stał za ladą z uśmiechem na ustach i właśnie realizował zamówienie jakiejś kobiety w średnim wieku, która trajkotała:

— ...w końcu po to są urodziny. Kupuje się mężowi książkę, którą chce się wreszcie przeczytać...

— Jeżeli tylko oboje lubicie tych samych autorów, nie ma w tym absolutnie nic złego. — Miły, gładki głos, łagodny i uspokajający; osobie o takim głosie człowiek automatycznie ufa.

Skoro już znalazłam się w sklepie, miałam ogromną ochotę z niego wyjść. Po jednej stronie lady znajdował się stojak z gazetami, między innymi zobaczyłam na nim „New York Timesa”. Mogłam wziąć jedną z nich, zapłacić szybko i wyjść, ale nie mogłam zmusić się do spojrzenia mu w oczy.

To był on.

Wróciłam pospiesznie do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Abby siedziała w środku, paląc papierosa.

— Nie może tu pracować i nie wiedzieć, jak dojechać do autostrady — powiedziałam, włączając silnik.

Zrozumiała mnie doskonale.

— Chcesz od razu zadzwonić do Marina czy zaczekasz z tym do powrotu do domu?

— Zadzwoimy do niego w tej chwili. — Znalazłam telefon i dodzwoniwszy się na komendę, usłyszałam, że Marino jest nieuchwytny. Zostawiłam krótką wiadomość: — ITU-144, zadzwoń.

Abby zadała mi mnóstwo pytań, a ja zrobiłam, co w mojej mocy, by na nie jak najdokładniej odpowiedzieć. Potem jechałyśmy już w milczeniu. Czułam nieprzyjemne ssanie w żołądku. Rozważałam zatrzymanie się gdzieś na poboczu, gdyż miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Abby przyglądała mi się z napięciem; widziałam, że jest zaniepokojona.

— Mój Boże, Kay. Jesteś blada jak ściana.

— Nic mi nie jest.

— Chcesz, żebym poprowadziła?

— Nie, wszystko w porządku. Naprawdę.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do mego domu, od razu poszłam do sypialni. Ręce mi się trzęsły, gdy wykręcałam numer Marka. Po drugim sygnale odezwała się automatyczna sekretarka i właśnie chciałam odłożyć słuchawkę, gdy uświadomiłam sobie, jak dawno nie słyszałam jego głosu.

— Przykro mi, ale nie ma mnie w tej chwili w domu...

Po długim sygnale zawahałam się chwilę, po czym odłożyłam słuchawkę na widełki. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Abby stojącą w drzwiach. Widząc jej minę, zrozumiałam, że wie, co zrobiłam.

Kiedy tak na nią patrzyłam, oczy wypełniły mi się łzami. Abby podeszła i usiadła obok mnie na łóżku.

— Dlaczego nie zostawiłaś mu wiadomości? — szepnęła.

— Skąd możesz wiedzieć, do kogo dzwoniłam? — Walczyłam o odzyskanie kontroli nad własnym głosem.

— Bo to ten sam impuls, który i ja czuję, gdy jestem okropnie

zdenerwowana. Chcę sięgnąć po słuchawkę i zadzwonić do Cliffa. Nawet teraz, po tym wszystkim.

— A dzwoniłaś do niego ostatnio?

Powoli potrząsnęła głową.

— Nie rób tego, Abby. Ani teraz, ani nigdy więcej.

Przyglądała mi się bacznie.

— Czy to wejście do księgarni i zobaczenie go tak na ciebie podziałało?

— Nie jestem pewna.

— A mnie się wydaje, że jesteś.

Odwróciłam wzrok.

— Kiedy podejść zbyt blisko, wiem... już kiedyś mi się to zdarzyło. Sama siebie pytam, czemu tak się dzieje?

— Ludzie tacy jak my już tak są skonstruowani. Mamy w sobie jakiś pęd, siłę, która gna nas do przodu. Dlatego tak się dzieje — wyjaśniła.

Nie potrafiłam przyznać się jej do moich obaw. Nawet gdyby Mark odebrał telefon, nie wiem, czy przyznałabym się jemu.

Abby patrzyła gdzieś w dal, a jej głos dobiegał jakby z wielkiej odległości, kiedy spytała:

— Tak wiele wiesz o śmierci, ale czy kiedykolwiek zastanawiasz się nad własną?

Wstałam z łóżka.

— Gdzie, u diabła, jest Marino? — Podniosłam słuchawkę i po raz kolejny spróbowałam się do niego dodzwonić.

Rozdział szesnasty

Dni rozciągnęły się w tygodnie, a ja czekałam niecierpliwie; Marino nie odezwał się do mnie, odkąd zostawiłam mu wiadomość o „Dealer’s Room”. Nikt inny także się ze mną nie kontaktował, a z każdą mijającą godziną cisza wokół mnie robiła się coraz bardziej wyrazista i złowieszcza.

Pierwszego dnia wiosny, kiedy wyszłam z pokoju konferencyjnego po trzech godzinach utarczki z prawnikami, Rose powiedziała mi, że mam telefon.

— Kay? Mówi Benton.

— Dzień dobry — odrzekłam, czując, jak adrenalina zaczyna mi krążyć we krwi.

— Czy możesz jutro przyjechać do Quantico?

Spojrzałam na mój kalendarz; Rose wpisała ołówkiem jakąś konferencję, którą najwyraźniej można było odwołać.

— O której?

— O dziesiąte, jeżeli możesz. Do Marina już dzwoniłem.

Zanim zdążyłam zadać mu jakiegokolwiek pytanie, dodał, że nie może długo rozmawiać i że wyjaśni mi wszystko podczas jutrzejszego spotkania.

Z biura wyszłam o szóstej po południu; słońce już zaszło i zrobiło się chłodno. Podjechawszy pod garaż, zauważyłam palące się światło; Abby już była w domu.

Ostatnio rzadko się widywałyśmy, obie często wychodziłyśmy o dziwnych porach z domu, nie odzywając się do siebie prawie wcale. Abby nigdy nie robiła zakupów, lecz od czasu do czasu zostawiała przyklejony do lodówki banknot pięćdziesięciodolarowy, który i tak aż nadto pokrywał to, co zjadała. Kiedy zaczynało się kończyć wino albo whisky, pod butelką znajdowałam dwadzieścia dolarów, a kilka dni temu znalazłam pięciodolarowy banknot na prawie pustym pudełku proszku do prania. Chodząc po własnym domu, zamieniłam się w osobliwego łowcę skarbów.

Kiedy otwierałam drzwi, Abby nagle weszła do przedpokoju i

przestraszyła mnie.

— Przepraszam — powiedziała. — Usłyszałam, jak podjeżdżasz... nie chciałam cię wystraszyć.

Poczułam się głupio. Odkąd się wprowadziła, robiłam się coraz bardziej nerwowa. Po prostu chyba nie potrafiłam przyzwyczać się do utraty samotności.

— Zrobić ci drinka? — spytała. Wyglądała na zmęczoną.

— Dzięki — odparłam, rozpinając płaszcz. Zajrzałam do salonu i zobaczyłam kieliszek wina i popielniczkę zapchaną niedopałkami, stojące na stoliku do kawy, tuż obok kilku notesów.

Zdjęłam płaszcz i rękawiczki, po czym poszłam na górę i rzuciłam je na łóżko; zatrzymałam się tylko po to, by włączyć odtwarzanie na automatycznej sekretarce. Moja matka usiłowała się ze mną skontaktować; miałam szansę wygrać fascynującą nagrodę, jeżeli zadzwonię pod dany numer przed ósmą wieczorem, Marino dzwonił, by powiedzieć, że podjedzie po mnie jutro rano. Oboje z Markiem nie mogliśmy się jakoś zgrać i zawsze zamiast rozmawiać z sobą bezpośrednio, rozmawialiśmy z automatycznymi sekretarkami.

— Muszę być jutro w Quantico — powiedziałam Abby, wchodząc do salonu. Wskazała mi mojego drinka stojącego na stole i sięgnęła po papierosy. — Wraz z Marinem mamy spotkanie z Bentonem — dodałam. — Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi? Może ty coś wiesz?

— Niby dlaczego miałabym coś wiedzieć?

— Rzadko bywasz w domu, a nie mam pojęcia, co robisz poza nim.

— Kiedy ty jesteś w pracy, ja także nie wiem, co robisz.

— Nie robiłam nic niezwykłego. A co chciałabyś wiedzieć? — zapytałam lekko, starając się rozładować napięcie.

— Nie pytam, bo wiem, jaka jesteś skryta. Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Założyłam, że daje w ten sposób do zrozumienia, iż pytając ją, co robiła, będę wtykać nos w nie swoje sprawy.

— Abby, wydajesz się dziwnie niedostępna ostatnimi czasy.

— Raczej zapracowana. Proszę, nie bierz tego do siebie.

Z pewnością miała się nad czym zastanawiać — przede wszystkim miała książkę do napisania i życie do ułożenia na nowo. Jednak nigdy do tej pory nie widziałam jej tak zamkniętej w sobie.

— Martwię się o ciebie, to wszystko — powiedziałam.

— Nie rozumiesz, Kay. Ja już po prostu taka jestem. Kiedy pracuję, nie potrafię myśleć o niczym innym, żyję moją pracą. — Urwała. — Miałaś rację, mówiąc, że ta książka jest moją szansą na odkupienie... na naprawienie błędów. Tak właśnie jest.

— Cieszę się, Abby. Znając ciebie, z pewnością będzie to bestseller.

— Może. Ale nie jestem jedyną osobą zainteresowaną pisaniem książki o tych sprawach. Mój agent słyszał podobno o innych transakcjach i dobijanych targach z wydawnictwami. Co prawda znacznie wyprzedzam ich wszystkich, ale i tak muszę się sprężyć z robotą.

— Ale ja martwię się tym, co będzie z tobą, a nie z twoją książką.

— Jesteś kochana, Kay — odparła. — Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, że mogę u ciebie mieszkać. Obiecuję, że już niedługo będę mogła się stąd wyprowadzić...

— Możesz zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

Zebrała swe notatki i wzięła kieliszek.

— Już wkrótce muszę zacząć pisać, a nie mogę tego zrobić, dopóki nie będę na własnych śmieciach, z własnym komputerem.

— Więc obecnie tylko zbierasz materiały?

— Taak. I znalazłam mnóstwo rzeczy, o których nawet nie wiedziałam, że ich szukam — dodała enigmatycznie i wyszła z pokoju.

Kiedy następnego ranka wreszcie ruszyliśmy do Quantico, wszystkie samochody nagle stanęły; najwyraźniej gdzieś na północ od nas, na drodze numer I-95, zdarzył się wypadek. Marino wystawił na dach koguta, włączył światła i zjechał na pobocze, którym tłukliśmy się przez następne sto jardów przy akompaniamencie kamieni stukających o podwozie.

Przez ostatnie dwie godziny Marino zdawał mi kompletny raport ze swych ostatnich osiągnięć, podczas gdy ja zastanawiałam się, co też Wesley ma nam do powiedzenia, i martwiłam się o Abby.

— Nie miałem pojęcia, że mycie żaluzji jest tak upierdliwe — narzekał Marino, gdy jechaliśmy obok strzelnicy i baraków zajmowanych przez korpus marines. — Spryskuję je płynem do mycia — zerknął na mnie — i przeczyszczenie jednej listewki zajmuje mi pełną minutę, wyobrażasz sobie? Na dodatek cały dom mam ubabrany skrawkami papierowych ręczników. Aż wreszcie wpadłem na pomysł, zdjąłem całe to cholerstwo i wrzuciłem do wanny. Zalałem gorącą wodą z mydłem i zadziałało jak marzenie.

— To wspaniale — mruknęłam.

— Jestem też w trakcie zdzierania tapety w kuchni... kupiliśmy ją wraz z domem i Doris nigdy się nie podobała.

— Teraz ważniejsze jest to, czy tobie się podoba, czy nie? To ty tam mieszkasz.

Wzruszył ramionami.

— Jeżeli chcesz znać prawdę, nigdy nie przywiązywałem do tego większej wagi. Pomyślałem jednak, że skoro Doris twierdzi, że jest brzydka, to pewnie tak jest. Rozważaliśmy kiedyś kupno grilla i postawienie takiego naziemnego basenu... więc pewnie i do tego się wreszcie wezmę. W lecie powinienem mieć trochę czasu.

— Marino, uważaj — wtrąciłam łagodnie. — Czy jesteś pewien, że te wszystkie zmiany robisz dla siebie? — A gdy nie odpowiedział, dodałam: — Nie uzależniaj swej przyszłości od nadziei, która być może wcale nie istnieje.

— To nic nie zaszkodzi — rzekł wreszcie. — Nawet jeżeli ona nigdy już do mnie nie wróci, nic nie zaszkodzi, że będę mieć ładnie urządzonego dom.

— Cóż, będziesz musiał mnie kiedyś zaprosić — odparłam.

— Taak. Dziwne, że ja tyle razy byłem u ciebie, a ty nigdy nie widziałaś mojego domu.

Zaparkował i wysiedliśmy. Akademia FBI rozrastała się coraz bardziej poza granice bazy piechoty morskiej; główny budynek, z fontanną od frontu i stale powiewającymi flagami, zamieniony został na biurowiec administracji, a

centrum działań szkoleniowych przeniesiono do nowego, beżowego, ceglanego gmachu obok. To, co wyglądało jak budynki internatu, rozrosło się jeszcze bardziej. Odgłosy strzałów dochodzące z oddali brzmiały jak petardy.

Marino oddał swój rewolwer tuż przy wejściu, podpisaliśmy się na liście gości, przypięliśmy identyfikatory, po czym Pete poprowadził mnie całą płataniną skrótów i nie znanych mi przejść; ruszyłam za nim przez ogromne oszklone drzwi z budynku, przeszłam przez trawnik. Znajdowaliśmy się w samym sercu Quantico; wreszcie wynurzyliśmy się na tyłach sklepu z pamiątkami, przez który Marino przeszedł, nawet nie rzuciwszy okiem na młodą dziewczynę stojącą za ladą z koszulkami. Rozchyliła usta w cichym proteście na nasze nieobyczajne wtargnięcie na jej teren. Po wyjściu ze sklepu i przebyciu kilkunastu metrów żwirową ścieżką zobaczyłam bar The Boardroom, gdzie Benton czekał na nas przy stoliku w rogu sali.

Nie tracił czasu na zbyteczne formalności i od razu przeszedł do rzeczy.

Właścicielem księgarni „Dealer’s Room” był Steven Spurrier; Wesley opisał go następująco: „trzydzieści cztery lata, biały, o czarnych włosach i brązowych oczach. Pięć stóp i jednaście cali wzrostu, sto sześćdziesiąt funtów wagi”. Spurrier nie został jeszcze aresztowany ani przesłuchany, ale cały czas znajduje się pod obserwacją. To, co jak na razie zaobserwowali agenci, nie jest do końca normalne.

Kilkakrotnie wychodził w nocy ze swego dwupiętrowego, ceglanego domu i jechał samochodem do dwóch barów i jednego miejsca postojowego przy autostradzie. Wydawało się, że nigdy zbyt długo nie pozostaje w tym samym miejscu; zawsze jest sam. W zeszłym tygodniu podszedł do pary młodych ludzi wychodzących z baru o nazwie Tom-Toms; zdaje się, że pytał ich o drogę. Nic więcej się nie stało. Para wsiadła do swego samochodu i odjechała, a Spurrier wrócił do swego lincolna i pokręciwszy się po okolicy, pojechał do domu. Do tej pory ani razu nie zamienił tablic rejestracyjnych.

— Mamy problem z dowodami — powiedział Wesley, patrząc na mnie zza szkieł okularów; wyraz twarzy miał ponury. — W laboratorium znajduje się łuska, a ty trzymasz w Richmond kulę wydobytą z ciała Debory Harvey.

— Nieprawda — odrzekłam. — To nie ja mam kulę, lecz Biuro Medycyny

Sądowej. Zakładam, że już zaczęliście robić analizę DNA krwi znalezionej na tym samym siedzeniu Elizabeth Mott?

— Wyniki będą za jakiś tydzień, może dwa.

Skinęłam głową; laboratorium FBI do badania DNA używa zazwyczaj pięciu polimorficznych próbek, z których każda musi przebywać pod wywołującym rentgenowskim około tygodnia. Dlatego właśnie jakiś czas temu wysłałam Wesleyowi list, sugerując, by pobrał próbki od Montany i natychmiast kazał rozpocząć analizę krwi z volkswagena.

— DNA nic nam nie da bez próbki krwi podejrzanego — przypomniał Marino.

— Pracujemy nad tym — odpowiedział mu Wesley ze stoickim spokojem.

— Taak, ale zdaje mi się, że możemy przyskrzynieć Spurriera za ten numer z tablicami rejestracyjnymi. Zapytać go, po jakiego grzyba kilka tygodni temu jeździł po mieście na tablicach Aranoffa.

— Nie możemy mu tego nijak udowodnić. To będzie jego słowo przeciwko słowu Abby i Kay.

— Potrzebujemy tylko i wyłącznie papierka z sądu, by zacząć grzebać w jego życiorysie... może znajdziemy dziesięć par butów — mruknął Marino. — Może uzi, albo kule typu Hydra-Shock? Bóg jeden wie, co możemy wygrzebać w mieszkanku tego pajaca.

— Takie właśnie mamy plany — odparł Wesley. — Ale nie możemy się spieszyć.

Wstał, by przynieść sobie jeszcze kawy, a Marino poszedł za nim, wzięwszy ze sobą moją filiżankę. O tej wczesnej porze w The Boardroom nie było jeszcze nikogo. Rozejrzałam się po pustych stolikach, spojrzałam na telewizor stojący w kącie sali i spróbowałam sobie wyobrazić, jak to miejsce wygląda późnym wieczorem. Agenci szkolący się w akademii żyją jak księża; przedstawiciele przeciwnej płci, alkohol i papierosy są zabronione wewnątrz internatów, a drzwi do pokojów nie mogą być zamykane na klucz. Jednak w The Boardroom serwowano wino i piwo; podejrzewałam, że tu również kłócono się, plotkowano i wszczynano bójkę. Pamiętam, jak Mark opowiadał mi kiedyś, że gdy siedział tu ze znajomymi pewnego wieczoru, do sali wszedł

żółtodzioby agent FBI, który tak wielce zaangażował się w odrabianie pracy domowej, że postanowił „zaaresztować” weteranów z DEA siedzących przy sąsiednim stoliku. Nie wyszło mu to na zdrowie, stoły zaczęły walić się na ziemię, piwo poszło w ich ślady, a wszędzie walał się popcorn.

Wesley i Marino wrócili do naszego stolika; — postawiwszy filiżankę na blacie, Benton zdjął szarą marynarkę i powiesił ją ostrożnie na oparciu krzesła. Zauważyłam, że na jego białej koszuli nie było ani jednej zmarszczki, a niebieski krawat w drobny biały rzucik idealnie pasował do niebieskich szelek. Marino stanowił wprost wymarzone tło dla swego partnera — z ogromnym brzuchem nie wyglądałby dobrze w żadnym garniturze, lecz musiałam przyznać, że ostatnimi czasy naprawdę się stara.

— Co wiesz o pochodzeniu Spurriera? — zapytałam.

Wesley robił sobie notatki na skrawku papieru, podczas gdy Marino przeglądał dane o podejrzanym. Miałam wrażenie, że obaj zupełnie zapomnieli o mojej obecności przy stoliku.

— Nie ma żadnej przeszłości kryminalnej — odparł Benton, spoglądając na mnie. — Nigdy nie był aresztowany, przez ostatnie dziesięć lat nie zapłacił nawet mandatu za przekroczenie prędkości. W lutym 1990 roku kupił lincolna od handlarza w Virginia Beach; wymienił na niego swój poprzedni samochód, rocznik 1986, a resztę dopłacił gotówką.

— Musi mieć sporo kasy — skomentował Marino. — Jeździ niezłą bryką, mieszka w fajnym mieszkanku. Trudno mi uwierzyć, że zarobił na to wszystko, sprzedając książki.

— Bo i nie zarabia aż tyle — odrzekł Wesley. — Wedle jego zeznania podatkowego z zeszłego roku, na czysto zarobił raptem trzydzieści tysięcy dolarów. Ale ma sporo akcji, nieruchomości przy rzece, gra na giełdzie i ma około pół miliona w obligacjach.

— Jezu. — Marino potrząsnął głową.

— Ma kogoś na utrzymaniu? — spytałam.

— Nie — odpowiedział Wesley. — Nie jest żonaty, oboje rodzice nie żyją. Jego ojciec odniósł wiele sukcesów w handlu nieruchomościami i zmarł, gdy Steven miał dwadzieścia kilka lat. Podejrzewam, że właśnie stąd Spurrier ma

tyle pieniędzy.

— A co z jego matką? — Chciałam wiedzieć.

— Umarła w jakiś rok po mężu. Rak. Steven przydarzył im się dość późno... kiedy się urodził, jego matka miała już czterdzieści dwa lata. Jego jedynym rodzeństwem jest brat, Gordon, mieszkający w Teksasie, starszy o piętnaście lat. Żonaty, czwórka dzieci.

Benton przekartkował swój notes i wygrzebał z niego następne dane. Spurrier urodził się w Gloucester, studiował na uniwersytecie stanowym Wirginii, gdzie zrobił dyplom z angielskiego. Potem wstąpił do marynarki wojennej, ale służył zaledwie cztery miesiące. Następne jedenaście miesięcy spędził przy prasie drukarskiej, gdzie jego jedynym obowiązkiem było utrzymanie maszynerii w ruchu.

— Chciałbym wiedzieć coś więcej na temat tych czterech miesięcy w marynarce — odezwał się Marino.

— Właściwie niewiele tego jest — odparł Wesley. — Kiedy został przyjęty, wysłano go na obóz szkoleniowy w okolicach Wielkich Jezior, a potem do Fort Benjamin Harrison w Indianapolis. Jakiś czas później przeniesiono go do oddziału floty atlantyckiej stacjonującej w Norfolk. — Podniósł wzrok znad notatek. — Miesiąc potem zmarł jego ojciec i Steven postarał się o zwolnienie, by móc wrócić do Gloucester i zająć się matką, która już wtedy miała raka.

— A jego brat? — zapytał Marino.

— Najwyraźniej nie mógł oderwać się od pracy i obowiązków rodzinnych w Teksasie. — Urwał i spojrzał na nas. — Może były i inne powody. Stosunki Stevena z rodziną są dla mnie bardzo ważne, ale jeszcze przez jakiś czas nie będę mógł zasięgnąć żadnych informacji.

— Dlaczego nie? — spytałam.

— Bo w tym momencie rozmowa z jego bratem może być zbyt ryzykowna. Nie chcę, by zadzwonił do Spurriera i mnie wydał. Poza tym wątpię, by Gordon chciał z nami współpracować. W tego typu sprawach krewni zazwyczaj trzymają się razem, nawet jeżeli wcześniej pomiędzy nimi się nie układało.

— Ale z kimś już rozmawiałeś — powiedział Marino.

— Z kilkoma osobami w marynarce, z jego kolegami i wcześniejszym pracodawcą.

— No i co mieli do powiedzenia na jego temat?

— Że to samotnik — odparł Wesley. — Zrobił dyplom z angielskiego ze specjalnością dziennikarstwo, ale bardziej interesowało go czytanie niż pisanie. Zdaje się, że praca przy prasie drukarskiej bardzo mu odpowiadała. Trzymał się na uboczu, z nosem wetkniętym w książkę. Jego szef mówił, że Spurrier lubił polerować maszyny, utrzymywać je czyściutkie i na wysoki połysk. Bywało, że przez kilka dni nie odzywał się do nikogo, tylko wykonywał swą robotę. Wedle jego słów, Spurrier to dziwak.

— Czy podał jakieś przykłady na poparcie tej opinii?

— Kilka — odrzekł Wesley. — Kiedyś jedna z pracownic odcięła sobie gilotynką do papieru koniuszek palca, a Spurrier wściekł się na nią, bo zakrwawiła element maszyny, który on przed chwilą wyczyścił. Podobno jego reakcja na śmierć matki była równie nienormalna. Steven czytał książkę podczas przerwy na lunch, gdy zadzwonili z wiadomością o jej śmierci ze szpitala. Nie okazał żadnych emocji, po prostu odłożył słuchawkę, wrócił na swe miejsce i z powrotem zajął się czytaniem.

— Ależ przyjemniaczek — mruknął Marino.

— Nikt nie twierdził, że facet jest uczuciowy.

— I co się stało po śmierci jego matki? — zapytałam.

— Zakładamy, że właśnie wtedy otrzymał spadek, przeprowadził się do Williamsburga, wydzierżawił pomieszczenie na Merchant's Square i założył „Dealer's Room”. To było dziewięć lat temu.

— Rok przed tym, jak Elizabeth Mott i Jill Harrington zostały zamordowane — odezwałam się cicho.

Wesley skinął głową.

— Był wtedy w okolicy. I podczas wszystkich następnych morderstw. Pracuje w księgarni od chwili, gdy ją otworzył, z wyjątkiem pięciu miesięcy, jakieś siedem lat temu. Sklep był wtedy zamknięty, ale nikt nie wie, dlaczego Spurrier wyjechał ani gdzie był w tym czasie.

— Sam prowadzi sklep? — spytał Marino.

— To mały biznes. Spurrier nikogo nie zatrudnia, w poniedziałki nie pracuje. Ludzie mówią, że gdy nikogo nie ma w sklepiku, Spurrier po prostu siedzi za ladą i czyta, a jeżeli wychodzi ze sklepu przed godziną oficjalnego zamknięcia, to albo wraca do domu, albo zostawia kartkę z napisem, że wróci o tej lub o tej godzinie. Ma także zainstalowaną automatyczną sekretarkę. Jeżeli szukasz jakiejś konkretnej książki albo jeżeli chcesz, by znalazł ci coś, co jest niedostępne w normalnych księgarniach, wystarczy, że zostawisz mu wiadomość na sekretarce.

— Interesujące, że ktoś, kto jest uważany za samotnika i odludka, otwiera nagle biznes, który wymaga od niego stałego kontaktu z klientami, nawet jeżeli ten kontakt jest ograniczony — odezwałam się.

— Właściwie to jest całkowicie zrozumiałe i na miejscu — odparł Wesley.
— Księgarnia jest doskonałym miejscem dla kogoś zainteresowanego podglądaniem ludzi, bez zawierania z nimi bliższej znajomości. Podobno studenci z William and Mary często zaglądają do jego księgarni, gdyż Spurrier handluje niezwykle, niedostępnymi gdzie indziej książkami, aż do fantastyki i nowelek włącznie. Ma także szeroki wybór powieści detektywistycznych i magazynów militarystycznych, które przyciągają klientów z pobliskiej bazy wojskowej. Jeżeli to on jest mordercą, to widok młodych ludzi oraz wojskowych przychodzących do jego sklepu mógłby go zafascynować, a jednocześnie obudzić w nim głęboką frustrację, poruszyć poczucie nieprzystosowania i gniew. Nienawidziłby tych, którym zazdrości, i zazdrościł tym, których nienawidzi.

— Ciekawa jestem, czy podczas swego pobytu w wojsku był wyśmiewany przez kolegów — mruknęłam.

— Z tego, co wiem, owszem, przynajmniej do pewnego stopnia. Koledzy Spurriera uważali go za mięczaka, faceta bez jaj, natomiast przełożeni twierdzili, że jest arogancki i wyniosły, choć nigdy nie stwarzał problemów dyscyplinarnych. Spurrier nie miał powodzenia u kobiet i zawsze trzymał się na uboczu, po części z własnego wyboru, a po części dlatego, że inni nie uważali jego towarzystwa za zbyt atrakcyjne.

— Może podczas służby w marynarce po raz pierwszy i ostatni czuł się bliski bycia prawdziwym mężczyzną — powiedział Marino. — Czyli bycia kimś, kim zawsze pragnął być. Ojciec umiera, a Spurrier musi zająć się chorą matką; uważa, że został wystrychnięty na dudka.

— To bardzo możliwe — zgodził się Wesley. — W każdym razie morderca, z którym mamy do czynienia, uważa, że jego problemy powstają z winy innych ludzi. Nie bierze na siebie odpowiedzialności za własne czyny. Uważa, że to inni kontrolują jego życie i dlatego kontrolowanie ich i wszystkiego dokoła stało się jego obsesją.

— Wygląda na to, że on po prostu mści się na świecie za swe krzywdy — odezwał się Marino.

— Morderca okazuje swym ofiarom, że ma władzę — dodał Wesley. — Jeżeli w jego fantazjach pojawiają się aspekty militarystyczne, a uważam, że tak właśnie jest, to możliwe, że udowadnia sobie i innym, iż jest żołnierzem doskonałym. Zabija i nie ponosi za to odpowiedzialności. Przechytrza przeciwnika, bawi się z nim w kotka i myszkę, i wygrywa. Możliwe, że wszystko tak ukartował, by dowody, jakie znajdują nasi detektywi, wskazywały jako mordercę zawodowego żołnierza, pewnie nawet kogoś z Camp Peary.

— Jego własna kampania dezinformacyjna — skonkludowałam.

— Nie może zniszczyć wojska, lecz może się starać zmieszać je z błotem, może usiłować je zbezczęścić i znieślawić — dodał Wesley.

— Taak, i cały ten czas śmieje się nam w nos — burknął Marino.

— Odnoszę wrażenie, że najważniejsze jest tutaj to, iż zabójstwa są następstwem gwałtownych, może nawet seksualnych fantazji, które na początku pojawiły się w kontekście jego społecznego wyizolowania. Uważa, że żyje w niesprawiedliwym świecie, a fantazje dają mu sposobność ucieczki od niego. W swych marzeniach morderca potrafi wyrażać emocje i kontrolować innych ludzi; może być wszystkim i zrobić wszystko, czego tylko zapragnie. Może sprawować władzę nad życiem i śmiercią. Ma moc decydowania, czy zabić, czy darować życie.

— Dobrze by było, gdyby Spurrier tylko fantazjował na temat

mordowania ludzi — rzekł Marino. — Wtedy nie musielibyśmy tu siedzieć i o nim rozmawiać.

— Obawiam się, że to działa w inny sposób — odparł Wesley. — Jeżeli brutalne, gwałtowne fantazje dominują w twoich myślach, to prędzej czy później zaczniesz się zachowywać w ten sposób, by umożliwić wydostanie się tych emocji na zewnątrz. Przemoc napędza brutalne myśli, które z kolei napędzają gwałtowne działania. Po jakimś czasie przemoc i zabijanie stają się naturalnym składnikiem twego dorosłego życia i nie widzisz w nich już nic złego. Nieraz seryjni mordercy mówili mi ze szczerego serca, że oni tylko robili to, o czym wszyscy inni cały czas myślą.

— Złem jest to, co się nam złem wydaje.

Wtedy właśnie stwierdziłam, że nadszedł czas, by podzielić się z nimi moją teorią na temat torebki Debory Harvey.

— Uważam, że jest prawdopodobne, iż morderca wiedział, kim jest Debora — powiedziałam. — Może nie od razu, może nie w chwili, gdy porwał ją i Freda, ale mógł to wiedzieć w chwili, gdy ich zabijał.

— Wyjaśnij nam to, proszę — odparł Wesley, patrząc na mnie z zainteresowaniem.

— Czy któryś z was widział raport dotyczący odcisków palców?

— Taak, ja widziałem — mruknął Marino.

— Jak wiecie, kiedy Vander sprawdzał zawartość torebki Debory Harvey, znalazł fragmentaryczne odciski palców oraz smugi na jej kartach kredytowych, ale prawo jazdy było czyste.

— No i co z tego? — Marino sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego.

— Zawartość jej torebki była dobrze zachowana, gdyż materiał, z jakiego została wykonana, jest wodoodporny, a karty kredytowe oraz prawo jazdy znajdowały się w plastikowych okładkach, czyli były chronione przed czynnikami atmosferycznymi. Gdyby Vander absolutnie nic nie znalazł, nie byłoby to aż takie dziwne. Ale fakt, że znalazł coś na kartach kredytowych, a na prawie jazdy ani smugi, wydaje mi się mocno dziwny. Szczególnie że wiemy, iż Debora Harvey wyjmowała je w 7-Eleven, kiedy usiłowała kupić piwo. Podała je sprzedawczyni, Ellen Jordan. Zastanawiam się, czy

przypadkiem morderca także go nie dotykał, a potem nie wytarł po sobie.

— Niby po co miałyby to zrobić? — spytał Marino.

— Może gdy już siedział w samochodzie z Deborą i Fredem i trzymał ich na muszce rewolweru, dziewczyna powiedziała mu, kim jest jej matka — odrzekłam.

— Interesujące — mruknął Wesley.

— Debora może i była skromną dziewczyną, ale doskonale zdawała sobie sprawę z władzy matki i wpływów rodziny — ciągnęłam. — Możliwe, że powiedziała o tym mordercy w nadziei, że ten zmieni zdanie... że zrozumie, iż krzywdząc ich, rozpęta piekło. To mogło go zaskoczyć, mógł jej kazać wyjąć prawo jazdy i potwierdzić tożsamość. Możliwe, że sam wygrzebał je z torebki i obejrzał na tylnym siedzeniu, gdzie zapewne siedział.

— Więc dlaczego torebka wylądowała w lesie i dlaczego to w niej zostawił waleta kierowego? — zapytał Marino.

— Może aby kupić sobie nieco czasu? — odrzekłam. — Wiedział, że jeep zostanie bardzo szybko odnaleziony, a jeżeli znał tożsamość Debory, wiedział, iż po znalezieniu samochodu, połowa policji stanowej będzie ich szukać. Może chciał to rozegrać ostrożnie... nie chciał, byśmy od razu natrafili na waleta kierowego, więc zostawił go przy ciałach zamiast w jeepie. Wkładając kartę do torebki, a tę z kolei umieszczając pod ciałem Debory, zapewnił sobie, iż ją znajdziemy... ale prawdopodobnie wiele miesięcy po dokonaniu przez niego zbrodni. Zmienił zasady gry, lecz nadal wygrywa.

— Nieźle. Co o tym sądzisz? — Marino spojrzał na Wesleya.

— Sądzę, że nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno, co się tam stało — odpowiedział Benton. — Ale nie zdziwiłbym się, gdyby Debora postąpiła dokładnie tak, jak zasugerowała Kay. Jedno jest pewne: bez względu na to, co Debora powiedziała lub czym mu groziła, morderca nie mógł zaryzykować wypuszczenia jej lub Freda na wolność, gdyż najprawdopodobniej mogliby go zidentyfikować. Więc ich zabił, ale nieprzewidziany splot wydarzeń prawdopodobnie wytrącił go z równowagi. Taak. — Popatrzył na mnie. — Możliwe, że to właśnie to zmusiło go do zmiany zwyczajów. Możliwe też, że zostawiając kartę w jej torebce, chciał okazać pogardę dla niej i wszystkiego,

co sobą reprezentowała.

— Coś w stylu „wypchaj się, nic ci mamuśka nie pomogła” — dodał Marino.

— Możliwe.

Steven Spurrier został aresztowany w następny piątek, kiedy dwóch agentów FBI i dwóch lokalnych detektywów, którzy śledzili go przez cały dzień, zajechało za nim na lotnisko w Newport News.

Kiedy telefon Marina obudził mnie przed świtem, pomyślałam, że zaginęła kolejna para; dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie to, co mówił.

— Zgarnęli go w chwili, gdy kradł kolejne tablice rejestracyjne — tłumaczył mi Marino. — Oskarżyli go o kradzież... tylko na to było ich stać. Ale teraz mamy przynajmniej podstawę, by dokładnie przeszukać jego mieszkanie i przycisnąć go do muru.

— Następny lincoln? — spytałam.

— Tym razem z 1991 roku, srebrnoszary. Jak na razie Spurrier jest u siebie w domu i czeka na wstępne przesłuchanie. Nie mają szans wsadzić go za tak drobne przestępstwo, więc mam nadzieję, że dadzą sobie na wstrzymanie i nie będą się spieszyć z procesem. Kiedy sędzia wyda wyrok, będzie po wszystkim... Spurrier wyjdzie na wolność, zapłaciwszy prawdopodobnie tylko grzywnę.

— A co z nakazem rewizji?

— W jego mieszkaniu w tej chwili aż roi się od gliniarzy. Szukają wszystkiego, co pomoże nam połączyć go z tymi sprawami, od magazynów militarystycznych do zabawek.

— Domyślałam się, że właśnie tam jedziesz — powiedziałam.

— Taak. Dam ci znać, jak będę już coś wiedział.

Nie mogłam zmusić się z powrotem do zaśnięcia. Zarzuciłam więc szlafrok na ramiona i zszedłszy na dół, zapaliłam lampkę w pokoju Abby.

— To tylko ja — rzekłam, gdy usiadła na łóżku, trąc oczy i mrucząc z

niezadowoleniem.

Powiedziałam jej, co się stało; potem poszliśmy do kuchni i zaparzyłam kawę.

— Wiele bym dała, by być przy tym, jak będą przeszukiwać jego dom. — Zdumiało mnie, że jeszcze siedzi w kuchni, zamiast pędzić jak szalona do Williamsburga.

A jednak cały dzień przesiedziała w domu, na dodatek była tak uczynna, że aż miło. Posprzątała w swoim pokoju, pomogła mi w kuchni, a nawet zamiotła patio. Chciała wiedzieć, co policja znalazła w mieszkaniu Spurriera, ale była na tyle rozgarnięta, by zrozumieć, że jazda do Williamsburga nic jej nie da; pewnie nawet nie pozwolono by jej wejść do księgarni, o mieszkaniu nie wspominając.

Marino wpadł do nas późnym popołudniem, w chwili gdy właśnie ładowaliśmy zmywarę do naczyń; od razu po minie poznałam, że nie przynosi nam dobrych wieści.

— Na początku powiem wam, czego nie znaleźliśmy — zaczął. — Nie znaleźliśmy nawet jednej cholernej rzeczy, która przekonałaby sędziów przysięgłych, że Spurrier zabił choćby muchę. Żadnych noży z wyjątkiem tych w kuchni, żadnej broni czy naboju. Żadnych pamiątek, takich jak buty, biżuteria czy kosmyki włosów... nic, co mogłoby należeć do ofiar.

— Czy przeszukano także jego księgarnię? — spytałam.

— O, taak.

— I jego samochód, rzecz jasna.

— Nic.

— Więc powiedz nam, co znaleźliście — poprosiłam, mocno przygnębiona.

— Wystarczająco dużo dziwacznych przedmiotów, bym był przekonany, że to on, doktorku — powiedział Marino. — Chodzi mi o to, że ten drań to żaden harcerzyk. Ma mnóstwo myśliwskich czasopism, interesuje się brutalną pornografią, ma mnóstwo książek o tematyce wojskowej, zwłaszcza o CIA... na dodatek pełno wycinków z gazet właśnie o CIA. Wszystko to zostało skatalogowane i oznaczone. Facet jest dokładniejszy od niejednej

bibliotekarki.

— A znaleźliście może jakieś wycinki na temat tych spraw? — zapytała Abby.

— Taak, włącznie z dotyczącymi zabójstw Elizabeth Mott i Jill Harrington. Znaleźliśmy także całe mnóstwo katalogów ze sklepów z wyposażeniem wojskowym... tych budek, co to sprzedają wszystko od samochodów kuloodpornych przez wykrywacze materiałów wybuchowych po noktowizory. FBI sprawdzi, co Spurrier zamawiał w ciągu ostatnich lat. Jego ubrania także są bardzo interesujące. W szafie ma chyba z tuzin nylonowych kombinezonów, wszystkie czarne albo granatowe, nigdy nie noszone, o obciętych metkach, jakby były przygotowane do jednorazowego włożenia na ubranie, a potem do wyrzucenia po akcji.

— Nylon właściwie nie zostawia żadnych włókien — powiedziałam cicho. — Wiatrówki czy nylonowe kombinezony nie gubią zbyt wielu nitek.

— Masz rację. Zobaczmy, co tu jeszcze ciekawego? — Marino urwał i dokończył drinka. — A, taak. Znaleźliśmy dwa pudełka chirurgicznych lateksowych rękawiczek i drugie tyle tych jednorazowych ochraniaczy na buty, które nosi się w szpitalach.

— Butków?

— Aha. Takich, jakie nosisz w kostnicy, by nie zachlapać butów krwią. I wiesz co? Znaleźliśmy karty, cztery talie. Nowusieńkie, jeszcze nie wyjęte z folii.

— Podejrzewam, że nie brakowało w nich waletów kierowych? — zapytałam z nadzieją w głosie.

— Nie, ale to mnie nie dziwi. Prawdopodobnie wyjmują waleta kierowego, a resztę wyrzuca.

— Wszystkie tej samej firmy?

— Nie, kilku różnych.

Abby siedziała na krześle w milczeniu, z dłońmi zaciśniętymi i opartymi o kolana.

— To dziwne, że nie znaleźliście żadnej broni — odezwałam się po chwili.

— Ten facet jest diablo sprytny, doktorku. Naprawdę ostrożny.

— Ale nie wystarczająco ostrożny. Trzyma wycinki z gazet dotyczące tych morderstw, kombinezony, rękawiczki. I przyłapano go na gorącym uczynku, jak kradnie tablice rejestracyjne, co sprawia, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie przygotowywał się do następnego zabójstwa.

— Miał przykręcone skradzione tablice, gdy zatrzymał was, by zapytać o drogę — wytknął mi Marino. — Nie słyszałem, by tamtego weekendu zaginęła jakaś para.

— To prawda. — Zaczęłam głośno myśleć. — I nie miał także na sobie kombinezonu.

— Możliwe, że to robi na końcu. Może nawet trzyma wszystko w torbie w bagażniku. Moim zdaniem ma gdzieś przygotowany komplet narzędzi.

— A znalazłeś jakąś torbę, w której mógłby go chować? — zapytała Abby.

— Nie — odpowiedział Marino. — Nie znaleźliśmy żadnego podręcznego zestawu małego mordercy.

— No, cóż... w takim razie szukajcie dalej. Kiedy wpadnie wam już w ręce jego torba, możliwe, że odkryjecie wszystko inne: nóż, rewolwer, noktowizor i całą resztę.

— Będziemy szukać aż do śmierci — mruknął Marino.

— A gdzie on teraz jest? — spytałam.

— Kiedy wychodziłem, siedział przy stole w kuchni i popijał kawę — odparł Marino. — Nie do wiary, cholera! My tu buszujemy po jego chałupie, a on nawet okiem nie mrugnie. Kiedy pytaliśmy go o kombinezony, rękawiczki, karty i wszystko inne, odpowiadał, że nie będzie z nami rozmawiał bez adwokata. Potem znowu pociągnął łyżeczek tej swojej kawy i zapalił papierosa, jakby nas tam w ogóle nie było. O, o tym zapomniałem... ten drań jest palaczem.

— A jakie papierosy pali? — spytałam.

— Dunhille; założę się, że kupuje je w tym tytoniowym sklepiku tuż obok księgarni. Aaa, używa też niezłej zapalniczki. Ładnej, na pewno drogiej.

— To by wyjaśniało, dlaczego zostawiając niedopałki przy ciałach, obdzierał bibułkę z papierosów. Dunhille nie są zbyt popularne, łatwo je

wyśledzić.

— Wiem — powiedział Marino. — Mają złotą obwódkę dokoła filtra.

— Wzięłeś odciski palców i próbki krwi?

— Taak. — Uśmiechnął się. — To nasz mały as w rękawie, który pobije na głowę jego waleta kierowego. Nawet jeżeli nie uda się nam połączyć go z innymi morderstwami, to przyskrzynimy go za zabójstwo Jill Harrington i Elizabeth Mott. DNA jest dowodem nie do podważenia, mam tylko nadzieję, że już niedługo skończą wreszcie te przeklęte testy.

Kiedy Marino wyszedł, Abby popatrzyła na mnie chłodno.

— I co o tym sądzisz? — spytałam.

— Wszystko to jest palcem na wodzie pisane.

— W tej chwili jeszcze tak.

— Spurrier ma mnóstwo pieniędzy — rzekła. — Załatwi sobie najlepszego adwokata od prawa karnego, jakiego tylko znajdzie. Mogę ci powiedzieć, jak to będzie wyglądać. Adwokat zasugeruje, że jego klient został wrobiony przez FBI i policję, która znajduje się pod ogromną presją, by ująć sprawcę tych morderstw... wyjdzie na to, że mnóstwo ludzi szuka sobie kozła ofiarnego, zwłaszcza w świetle tego, co powiedziała Pat Harvey.

— Abby...

— Może mordercą naprawdę jest ktoś z Camp Peary.

— Chyba w to nie wierzysz — zaprotestowałam.

Spojrzała na zegarek.

— Może FBI już wie, kto to jest, i zajęło się nim po cichu. Moim zdaniem, to by wyjaśniało, dlaczego od czasu zamordowania Freda i Debory nie zaginęła już ani jedna para. Ktoś musi ponieść karę, by rozwiązać podejrzenia i zakończyć sprawę w oczach społeczeństwa...

Odchyliłam się na krześle, odwróciłam twarz w stronę sufitu i przymknęłam oczy, podczas gdy ona ciągnęła swą tyradę w nieskończoność.

— Nie ma wątpliwości, że Spurrier coś kombinuje, gdyż inaczej nie kradłby tablic rejestracyjnych, ale może na przykład handlować narkotykami. Może jest włamywaczem albo podnieca go jazda po mieście na skradzionych tablicach. Jest wystarczająco dużym dziwakiem, bym w to uwierzyła, ale

świat pełen jest dziwaków, którzy nikogo nie zabijają. Kto może udowodnić, że te wszystkie rzeczy w domu Spurriera nie zostały tam podrzucone przez policję?

— Przestań, proszę — powiedziałam cicho.

Ale ona jakby nie słyszała.

— To wszystko jest za proste. Kombinezony, rękawiczki, talie kart, pornografia, wycinki z gazet. Nie pasuje tu tylko to, że nie znaleziono broni ani amunicji. Spurrier został zaskoczony, nie miał pojęcia, że znajduje się pod ciągłą obserwacją. Prawdę mówiąc, to nie tylko nie ma sensu, ale jest też bardzo wygodne. Jednej rzeczy, jakiej FBI nie mogło mu podrzucić, to rewolweru, z którego wystrzelono kulę, jaką wyciągnęłaś z ciała Debory Harvey.

— Masz rację. Tego nie mogliby podłożyć. — Wstałam i zaczęłam sprzątać ze stołu; nie byłam w stanie siedzieć spokojnie.

— Interesujące, że nie znaleźli jednego, jedyne przedmiotu, którego nie mogli podłożyć.

Już wcześniej słyszałam opowieści o policjantach lub agentach federalnych podkładających dowody winy, by zrobić kogoś w zbrodni, których nie popełnił. Komitet Obrony Praw Obywatelskich pewnie ma całe tomy tego typu oskarżeń.

— Ty mnie wcale nie słuchasz — rzekła Abby.

— Pójdę się wykapać — odparłam zmęczonym tonem.

Podeszła do zlewu, przy którym stałam, wycierając ręce w ścierkę do garnków.

— Kay? — Odłożyłam ścierkę i spojrzałam na nią. — Ty chcesz, żeby to było takie proste — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— Ja zawsze chcę, by wszystko było proste, lecz prawie nigdy nic takie nie jest.

— Chcesz, by to było takie proste — powtórzyła. — Nie chcesz myśleć, że ludzie, którym ufasz, mogą być zdolni do wysłania na krzesło elektryczne niewinnego człowieka tylko po to, by kryć własne tyłki.

— Tu masz rację; nawet nie chcę o tym myśleć. I nie będę o tym

myśleć, dopóki ktoś nie przedstawi mi na to dowodu. Poza tym Marino był w domu Spurriera, a on nigdy by na coś podobnego nie pozwolił.

— Był tam — odparła Abby, odchodząc ode mnie. — Ale nie był tam pierwszy. Mógł zobaczyć to, co oni chcieli, by zobaczył.

Rozdział siedemnasty

Pierwszą osobą, jaką zobaczyłam, kiedy w poniedziałek rano dotarłam do biura, był Fielding.

W głównym korytarzu zobaczyłam go, jak ubrany w fartuch czekał na windę; kiedy spojrzałam na papierowe butki ochraniające tenisówki, pomyślałam o przedmiotach znalezionych w mieszkaniu Spurriera. Dostawy naszego sprzętu medycznego były uzależnione od kontraktów rządowych, ale w mieście znajdowało się kilka sklepów sprzedających butki i rękawiczki chirurgiczne. Nie tylko lekarz mógł je kupić, zupełnie tak samo jak nie tylko policjant może kupić mundur, odznakę czy rewolwer.

— Mam nadzieję, że wyspałaś się dzisiejszej nocy — odezwał się Fielding, gdy winda zatrzymała się na naszym piętrze i drzwi rozsunęły się wolno.

Weszliśmy do środka.

— Lepiej powiedz mi od razu. Co nas dziś czeka? — spytałam.

— Sześć autopsji; każdy trup to efekt zabójstwa.

— Świetnie — odrzekłam z irytacją.

— Taak, Klub Miłośników Noża i Gnata miał pracowity weekend: cztery postrzały, dwa pchnięcia nożem. Wiosna idzie!

Wysiedliśmy na drugim piętrze; idąc do mego biura, zdejmowałam żakiet i podwijałam rękawy bluzki. Okazało się, że w moim gabinecie siedzi Marino z aktówką na kolanach i papierosem w ustach. Założyłam, że prowadzi dochodzenie w związku z jednym z nieboszczyków czekających na mnie na dole, lecz on podał mi dwa raporty laboratoryjne.

— Pomyślałem, że będziesz chciała to przejrzeć — powiedział.

Na okładce jednego z raportów napisane było nazwisko Stevena Spurriera — laboratorium serologiczne już skończyło analizę jego krwi; drugi z raportów miał osiem lat i znajdowały się w nim rezultaty badań krwi pobranej z tylnego siedzenia samochodu Elizabeth Mott.

— Oczywiście, minie jeszcze trochę czasu, zanim będą wyniki testów

DNA, ale jak na razie idzie nam dobrze — dodał Marino.

Usiadłszy za biurkiem, przez dłuższą chwilę przeglądałam oba raporty. Krew znaleziona w volkswagenie była typu 0, lecz jej niezwykła kombinacja enzymów była charakterystyczna zaledwie dla ośmiu procent populacji. Rezultaty testów serologicznych były zgodne z wynikami testów próbek krwi pobranych od Spurriera: on także miał krew grupy 0, a ponieważ obecnie wykonywano testy na obecność znacznie większej ilości enzymów, kombinację wykrytą u niego można było znaleźć zaledwie u jednego procentu populacji.

— To za mało, by oskarżyć go o morderstwo — powiedziałam do Marina.
— Musisz znaleźć coś więcej niż tylko potwierdzenie, że należy do grupy tysięcy ludzi o takim właśnie składzie krwi.

— Szkoda, że ten stary raport serologiczny nie jest ciut dokładniejszy.

— Wtedy nie wykonywano jeszcze tak złożonych testów — odparłam.

— Może mogą wykonać je teraz? — zasugerował. — Jeżeli dałoby się zawęzić krąg i zdobyć więcej danych na temat krwi znalezionej w samochodzie Elizabeth, mogłoby nam to bardzo pomóc. Ten cholerny test DNA Spurriera będzie trwał jeszcze kilka tygodni.

— Nie będą w stanie tego zrobić — odrzekłam. — Krew z volkswagena jest za stara. Po tylu latach enzymy na pewno się już rozpadły i wyniki testów byłyby pewnie jeszcze mniej jednoznaczne niż te sprzed ośmiu lat. Teraz pewnie mógłbyś zbadać, jakiej grupy była ta krew, a przecież połowa populacji ma grupę 0. Nie mamy innego wyboru, jak tylko czekać na rezultaty testów DNA. Poza tym — dodałam — nawet gdybyś mógł w tej chwili zamknąć Spurriera, wpłaciłby kaucję i wyszedł na wolność. Mam tylko nadzieję, że nadal znajduje się pod stałą obserwacją.

— Taak, stale ktoś siedzi mu na ogonie i możesz się założyć o wszystko, że on o tym wie. Najlepsze w tym jest to, że pewnie teraz nie odważy się nikogo stuknąć. Najgorsze natomiast to, że ma czas zniszczyć wszystkie dowody, jakie my przegapiliśmy, włącznie z narzędziami zbrodni.

— I osławionym Zestawem Małego Mordercy.

— Szkoda, że nigdy go nie znaleźliśmy; robiliśmy, co w naszej mocy, z

wyjątkiem zdzierania podłogi w jego domu.

— Może trzeba było.

— Taak, może.

Usiłowałam domyślić się, gdzie też Spurrier mógłby schować torbę z narzędziami, i wtedy właśnie przyszło mi coś do głowy. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

— Jak Spurrier jest zbudowany? — spytałam.

— Nie jest zbyt duży, ale wygląda na silnego. Nie ma na nim ani grama tłuszczu.

— Więc pewnie się gdzieś gimnastykuje, może chodzi na siłownię.

— Pewnie tak. I co z tego?

— To, że jeżeli chodzi gdzieś regularnie, na przykład do jakiegoś klubu, może mieć w nim własną szafkę. Tak jak ja mam swoją w Westwood. Gdybym chciała coś schować tak, by nikt inny tego nie znalazł, pewnie wsadziłabym to właśnie do klubowej szafki. Kogo zdziwiłby widok faceta wychodzącego z klubu z wypchaną torbą, a potem wracającego i wsadzającego ją z powrotem do szafy?

— Ciekawy pomysł — mruknął Marino zamyślony. — Popytam dokoła, zobaczę, co uda mi się znaleźć. — Zapalił następnego papierosa i otworzył aktówkę. — Mam tu zdjęcia jego mieszkania, jeżeli cię to interesuje.

Zerknęłam na zegar.

— Na dole czeka na mnie mnóstwo roboty, musimy się pospieszyć.

Podał mi grubą kopertę wypchaną zdjęciami; ułożone były w kolejności i przeglądając je, miałam wrażenie, że oglądam dom Spurriera oczyma Marina, zaczynając od kolonialnego, ceglanego frontu ocienionego krzewami, z chodnikiem prowadzącym aż do czarnych frontowych drzwi.

Rozłożywszy następane zdjęcia na biurku, znalazłam się w jego salonie. Na gołej drewnianej podłodze stała szara, obita skórą kanapa, a obok niej szklany stolik do kawy, na którego środku umieszczono ozdobną roślinkę zrobioną z giętego metalu, wyrastającą z kawałka koralu. Ostatni numer „Smithsonian” leżał na blacie, idealnie przy krawędzi stołu. Dokładnie pośrodku magazynu leżał pilot od projektora, zawieszony pod sufitem

niczym statek kosmiczny. Osiemdziesięciocalowy ekran telewizora znajdował się nad półką zastawioną taśmami wideo i książkami w sztywnych oprawach, których tytułów nie zdołałam odczytać. Po jednej stronie szafki znajdował się nowoczesny sprzęt elektroniczny.

— Facet ma w domu prywatne kino — powiedział Marino. — Ma dolby stereo, głośniki zamontowane w każdym pokoju. Całość kosztowała go pewnie więcej niż ciebie twój mercedes... a możesz się założyć, że Spurrier nie puszcza sobie musicali. Te taśmy na półce — sięgnął przez biurko i postukał palcem w zdjęcia — to wszystko bardzo brutalne filmy sensacyjne, głównie o akcjach w Wietnamie i o żołnierzach. Natomiast na półce po prawej stoją prawdziwe rarytasy. Wyglądają jak przeciętne filmy z miejskiej wypożyczalni, ale jeżeli wrzucisz którąś z nich do magnetowidu, czeka cię spora niespodzianka. Na przykład ta zatytułowana „Nad złotym stawem” powinna się nazywać „Nad rynsztokiem”. To wyjątkowo brutalne hard porno. Wczoraj cały dzień razem z Bentonem przeglądaliśmy te kasety... cholerne świństwa. Co chwilę miałem ochotę wyjść z pokoju i wziąć prysznic.

— Znaleźliście jakieś filmy przez niego kręcone?

— Nie. Nie miał też w domu żadnego sprzętu fotograficznego.

Spojrzałam na pozostałe zdjęcia. W jadalni stał drugi szklany stół, otoczony przezroczystymi plastikowymi krzesłami; zauważyłam, że na drewnianej podłodze znowu nie ma żadnego dywanu.

Kuchnia była schludnie i nowocześnie urządzona; okna zasłonięte cienkimi szarymi żaluzjami, nigdzie zasłon czy firanek, nawet w pokojach na piętrze, gdzie Spurrier sypiał. Ogromne łóżko o żelaznej ramie było gładko zasłane białym prześcieradłem, lecz bez narzuty. W wyciągniętych z komody szufladach widać było ciemne kombinezony, o których wcześniej Marino opowiadał, a w pudełkach w szafie leżały rękawiczki chirurgiczne oraz butki.

— Nie ma tu nic zrobionego z materiału — rzekłam ze zdumieniem, wkładając zdjęcia z powrotem do koperty. — Jeszcze nigdy do tej pory nie widziałam domu, w którym nie byłoby ani jednego dywanu.

— Nie ma także żadnych zasłon... nie tylko w oknach, ale nawet pod prysznicem, w łazience — dodał Marino. — Ma szklaną kabinę prysznicową.

Oczywiście znaleźliśmy w domu ręczniki, prześcieradła i ubrania, ale to wszystko.

— Założę się, że Spurrier bardzo często pierze swoje rzeczy.

— Obicia w jego lincolnie są skórzane — powiedział Marino. — A na podłodze leżą plastikowe wycieraczki.

— Czy Spurrier ma jakieś zwierzątka?

— Nie.

— Możliwe, że za sposobem urządzenia domu kryje się jakiś cel, a nie tylko stanowi odbicie jego gustu.

Marino spojrzał mi w oczy.

— Taak, też o tym myślałem.

— Nie musi się martwić, że przenosi zwierzęce włoski czy włókna z materiałów.

— Czy nie zastanawiało cię, że każdy z porzuconych samochodów był tak cholernie czysty? — Zastanawiało. — Może on je sprząta po dokonaniu zbrodni? — dodał.

— W myjni?

— Albo na stacji benzynowej, wszędzie gdzie tylko może znaleźć odkurzacz samochodowy na żetony. Wszystkich zabójstw dokonano późnym wieczorem lub w nocy. Jeżeli zaraz potem pojechałby wyczyścić wóz, mało kto by go zauważył.

— Może. Kto wie, co on robi? — odparłam. — Jednak mamy tu obraz kogoś, kto jest wręcz obsesyjnie schludny i ostrożny. Ktoś, kto jest paranoicznie nastawiony do świata lub doskonale wie, jakiego typu dowody ważne są dla medycyny sądowej.

Marino odchylił się na krześle i powiedział:

— Jakiś tydzień temu podjechałem do tego 7-Eleven, w którym po raz ostatni widziano Deborę i Freda. Rozmawiałem ze sprzedawczynią.

— Z Ellen Jordan?

Skinął głową.

— Pokazałem jej zdjęcie z konfrontacji na posterunku policji i zapytałem, czy którykolwiek z tych mężczyzn wygląda jak gość, któremu sprzedała

kawę, kiedy Debora i Fred byli w sklepie. Bez wahania wskazała na Spurriera.

— Była pewna?

— Tak. Powiedziała, że miał na sobie jakąś ciemną kurtkę, tak naprawdę pamiętała tylko tyle, że ubrany był w coś ciemnego. Moim zdaniem, wchodząc do 7-Eleven, Spurrier miał już na sobie jeden z tych swoich kombinezonów. Wiele o tym myślałem. Ale zacznijmy od dwóch rzeczy, które wiemy na pewno. Wnętrza porzuconych samochodów były bardzo czyste, a w czterech pierwszych sprawach, przed Fredem i Deborą, na siedzeniu kierowcy znajdowaliśmy białe bawełniane włókna. Zgadza się?

— Zgadza. — Kiwnęłam głową.

— Dobra. Moim zdaniem, ten drań jeździł sobie po okolicy, szukając ofiar, i w pewnym momencie zobaczył Freda i Deborę... może siedzieli blisko siebie, może ona trzymała głowę na jego ramieniu, coś w tym stylu. Więc pojechał za nimi, zaparkował przed sklepem, zaraz obok nich. Może w tym czasie włożył kombinezon, przebrał się, siedząc w samochodzie na parkingu. Może już go miał na sobie, nie wiem. W każdym razie wszedł za nimi do 7-Eleven, pokręcił się przy stojaku z gazetami, kupił kawę, posłuchał, o czym rozmawiają ze sprzedawczynią. Podśluchał, jak Ellen wskazuje im drogę do najbliższego postoj z łazienką, więc wyszedł ze sklepu, wsiadł do samochodu i pojechał na wschód sześćdziesiątą czwartą, na postój. Na parkingu wyciągnął skądś swój zestaw broni, rękawiczki i całą resztę. Chował się przed innymi ludźmi, dopóki na parkingu nie pojawili się Debora z Fredem. Pewnie zaczekał, aż ona wejdzie do łazienki, i podszedł do Freda, nakarmił go jakąś wyssaną z palca historyjką, jak to zepsuł mu się samochód albo cokolwiek innego. Może powiedział, że był w klubie sportowym, co by wyjaśniało dość dziwny sposób, w jaki był ubrany.

— Czy Fred nie rozpoznałby go z 7-Eleven?

— Wątpię — odrzekł Marino. — Ale to i tak nie ma znaczenia. Spurrier mógł być tak pewny siebie, że sam o tym wspomniał, powiedział, na przykład, że kupował w sklepie kawę, a zaraz potem rozkraczył mu się samochód; że zadzwonił już do warsztatu po wóz holowniczy i zastanawiał

się, czy Fred nie mógłby go podwieźć z powrotem do samochodu, który znajduje się całkiem niedaleko, et cetera. Fred zgodził się bo niby dlaczego nie, a chwilę potem pojawiła się Debora. Kiedy już wpuścili Spurriera do jeepa, nie mieli szans.

Przypomniałam sobie, że znajomi określali Freda jako czynnego młodzieńca. Najprawdopodobniej nie wahałby się pomóc nieznanemu, zwłaszcza komuś tak miłemu i nie budzącemu podejrzeń jak Steven Spurrier.

— Kiedy wyjechali z powrotem na autostradę, Spurrier pochylił się, otworzył torbę, założył rękawiczki i butki, wyciągnął broń i wycelował ją w głowę Debory.

Pomyślałam o reakcji psa, zaraz po tym, jak powąchał siedzenie, na którym najprawdopodobniej siedziała dziewczyna; musiał wyczuć jej przerażenie.

— Potem Spurrier kazał jechać Fredowi w miejsce, które sobie z góry upatrzył. Do czasu aż zatrzymali się na tej leśnej drodze, pewnie zdążył już związać Deborze ręce za plecami. Poleciał jej zdjąć buty i skarpetki; potem kazał Fredowi zrobić to samo i związał mu ręce. Potem wysiedli z jeepa i poszli w głąb lasu. Spurrier pewnie już używał noktowizora, żeby lepiej widzieć w ciemnościach. I zaczęła się gra — kontynuował Marino bezbarwnym głosem. — Najpierw załatwił Freda, a potem wziął się do dziewczyny; ona stawiała opór, więc ją pociął i wreszcie postrzelił. Zaciągnął ich ciała na polankę, położył obok siebie, wsuwając jej rękę pod jego ramię, tak aby wyglądało, że trzymają się za ręce. Potem wypalił kilka papierosów, może posiedział parę minut w ciemnościach przy ciepłych jeszcze ciałach, rozkoszując się uczuciem zwycięstwa. Kiedy wrócił do jeepa, zdjął rękawiczki, kombinezon i butki, możliwe, że włożył je do plastikowego worka na śmiecie. Odjechawszy z lasu, znalazł gdzieś przy stacji benzynowej odkurzacz na żetony i wyczyścił jeepa w środku, a zwłaszcza siedzenie kierowcy, na którym siedział. Potem wyrzucił worek z zużytymi ubraniami do kosza; pewnie właśnie w tym momencie położył coś na siedzeniu kierowcy... może złożone prześcieradło albo ręcznik.

— Większość klubów sportowych zapewnia klientom stały dostęp do

ręczników; można wziąć z szatni, ile się chce — wtrąciłam. — Jeżeli Spurrier trzyma swe przybory w szafce w jakimś klubie...

— Taak — przerwał mi Marino. — Wiem, o co ci chodzi. Do diabła. Lepiej zajmę się tym jak najszybciej.

— Białe bawełniane włókna mogły pochodzić właśnie z ręcznika — dodałam.

— Tylko że w przypadku Debory i Freda musiał użyć czegoś innego. Cholera wie czego. Może tym razem usiadł na plastikowym worku, takim jak do kosza na śmieci. Chodzi mi o to, że musiał siedzieć na czymś, bo nie zostawił po sobie żadnych włókien z ubrania. Pamiętaj, że nie miał w tej chwili na sobie kombinezonu; musiał go zdjąć, gdyż z pewnością po akcji w lesie był cały zakrwawiony. Więc odjechał, porzucił jeepa na parkingu, na którym my go potem znaleźliśmy, przeszedł na drugą stronę autostrady, wsiadł do swego lincolna i odjechał. Misja zakończona.

— Tamtej nocy pewnie mnóstwo samochodów przewinęło się przez postój — powiedziałam. — Nikt nie zwróciłby uwagi na lincolna, a nawet gdyby, i tak nic by mu to nie dało, gdyż Spurrier miał cudze tablice rejestracyjne.

— Taak, to jego ostatnie zadanie: zwrócić tablice albo jeżeli to okaże się niemożliwe, gdzieś je podrzucić. — Marino urwał i potarł twarz. — Mam wrażenie, że Spurrier już dawno temu określił swój *modus operandi* i cały czas, przy wszystkich sprawach, się go trzyma. Jeździ po okolicy, namierza ofiary, śledzi je i wie, że ma szczęście, jeżeli zatrzymują się gdzieś... w barze, na postoju albo na parkingu, gdzie będą dostatecznie długo same, by mógł do nich podejść i sprzedać im swoją bajeczkę. Podchodzi, budzi ich zaufanie... i robi swoje. Możliwe, że uderza raz na pięćdziesiąt takich wypadków, ale to nic nie zmienia. On morduje, a my nie możemy go dopaść.

— Ten scenariusz wydaje się prawdopodobny dla pięciu ostatnich spraw — rzekłam. — Jednak mam wrażenie, że w przypadku Jill i Elizabeth było inaczej. Jeżeli zostawił swój samochód na parkingu przy motelu Palm Leaf, to oznacza, że do Anchor and Grill Bar musiał dojść pięć mil.

— Nie wiemy na pewno, że to tam dziewczyny spotkały Spurriera.

— Mam wrażenie, że właśnie tam.

— Dlaczego? — Marino spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Bo Jill i Elizabeth bywały wcześniej w jego księgarni — wyjaśniłam. — Widywały Spurriera, choć wątpię, by go dobrze znały. Podejrzewam, że od razu wyczuł, iż jest między nimi coś więcej niż tylko przyjaźń, i to go pobudziło do działania. Ma obsesję na punkcie par. Może już od dawna zastanawiał się nad mordowaniem i pomyślał, że na pierwszy raz lepiej wybrać dwie kobiety niż mężczyznę i kobietę. Że z dziewczynami łatwiej mu pójdzie. Planował tę zbrodnię bardzo długo, a jego fantazje były podsycane podczas każdej wizyty Jill i Elizabeth w jego księgarni. Mógł je śledzić, fantazjować, jak to robi, ćwiczyć „na sucho”. Wybrał już miejsce swojej zabawy, polankę nieopodal domu pana Joyce’a, i prawdopodobnie to on zastrzelił psa staruszka. Pewnego wieczoru poszedł za dziewczynami do Anchor and Grill Bar i postanowił, że zrobi to właśnie tej nocy. Zostawił więc gdzieś swój samochód i na piechotę, z torbą w ręce przyszedł do baru.

— Myślisz, że siedział w barze i obserwował je?

— Nie — odparłam. — Moim zdaniem jest na to za ostrożny. Myślę, że trzymał się na uboczu, dopóki nie wyszły na parking i nie podeszły do volkswagena. Myślę, że właśnie wtedy zbliżył się do nich i odegrał swoją rolę. Zepsuł mu się samochód, a ponieważ był właścicielem księgarni, w której często bywały, więc nie miały najmniejszego powodu, by się go bać. Wsiadł więc do volkswagena, ale bardzo szybko jego plan zaczął się sypać. Nie pojechali do lasu, lecz skończyli na cmentarzu, a kobiety, zwłaszcza Jill, wcale nie były tak potulne, jak się tego spodziewał.

— No i zaczął krwawić w volkswagenie — przypomniał mi Marino. — Może miał krwotok z nosa... a żaden odkurzacz nie sprzątnie krwi z siedzenia ani podłogi samochodu.

— Wątpię, by zawracał sobie głowę odkurzaczem. Spurrier prawdopodobnie spanikował i porzucił samochód najszybciej, jak tylko mógł... czyli na motelowym parkingu. Kto wie, gdzie zostawił własny wóz? Moim zdaniem miał do niego ładny kawałek drogi.

— Może ten epizod z dwiema kobietami tak bardzo go wystraszył, że

siedział grzecznie przez następne pięć lat?

— Nie sądzę, by to o to chodziło — mruknęłam. — Czegoś tu brakuje.

Kiedy kilka tygodni później pracowałam w domu w swym gabinecie, zadzwonił telefon. Automatyczna sekretarka ledwie zdążyła się włączyć, gdy ten, kto dzwonił, odłożył słuchawkę. Dzwonek rozległ się ponownie jakieś pół godziny później i tym razem sama podniosłam słuchawkę, lecz połączenie znowu zostało przerwane.

Może ktoś chciał dodzwonić się do Abby, a nie miał ochoty na rozmowę ze mną? Może Clifford Ring dowiedział się, że Abby obecnie mieszka u mnie? Rozkojarzona zeszłam do kuchni po coś do jedzenia, lecz zadowolłam się tylko paroma plasterkami żółtego sera.

Właśnie przeglądałam w gabinecie stare rachunki, kiedy usłyszałam samochód wjeżdżający na podjazd przed domem i założyłam, że to Abby, dopóki nie usłyszałam dzwonka u drzwi.

Spojrawszy przez judasza, ze zdumieniem zobaczyłam Pat Harvey w czerwonej kurtce, stojącą na ganku. Pomyślałam, że to pewnie ona dzwoniła do mnie, starając się upewnić, że jestem w domu, gdyż chciała porozmawiać ze mną bezpośrednio.

Powitała mnie zdawkowym:

— Przepraszam, że przeszkadzam — ale widziałam, że wcale nie jest jej przykro.

— Proszę, niech pani wejdzie — odparłam niechętnie.

Poszła za mną do kuchni, gdzie nalałam jej kawy; usiadła sztywno przy stole, obejmując dłońmi kubek.

— Będę z panią całkowicie szczerą — zaczęła. — Dotarło do mnie, że ten człowiek, którego niedawno aresztowano w Williamsburgu, Steven Spurrier, jest podejrzewany o zamordowanie dwóch kobiet przed ośmioma laty.

— Od kogo pani to usłyszała?

— To bez znaczenia. Tamta sprawa nigdy nie została rozwiązana, a teraz podejrzewają, że ma związek z morderstwami pięciu par nastolatków. Mówi

się, że tamte dwie kobiety były pierwszymi ofiarami Spurriera.

Zauważyłam, że drga jej dolna powieka lewego oka. Pat Harvey postarzała się od naszego ostatniego spotkania w sposób wręcz szokujący. Jej rude włosy zwisały w strąkach, oczy były matowe i bez połysku, a skóra blada i ściągnięta. Wyglądała na jeszcze chudsza niż podczas tamtej feralnej konferencji prasowej.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co pani chodzi — powiedziałam sztywno.

— On zdobył ich zaufanie, a potem je wykorzystał. Dokładnie tak jak zrobił to z innymi, z moją córką i z Fredem.

Powiedziała to tak, jakby miała pewność; Pat Harvey już oskarżyła, osądziła i skazała Stevena Spurriera.

— Ale on nigdy nie zostanie ukarany za zabójstwo Debbie — dodała pani Harvey. — Wiem o tym.

— Jest jeszcze za wcześnie, by być czegokolwiek pewnym — odparłam spokojnie.

— Nie mają żadnego dowodu przeciwko niemu; to, co znaleźli u niego w domu, to za mało. To nie przekona żadnego składu sędziowskiego, zakładając, że sprawa w ogóle trafi do sądu. Nie można skazać nikogo za morderstwo z premedytacją tylko dlatego, że znalazło się w jego domu wycinki z gazet i rękawiczki chirurgiczne... zwłaszcza gdy adwokat twierdzi, iż jego klient został wrobiony.

Rozmawiała z Abby, pomyślałam; zbierało mi się na mdłości.

— Jedyнным dowodem — ciągnęła zimno — jest krew znaleziona na tylnym siedzeniu samochodu jednej z tamtych kobiet. Wszystko będzie zależało od wyników testów DNA, a i to będzie dość wątpliwym dowodem, gdyż tamto morderstwo zdarzyło się bardzo dawno temu. Nawet jeżeli próbki będą do siebie pasować i sąd zaakceptuje je jako dowód rzeczowy, nie ma pewności, że przekonają sędziów przysięgłych... zwłaszcza że policja nadal nie znalazła narzędzia zbrodni.

— Cały czas szukają.

— Do tej pory Spurrier miał mnóstwo czasu, by się go pozbyć —

odrzekła i miała niezaprzeczalnie rację.

Marino dowiedział się, iż Spurrier regularnie chodził na siłownię do klubu znajdującego się niedaleko jego domu. Policja przeszukała przydzieloną mu szafkę, która była zamknięta nie tylko na kluczyk, ale i na dodatkową kłódkę; niestety, okazała się pusta. Co prawda sporo ludzi twierdziło, iż widziało Spurriera z niebieską sportową torbą, lecz nigdzie jej nie odnaleziono. Dałabym sobie głowę uciąć, że nikt jej już nigdy nie znajdzie.

— W czym mogę pani pomóc, pani Harvey?

— Chcę, by odpowiedziała pani na moje pytanie.

— Jakie pytanie?

— Jeżeli istnieje jakiś dowód przeciwko Spurrierowi, o którym nic nie wiem, postąpi pani rozsądnie, mówiąc mi o tym.

— Śledztwo jeszcze nie zostało zakończone. Policja i FBI bardzo ciężko pracują nad rozwiązaniem sprawy morderstwa pani córki.

Pani Harvey patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Czy rozmawiają z panią na temat dochodzenia?

W tej chwili zrozumiałam, o co chodzi; nikt bezpośrednio zaangażowany w śledztwo nie chciał gadać z Pat Harvey — stała się pariasem, może nawet wyśmiewano się z niej po kryjomu. Oczywiście, głośno się do tego nie przyzna, ale właśnie dlatego zjawiła się dziś przed moimi drzwiami.

— Czy wierzy pani, że Steven Spurrier zamordował moją córkę?

— A dlaczego moje zdanie ma jakiegokolwiek znaczenie w tej sprawie? — spytałam.

— Dla mnie ma ogromne znaczenie.

— Dlaczego? — powtórzyłam pytanie.

— Bo nie formułuje pani sądów bezpodstawnie. Nie sądzę, by podejmowała pani pochopne decyzje ani wierzyła w coś tylko dlatego, że bardzo chce pani w to wierzyć. Zna pani dowody w tych sprawach... — głos jej zadrżał — ...i zajmowała się pani Debbie.

Nie wiedziałam, co mogę na to odrzec.

— Więc zapytam jeszcze raz. Czy wierzy pani, że to Steven Spurrier zamordował te dzieci? Że zamordował moją córkę?

Zawahałam się — zaledwie na króciutką chwilę — ale to wystarczyło. Kiedy wyjaśniłam, że nie mogę odpowiedzieć na podobne pytanie, że nie znam odpowiedzi na nie i nie chcę wydawać pochopnej opinii, nie słuchała mnie.

Wstała od stołu.

Patrzyłam, jak znika w mrokach nocy; przez chwilę zobaczyłam jej profil oświetlony wewnętrznym światłem w jaguarze, a potem odjechała.

Abby bardzo długo nie wracała; przestałam już na nią czekać i położyłam się do łóżka, kiedy wreszcie się zjawiała. Spałam już, gdy obudził mnie szum wody dobiegający z parteru. Otworzyłam oczy i spojrzałam na budzik przy łóżku: była prawie północ. Wstałam i zarzuciłam szlafrok na ramiona.

Musiała usłyszeć moje kroki w korytarzu, bo gdy doszłam do jej sypialni, stała już w drzwiach; była w piżamie i boso.

— Późno już — powiedziała.

— Ty też jeszcze nie śpisz.

— No, cóż... — Nie dokończyła zdania, a ja weszłam do pokoju i usiadłam na krawędzi łóżka.

— O co chodzi? — spytała niepewnie.

— Dziś, późnym popołudniem, przyszła do mnie Pat Harvey. Rozmawiałaś z nią.

— Rozmawiałam z wieloma osobami.

— Wiem, że chcesz jej pomóc — rzekłam. — Wiem, że jesteś oburzona tym, jak posłużono się śmiercią córki, by zniszczyć karierę matki. Pani Harvey jest niezwykłą kobietą i wierzę, że szczerze się o nią troszczysz. Ale, Abby, ona nie może mieszać się do tego śledztwa.

Popatrzyła na mnie bez słowa.

— Dla jej własnego dobra — dodałam z uczuciem.

Abby usiadła po turecku na dywanie, plecami opierając się o ścianę.

— Co ci powiedziała? — zapytała.

— Jest przekonana, że Spurrier zamordował jej córkę i nigdy nie zostanie za to ukarany.

— Z całą pewnością to nie dzięki mnie doszła do takiego wniosku — odparła. — Pat sama potrafi myśleć.

— Rozprawa wstępna Spurriera ma się odbyć w piątek. Czy pani Harvey planuje być na niej?

— Będzie oskarżony tylko o kradzież tablic rejestracyjnych, ale jeżeli pytasz, czy obawiam się, że Pat się tam pojawi i zrobi scenę... — Potrząsnęła głową. — Nie ma mowy. Ona nie jest idiotką, Kay. To by jej w niczym nie pomogło.

— A ty?

— Co, ja? Czy jestem idiotką? — Znowu starała się uniknąć odpowiedzi na moje pytanie.

— Czy będziesz na tej rozprawie?

— Oczywiście. I mogę ci powiedzieć, jak to będzie wyglądać. Spurrier wejdzie, przyzna się do kradzieży i zostanie ukarany grzywną, jakieś półtora tysiąca dolarów, nie więcej. Spędzi jakiś czas w więzieniu, może miesiąc, może mniej. Gliniarze chcą, by się trochę pocił za kratkami; chcą go przycisnąć, by zaczął mówić.

— Skąd wiesz to wszystko?

— On, oczywiście, nic im nie powie — ciągnęła Abby. — Wyprowadzą go przed sąd, na oczach wielu gapiów i wepchną na tył wozu patrolowego; będzie to miało na celu przestraszenie go i może upokorzenie, ale nic z tego. On się tym wcale nie przejmie. Wie, że nic na niego nie mają. Odsiedzi swój wyrok, po czym wyjdzie na wolność. Miesiąc nie będzie trwać wiecznie.

— Mówisz tak, jakby ci go było szkoda.

— Nic do niego nie czuję — odrzekła. — Zdaniem jego adwokata Spurrier eksperymentował z kokainą i w noc, kiedy gliniarze złapali go na kradzieży tablic rejestracyjnych, po prostu chciał zakupić trochę towaru. Spurrier bał się, że handlarz może być wtyczką, że zapamięta numery rejestracyjne jego samochodu i może doniesie policji.

— Chyba w to nie wierzysz — powiedziałam gorąco.

Abby wyprostowała nogi i lekko się skrzywiła. Bez słowa wstała i wyszła z pokoju; poszłam za nią do kuchni, czując, jak narasta we mnie frustracja.

Zaczęła wsypywać lód do szklanki, lecz położyłam jej dłonie na ramionach i odwróciłam do siebie. Kiedy stanęliśmy wreszcie twarzą w twarz, spytałam:

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Wzrok jej nieco złagodniał.

— Proszę, nie złość się na mnie. To, co robię, nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z naszą przyjaźnią.

— Jaką przyjaźnią? Ja ciebie nawet nie poznaję. Zostawiasz pieniądze w moim domu, jakbym była tylko jakąś cholerną służącą! Nie pamiętam, kiedy ostatnio razem jadłyśmy kolację. Jesteś tak pochłonięta pisaniem książki, że nawet ze mną nie rozmawiasz! Widzisz, co się stało z Pat Harvey, a nie widzisz, że to samo dzieje się z tobą.

Abby tylko przyglądała mi się w milczeniu.

— Mówisz tak, jakbyś się już zdecydowała — kontynuowałam błagalnym tonem. — Powiedz mi tylko, proszę, na co.

— Nie miałam się na co zdecydować — odparła cicho, odsuwając się ode mnie. — Wszystko zostało już postanowione.

W sobotę rano zadzwonił do mnie Fielding i powiedział, że nie ma żadnych autopsji, więc zmęczona wróciłam z powrotem do łóżka. Było późne popołudnie, gdy wreszcie wstałam. Wzięłam długi, gorący prysznic, aż poczułam, że jestem w stanie zejść na dół, spojrzeć Abby w oczy i spróbować naprawić naszą przyjaźń.

Lecz gdy zeszłam na dół i zapukałam do jej drzwi, nie doczekałam się żadnej odpowiedzi; wyszedłszy przed dom po gazetę, zauważyłam, że na podjeździe nie ma jej samochodu. Zła, że znowu udało się jej mnie ominąć, wróciłam do kuchni i zaparzyłam sobie kawy.

Właśnie piłam drugą filiżankę, gdy mój wzrok przyciągnął niewielki nagłówek:

MĘŻCZYŻNA Z WILLIAMSBURGA

DOSTAŁ WYROK W ZAWIESZENIU

Z przerażeniem przeczytałam, że Steven Spurrier nie został zakuty w

kajdanki i zawieszony do więzienia po zakończeniu rozprawy, jak to Abby przepowiadała. Przyznał się do winy, a ponieważ nie miał żadnej przeszłości kryminalnej i zawsze był uczciwym, przestrzegającym prawa obywatelem, sędzia kazał mu zapłacić tysiąc dolarów grzywny i pozwolił mu odejść wolno.

„Wszystko zostało już postanowione” — powiedziała Abby.

Czy to o tym mówiła? Jeżeli wiedziała, że Spurrier zostanie wypuszczony na wolność, to dlaczego umyślnie mnie zwodziła?

Wyszłam z kuchni i udałam się do jej pokoju; łóżko było zasłane, firanki odsunięte. W łazience zauważyłam kropelki wody na zlewie i poczułam delikatny zapach perfum. Nigdzie nie mogłam znaleźć jej aktówki i dyktafonu; w szafce nocnej brakowało rewolweru. Przeszukałam komodę i pod ubraniami znalazłam notatki.

Usiadłszy na krawędzi łóżka, zaczęłam je przeglądać; dopiero po jakimś czasie z beładnych zapisków dni i tygodni dotarł do mnie pełen obraz sytuacji.

To, co zaczęło się jako kruczata Abby w celu odkrycia prawdy o zamordowanych nastolatkach, przerodziło się z czasem w prywatną ambicjonalną obsesję. Zdawała się zafascynowana Spurrierem: jeżeli był winny, chciała właśnie jemu poświęcić swą książkę, chciała rozgryźć jego psychopatyczny umysł. Jeżeli jest niewinny, chciała uczynić z niego „następnego Gainesville’a”, jak napisała, nawiązując do człowieka podejrzanego o zamordowanie kilkunastu studentów, który był przez długi czas mieszany z błotem, a na koniec okazał się niewinny. „Tylko że ta sprawa byłaby gorsza niż Gainesville’a, ze względu na to, co implikują karty”, napisała Abby.

Na początku Spurrier odmawiał Abby, gdy usiłowała nakłonić go do udzielenia jej wywiadu. Aż wreszcie, pod koniec zeszłego tygodnia, spróbowała jeszcze raz, i Spurrier zgodził się z nią porozmawiać. Zaproponował jej spotkanie zaraz po rozprawie, twierdząc jednocześnie, że jego adwokat „dobił targu”.

„Powiedział, że czytał moje artykuły w «Post» — pisała Abby — i pamięta te, które pisałam, pracując jeszcze w Richmond. Pamięta też, co

писаłam o Jill i Elizabeth. Wspomniał, że to «były miłe dziewczęta» i że zawsze miał nadzieję, iż gliniarze dostaną tego «psychola», który je zamordował. Wiedział też o zabójstwie mojej siostry; mówił, że czytał o tym w gazetach. Podobno to właśnie z tego powodu wreszcie zgodził się ze mną porozmawiać. Podobno «współczuje» mi. Zdał sobie sprawę, że ja także wiem «co to znaczy być ofiarą», ponieważ śmierć Henny uczyniła ją ze mnie. «Ja także jestem ofiarą» — rzekł. — «Możemy o tym porozmawiać. Może ty pomożesz mi to lepiej zrozumieć». zaproponował, bym przyjechała do niego do domu w sobotę o jedenastej, i zgodziłam się pod warunkiem, że będę mieć wyłączność na opublikowanie tego wywiadu. Odparł, że nie ma sprawy, bo on i tak nie zamierza z nikim innym na ten temat rozmawiać, jeżeli tylko opowiem wszystko z jego punktu widzenia, czyli «tak, jak było naprawdę», jak to powiedział. Dzięki Ci, Panie! Pieprzę ciebie i twoją książkę, Cliff! Tym razem wygrałam!”

Więc Clifford Ring także pisze książkę o tych sprawach. Dobry Boże. Nic dziwnego, że Abby zachowywała się tak dziwnie.

Skłamała mi, mówiąc o rozprawie Spurriera; nie chciała, bym podejrzewała, że pójdzie do niego do domu. Wiedziała, że nie wpadnie mi to do głowy, jeżeli będę wierzyć, iż Spurrier dostanie miesiąc odsiadki. Przypomniałam sobie, jak mówiła mi kiedyś, że już nikomu nie może ufać. I nie ufała, nawet mnie.

Spojrzałam na zegarek. Było piętnaście po jedenastej.

Marina nie było w komendzie, więc przesałam mu wiadomość na pager. Potem zadzwoniłam na posterunek policji w Williamsburgu, a telefon dzwonił w nieskończoność, zanim odebrała go jakaś sekretarka. Powiedziałam jej, że muszę natychmiast rozmawiać z którymś z detektywów.

— Wszyscy są w tej chwili na mieście.

— To proszę mnie połączyć z kimś, kto jest na posterunku.

Przełączyła mnie do sierżanta.

Przedstawiwszy się, zapytałam:

— Wie pan, kim jest Steven Spurrier?

— Nie można tu pracować i tego nie wiedzieć.

— W tej chwili jest u niego reporterka przeprowadzająca wywiad. Uprzedzam pana, by pańscy ludzie obserwujący dom wiedzieli, że wszystko jest w porządku. By wszystkiego dopilnowali.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, tylko w tle słychać było szelest papieru. Wydawało się, że sierżant coś je.

— Spurrier nie jest już pod obserwacją.

— Że co, proszę?

— Powiedziałem, że moi chłopcy zostali odwołani.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Tego to ja już nie wiem. Przez ostatni tydzień byłem na urlopie...

— Proszę mnie posłuchać. Chcę tylko, by pan wysłał pod jego dom wóz patrolowy, żeby upewnić się, że wszystko gra. — Ledwie powstrzymałam się od krzyku.

— Niech się pani o nic nie martwi — odrzekł uspokajająco. — Zaraz komuś to zlecę.

Odłożyłam słuchawkę i usłyszałam samochód wjeżdżający na podjazd.

Abby, dzięki Bogu!

Ale gdy wyrzałam przez okno, zobaczyłam Marina; otworzyłam drzwi, zanim zdążył nacisnąć dzwonek.

— Byłem w okolicy, gdy dostałem twoją wiadomość, więc...

— Musimy jechać do domu Spurriera! — Złapałam go za ramię. — Abby tam jest i wzięła ze sobą rewolwer!

Niebo pociemniało, a z chmur zaczęły kapać krople deszczu, gdy wraz z Marinem pędziłam autostradą numer 64 na wschód. Każdy mięsień w moim ciele napięty był do granic wytrzymałości, a serce waliło mi jak szalone.

— Hej, odpręż się — odezwał się Marino, gdy wjechaliśmy do Williamsburga. — Bez względu na to, czy gliniarze go obserwują, czy nie, jest na tyle głupi, by ją choćby tknąć. Przecież wiesz o tym. On nic jej nie zrobi.

Kiedy skręciliśmy w uliczkę, na której mieszkał Spurrier, zobaczyliśmy

tylko jeden samochód zaparkowany przy krawężniku.

— O, cholera — mruknął Marino pod nosem.

Tuż przed domem Stevena Spurriera stał zaparkowany czarny jaguar.

— Pat Harvey — szepnęłam. — Och, Boże.

Marino gwałtownie nadepnął na hamulec.

— Zostań tu. — Wypadł z samochodu, jak wystrzelony z katapulty i pobiegł w stronę drzwi domu Spurriera w ulewnym deszczu. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy patrzyłam, jak kopnięciem otwiera drzwi i z rewolwerem w dłoni wpada do środka.

Po chwili znowu pojawił się na progu; patrzył w moim kierunku, krzycząc coś, czego nie mogłam usłyszeć.

Wysiadłam z samochodu, a deszcz w jednej chwili przemoczył mnie na wskroś; pobiegłam do niego.

Gdy tylko weszłam do holu, poczułam zapach prochu strzelniczego.

— Zadzwoiłem po pomoc — powiedział Marino; oczy biegały mu na wszystkie strony. — Jest ich tam dwoje.

Salon znajdował się po lewej stronie.

Marino pobiegł na piętro, a ja przed oczyma zobaczyłam zdjęcia domu Spurriera, tak jak mi je pokazywał. Rozpoznałam szklany stoliczek do kawy i zobaczyłam leżący na nim rewolwer. Krew utworzyła małe jezioro na drewnianej podłodze pod ciałem Spurriera; kilka stóp dalej leżał drugi rewolwer. Spurrier spoczywał twarzą do podłogi, zaledwie kilka stóp od szarej, skórzanej kanapy, na której na boku leżała Abby. Patrzyła na obicie tuż pod swoim policzkiem nieprzytomnymi, mętnymi oczyma, a przód jej błękitnej bluzki przesiąknięty był jaskrawą czerwienią.

Przez chwilę nie miałam pojęcia, co robić; szum w mojej głowie przybrał na sile i trudno było mi się skupić. Przykucnęłam obok Spurriera i nie zważając na krew chlupiącą pod butami, przewróciłam go na plecy. Nie żył już; został postrzelony raz w brzuch i raz w pierś.

Podeszłam pospiesznie do kanapy i dotknęłam szyi Abby; nie było pulsu. Odwróciłam ją na plecy i zaczęłam reanimację, lecz jej płuca i serce przestały pracować zbyt dawno temu, by to mogło pomóc. Trzymałam jej twarz w

dłoniach i czułam znajomy zapach perfum; wezbrał we mnie ogromny żal i zaczęłam trząść się i płakać jednocześnie. Nie mogłam się opanować.

Z początku nie usłyszałam kroków, a gdy były już tuż przy mnie, zdałam sobie sprawę, że są zbyt lekkie, by należeć do Marina. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Pat Harvey podnosi rewolwer ze szklanego stolika.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczyma.

— Przykro mi. — Lufa drżała, gdy wycelowwała broń we mnie.

— Pani Harvey... — Głos ugrzązł mi w krtani. Patrzyłam na nią, wyciągając przed siebie ręce umazane w krwi Abby. — Proszę...

— Po prostu niech pani tu zostanie. — Cofnęła się kilka kroków i odrobinę opuściła rewolwer. Pomyślałam bezsensownie, że ma na sobie tę samą czerwoną kurtkę, w której przysłała do mnie poprzedniego dnia.

— Abby nie żyje — powiedziałam.

Pat Harvey nie zareagowała; jej twarz miała szary kolor, a oczy tak pociemniały, że wydawały się nieomal czarne.

— Usiłowałam znaleźć telefon, ale on nie ma w domu telefonu.

— Proszę, niech pani odłoży broń.

— To on to zrobił. On zabił moją Debbie. I Abby.

Och, Boże, Marino, pomyślałam, pospiesz się, na miłość boską!

— Pani Harvey, już jest po wszystkim. Oni nie żyją. Proszę, niech pani odłoży rewolwer. Niech pani nie pogarsza sytuacji.

— Nie może być już gorzej.

— To nieprawda. Niech pani mnie posłucha.

— Ja nie mogę już tego wytrzymać — odparła tym samym bezbarwnym tonem.

— Pomogę pani. Proszę, niech pani odłoży broń. Proszę — mówiłam, wstając z kanapy; zobaczyłam, jak Pat Harvey znowu unosi rewolwer. — Nie! — błagałam, gdyż już zrozumiałam, co chce uczynić. Wycelowwała lufę w swoją pierś w tej samej chwili, gdy ja rzuciłam się w jej stronę. — Pani Harvey! Nie!

Eksplozja odrzuciła ją do tyłu; zachwiała się i wypuściła rewolwer. Kopnęłam go najdalej, jak tylko mogłam, i poleciał po podłodze wolno

okręcając się dookoła swej osi. Pat Harvey usiłowała złapać się czegoś, by nie upaść, lecz nic nie znalazła. Kolana się pod nią ugięły i w tej samej chwili do pokoju wpadł Marino z rewolwerem w dłoni.

— Cholera jasna! — wykrzyknął.

W uszach jeszcze dzwoniło mi od huku wystrzału; drżałam na całym ciele. Uklęknęłam obok Pat Harvey — leżała na boku z podkulonymi nogami i rękoma przyciśniętymi do piersi.

— Daj mi ręczniki! — zawołałam, odsuwając jej ręce i szarpiąc się z ubraniem. Rozpięłam bluzkę i przesunęłam do góry stanik, po czym przycisnęłam zwinięty materiał do rany tuż pod lewą piersią. Słyszałam przekleństwa Marina, gdy wypadał z pokoju.

— Trzymaj się — szepnęłam, przyciskając mocno materiał do małej ranki, by nie dostało się do niej powietrze i nie spowodowało obumarcia płuca.

Poruszyła się i zamruczała coś niewyraźnie.

— Trzymaj się — powtórzyłam, słysząc jęk policyjnych syren na ulicy.

Przez żaluzje w salonie widziałam pulsujące czerwone światło, jak gdyby świat na zewnątrz domu Spurriera płonął.

Rozdział osiemnasty

Marino odwiózł mnie do domu i został ze mną. Siedziałam w kuchni, wyglądając przez okno na świat zalany deszczem i właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, co się dokoła mnie działo. Rozległ się dzwonek do drzwi, potem usłyszałam kroki i męskie głosy.

Jakiś czas później do kuchni wrócił Marino i postawił krzesło naprzeciw mnie; przysiadł na skraju, jakby nie planował zabawić ze mną zbyt długo.

— Czy Abby mogła jeszcze gdzieś w tym domu zostawić swoje osobiste rzeczy, oprócz sypialni? — spytał.

— Chyba nie — mruknęłam.

— No, cóż... musimy się rozejrzeć. Przykro mi, doktoru.

— Rozumiem.

Wyjrzał przez okno.

— Zaparzę kawę — powiedział, wstając. — Zobaczymy, czy pamiętam coś z tego, czego mnie nauczyłaś. Mój pierwszy test, co?

Słyszałam, jak kręci się po kuchni, otwierając i zamykając szafki, wlewając wodę do dzbanka; kiedy kawa powoli się parzyła, wyszedł i po chwili wrócił z drugim detektywem.

— To nie zajmie nam wiele czasu, doktor Scarpetta — rzekł tamten. — Doceniamy pani pomoc.

Potem powiedział coś cicho do Marina; kiedy wyszedł, Pete wrócił do stołu i postawił przede mną kubek kawy.

— Czego szukają? — Usiłowałam się skoncentrować.

— Przeglądamy te notesy, o których nam mówiłaś. Szukam kaset magnetofonowych z wywiadami, czegokolwiek, co pomoże nam zrozumieć, co skłoniło panią Harvey do zastrzelenia Spurriera.

— Jesteś pewien, że to ona zrobiła?

— O, taak. Ma cholerne szczęście, że jeszcze żyje; kula o włos rozminęła się z sercem. Miała szczęście, lecz jeżeli pociągnie wystarczająco długo, może zmienić zdanie.

— Zadzwoiłam na policję do Williamsburga. Powiedziałam im...

— Wiem — przerwał mi łagodnie. — Postąpiłaś słusznie. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

— Ale im się nie chciało ruszyć tyłków. — Zamknęłam oczy, walcząc z napływającymi mi pod powieki łzami.

— To nie tak. — Marino zawahał się i dodał: — Posłuchaj mnie, doktorku.

Odetchnęłam głęboko.

Marino odkaszlnął i zapalił papierosa.

— Kiedy byliśmy w twoim biurze, rozmawiałem z Bentonem. FBI zakończyło testy DNA krwi Spurriera i porównało wyniki z próbkami pobranymi z samochodu Elizabeth Mott. Nie pasują do siebie.

— Co takiego?

— Próbkę DNA nie pasują do siebie — powtórzył. — Detektywi z Williamsburga, którzy śledzili Spurriera, dowiedzieli się o tym wczoraj. Benton usiłował się ze mną skontaktować, lecz mu się nie udało, więc i ja o niczym nie wiedziałem. Czy dociera do ciebie to, co mówię?

Patrzyłam na niego oszołomiona.

— W świetle prawa Spurrier nie był już podejrzanym. Zboczeńcem, owszem, ale świat pełen jest wariatów i szaleńców. Spurrier nie zamordował Elizabeth ani Jill. To nie jego krew znajdowała się w ich samochodzie. Nawet jeżeli zabił te pięć par nastolatków, to nie mamy na to dowodów. Gdyby nadal go śledzili, gdyby kołatali do jego drzwi tylko dlatego, że ktoś do niego przyszedł, Spurrier mógłby oskarżyć ich o nękanie. Czasem dochodzi do takiego momentu, w którym nawet gliniarzom puszczają nerwy i robią Bóg wie co. Spurrier mógłby ich wtedy pozwać do sądu. FBI także się wycofało. I to byłoby tyle.

— On zabił Abby.

Marino odwrócił wzrok.

— Taak, na to wychodzi. Abby miała przy sobie włączony dyktafon, więc mamy wszystko nagrane. Ale tam nie ma nic, co by udowodniało, że Spurrier mordował pary dzieciaków. Wygląda na to, że pani Harvey zabiła niewinnego

człowieka.

— Chcę przesłuchać tę taśmę.

— Nie, nie chcesz. Uwierz mi na słowo.

— Jeżeli Spurrier był niewinny, to dlaczego zastrzelił Abby?

— Mam pewną teorię na ten temat — odparł. — Z tego, co usłyszałem z taśmy, i tego, co zobaczyłem na miejscu, wynika, że Abby i Spurrier rozmawiali w salonie. Abby siedziała na kanapie, na której ją znaleźliśmy. Spurrier usłyszał pukanie do drzwi i poszedł otworzyć. Nie mam pojęcia, dlaczego wpuścił Pat Harvey do mieszkania; może jej nie rozpoznał, choć to wątpliwe. Nie wiemy, czy mu się przedstawiła, czy nie, nie wiemy, co mu powiedziała. Nie dowiemy się tego, dopóki nie będziemy mogli z nią spokojnie porozmawiać.

— Ale on ją wpuścił do swego domu.

— Otworzył drzwi — rzekł Marino — i wtedy pewnie wyciągnęła rewolwer, charter arms, ten sam, z którego się potem postrzeliła. Więc zmusiła go do wycofania się w głąb domu, podczas gdy Abby nadal siedziała w salonie, a dyktafon działał. Ponieważ saab Abby stał zaparkowany na tyłach domu, pani Harvey nie miała pojęcia, że Spurrier ma gościa. Dzięki jej zaskoczeniu Spurrier miał szansę ucieczki; podejrzewam, że schował się za Abby. Trudno powiedzieć, co się dokładnie wydarzyło, ale wiemy, że Abby miała ze sobą broń, pewnie w torebce, tuż obok siebie, na kanapie. Usiłowała ją wyjąć, zaczęła się szarpać ze Spurrierem i dostała kulkę. Potem, zanim on zdążył zastrzelić panią Harvey, ona trafiła jego. Dwa razy. Sprawdziliśmy jej rewolwer; trzy łuski, dwa naboje w bębenku.

— Mówiła coś o telefonie — wtrąciłam cicho.

— Spurrier miał w domu tylko dwa aparaty: jeden w sypialni na piętrze, a drugi w kuchni, tego samego koloru co ściana, zawieszony między dwiema szafkami. Ledwie go wypatrzyłem. Zdaje się, że podjechaliśmy do domu zaledwie kilka minut po strzelaninie, doktorku. Wydaje mi się, że Pat Harvey odłożyła swój rewolwer na stolik, podeszła do Abby, a gdy zobaczyła, w jak fatalnym jest stanie, ruszyła szukać telefonu, by zadzwonić po pomoc. Kiedy wszedłem do domu, musiała mnie usłyszeć i schowała się. Wiem tylko, że po

wejściu do środka rozejrzałem się pobieżnie dokoła; kiedy zobaczyłem ciała w salonie, sprawdziłem ich puls, Spurrier nie żył, ale wydawało mi się, że u Abby wyczuwam słabe tętno. Mogłem się jednak mylić. Miałem wybór, lecz musiałem podjąć błyskawiczną decyzję: albo zacząć przeszukiwać dom, albo wezwać ciebie, i dopiero zacząć się rozglądać. Chodzi mi o to, że nie widziałem jej, gdy tam wszedłem za pierwszym razem; pomyślałem, że mogła wyjść tylnymi drzwiami albo pobiec na górę. — Widziałam jego zdenerwowanie; czułam, że z jego winy znalazłam się w niebezpieczeństwie.

— Chcę przesłuchać tę taśmę — powtórzyłam.

Marino potarł twarz i spojrzał na mnie zmęczonymi przekrwionymi oczyma.

— Nie rób tego.

— Muszę.

Niechętnie wstał od stołu i wyszedł z kuchni; wróciwszy, wyciągnął dyktafon z plastikowej torebki, w które zazwyczaj policjanci wkładają dowody rzeczowe. Postawił go na stole, przewinął nieco taśmę do tyłu, po czym włączył.

W kuchni rozbrzmiał głos Abby.

— ...ja tylko usiłuję zrozumieć pański punkt widzenia. Lecz to, co pan mówi, wcale nie wyjaśnia, dlaczego jeździ pan po nocach i zatrzymuje ludzi, zadając im pytania, na które i tak zna pan odpowiedzi. Na przykład o drogę, którą jeździł pan wiele razy.

— Mówiłem już pani o kokainie. Próbowала jej pani kiedyś?

— Nie.

— To niech pani spróbuje. Kiedy jest się na haju, robi się dużo dziwnych, zupełnie niesamowitych rzeczy. Czasem płaczą się myśli, i choć niby wiesz, gdzie jesteś, nagle musisz się spytać o drogę.

— Ale powiedział pan, że już nie zażywa kokainy.

— Nie, już nie. Nie ma mowy. To był wielki błąd. Nigdy więcej go nie popełnię.

— A co ma pan do powiedzenia na temat przedmiotów, jakie policja znalazła w pana mieszkaniu? Uhm... — w tej chwili, jakby w oddali, rozległ

się dzwonek do drzwi.

— Momencik, zaraz wrócę. — W głosie Spurriera słychać było niepokój; potem oddalające się kroki, jakieś głosy w tle, których nie mogłam rozróżnić. Abby poprawiała się na kanapie, a potem głos Spurriera:

— Chwileczkę! Pani nie wie, co robi!

— Dokładnie wiem, co robię, ty bydlaku! — To był głos Pat Harvey, podnoszący się nieomal do krzyku. — To moją córkę wywozłeś do lasu!

— Pani nie wie...

— Pat! Nie rób tego!

Chwila ciszy.

— Abby? O mój Boże.

— Pat. Nie rób tego, Pat. — W głosie Abby czaił się strach, potem jęknęła, gdy coś uderzyło o kanapę. — Zostaw mnie! — Gwałtowne oddechy, odgłosy szarpaniny, potem krzyk Abby: — Przestań! Przestań! — i coś, co brzmiało jak wystrzał z korkowca.

I jeszcze raz. I jeszcze.

A potem cisza.

Kroki zbliżające się po drewnianej podłodze.

— Abby?

Cisza.

— Proszę, nie umieraj. Abby... — Głos Pat Harvey drżał tak bardzo, że ledwie mogłam zrozumieć słowa.

Marino sięgnął po dyktafon, wyłączył go i schował z powrotem do plastikowej torebki, podczas gdy ja patrzyłam na niego zszokowana.

W sobotni poranek, kiedy odbył się pogrzeb Abby, zaczekałam, aż tłum się przeredzi, a potem w promieniach wiosennego słońca ruszyłam wolno ścieżką pomiędzy magnoliami i dębami.

Na cmentarz przyszło niewiele osób; poznałam kilku kolegów Abby z redakcji gazety w Richmond, dla której kiedyś pracowała, usiłowałam pocieszyć jakoś jej rodziców. Zjawił się Marino i Mark, który uściskał mnie

mocno i odszedł, obiecując, że później tego dnia wpadnie do mnie. Musiałam porozmawiać z Bentonem, lecz najpierw potrzebowałam kilku chwil w samotności.

Cmentarz Hollywood jest największą metropolią zmarłych w Richmond; zajmuje jakieś czterdzieści akrów ziemi, łagodnych wzgórz, strumieni i lasu na północ od rzeki James. Wijące się dróżki są oznakowane i wyłożone kostką brukową, stoją przy nich znaki ograniczające prędkość; trawiaste pagórki pokryte są marmurowymi obeliskami, nagrobkami i granitowymi aniołami, z których część ma więcej niż sto lat. Pochowani zostali tu prezydenci: James Monroe, John Tyler i Jefferson Davies oraz magnat tytoniowy, Lewis Ginter. Oddzielony fragment cmentarza przeznaczony jest dla poległych pod Gettysburgiem, natomiast trawiaste łąki przeznaczone na miejsca spoczynku rodzin; tu właśnie spoczęła Abby, obok swej siostry, Henny.

Stałam pomiędzy drzewami i spojrzałam w dół na rzekę, która lśniła w promieniach słońca niczym srebro. Nie mogłam uwierzyć, że Abby jest już częścią tej populacji zmarłych, a jej kamień nagrobny jest tylko jednym z wielu granitowych nagrobków opierających się upływowi czasu. Byłam ciekawa, czy pojechała do swego dawnego domu, czy zajrzała do pokoju Henny na piętrze. Kiedyś powiedziała, że chce to zrobić, jeżeli tylko zdobędzie się na odwagę.

Usłyszałam kroki za sobą i odwróciwszy się, zobaczyłam Wesleya idącego w moim kierunku.

— Chciałaś ze mną porozmawiać, Kay?

Skinęłam głową.

Zdjął ciemną marynarkę i poluźnił krawat; patrzył na rzekę w milczeniu, czekając, aż powiem, co mi leży na sercu.

— Jest kilka nowych faktów — zaczęłam. — Przede wszystkim w czwartek zadzwoniłam do Gordona Spurriera.

— Brata? — odparł Wesley, patrząc na mnie z ciekawością.

— Tak, brata Stevena Spurriera. Nie chciałam ci o tym mówić, dopóki nie sprawdzę kilku innych rzeczy.

— Jeszcze z nim nie rozmawiałem — odparł Benton. — Ale jest na mojej liście. Cholerna szkoda, że wyniki testów DNA się nie pokrywają. To nadal nasz największy problem.

— O to właśnie mi chodzi, Benton. Nie ma żadnego problemu z DNA.

— Nie rozumiem.

— Podczas autopsji Spurriera odkryłam całe mnóstwo starych blizn pooperacyjnych, między innymi jedną po niedużym cięciu zrobionym tuż powyżej środka obojczyka. Zazwyczaj widzi się je u pacjentów, u których utrudniony był dostęp do arterii podobojczykowej.

— Możesz wyjaśnić?

— Nie przecina się arterii, chyba że pacjent ma jakieś poważne problemy, które wymagają szybkiego spuszczenia dużej ilości krwi albo wprowadzenia do organizmu leków lub nowej krwi. Innymi słowy, wiedziałam, że w pewnym momencie swego życia Steven Spurrier miał poważne problemy medyczne, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie miało to czegoś wspólnego z jego pięciomiesięczną nieobecnością w sklepie, niedługo po tym, jak zginęły Jill i Elizabeth. Miał także na ciele niewielkie blizny po ranach kłutych, na biodrze i na pośladkach; zaczęłam podejrzewać, że Spurrier miał już wcześniej pobierane próbki szpiku kostnego, więc zadzwoniłam do jego brata, by dowiedzieć się o ewentualną historię choroby.

— I co ci powiedział?

— Mniej więcej w czasie, kiedy zniknął ze sklepu, był leczony na anemię aplastyczną — odrzekłam. — Udało mi się skontaktować z jego hematologiem. Steven był poddawany naświetlaniom węzłów chłonnych oraz chemoterapii, a także przeszczepiono mu szpik kostny Gordona. Potem wiele czasu spędzał w specjalnym pomieszczeniu, przez wielu zwanym „bąbelkiem”, w którym był poddawany terapii prądem laminarnym, czyli warstwowym. Pewnie pamiętasz, że dom Spurriera w pewnym sensie mocno przypominał sterylne wnętrze „bąbelka”.

— Chcesz mi powiedzieć, że przeszczep szpiku kostnego zmienił jego DNA? — zapytał Wesley; na jego twarzy widać było napięcie.

— Jeżeli chodzi o próbki DNA pobrane z krwi, to owszem. Jego komórki

krwi zostały zupełnie zniszczone przez anemię aplastyczną. Kiedy okazało się, iż niezbędny jest przeszczep szpiku i zaczęto szukać odpowiedniego dawcy, wyszło na to, że grupa krwi i inne niezbędne podgrupy jego brata pasują.

— Ale Gordon i Steven nie mogli przecież mieć tego samego składu DNA.

— Nie, chyba że byliby identycznymi, jednojajowymi bliźniętami, którymi, rzecz jasna nie są — powiedziałam. — Wiemy już, że grupa krwi Spurriera pasowała do próbki krwi znalezionej w samochodzie Elizabeth Mott. Jednak na poziomie testów DNA zauważyliśmy różnicę, gdyż Steven krwawił w volkswagenie, jeszcze zanim przeszedł operację przeszczepu szpiku. Kiedy niedawno pobraliście do analiz próbki krwi Stevena, tak naprawdę braliście krew jego brata, Gordona. To ją, a nie krew Stevena analizowano pod kątem próbek DNA i dlatego otrzymaliśmy inne wyniki, niż się spodziewaliśmy.

— Niesamowite — mruknął.

— Chcę przeprowadzić kolejne badania DNA Stevena, tym razem z komórek pobranych z jego mózgu, gdyż te nie zmieniły się po przeszczepie. Szpik kostny produkuje komórki krwi, więc po przeszczepie masz taki sam skład DNA krwi co twój dawca, jednak mózg, ślina i sperma pozostają nie zmienione.

— Wyjaśnij mi, na czym polega anemia aplastyczna — odezwał się Benton, gdy ruszyliśmy w kierunku naszych samochodów.

— Szpik kostny przestaje produkować krew. To tak jakbyś już był po chemoterapii.

— Czym jest to spowodowane?

— Podejrzewa się, że to idiopatyczne, ale nikt tak naprawdę nie wie. Sądzimy, że może być wywołane przez wystawienie na działanie pestycydów, chemikaliów, promieniowania albo organicznych pochodnych kwasów fosforowych. Niedawno wykazano duży związek między benzenem a anemią aplastyczną. Steven pracował przy prasie drukarskiej, a benzen stosowany jest jako rozpuszczalnik do czyszczenia tego typu urządzeń. Hematolog Stevena powiedział, że jego pacjent był wystawiony na działanie benzenu

dzień w dzień, prawie przez rok.

— A jakie są symptomy tej choroby?

— Zmęczenie, zadyszka, podniesiona temperatura, podatność na infekcje, krwotoki z dziąseł i nosa. Spurrier miał ją już, gdy zamordował Jill i Elizabeth. Mógł mieć krwotok z nosa właściwie bez przyczyny. Na przykład mógł go wywołać każdy stres, a założę się, że porywając dwie dziewczyny, znajdował się pod ogromną presją. Gdyby faktycznie miał krwotok, mogłoby to wyjaśnić ilość krwi na siedzeniu volkswagena Elizabeth.

— Kiedy wreszcie udał się do lekarza? — spytał Wesley.

— Miesiąc po zabójstwie Jill i Elizabeth. Podczas badań okazało się, że ma bardzo niski poziom białych krwinek, podobnie jak płytek krwi i hemoglobiny. Kiedy masz za mało płytek krwi, często i łatwo krwawisz.

— Popełnił zbrodnię, kiedy był chory?

— Anemię aplastyczną można mieć przez długi czas, zanim stanie się naprawdę dokuczliwa — odparłam. — Niektórzy dowiadują się o niej podczas rutynowych badań lekarskich.

— Słabe zdrowie i to, że stracił kontrolę nad sytuacją przy swych pierwszych ofiarach, wystarczyło, by sobie darował na jakiś czas — myślał głośno Benton. — Mijały lata, on się wykurował, znowu zaczął fantazjować, przeżywać chwilę morderstwa... rozmyślał nad poprawieniem techniki. Wreszcie stał się na tyle pewny siebie, że ponownie wziął się do zabijania.

— To mogłoby wyjaśnić tak długą przerwę, ale kto wie, co tak naprawdę chodziło mu po głowie?

— Tego się nigdy nie dowiemy — odrzekł ponuro.

Zatrzymał się na chwilę przed starym grobem, by przyjrzeć się płycie nagrobnej, po czym znowu się odezwał:

— Ja też mam kilka nowości. Odnaleźliśmy firmę z Nowego Jorku, której katalog miał w domu Spurrier. Po długich poszukiwaniach upewniłem się, że cztery lata temu kupił od nich noktowizor. Poza tym znaleźliśmy sklep w Portsmouth, gdzie nabył dwa pudełka naboju typu Hydra-Shock, niecały miesiąc przed zaginięciem Debory i Freda.

— Dlaczego on to robił, Benton? — spytałam. — Dlaczego zabijał?

— Na to nigdy nie będę mógł ci w pełni odpowiedzieć, Kay, ale rozmawiałem z jego współlokatorem z czasów wojska. Twierdził, że związek Spurriera z matką należał do wyjątkowo niezdrowych. Podobno była wyjątkowo krytycznie usposobiona, kontrolowała jego życie i stale umniejszała jego zasługi. Był od niej zależny, a jednocześnie pewnie jej nienawidził.

— A co z profilem psychologicznym ofiar?

— Myślę, że zwracał uwagę na młode kobiety, które przypominały mu o wszystkim, co go w życiu ominęło. Może o dziewczynach, które w przeszłości nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi? Kiedy widział parę zakochanych nastolatków, wyzwała się jego agresja, gdyż sam nie był zdolny do tego typu związków. On pożądał i czerpał radość z morderstwa, napawał się nim; to go zaspokajało. — Po chwili milczenia dodał: — Gdyby nie to, że wtedy w Williamsburgu przypadkiem go spotkałyście wraz z Abby, nie wiem, czy kiedykolwiek byśmy go dopadli. Przerażające, jak pomocne mogą być zbiegi okoliczności. Bundy'ego złapali, bo miał zepsute światło stopu w samochodzie. Syna Sama* [* Theodor Robert Bundy i Syn Sama, czyli David Berkowitz — jedni z najsłynniejszych seryjnych morderców w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.)] dorwali, bo nie zapłacił za postój na parkingu. Mieliśmy szczęście.

Wcale nie czułam się tak, jakbym miała szczęście. Abby też go nie miała.

— Może cię zainteresować fakt, że gdy puściliśmy w wiadomościach reportaż o Spurrierze, rozdzwoniły się telefony. Mnóstwo ludzi twierdzi, że ktoś odpowiadający jego rysopisowi zaczepiał ich przed barami, na parkingach lub na stacjach benzynowych. Podobno raz nawet przejechał się w samochodzie jakiejś pary. Powiedział, że zepsuł mu się samochód, dzieciaki podwiozły go we wskazane miejsce, a on wysiadł. Bez problemu.

— Czy podczas tych prób zaczepiał tylko pary heteroseksualne? — spytałam.

— Nie zawsze. To by wyjaśniało, dlaczego podszedł do ciebie i Abby tamtej nocy w Williamsburgu. Spurrier uwielbiał ryzyko, fantazjowanie, Kay.

Zabijanie niczym dla niego nie różniło się od gry, którą rozgrywał w swej głowie. — Urwał, przełożył marynarkę na drugie ramię i kontynuował: — Chodziło o coś więcej niż tylko *modus operandi* czy podrzucanie waleta kierowego. Na tylnym siedzeniu samochodu Jima i Bonnie policja znalazła plastikową kartę do automatów na stacjach benzynowych. Założyliśmy, że przypadkowo wypadła z kieszeni zabójcy, kiedy siedział w wozie dzieciaków.

— No i?

— Na karcie była nazwa firmy: Syn-Tron. Po długich poszukiwaniach okazało się, że kartę obsługuje konto bankowe firmy Viking Exports, która jest przykrywką dla Camp Peary. Tego typu karty wydaje się ludziom z Camp Peary, by mogli korzystać z dystrybutorów benzyny na terenie bazy.

— Ciekawe — mruknęłam. — W swych notatkach Abby raz coś wspominała o karcie, lecz założyłam, że chodzi jej o waleta kier. Wiedziała o tej karcie, Benton? Skąd?

— Podejrzewam, że powiedziała jej Pat Harvey. Wiedziała o tym od dłuższego czasu i pewnie dlatego podczas konferencji prasowej oskarżała „agencje federalne” o zatajenie faktów i krycie własnych tyłków.

— Najwyraźniej zmieniła zdanie, skoro zdecydowała się zabić Spurriera.

— Dyrektor FBI rozmawiał z nią zaraz po konferencji prasowej. Nie miał innego wyboru, jak tylko wyjaśnić jej, że podejrzewamy, iż ktoś umyślnie zostawił tę kartę w samochodzie Jima i Bonnie. Mieliśmy takie podejrzewania od samego początku, lecz jednocześnie musieliśmy potraktować sprawę poważnie.

— I to ją uciszyło?

— Nawet jeżeli jej nie przekonało, sprawiło, że zaczęła się nad tym zastanawiać. A po aresztowaniu Spurriera wszystko zaskoczyło.

— Jak Spurrier mógł dostać w swe ręce kartę z Camp Peary? — spytałam, zupełnie tego nie rozumiejąc.

— Tamtejsi agenci często przychodzili do jego księgarni.

— Chcesz powiedzieć, że ukradł ją komuś z personelu?

— Tak. Podejrzewam, że ktoś z Camp Peary wyszedł z księgarni, zapomniawszy portfela, a Spurrier skorzystał z okazji. Schował kartę albo

cały portfel, a potem gdy właściciel wrócił po zgubę, powiedział, że nic nie zauważył. Podrzucając kartę w samochodzie Jima i Bonnie, chciał rzucić podejrzenie na CIA.

— A na karcie nie było żadnego numeru identyfikacyjnego?

— Naklejka z nim została oderwana, więc nie mogliśmy wytropić prawowitego właściciela karty.

Zanim doszliśmy do parkingu, byłam już zmęczona i bolały mnie stopy. Wszyscy ci, którzy przyszli pożegnać Abby, już dawno odjechali.

Wesley zaczekał, aż otworzę samochód, po czym dotknął mego ramienia i rzekł:

— Przepraszam cię za te wszystkie razy...

— Ja ciebie też. — Nie dałam mu skończyć. — Od tej chwili zaczynamy od nowa, Benton. Zrób, co w twojej mocy, by Pat Harvey nie została jeszcze bardziej ukarana. Ta kobieta wiele już wycierpiała.

— Nie sądzę, by sąd przysięgłych miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości.

— Czy pani Harvey wiedziała o wynikach testów DNA, Benton?

— Potrafiła dowiedzieć się najbardziej tajnych szczegółów śledztwa, mimo naszych wysiłków, by je przed nią zataić, Kay. Podejrzewam, że wiedziała. To z pewnością mogłoby wytłumaczyć jej zachowanie. Wierzyła, że Spurrier nigdy nie zostanie ukarany za swe zbrodnie.

Przekręciłam kluczyki w stacyjce.

— Najbardziej jest mi przykro z powodu Abby — dodał cicho.

Skinęłam głową i zamknęłam drzwi; pod powiekami czułam pieczenie.

Pojechałam wąską dróżką do pięknej, kutej z metalu bramy cmentarnej. W odległych wieżowcach miasta i kościelnych wieżyczkach odbijało się słońce; jego promienie, przefiltrowane przez liście drzew, padały na drogę. Otworzyłam okna i pojechałam na zachód, w stronę domu.